



428/1087

65.-

2 vol. in 1

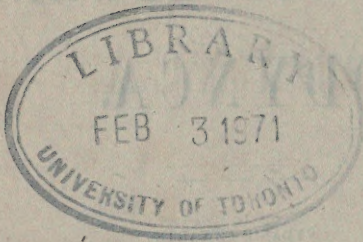
POEZYE
ANTONIEGO EDWARDA
ODYŃCA.

WYDANIE CZWARTE
POPRAWNE I POMNOŻONE.

Tom I. - 2

WARSZAWA.
w Drukarni Gazety Lekarskiej,
ulica Ś-to Krzyzka Nr. 1343 (9 nowy).

1874.



Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 (21) Марта 1874 г.

PG

7158

038A17

1874

PRZEDMOWA.

Sie hören nicht die folgende Gesänge
Die Seelen, denen ich die ersten sang;
Zerstoben ist das freundliche Gedränge,
Verklungen ach! der erste Wiederklang!
Mein Lied ertönt der unbekanntnen Menge,
Ihr Beifall selbst macht meinem Herzen bang;
Und was sich sonst an meinem Lied erfreuet,
Wenn es noch lebt, irrt in der Welt zerstreuet.

Und mich ergreift ein längst entwöhntes Sehnen
Nach jenem stillen, ernsten Geisterreich.

Goëthe.

Gdym piérwsze pieśni, w lat moich zaraniu,
Słał, jak skowronki, nócić swojej ziemi:
Nadzieja była w starszych pobłażaniu,
Nadzieja była w młodém zaufaniu,
Że wnet dojrzałsze póspieszą za niemi.

O! i jak świetny był sąd téj starszyny,
Na której wyrok naprzód stanąć miały!
Rycerze, Rajcy, Pasterze ojezyny,
W podwójnych wieńcach lauru i siwizny,
Obywatelskiéj i śpiewaczéj chwały!

Nowa pieśń drżała przed dawnéj mistrzami,
Lecz ją ośmielał huf braci rowiennéj.
Geniusz w wodzu szedł gwiazdą przed nami;
Byliśmy silni wspólnemi siłami,
Wierzyli w tryumf swéj myśli plemiennéj.

I duch snać wieszczu nie zawiódł w nadziejach.
 Aż zbyt ni zapal, i sztukę zbyt chłodną,
 Po krótkich swaru i gwaru kolejach,
 W dziedzinie pieśni — jak po stokroć w dziejach —
 Miłość złączyła w harmonię zgodną. —

Gdzież dziś to grono mistrzów, towarzyszy,
 Ojcowskich sędziów i obrońców bratnich? —
 Najbliżsi sercu śpią w grobowej ciszy;
 Reszta rozpierzchnęła — czyż nawet dosłyszysz,
 Z ust przyjaciela, głos pieśni — ostatnich?

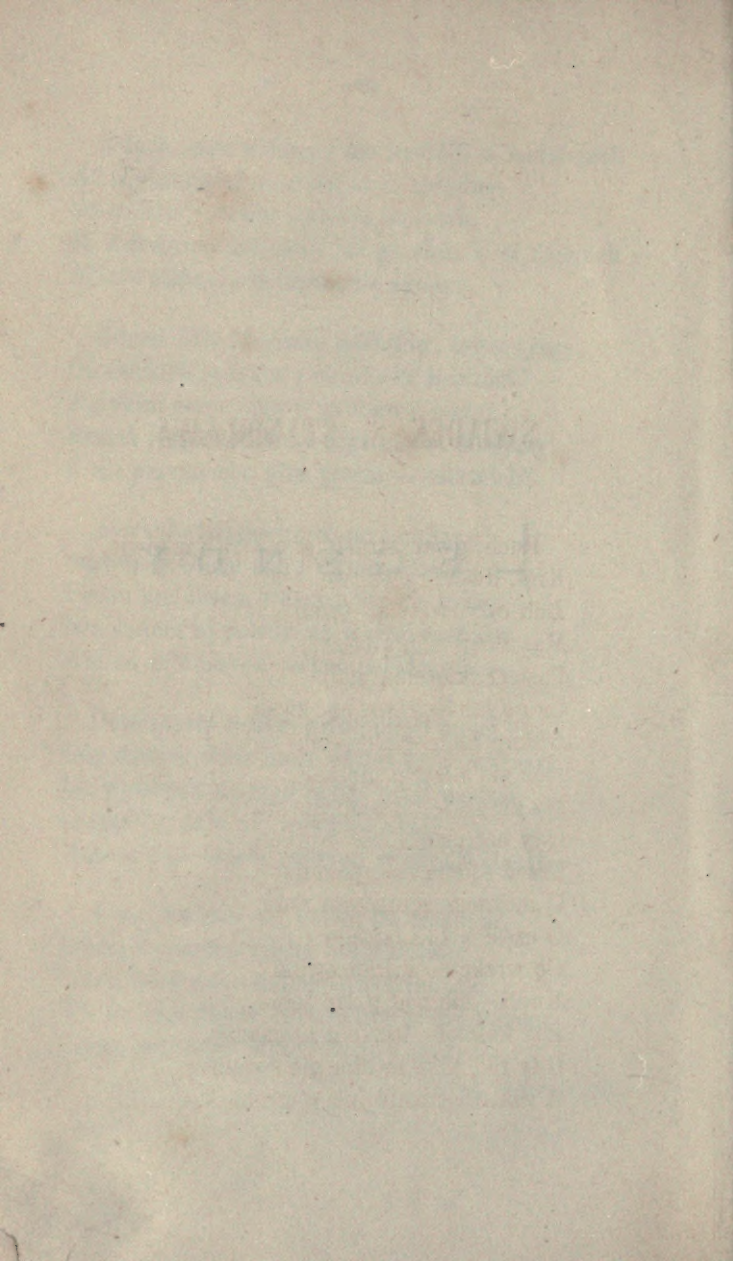
A wkoło twarze nowe mi i cudze,
 Surowszy Czasu sąd i wymagania. —
 Pieśni me! losem waszym się nie łudzę.
 Nie śmiem ni poledz na waszój zasłudze,
 Ani od młodszych czekać pobłażania. —

Dość przeto będzie gwoli chęci mojej,
 Gdy dźwięk wasz może czyjeś serce wzruszy,
 Do wyższych marzeń czyjąś myśl nastroi,
 Czyjąś łzę żalu lub tęskność ukoi,
 Echem z za świata zabrzmie w czyjéjsz duszy. —

A wy, ku którym, okiem łąż zalaném,
 Patrząc i tęskniąc: duchy moje bliźnie!
 Wam serce moje najlepšíj jest znaném:
 Wy mi tam dajcie świadectwo przed Panem,
 Czym, jak mógł, służył Bogu i Ojczyźnie!

1859, Stycznia 26.

LEGENDY.



ŚWIADEK Ś. STANISŁAWA.

Ruch, gwar, strach w całym Krakowie,
Król, dwór, rycerstwo, sędziowie,
Lud cały, wątpią, — azali
Mąż Boży, sługa ołtarzy,
Pasterz, któremu ufali,
Co go już świętym być zwali,
Biskup Stanisław — azali
I on się fałszem nie kali,
Na krzywdę bliźnich nie waży?
Gdy bez pisma, bez dowodu,
Przed sądem się upomina
U możnego mieszczan rodu,
O część pola i ogrodu,
Co wrzkomo u Piotrowina
Kupił — nie pod pałac sobie,
Pod kościół — lecz cóż to znaczy,
Gdy nie, nikt za nim nie świadczy,
A sam Piotrowin już w grobie? —

I oto tłumy ciekawe
Obległy pałac sądowy.
Dziś sąd rozstrzygnie tę sprawę:
Biskup, lub akta umowy
Złoży, lub świadków postawi,
Lub będzie sądzon o napaść.—
Sąd zasiadł—on się nie jawi.
Czas mija—wyrok ma zapaść—
Biskupa nie ma.

Gdzież bawi?

Na Skałce on już od świtu,
W kościele, u stóp ołtarza,
Na zimnych głazach granitu,
Powagę lat i zaszczytu
W pokutniczym prochu tarza.
„Wszechmocny!—woła—Ty widzisz
„Prawdę mą i sprawiedliwość!
„Wiész, że mię wiedzie nie chciwość,
„Że mię nie trwoży zelżywość:
„Że przyjmę, czém mię nawidzisz,
„Że zniosę, gdy mię zawstydzisz,
„Aż jak na nędzę Hioba
„Wejrzysz—gdy ci się podoba!
Lecz wejrzyj, o! Miłosierny!
„Na lud ten dobry i wierny,
„Coś sam méj pieczy powierzył:
„I gdyś Pasterza uderzył,
„Spraw, niech się on zeń nie zgorszy!—
„Skory do wiary, lecz skorszy

„Do posądzenia; on kocha,
„Lecz miłość zmienna czy płocha,
„Lecz zapal jego za lada
„Pozorem émi się i spada.—
„Ty znasz go, Panie nad Pany!
„Ten lud Twój nowo-wybrany:
„Jak wespół z dobrém, podziela
„I wszystko złe Izraela:
„I by Twe spełnił zamiary,
„I by nie ściagnął Twój kary,
„Jak jeden tylko duch wiary
„Wspomódz go może w potrzebie:
„Wiary w Twój Kościół, i w Ciebie!—
„Zbawże go, Ojczy na Niebie!
„Strzeż od zwątpienia!—A jeśli
„Mają mię strącić, jak wznieśli:
„Panie! mnie dotrwać w tój probie,
„A choćby na mym już grobie,
„Daj chwałę: Prawdzie i Sobie!“—

Skończył.—Lecz jakaż otucha,
Jaki strach przenikł w nim duszę?—
Porwał się z ziemi, i słuca.—
Lecz wkoło pusto, noc głucha—
On jednak słyszał! — głos Ducha.
I w rozrzewnieniu i skrusze
Poznał, że Pan doń przemówił.
I pełen wiary Mojżesza,
Jak on z Horebu, pośpiesza,
Gdzie już szemrała nań rzesza,
A sąd swój wyrok stanowił.

Wszedł—gwar zamilknął dokoła.
A z oczu jego, a z czoła,
Z postawy całej, z oblicza,
Tchnie świętość tak tajemnicza,
Tak uroczysta—że w sali
I sąd, i wszyscy powstali,
I cześć ich zdjęła.

On rzecze:

„Przeciw mnie prawo człowiecze,
„Lecz Prawda za mną!—Dowodów
„Nie mam; boć wiecie, śród godów
„Piotrowin zmarł niespodzianie.
„Ale mam świadka, co stanie
„Za mnie, i razem za siebie,
„Świadczyć przed wami wszystkiemi,
„Że jest Bóg żywy na Niebie,
„Bóg wszechmogący na ziemi!“—

Rzekł—i sam pierwszy po przedzie,
I sąd, i cały lud wiedzie
Na świeży grób Piotrowina.

I—„W imię Ojca i Syna
„I Ducha Świętego“—rzecze:
„Z grobu twojego, człowiecze!
„Wstań, i świadectwo daj cudem
„Bogu i Prawdzie przed ludem!“—

Skończył—struchlała gromada.
Ziemia drży—grób się rozpada,
I na mogiły rozłomie
Piotrowin stanął widomie.

I woła: „Biada wam, biada!
„Wy świętej Prawdy oszczercy!
„Wy cudzej własci wydziercy!
„Na wstyd wasz i ukaranie
„Umarły z martwych powstanie,
„Aby obaczył świat żywy,
„Że Bóg jest—Bóg sprawiedliwy!“—

Umilkł—a głos ten grobowy,
Jak z chmury grom piorunowy,
Na twarz obalił co żyło.—
A gdy po chwili struchlenia,
Ku górze wzniesli spójrzenia,
Już ani śladu widzenia,
Ani widziadła nie było.

Ale na Skałce, w kościele,
Grzmią trąby, kotły, organy.
Sąd, lud, z Biskupem na czele,
Żal swój, cześć, dzięki, wesele,
Idą nieść Panu nad Pany.

I Biskup już u ołtarza
Wzniósł hymn—i lud go powtarza,
Hymn uroczysty, zwycięzki.
A nad nim w górze Anieli,
Co już i przyszłość wiedzieli,
Wzruszeni—ale weseli,
Unoszą wieniec męczeński.

P O K U T N I K.

Ubrany w szaty kościelne,
Z potęgą od nieba wziętą,
Rozgrzeszać ludy śmiertelne,
Papież odprawiał mszę świętą,
Święte rozdawał odpusty.
Lud tłumny zbiegł się z okoła,
Kornemi całując usta
Zimne podłogi kościoła.

Do ziemi spadły kolana,
Cichość osiadła sklepienia,
Gdy Bóg przez usta kapłana
Miał rozlać słowo zbawienia.
Przebóg! lecz jakaż to trwoga
Nagle Pasterza przeraża? —
Z rąk mu krzyż, z obrazem Boga,
Upadł na stopnie ołtarza.

„Nieba! rzekł, cóż to za zbrodzeń
Śmie się znajdować tu z wami?
Snać odpuszczenia niegodzien
Tchem swoim świętość dnia plami.

Serce zamknięte przed skruchą,
Próżną zgryzotą usycha ;
Niegodne słyszeć ich ucho,
Słowa zbawienia odpycha.

„Nieszczęsny ! zbrodni twych zbytek
Przepełnił miarę szaleństwa.
Wstań, opuść święty przybytek,
Lub się bój mego przeklęstwa!...“—
Z północnej przybyły ziemi
Do Rzymu, w niskiej pokorze,
Kłęczał pomiędzy wiernymi
Pielgrzym, w pokutnym ubiorze.

Lecz nikt go nie znał w tém mieście ;
W samotnej mieszkał gospodzie,
Przez dni i nocy czterdzieście
Poszcząc o chlebie i wodzie.
Nikt silniej w pierś nie uderza,
Nikt korniej nie schyla czoła—
Jednak na słowa Papieża,
Powstał, i wyszedł z kościoła.

I wzięwszy podróżne szaty,
Powracał do kraju swego.—
Szedł, gdzie skaliste Karpaty
Sarmackiej granicy strzegą,
Gdzie Wisła nurt swój rozwija.—
Zaprawdę, pięknie w tym kraju!
Ale go pielgrzym omija,
Idzie nad brzegi Dunaju.

Idzie na dziką pustynię.
Samotna wiedzie go ścieżka,
W posępną, głuchą jaskinię,
Gdzie obca słońcu noc mieszka.
Miejsce to zewsząd zakryte
Podniebnych modrzewi ciszą;
W górze piorunem rozbite
Czarne się skały kołyszą.

Promień letniego wieczoru
Rumienił wierzchołki Ossy *),
A dzwonek z wieży klasztoru
Mieszał się z hymnów odgłosy:
Gdy pielgrzym, w smutném milczeniu,
Zważał swój pobyt straszliwy.—
Przed nim, na zimnym kamieniu,
Spoczywał kapłan sędziwy.

„Niechaj cię Chrystus wysłucha,
Rzekł—bogobojny pielgrzymie!
Miěj ufność—grzech zmaże skrucha,
Bóg szczere modlitwy przyjmie.“—
Głos-li ten strwożył pielgrzymą?
Ogniem spłoneęła twarz blada.
Mierzy go długo oczyma,
Lecz nic mu nie odpowiada.

„Wracasz-li z Solimy grodu?“
Rzekł kapłan łagodną mową—

*) Klasztor tego imienia.

„Masz-li relikwie Wschodu,
Albo gałązkę palmową?... —
— „Nie z świętej Solimy grodu,
Lecz wracam z Tybru nadbrzeża ;
Zamiast relikwii Wschodu,
Niosę przeklęstwo Papieża!“ —

— „Nieszczęsny! nie trać pociechy,
Strzeż się poddawać rozpaczy!
Wyznaj ze skruchą twe grzechy,
Bóg je przezemnie przebaczy.“ —
— „Ktoś ty jest, co chcesz pielgrzyma
Nieszczęśliwego pocieszyć?
Gdy ten, co Nieba klucz trzyma,
Gdy ten mię nie mógł rozgrzeszyć?“ —

— „Nie trwóż się myślami temi ;
Z wyższych rozkazów tu dążę.
A wiedz, że co ja na ziemi,
Wszechmocny w Niebie rozwiąże.“ —
Pielgrzym więc, zgiąwszy kolana,
Tak mu swe serce otwiera:
Gdy biała głowa kapłana
Na drżącej dłoni się wspiera.

— „Czy cię tu, Ojcze, wysłały
Kraje Zachodu, czy Wschodu,
Wiész, kto był Bolesław Śmiały.
Król Sarmackiego narodu.

Cheiwy nie łupów, lecz sławy,
Brał, i rozdawał korony:
Lennikom zwierchnik łaskawy,
Poddanym ojciec lubiony.

„Jam nim jest;—moje to ramię,
Starłszy potęgę dumnego,
Na złotój Kijowa bramie
Wznowiło razy Chrobrego.
Lecz ach! tam zbyt ków ponęta,
Ojczyzny głuszac wołanie,
W zgubne ujęła mię pęta. —
Znasz-li ty rozkosz, kapłanie?“ —

—„Piérwszym z Nieba upominków,
Piérwszym jest rozkosz prawdziwa,
Rozkosz, co z dobrych uczynków,
Z pełnienia cnoty wypływa.
Lecz dusz piastunka zdradziecka
Jest rozkosz zmysły mamiąca,
Co zasłoniwszy wzrok dziecka,
W bezdenną przepaść je wtrąca.“ —

—„Ach! tak jest! ona mię pchnęła
W myśli i uczuć zawilość:
Aż to, co miękkość zaczęła,
Występna skończyła miłość.
Na uciech drzemiący łonie,
Trudne narodem władanie
W pochlebce zwierzyłem dłonie. —
Ach! znasz ty miłość, kapłanie?“ —

— „Jak w ziemi słońca blask złoty
Obfite kwiaty i żniwa,
Tak w duszy męztwo i cnoty
Rozwija miłość cnotliwa.
Lecz biada, kto ją znieważy!
Straszna się zemsta wykona,
Gdy go przed Bogiem oskarży
Niewinna dusza zgubiona!“ —

— „Kochałem młodą dziewicę,
Niestety! miłością drugą.
Sławni jój byli rodzice,
Rodem, potęgą, zasługą.
Młodzian dostojny, bogaty
W rycerską chwałę i męztwo,
Liczne do ojców słał swaty,
Prosząc o córkę w małżeństwo.

„I już przy świętej ofierze
Dłoń ich związali kapłani:
Gdy zbrojni wpadli rycerze,
Z mego rozkazu posłani.
Próżno na kochanka łonie
Tuli twarz łzami zalaną —
Młodzieniec zginął w obronie,
Dziewicę gwałtem porwano.

„Naonczas, w gronie kapłanów,
Stanisław, Biskup Krakowski,
Wobec mych dworzan i panów,
Śmiał mi ogłaszać gniew Boski,

Grozić mi kłatwą kościelną!...—
Ach! płomień zawrzał w wulkanie!—
Przysiągłem zemstę śmiertelną.—
Znasz-że ty zemstę, kapłanie?“—

—„Napój;—kto gniewem spragniony,
Za nektar bierze go snadnie;
Lecz skoro puhar spełniony,
Jad i śmierć tylko w nim na dnie.
—„Ach! tak jest, tak jest, niestety!
Nadto mi tego boleśnie
Dowiodły zgryzot sztylety—
Ale już było niewczesnie!

„;Na Skałce, u stóp ołtarzy,
Wskazałem zgubę kapłana.
Trzykroć dłoń płatnych zbrodniarzy
Odparła siła nieznana.
Lecz czegoż przemoc nie dopnie?—
Przypadłem—Ojcie! drzysz cały!—
Przypadłem— a święte stopnie
Krwia się niewinną oblały.

„Między rozpaczą i szalem
Odtąd się życie me wlekło;
Nie śmiałem umrzeć, nie śmiałem
W otwarte rzucić się piekło.
Przekleństwem ludu ścigany,
Wkrótce dziesiąty rok minie,
Jak z króla tułacz wygnany,
W dziką się skryłem jaskinię.

„Tu w piersiach zamknąwszy głosy,
Dnia widzieć nie dałem oku ;
Chleb tylko z klasztoru Ossy,
Wodę czerpając ze stoku.—
Pokutowałem — a przecie
Papież mię przeklął! — Kapłanie!
Jest-że kto jeszcze na świecie,
Co grzech mój zgładzić jest w stanie?—

— „Zaprawdę, straszny sąd Pana,
Lecz litość JEGO bez końca.
Krew Zbawcy za nas wylana,
To przed NIM grzesznych obrońca.
Jęk twój boleści i skruchy
Usłyszał Sędzia na Niebie;
Przodków i ziomeków twych duchy
Ojca błagały za Ciebie.

„I Pan policzył dni twoje.
Żałuj!—lecz strzeż się rozpaczy!—
Jak ja ci chętnie śmierć moję,
Niech ci tak Pan Bóg przebaczy!“—
Strach Króla przejął głęboko,
Krew ścięła trwoga nieznana;
Wzniósł nagle zdumione oko—
Lecz już nie było kapłana.

Któż on był? — próżne pytanie!
Samże to Stanisław Święty
Opuścił chwały mieszkanie,
Pokutą Króla dotknięty?—

Tego nikt wiedzieć nie może,
Lecz tak przynajmniej Król wierzył.—
Nim drugie zabłysło zorze,
Bolesław Śmiały już nie żył.

Choć umarł w żalu i skrusze,
Ani żałobny jęk dzwonu,
Ani modlitwy za duszę,
Nie głosiły króla zgonu.
Człek jakiś w prostéj odzieży,
W cichém go pogrzebł ustroniu.
Na grobie jego głaz leży,
Na głazie rycerz na koniu.

1824.

Ś. ANTONI PADEWSKI.

W imie Cesarza, wódz Gibellinów,
Marek Ezzelin urąga z Boga *).
Synów Kościoła, Italji synów,
Śeiga jak zbrodniów, mord i pożoga.

*) Marek Ezzelin de Romano, zwany w historii dzikim, zięć i namiestnik Niemieckiego Cesarza Fryderyka II, był rzeczywiście jednym z najdzikszych i najkrwawszych przywódców partyi Gibellinów we Włoszech. Fakt, będący przedmiotem niniejszej Legendy, znakomity autor Historji Kościelnej, X, Röhrbacher, w następujący sposób opowiada. „Dziki Ezzelin, zostawszy zięciem Cesarskim, wylał się na wszelkiego rodzaju okrucieństwa, gwałcąc prawa ludzkie i Boskie. Właśnie skazał był na śmierć znaczną liczbę znakomitszych mieszkańców Werony, gdy Ś. Antoni z Padwy, wzruszony tém wszystkiem co widział, udał się tamże i stanął przed tyranem. Oddawna on już w kazaniach swoich, nieczuły na bojaźń ludzką, i owszem pragnący męczeństwa, powstawał z żarliwością przeciwko tyranii możnych, tak, że nieraz znakomitsi duchowni kaznodzieje, słuchając go, zasłaniali twarze rękami, aby ukryć wstyd, którym płonęli, poczuwając się do własnej słabości. Stanąwszy przed Ezzelinem, zawołał śmiało i groźno: „Nieprzyjacielu Boga! tyranie okrutny! dopókiż będziesz przelewał

We krwi swych dzieci pływa Werona,
Z Wiczeny tyran zdarł stopy łupów:
Drżąca Ferrara, Padwa strwożona,
Zebrząc wołają do swych Biskupów:

„Stróże praw Boskich! ojce Kościoła!
„Za Kościół cierpim, za prawo Boże:
„Gdy już nas bronić głos wasz nie zdoła,
„Niech nam choć cierpieć wzór wasz pomoże!“—

Lecz nie chcą duszy dać za owezarnię
O samych siebie trwożni Pasterze.
Niemiec w krwi Włoskiej brodzi bezkarnie,
I lud z rozpaczyny zachwiał się w wierze.

niewinna krew chrześcijańską? Ramię Pańskie wzniesione nad tobą: wyrok Jego surowy i straszny!“—Wiele jeszcze podobnych słów mówił. Siepacze, otaczający zwykle Ezzelina, czekali tylko hasła, aby zuchwalca porwać na męki. Ale Bóg inaczej rozrządził. Ezzelin, wstrząśniony słowy świętego męża, zamiast unieść się gniewem, rzucił się przed nim na kolana, i opasując szyję swą paskiem szat jego, tamże zaraz wykonał przed nim spowiedź i publicznie obiecał poprawę. Później zaś mówił do swych zdumionych dworzan i przyjaciół: „Nie dziwcie się, albowiem powiadam wam, że widziałem z oczu tego człowieka wychodzącą taką straszliwą jasność, iż myślałem, że mię wnet piekło pochłonie.“—Od tej chwili zachował on dla Ś. Antoniego wielką cześć, aż do śmierci jego (wr. 1231. 13.Czerw.), i sam wyznawał, że przez pamięć o nim wstrzymał się od wielu okrucieństw, któreby inaczej był popełnił.“ (Histoire Universelle de l'Eglise Catholique. Tom 18, str. 230).

A wszakoż biada! kto złych sług winy
Śmie kłaść na Pana, i tém się trwoży! —
Kościół Chrystusow — to nie gmach z gliny,
Nie chór Lewitów — ale Duch Boży!

Duch, Zbawca świata; duch, Pasterz ludu;
Duch, żar Miłości; duch, światło Wiary;
Duch, technienie Łaski; duch, siła cudu;
Duch, wieniec krzyża każdej ofiary!

Kto w tym kościele hołd Panu składa,
Kto w nim za Prawdę poświęca siebie:
W tym Pan na ziemi żyje i włada,
Jak Wszechmogący w Trójcy na Niebie. —

I był mąż taki w Padwie strwożonój,
Mąż znaczny tylko w gronie klasztorném,
Jak zakon jego między zakony, *)
Wysokim duchem, sercem pokorném.

Świat dziś i Kościół czezą jego imię,
Ale nikt wówczas nie wiedział o nim.
Obcy we we Włoszech. **) nieznanym w Rzymie,
W Padwie był tylko bratem Antonim.

On jęk usłyszał dzieci Kościoła,
On poczuł świętość stanu kapłana.
On zdał się w duchu na głos Anioła,
Poszedł, i stanął w obec tyrana.

*) Zakon Ś. Franciszka z Assyżu.

**) Ś. Antoni był rodem z Portugalii

W szatańskiej grozie gniewu i pychy,
Ezzelin z tronu miotał swe gromy.
Tygrys—a przed nim baranek cichy;
Mocarz—a przed nim mnich niezajomy.

Czyjaż w tém sprawa, że z ust cichego,
Z ócz pokornego, zagrzmiał i błyska:
Głos, jak grom sądu ostatecznego,
Blask, jako łuna piekieł ogniska;

Gdy uniesiony tehem wyższej mocy,
Miota na oczy, w krwawej jasności,
I wszystkie zbrodnie dzikiéj przemocy,
I wszystkie kary strasznej wieczności?...—

Czyja w tém sprawa—że tyran hardy,
Zamiast zapłonąć gniewem zawziętym,
Zamiast w proch zetrzeć sprawcę swéj wzdąrdy,
Sam na twarz z tronu upadł przed Świętym?

I jako zmija grotem przebita,
U stóp się jego czołga i wije;
Całuje obów, za ręce chwyta,
Pasek szat jego wiąże na szyję?..—

„Wiedz mię, wiedz na nim!“—z rozpaczą woła—
„Wiedz do pokuty! pojednaj z Bogiem!—
„Gdybym wprzód takich znał sług Kościoła,
„Bóg mię i Kościół nie zwałby wrogiem!“—

Bóg, świat i Kościół woła do xięży:
„Idźcie w ślad za nim! bądźcie takimi!
„A Prawda przez was piekło zwycięży,
„I tryumfować będzie na ziemi!“ —

1854.

Ś. GENOWEFA.

PATRONKA PARYŻA.

(Podanie z r. 541).

Gniew Pański nad światem się sroży.
Attila, król Hunnów, *bicz Boży*,
Połowę już ziemi krwią zalał,
I Franków najechał granice.
Narodzie! coś bujał i szalał,
I krzyż, jak swych bożyszcz świątnice,
Zbłąźniwszy i sercem i usty,
W świat tylko uwierzył widomy!
Lutecyo! *) grodzie rozpusty!
Nad tobą już ogień Sodomy!
Attila poprzysiągł twą zgubę,
I wydał sąd ognia i miecza.

*) *Lutetia Parisis*, pierwotne nazwanie Paryża z czasów Rzymskich.

Nie ufaj w sił swoich rachubę,
Nie zbawi cię siła człowieka! —
Ten chyba, coś zesłał tę chwilę,
Pan świata i mocarz mocarzy,
Obaczy czy enoty masz tyle,
Że szalę twych grzechów przeważy! —

Jak w głębi mórż koncha miotana
Falami o skały brzeg twardy,
Jest w tobie gromadka wybrana,
Cel twego szyderstwa i wzgardy.

Gromadka to krzyża czcicieli,
Co w lochach ukryta bez wieści,
Stroniła twych biesiad, — lecz dzieli
Żalobę i kielich boleści.

A jako w ciemnościach poczęta,
W blask perła się w konsze rozświeca,
Tak w gronie jój czysta i święta
Zakwitła cudowna dziewica.

Genowefa było jój miano.
Wdzięk lica zdumiewał patrzących:
Lecz wdzięk ten i imię li znano
W świątyni i w progu płaczących. —

Na Forum się rada zebrała,
W niej mądrość, powaga i władza;
Jój uznać i wybrać — co chwała,
Co miasta pożytek doradza.

„Do broni!—rzekł młodzian—dłoń nasza
Nawykła do rzutu piorunów! —
Jak wieher obłoki rozprasza,
Rozproszym niesforny tłum Hunnów!“—

A na to najstarszy z starszyny:
—„Dość z męztwa u świata. już słyniem;
A jakaż ztąd korzyść ojezyny,
Że wszystko utracim i zginiem?

„Mnogości nam wroga nie sprostać!—
Więc nim nas tu w gruzach zagrzebie,
Ocalmy się z miasta, by zostać
Ku przyszłej ojezyny potrzebie!“—

I rada na zdania się dzieli.—
Wtém okrzyk się podniósł, i wżrasta.
Prowadząc niewieści chór w bieli,
Na Forum wstępuje niewiasta.

Jój postać, jój piękność dziewicza,
Rajskiemu podobna zjawieniu,
A jakoby światło z oblicza,
Blask dziwny goreje w spójrzeniu.

„Ziomkowie! o! biada wam. biada!
Żle radzi wasz zapał i trwoga.
Zuchwałość ni podłość nie nada!
Nie wroga się bójcie, lecz Boga!

„Wróg tylko jest JEGO narzędziem,
Gniew JEGO rozbrójdym kajaniem! —

My z wami tu błagać Go będziemy,
Lub same choć bez was zostaniem.“ —

— „I ktoś ty? zuchwała, szalona!“
Krzyknęli i rajcy i tłuszcza.
„Toś ty jest złowieszeczka natchniona
Téj władzy, co klęski dopuszcza?...”

„Ha! bądźże więc pierwszą ofiarą
Twojemu dzikiemu bożyszczu! —
On przez cię zagraża nam karą,
Ty nieś mu odpowiedź na zgliszczu!“ —

I zgraja śród przekleństw odgłosu,
Jak dzikie zwierzęta w arenie —
Ci kłody ztaczają do stosu,
Ci dłoń uzbroili w kamienie.

A ona spokojna i śmiała,
Wzrok w Niebo podniosła, i czeka. —
Lecz czemuż się zgraja wstrzymała?
Co znaczą te głosy zdaleka?

Tłum nowy na Forum się tłoczy. —
I oto zzzajany od trudu,
Śród tłumu sędziwy mąż kroczy —
To German! to ojciec, mistrz ludu!

To kapłan téj wiary ściganój,
Na którą pogaństwo się miota! —
Lecz nawet pomiędzy pogany
Wié każdy, że German — to cnota;

To każdej boleści pociecha,
To każdej słabości obrona!—
Wkrąg niego radośne brzmiały echa,
I wściekłość zamilkła szalona.

On słyszy co zaszło, i rzecze:
„Ziomkowie! skrzywdziliście Świętą!—
Nie było w tém dzieło człowiecze,
Że przyjsć ją tu ku wam natchnięto.

„Ziomkowie! Bóg który ją zsyła,
Nie nigdy nie czyni daremno.
Jest prawdą, co ona mówiła,
Słuchajcież, i wiercie wraz ze mną!“—

I w głosie świętego kapłana
Powionął jakgdyby duch Boży.—
Przed chwilą wściekłością pijana,
Gromada się kruszy i korzy.

I radna starszyzna wraz z ludem,
Dziewięć wkrąg ze czcią okala.—
A ona: „Widzicie, jak cudem
„Bóg w NIM ufających ocala!“—

Płacz głośny się rozległ po tłumie,
I wszyscy w ślad niewiast, co przy niej,
Pokutni, niepomi o dumie,
Hołd Panu złożyli w świątyni.

Lecz przed kim, o! Panie! twa wola
Zasłone tajemnic uchyli:
Kto zmięczył dzikiego gniew króla?
Kto zmienił zamiary Attili? .

Że miasto mijając pokorne,
Ku drugim wiódł hordy najemne,
W proch burząc i łupiąc odporne,
A w pień wycinając nikczemne?—

Lutecyo! lecz biada ci, biada!
Gdy wzgardzisz znów Bogiem i żalem!—
Bóg czeka—lecz straszny sąd spada
Na Babilon i Jeruzalem.

1870.

Z ŻYCIA Ś. FRANCISZKA Z ASSYZU:

I.

WILK.

Onego czasu, mąż, sługa Boski,
Święty Franciszek, po ziemi Włoskiej
Chodząc i ucząc, z wioski do wioski,
Obaczył w jednej niewiast gromadę,
Zebranych tłumnie jakby na radę,
A w twarzach wszystkich boleść wyryta:
A więc przystąpił ku nim i pyta.

„Ach! ojcze!—z płaczem niewiasty rzekły—
Bóg nas pokarał;—zwierz jakiś wściekły
Zjawił się w górach, i codzien wpada,
Nie już na nasze trzody i stada,
Których nie śmiemy puszczać na paszę:
Lecz na nas samych, na dzieci nasze!
I już kilkoro porwał w dzień biały.—

Niczém na niego oszczep i strzały!
Najśmielsi, co się spotkać z nim śmieli,
Albo uciekli, albo zginęli.

„Dziś więc mężowie nasi obławą
Poszli, by ścigać bestyę krwawą,
I na ich powrót my tu czekamy.“—

Ledwie skończyły—hałas u bramy
Dał znać, że łowcy wrócili z łowów.
Ale wśród dzikich skał i parowów,
Próżno śledzili kryjówki wroga.—
Więc po staremu boleś i trwoga
Wybuchły niewiast jękiem i łkaniem.

Widząc to Święty, z ubolewaniem
Rzekł: „Bracia moi! wyznajcie szczerze,
Czy nim Bóg na was nasłał to zwierzę,
Nikt z was i nigdy przedtém nikomu
Nie zrobił krzywdy, w polu czy w domu:
Czy to przez jaki podstęp zdradziecki,
Czy to przez napaś lub gwałt zbojecki?“—

Na to pytanie, stojący kołem
Jedni na drugich spojrzeli społem,
I nastąpiło milczenie głucho.

Święty zgadł winę—ale i skruchę.
A więc rzekł znowu: „Bracia i siostry!
Miecz kary Bożej ciężki i ostry,
I przeciw niemu nie ma puklerza.
Ziemski wasz oręż nie zwalczy zwierza;
Sam płacz i jęki Nieba nie wzruszą.
Ale pojmijcie sercem i duszą:

Za co spaść na was mogła ta plaga,
I czego po was Bóg się domaga?
A wtedy wiercie JEGO dobroci,
Że wam złe nawet w dobro obróci..“—

Rzekł — oni wszyscy padli na twarze.
„Ojczy! my grzeszni; Bóg słusznie karze!
Żal i poprawę ślubujem sami,
Lecz ty, ty Święty, módl się za nami!“ —

Święty się wzruszył, i snąc w milczeniu
Modlił się myślą; — aż jak w natchnieniu
Zawołał: „Bądźcie dobrój otuchy!
Grom w rękę Pana gaszą łyzy skruchy:
Pokora grzesznych, jest ich puklerzem.

„Ja sam się za was spotkam ze zwierzem.
Co będzie dalej — nie umiem dociec.
Lecz Bóg jest wszystkich i Pan i Ojciec,
W NIM złożcie ufność — On was pocieszy!“ —

I błogosławiąc struchlałej rzeszy.
Mimo jej przestroóg, prośb, rad, i zgrozy,
Święty sam poszedł w dzikie wąwozy,
Gdy się już słońce skryło za góry,
A głąb ich zaległ cień ich ponury.

Straszna to była noc dla mieszkańców!
Każdy przy świetle lamp czy kagańców,
Trwał na modlitwie, w domu zamknięty.
Lecz nikt nie wiedział, co pocznie Święty,
Nikt nie śmiał myśleć, co się z nim stanie?—

O! i Ty tylko, Wszechmocny Panie!
Ty wiész, przez jaki cud Twego ducha,
Gdy człowiek Ciebie, świat jego słuca :
I jak Twój wierny sługa z Assyżu,
W ubóstwie tylko, w praey i krzyżu,
Sam naśladować Cię — ze zdumieniem
Posiadł snać Twoję moc na stworzeniu,
I wznowił w sobie ów sojusz święty,
Co łączył w Raju ludzi z zwierzęty:
Gdy zwierz w człowieka twarzy ojcowskiéj
Cził i miłował obraz Twój Boski,
I pod opiekę jego się cisnął!—

Noc przemieńła — i dzień zabłysnął;
Święty nie wraca.— We łzach i trwodze
Tłum go znów cały czeka na drodze,
Každy miotany wnętrzną zgryzotą. —

Wtém słycać z wiatrem śpiew — psalm—i oto
Widzą go, widzą!—Lecz dziw nad dziwy!
Ów dziki potwór, ów zwierz straszliwy,
Jak pies, jak jagnię, z karkiem ugiętym,
Ślad w ślad, tuż z tyłu, idzie za Świętym,
Jakby się wstydził i bał zarazem.

Tłum oniemiały skamieniał głazem.
Głos w ustach, w piersiach zamarło tehnienie.—
Aż Święty piérwszy przerwał milczenie,
I przeżegnawszy, tak do nich powie:

„Siostry niewiasty! bracia mężowie!
Brat wilk—to mówiąc wskazał na zwierzę—
Przyszedł tu z wami zawrzeć przymierze.
Zna on i czuje w czém wam zawinił!—

A więc przebaczcie złe, co uczynił!
Nigdy on odtąd już nie zapragnie
Napaść na żadną owcę lub jagnię,
I jak sam przy mnie śmiało tu stoi,
Tak niech go odtąd nikt się nie boi!—

„Lecz że jak każde stworzenie Boże,
On téż bez jadła zostać nie może,
Wy więc dlań wzajem wspólnie musicie
Obmyślcć sposób i koszt na życie,
I niech mi każdy dłoń na to poda.“—

— „Zgoda!—krzyknęli radośnie—zgoda!“
I głaskać zwierza jęło wnet kilku.

A Święty znowu rzekł: „Bracie wilku!
Słyszysz? Nie zbędzie tobie na niczém.
Lecz ty mi także przed ich obliczem
Daj znak, że wzajem stwierdzasz umowę.“—

Na to zwierz kornie pochylił głowę,
I jakby głosem żalu i trwogi,
Skomląc, Świętemu przypelzł do nogi,
A pogłaskany dłonią łaskawą,
Sam na nią złożył nogę swą prawą.—

Placz i śmiech razem powstał śród ludu:
Śmieszny ich widok, wzrusza moc cudu.
Aż wszyscy razem, jak zwierz przed chwilą,
U stóp Świętego kolana chylią;

Głośne wyznania, śluby, ofiary,
Świadczą żarliwość skruchy i wiary.
Aż głos ich wszystkich, w chór jeden zlany,
Wzniósł hymn dziękczynny Panu nad Pany.

I od téj chwili ludzie i zwierzę
Chowali wiernie wspólne przymierze.
Wilk, gość codzienny każdej gospody,
W polu i w domu sam strzegł ich trzody,
I ku zabawie dziatwy wioskowej,
Służył ohocho jak pies domowy.

Toć gdy żyć przestał po latach kilku,
Ludzie płakali po bracie-wilku.
Bo przezeń każdy, sam w głębi siebie,
Czuł moc i miłość Ojca na Niebie,
I czeił w nim pamięć Świętego, który
Wiarą pokonał prawa natury,
I stanął, w obec świata i wieku,
Cudem potęgi— ducha w człowieku.

1868.

II.

TURKAWKI.

Onego czasu, Franciszek święty
Spotkał młodzieńca — a ten w zamkniętej
Klatce, jak w kojcu, turkawki niesie.
A tak ich mnogo nałowił w lesie,
Że niebożątka, w niewoli długiéj,
Drżące, stulone jedna przy drugiej,
Widać musiały cierpieć okrutnie:
Bo tak gruchały smutnie, pokutnie,
Jakby duch z czyśca ratunku wołał.

Święty zaledwo łyzy wstrzymać zdołał,
Tak mu się nagle żal ich zrobiło.
Bo choć on kochał wszystko, co żyło,
Nad wszystkie jednak stworzenia inne
Lubił turkawki: ciche, niewinne.
A tak nadobne i słabe razem,
Że mu dusz czystych były obrazem,
Co choć im Pan Bóg dał lot i skrzydła,
Najłatwiej dają ująć się w sidła,
A potem jęczą w grzesznej niedoli,
Aż je pokuta i żal wyzwoli.

Święty więc zaszedł drogę, i rzecze:
„Pan Jezus z tobą, młody człowiecze!
Co myślisz z temi ptaszęty robić?“ —
— „A cóż innego miałbym, jak pobić,
Lub sprzedać komu — jeśli je płacą?“ —

Nasz Święty nie miał kupić ich za co.
Westchnął więc w duchu, i znów przemówił:
„Powiedz mi, proszę, jakżeś je łowił?“ —
— „W sidła, na wabik.—Bo powiem Ojcu,
Że te tak niby zbiednione w kojcu,
Niechby je tylko popuścić trochę,
Wnetby znów były śmiałe i płoche,
Jak—jak już widać Bóg postanowił,
Aby je każdy kto chce, to łowił.“ —

Ale tu Święty zagadnął znowu:
„Jakiz jest sposób owego łowu?“ —
— „E! najłatwiejszy! Naprzód po trochu
Sypie się ziarna pszenicy, grochu,
Co lśni zdaleka, a tak migota
Jak białe perły, lub ziarnka złota.
Nad tém się wlesza sieć—lecz tak składnie,
By jój nie dójrzeć piérwój, aż spadnie.
Potém się zręcznie skrywszy na stronę,
Dość już jest umieć gruchać jak one.
To byle tylko poczekać nieco,
Jedna za drugą oślep wnet lecą.
A ja—jak która wpadnie już w sidła,
Zaraz jój wiążę nogi i skrzydła,
By u nóg moich czekała nowój.

„Lecz już mię w końcu nudzą te łowy.
I byłem pozbył tych — byle za co,
Chcę jakąś lepszą zająć się pracą.—“

— „Słusznie—rzekł Święty—słusznie, mło-
[dzianie!

Ale poczekaj, spójrz tylko na nie!
I czyż ci nie żal nieść je pod noże? —
Słabeé to, prawda, stworzenia Boże!
Lecz przeto właśnie, że siły słabéj,
Bóg dał im taki wdzięk i powaby,
By je przed krzywdą silniejszych bronić. —
Patrz, jak to oczko zda się łzę ronić!
Patrz na te ruchy główki i szyi,
Istna powiewność smukłych lilii!
Sam już ich nawet głos tajemniczy
Zdaje się tylko żebrzeć słodyczy.
A gdy z wysoka w lot która grucha,
Czyż to nie obraz Świętego Ducha? —
I nieraz przez to, w niejedném łonie,
Czysty, niebieski ogień zapłonie.
I myśl za niemi wzleci do góry.

„Biadaż więc temu, biada mu! który,
Mieszając Boży porządek świata,
Słabość pokrzywdza, wdziękiem pomiata!...
Wszecmocny pomści za słabe ptaszę.
Boé i turkawki są siostry nasze,
A kto o Ojcu w nich zapomina,
Ojciec w nim wzajem zapomni syna.“ —

Święty to mówił z takiem wzruszeniem,
Że młodzian, jakby wosk przed płomieniem,
Mięczył się, topniał, w żal, w łzy—aż wreście
Łkając zawołał: „Weźcie je, weźcie!
Wszystkie za darmo!—róbcie co chcecie!—
Jam się chciał tylko bawić na świecie,
Lecz nie wiedziałem, że to grzech taki!“ —

Święty co prędzej rozpętał ptaki,
I do młodzieńca rzekł: „Miły synu!
Nie pożałujesz dobrego czynu,
Żeś się okrutnej wyrzekł zabawki!“ —
A do turkawek: „Siostry turkawki!
A wam-że nie wstyd, na lada ziarno,
Na pierwszą lepszą przynętę marną,
Lecieć tak oślepi, z takim pośpiechem?
Dać się tak ludzi kłamaném echem?..

„Toć gdy brat szczerzy szuka was wiosną,
Czyż będzie gruchał tak wciąż, tak głośno?—
Nie! on się ozwie zrzadka i zeicha:
On nie was woła, lecz ku wam wzdycha.
Gdy nazbyt jęczy, nazbyt wykrzyka,
O! to już pewnie wabik ptasznika! —

„Niechże przynajmniej, miłe ptaszątka!
Z nieszczęścia dla was będzie pamiętka,
Byście uchodząc ponęt i siatek,
Szukały sobie gniazdek — nie klatek.
A w nich, z wybranym po woli Bożej,
Niech się wasz piękny ród coraz mnoży,
By być pod niebem, jak i pod strzechą,
Światu ozdobą, ludziom pociechą!“ —

Skończył — lecz one, czy topojmując
Z głosu myśl słowa; czy sił nie czując:
Choć rozwiązane, jeszcze nie śmiały
Probować lotu, i tak siedziały,
Jak w skwar czekając kropli napoju.

Święty zrozumiał: „Lećcież w pokoju!”
Rzekł, i znak krzyża zrobił nad niemi... —
Wnet wszystkie razem furkły od ziemi, —
Lecz na powietrzu, zwinawszy lotem,
Zawisły nad nim, jak piór namiotem,
Ważąc się na swych skrzydłach rozpiętych,
Jak chór aniołków w obrazach Świętych. —

Cześć i zdumienie zdjęły młodziana.
Kornie przed Świętym padł na kolana,
I sam oblokłszy suknię zakonu,
Jak syn mu wiernie służył do zgonu.

A zaś turkawki, w pobliskim gaju,
Gnieźdząc się, mnożąc, śmiało jak w rajcu,
Same z swém całym plemieniem nowém,
Z dzikich się stały ptastwem domowém.

III.

JASKÓŁKI.

Święty Franciszek kazał raz w polu.
Lud stał skupiony w wielkiem półkolu,
Lud, co go wszędzie z czcią i pokorą
Witał i słuchał;—lecz było sporo
Pomiędzy ludem i takich, którzy,
Jak Faryzejscy niegdyś doktorzy,
Hardzi z nauki, pyszni z rozumu,
Wyszli téż z miasta, za śladem tłumy,
Aby usłyszeć—nie słowo Boże,
Lecz coś w tém słowie, przez coby może
Zawiść ich mogła nabyć oręża
Przeciwno chwale świętego męża.

Święty się wcale nie troszczył o to.
Co czuł i wierzył, mówił z prostotą.
Lecz sam posłuszny natchnieniom ducha,
Jakby przenikał, kto i jak słucha.

Nie myśląc nad tém, treść słów swych nieraz
Stosował właśnie k'temu.—

Lecz teraz,
Cobądź miał mówić z razu:—jaskółki,
Jak przed odlotem zebrane w pólki —
Czy to za ludźmi? czy na pogodę?
Czy to zwabione przez blizką wodę?
Czy zły duch może wzbudził je raczéj,
Jak zwykł na ziemi wzbudzać krzykaczy,
Aby zagłuszyć: czy radę zdrową,
Czy dobrą sławę, czy święte słowo?—
Dość, że się takie jaskółek stado,
Po nad zebraną ludu gromadą,
Wzdłuż, wszerek zwijając kręconym lotem,
Tak zagłuszało głos swym święgotem,
Że nikt Świętego słyszeć nie zdołał.

Święty więc podniósł dłoń i zawołał:
„Siostry jaskółki! na imię Pana!
Proszę was, zmilczcie!—Pieśń na to dana,
By czy to w waszym, czy w naszym rodzie,
Być ku czei Pana, nie ku jéj szkodzie.
A żeście dość Go wielbiły pieniem,
Więc Go uczejcie teraz—mileniem!“—

Skończył—i oto, cud niepojęty!
Nowy ruch powstał między ptaszęty,
Znać jedna drugieć podaje hasło.
Aż jakby światło, co nagle zgasło,
Szczebiot ich ustał:—i w ciszy głuchéj,
Słychać już tylko skrzydeł ich ruchy,

Gdy na gałęziach drzew nad pagórkiem,
Jedna przy drugiej siadały sznurkiem:
Jakby różańca czarne kaliwa
Nizała w rzędy ręka cierpliwa;
Jak gdyby rzesza słuchaczów nowa
Przybyła słuchać Bożego słowa. —

I duch w Świętego wstąpił z wysoka,
Zapłonął w duszy, zajaśniał z oka,
I jak blask słońca w zwierciadłach fali.
Odbił się w duszach tych, co słuchali.

„Bracia i siostry! ptaki i ludzie!
Co ludzkie słowo przy Bożym cudzie?
Lecz cud ten mówi, co słowo może,
Rzeczony z wiarą, a w imię Boże.

„Błogosławionaż ziemia ta, w której
Brzmi takie słowo natchnione z góry!
Błogosławione usta i uszy,
Co je podają do sere i duszy!
A w sercach przed niém, zawisć i pycha,
Jak gwar tych ptasząt, kornie ucicha;
A dusza przez nie uczei i pojmie
Prawdę i Miłość — szczęścia rękojmie! —

„Lecz biada, biada, i trzykroć biada!
Gdzie jak złowrogich ptaków gromada:
Chępliwa próżność, szydereza zawisć,
Złośliwa potwarz, gorzka nienawiść,
Prawdę i miłość w słowie zagłuszają!

Bo gdzie ich światło zgaśnie nad duszą,
Tam ciemnych myśli spory i swary
Uciszy chyba—grom Bożej kary.—

„O! Bóg was uchronić przed temi gromy,
I wasze serca, i wasze domy!
O! bracia moi! i wy, co macie
W ustach dar słowa! i co słuchacie! —

„Mówca niech bada sądu sumienia:
Z jakiego ducha jakie natchnienia?
Jaki plon wzrośnie z jakiego siewu?
I jakie echo z jakiego śpiewu? —

„W słuchaczach naprzód rozum niech baczy,
Za Apostołów nie brać krzykaczy,
A potem zamknąć przystęp ku sercom,
Wiary bluźniercom, braci oszczercom! —

„Wtedy, jak nocne ptastwo przed zorzą,
Zmilkną i pierzezną przed Prawdą Bożą,
A Słowo Pańskie wśród was zagości
Bożym Zakonem bratniej miłości.“

POLICZEK X. SKARGI.

DO X. JANA MARKIEWICZA.

Sługo stateczny w winnicy Pańskiej!
Ty snąć najlepij, z xiąg i żywota,
Wiész, jako pycha złości szatańskiej
Na Chrześcijańskie męże się miota.

I jak cudowna potęga Krzyża
W słów ich prostocie Prawdę objawia;
Przez ich pokorę harde uniża,
Przez krew jednego — narody zbawia.

V 9

Lecz jeślié kiedy krzywda od ludzi
Boleśnie ludzkiém sercem zatarga,
Niech i w téj drodze w ślad swój cię budzi
Święty twój u nas poprzednik — Skarga.

Kacerstwo, jak burza, jak potop, z obczyzny
Lunęło od Warty do Dźwiny.

*) Historyczne. Ob. znakomite dzieło: Skarga i Jego.
Wiek, M. J. A. Rychcickiego. Tom I, str. 210.

Szał, w masce rozumu, sam warząc trucizny,
Truł niemi kraj, domy, rodziny.

I naród serc bratnich rozpadł się na wrogów,
Języki przybrały ostrz mieczy;
Ten mędrzec—kto nowych przyniesie zkądś bogów,
Ten rycerz—kto Kościół kaleczy.

Lecz byli i wtedy Rycerze-Wyznawcy,
Lecz byli i Mędry-Proroicy,
Co w Duchu a Prawdzie krzyż nieśli w ślad Zbawcy,
W Nim tylko szukając pomocy.

Bo jakażby ludzka potęga i siła.
Bo jakażby mądrość od ludzi,
Zdołała na Litwie zmódcz wpływ Radziwiłła,
Lub wpływ Chodkiewicza na Żmudzi?—

Z nich hardość potęgi, z nich krnąbrność swawoli,
Z nich upór kacerstwo nateżył;
Powstali nad Kościół, nad prawa, nad króli—
Bóg jednak—lecz przez co zwyciężył?

Po Wilnie, w Zapusty, ulice, gospody,
Brzmią gwarem, pieśniami, i śmiechem;
I pałac Hetmana, i dwór Wojewody
Kapeli rozlega się echem.

Lecz głośniej nad panów, nad ludu wesele,
Brzmią klątwy i groźby kacerzy,
Na synów Lojoli, co właśnie w kościele
Chór wiodą nieszpornych pacierzy.

Na mowę-zuchwalca, eo właśnie z ambony

Ieh sidła wykrywa i targa;

Uczony, serdeczny, ognisty, natchniony,

Kochany od ludu — Piotr Skarga.

Bo w czynach, jak w słowach, on ludu wiernego

Mistrz, rajca, opiekun, pośrednik:

On wsparcie słabego, pociecha smutnego,

On umierających spowiednik! —

I prosto z ambony szedł zaraz wezwany

Do chorych, w ubogim szpitalu;

I wracał — gdy tańcem i winem rozgrzany

Tłum młodzi rozjeżdżał się z balu.

Spotkali, poznali — Ślepowron na czele,

Arcy-kacierz z głowy i z serca,

Wprzód uczeń sekt wszystkich, dziś w kłótni z wszyst-
[kiemi,

Chrztu, Trójcy i Zbawcy bluźnierca! —

Jak wybuch płomienia, na widok kapłana

Gniew myśli i krew w nim zapalił.

Śpiął konia, by zdeptać; — lecz mędrszy od pana

Koń wspiął się — i na wznak obalił.

Cud zbawił szaleńca: — lecz jawna moc cudu

W niewiernym złość tylko rozżarza.

Poskoczył — i w obec kościoła i ludu,

Kapłana policzkiem znieważa! —

Struchleli widzowie — a w duszy Wyznawcy

I radość, i boleść, i trwoga!

On, sługa szczęśliwy! ucierpiał dla Zbawcy!
Lecz brat zgrzeszył — a kara nań sroga!... —

I zaraz nazajutrz sąd zasiadł do sprawy.
Czyn jawny — są świadki, jest prawo.
Napastnik ma pozbyć szlachectwa i sławy.
Świątokradzca stracić dłoń prawą.

I któż go obroni? — Z współnictwa bojaźni —
Odbiegli go wodze kacerzy;
Gród cały, lud cały domaga się kaźni,
Lub sam sprawiedliwość wymierzy! —

Zamknięto namowy, i wyrok gotowy,
Podpisać — i sprawa u końca. —
Wtém błady z pośpiechu, do izby sądowej
Wszedł Skarga — winnego obrońca!

Obrońca bliźniego — człowieka, nie czynu.
Czyn sprośny u Boga i ludzi.
Lecz dość go przypisać nie sercu, lecz winu,
A litość, nie zemstę obudzi.

„Sędziowie!“ — rzekł wręście, łez tłumiąc strumienie:

„Na Boga! na straszny sąd świata!

„Na myśl mą, na serce, na moje sumienie

„Nie kładźcie mi, proszę, krwi brata!

„Bo sąd wasz surowy zabije nas obu.

„Z nim razem — jak Pan Bóg na Niebie!

„W pustyni, w jaskini, żyw zstąpię do grobu,

„Pokutnik za jego i siebie.“ —

Nie było sędziego, nie było słuchacza,
By wzruszon wzruszeniem okólném,
Nie wołał: „Przebaczymy! Bóg przezeń przebacza!“ —
Sąd powstał — i więzień był wolnym.

Był wolnym — lecz wstydu i zgryzot katusze
Sumieniem targały dopóty,
Aż grzesznik zmiękczoney, w pokorze i skrusze,
Padł na twarz przed tronem pokuty.

I jakby cud Boży duch Litwy ożywił,
Tysiącom przodkując z okoła,
Jan-Karol Chodkiewicz, Sierotka Radziwiłł,
Wrócili do Matki-Kościola.

1852.

MEMENTO MORI.

(Z życia Papieża Piusa VII).

W Rzymie—znużon zgiełkiem świata,
Ochłonawszy z żądź zapału,
Młodzian, dworak, dyplomata,
Stanął u konfessjonału.

I raz piérwszy, śród wyznania
Tajni serca, skruchą zdjęty,
Poczuł rozkosz zaufania,
Poczuł urok Prawdy świętej.

I jak na blask rannój zorzy
Ptak budzący się z uśpiania,
Dusza jego, na głos Boży,
Zatęskniła do zbawienia.

„Ojczel—rzekł—ty mi wskaż drogę!
Iśe nią czuję chęć i męztwo;
Lecz wprzód osądz, co znieśe mogę,
Bym nie wpadł w nieposłuszeństwo.“ —

— „W modlitwie duszy otucha;
To droga prosta i jedna,
Co cię wprowadzi w świat ducha,
I światło Łaski ci zjedna.“ —

— „Ach, ojcze! urzędów tyle,
Tyle mi pracy nadano,
Że ledwo mogę mieć chwilę
Na pacierz w wieczór i rano.“ —

— „W ciele największa pokusa,
Co nas odwraca od Boga.
Post za przykładem Chrystusa,
Najlepszy oręż na wroga.“ —

— „Niestety! ojcze! me ciało,
Służąc swój żądzy zepsutój,
Tak już swe siły stargało,
Że téj nie zniesie pokuty.“ —

— „Jeśli wymówka nie próżna,
Synu! toć sposób jedyny
Został ci jeszcze — Jałmużna.
Jałmużną odkup tve winy.“ —

— „Biada mi, ojcze! z próżności
Tylem roztrwonił i dłużny,
Że choć na pozór pan włości,
Sam żyję z króla jałmużny.“ —

— „Ha! gdy więc siły nie starczą
Na dzieła czynnych cnót ducha,
Niechże ci będą choć tarczą
Bierne: Pokora i Skrucha.

„Ilekróć będziesz miał porę,
Sam w siebie wnikaj tajemnie,
Budź skrucę: — a przez pokorę,
Przyjm upominek odemnie.“ —

Rzekł, i twarz kryjąc w kapturze,
Ku klęczącemu, przez kraty,
Dłonią znaczącą krzyż w górze,
Podał mu pierścień bogaty:

Pierścień w oprawie żałobnej,
Z obrazem trumny, na której,
Jakoby napis nagrobny,
Czerniało: „Memento mori.“

„Noś go — rzekł — a ile razy
Wzrok twój z myślą, czy niepominie,
Zwróci się na te wyrazy,
Powtórz je — i wspomnij o mnie!“ —

Penitent pełen zdumienia,
Biorąc pamiątkę tak drogą,
Rzekł: „Spełniam twoje życzenia,
Lecz niech wiem przecie od kogo?“ —

— „Teraz nie! — lecz od téj chwili
Za rok, w świątyni téj saméj,
Przyjdź! — a gdy duch mię nie myli,
Bliżej się wzajem poznamy.“ —

Penitent odszedł, odjechał
Do kraju swego i pana ;
Lecz pomniał, i nie zaniechał
Rad pobożnego kapłana.

I coraz częściej w pierścieniu
Topiąc wzrok, dumał o życiu.
Aż w myśli, w sercu, w sumieniu,
Głos jego poczuł w odbiciu.

I w rok o téjże godzinie,
Jak mu mąż święty powiedział,
Wstąpił w tęż samą świątynię.—
Kapłan już w miejscu swém siedział.

„Ojczy! tyś zbawił mą duszę,
Talizman dałeś mi z Nieba. —
Poczuwszy że umrzeć muszę,
Pojąłem na co żyć trzeba.

„I wszystko nagle, jak cudem,
Postać swą dla mnie zmieniło.—
Odkąd mi wielkość jest trudem,
Modlitwa stała się siłą.

„Kto jak cień idzie za ciałem,
Cień tylko w duszy mu roście.—
Odkąd treść ducha poznałem,
Karm' ducha znajduję w poście.

„W drodze do górnych przybytków,
Wstręt budzi świata blask próżny.—
Zdeptawszy w sercu chęć zbytków,
Poznają rozkosz jałmużny.

„Wszystko to, ojczel! twe dzieło.
Bóg dał, żem z rad twych skorzystał.
Serce me w grób się zamknęło,
Lecz duch mój we mnie zmartwychwstał!“—

— „Synu!—rzekł kapłan z wzruszeniem—
Serce mię moje nie zwiódło.—
Bóg cię zaręczył pierścieniem,
Ślubu z nim teraz przyjm godło!

„Bo grunt mądrości — jest trwoga,
Co śmierć i wieczność w nas budzi;
Szczyt — miłość krzyża dla Boga,
Co na nim umarł za ludzi.“ —

Tak mówił kapłan, i razem,
Z błogosławieństwem nad skronią,
Krzyż z Zbawiciela obrazem,
Sędziwą podał mu dłońią.

— „Ktoś ty jest, ojcze! przez litość! —
Zawołał młodzian — „ty, który
Serc, i snać Nieba znasz skrytość?“ —
Kapłan twarz wznosząc do góry:

— „Sługa sług — rzekł mu po cichu —
Przyjaciół ojca twojego.“ —
Młodzian padł na twarz—bo w mnichu
Poznał Piusa Siódmego.

1854.

DWAJ PRZYJACIELE.

DO X. JOACHIMA DĘBIŃSKIEGO.

Oby mi dano głos, co jak grom budzi!
Oby mi dano myśl, co jak blask słońca
Świeci i pali!—wtedybym do ludzi
Wołał, i gromił, i błagał bez końca:

„O! bracia moi! to jedno pomnijcie,
Że każdy z siebie jest cień, proch — a przecię,
Bóg za każdego z was oddał swe życie,
I przez każdego chce działać na świecie.

„Żeście tak nędzni, i tak wieley razem,
Że jak spaść niżej od wszelkiego tworu,
Tak być ludzkości i Boga obrazem
Może z was każdy — i ma moc wyboru.

„Lecz wasza cnota, mądrość, wasza siła,
Tak są w was tylko, jako światłość w oku,
Co nie zeń wyszła, ale w nie wstąpiła;
I płyną przez was, jak woda w potoku.

„Zaprusz zdźbłem oko — światło się wnet ciemi;
Woda wnet wyjdzie z zasutego łoża.
Tak gaśnie cnota, gdzie się grzech rozplemi;
Tak pełnych siebie, opuszcza moc Boża.

„I najsilniejszych czeka los Samsona:
W pętach mleć będą dla swój duszy wroga. —
A zaś dzieł Boskich ten tylko dokona,
Kto służąc Bogu, siłę czerpie z Boga!“—

Obyśmyż, bracia! ja sam i wy drudzy,
Czując to w sercu, pełnili w przykładzie!—
Tymczasem niech nas uczy przykład cudzy.

Przed wieki, w mieście hiszpańskiem, Grenadzie
Było dwóch młodych przyjaciół. Od szkoły,
Rowienni wiekiem, choć zdolnością różni,
Myśli i serca złączyli wespóły
Jako dwaj bracia; i obaj pobożni
Przywdzieli razem sukienkę zakonną.

Jeden z nich, silny pojęciem światowém,
Bogaty pracą w naukę przestronną,
Służyć chciał Bogu swém piórem i słowem.
Drugi, rad czując wyższość w przyjacielu,
Świadom i siły i zamiarów jego,
Wspierać go tylko w téj drodze do celu
Wziął za powinność i cel życia swego.
I obumarły sam sobie i światu,
Gdy ów wciąż skarby wiedzy swój pomnażał,
On najtrudniejsze z prac nowicyatu
Pełniąc zań, w świętą pokorę się wdrażał.

Lecz ta ofiara z siebie i pokora
Nie uszły oczu bacznego starszeństwa;
I ledwo kapłan—na urząd Przeora,
Nie chciał—lecz musiał jechać z posłuszeństwa.
I z przyjacielem rozstał się w Grenadzie.
Rozstał się z żalem — ale i z pociechą,
Bo już z ambony i w bratniej gromadzie
Szerzyć się jęło chwały jego echo.
A sam wždy pomny: że kto się uniża,
Ten rośnie w Panu;—w nowém gronie bratniém,
Przodkując tylko w twardej drodze krzyża;
Zresztą i czuł się, i chciał być ostatnim.
I z najniższemi, i z najuboższemi
Była społeczność jego; pod ich strzechę,
Czém miał, szedł codzien podzielać się z niemi,
Lub niósł duchowną radę i pociechę.
I z kazalnicy, nie troszcząc się wcale
O krasomówczy wdzięk słowa i płynność,
Im tylko pragnął dać czuć zrozumiałe
Wolę w nich Boską, a ludzką powinność.
Lecz duch był w słowach—i on w jego trzodzie
Mnożył obfitość zbawiennego plonu.
Aż wieść cnót jego, szerząc się w narodzie,
Doszła nakoniec do Rzymu i tronu.

I oto nagle, jakoby cios gromu,
Spadła nań wola Króla i Papieża,
By on, mnich, z rządzcy ubogiego domu,
Szedł zasiąść w Bradze tron Arcy-Pasterza.

Próżno się wzbraniał — próżno u podnoży
Tronu i w Rzymie wyzwolenia błagał.
Zdał się nakoniec na sąd woli Bożej,
Wziął ciężkie jarzmo — i Bóg go wspomagał.

Á był to właśnie wiek, gdy z krajów innych
I tam zawiąła zaraza kacerstwa,
A sąd krzewiących ją, albo jój winnych,
Wola praw zdała na władzę Pasterstwa.

I on sąd czynił; — lecz kaźni i kary
W wyrokach jego stolicy nie było.
Bóg dał mu siłę Miłości i Wiary,
On błąd i upór zwyciężał tą siłą.

Aż dnia jednego — odstępcą, bluźniercą,
Zuchwały w mowie, niehamowny w złości,
Stawion był przed nim: — to brat jego serca!
To ów przyjaciel dni jego młodości!... —
Lata minęły, jak zniknął bez wieści. —

Ledwo go poznał w Chrystusowym zdrajcy,
Porwał się z tronu, i z jękiem boleści,
On sędzia, upadł na pierś winowajcy. —
Alić — o! zgrozo! — ten, zamiast wzruszenia,
Zgrzytnął nań z gniewu, i z rozpaczą wściekłą:
„Ha! — krzyknął — wrogu mego przeznaczenia!
„Kończ dzieło twoje, i potrać mię w piekło! —
„Bom po to przyszedł, abys ty mię zabił,
„Jako zabiłeś życie moje całe! —
„Wiém, po coś piérwszy do nauk mię wabił,
„Po coś mi wróżył tryumfy i chwałę! —

„Czułeś mą wyższość, tałeś twą zawiść —
„Aleś ty wiedział, że w twym mniszym stanie,
„Każda myśl wyższa obudza nienawiść,
„A każdy wolny duch — prześladowanie.
„Wzmogłeś mi serce i pchnąłeś na trudy,
„Bym zginął w walce z waszą chytrą władzą;
„A sam popełzłeś drogami obłudy,
„Co jedne u was do władzy prowadzą!...
„Lecz ducha mego jarzmo nie ugięło,
„Pęta niewoli silny zerwał jeniec.—
„Tryumfuj teraz, i kończ twoje dzieło!
„Tyś Arcy-Biskup! — a ja, potępieniec!“—

Struchlał mąż Boży — a ten cios morderczy
Nazbyt głęboko dosięgł tkliwej duszy.
Upadł jak martwy; — a kacerz bluźnierczy
W więzieniu czekał wyroku katuszy.

I czekał długo. — Wieści się rozniosły
O tém, co zaszło. — Lud dziwił się zwłóce.
Biskup rozsyłał to listy, to posły,
I na modlitwie trawił dni i noce.

Aż pożądana z Rzymu i od tronu
Wieść przyszła, kojąc niepokój i bole:
Papież pozwolił wrócić do zakonu,
Król losy więźnia zdał na jego wolę.—

I wnet prysnęły rygle i kajdany.
I już nie Sędzia, nie Pasterz — lecz raczój

Sam jak pokutnik, włosieniem odziany,
Mąż święty stanął przed synem rozpaczy.
I nie w objęcia — ale do stóp jego
Rzucił się płacząc: „Bracie mój!“ zawołał:
„Przebacz mi powód zgorszenia twojego!
„Nikt cię, nikt więcej miłować nie zdołał,
„Nikt cię miłować nie zdoła nademnie!—
„Zgrzeszyłem nie chcąc — lecz tyś mię naprawił! —
„Bracie mój! obyż Bóg raczył wzajemnie
„Zmiękczyć cię przez mię — i obu nas zbawił!“ —

Tak wołał Święty: — a grzesznik zdumiony,
Śledził go długo spójrzaniem badaczem.
Łamał się z sobą — aż przewyciężony
Zakrył twarz dłońmi, i wybuchnął płaczem.

I była chwila — jakiej nie wypowie
Nikt ze śmiertelnych — nawet gdy doświadcza.
Bo w niej nie ludzie, lecz się Aniołowie
Radują w ludziach — gdy im Bóg przebacza.--

I blask téj chwili, na pasmo lat długich,
W myśli grzesznika, padł jak łuną jasną.
W czém dotąd tylko widział winę drugich,
We wszystkiém teraz poczuł winę własną.
I żal tak wezbrał w sercu i sumieniu,
Że nie już tylko przed zbawcą i bratem,
Że nie już tylko w samotném więzieniu,
Lecz grzech swój wyznać chciał przed całym światem,
I sam się jawnéj dopraszał pokuty.

Ale mąż święty rzekł: „Bracie mój miły!
„Nie kuś sam siebie!—by czyjeś wyrzuty
„Zbyt świeżych jeszcze ran nie obrażyły,
„Lub byś sam przez to nie gonił za chwałą.—
„Bo znam, znam dzieje twojego zawodu.
„Serce twe czyste było — i zostało,
„Lecz cię upoił dym sławy za młodu.—
„Z słów twych, mniemałeś, że czują moc ducha;
„Chciałeś być wodzem dusz, co je wielbiły.
„A sąd ich tylko był z oka i z ucha!
„Chcąc je wznieść wyżej, trwoniłeś twe siły,
„I na ich wiarę uwierzyłeś w siebie. —
„Czuli błąd starsi — i w tém byli czyści.
„Lecz że chcąc karcic, nie kochali ciebie:
„Tyś ich powinność kładł na karb zawiści.
„I raz nawykły do szerokich granic,
„Gdzieś duch twój naprzód rozsunął i nateżył,
„Każdą już mniejszą powinność miał za nic.
„Zrzuciłeś krzyż twój — i czart cię zwyciężył! —

„Krzyża więc teraz wspólnemi ramiony
„Jąc się nam, bracie!—On moc czarta zwalczy,
„On cel nam wskaże! — Oto pogrążony
„W ciemnocie Maurów naród bałwochwalczy.
„Tam pójdźmy, bracie! tam walk naszych z wrogiem
„Nie skazi żaden wzgląd chwały znikomój! —
„A ten czyn tylko jest Anioł przed Bogiem,
„Co jak on ludziom służy niewidomy.“—

I poszli. — Spytasz, Ojczy Joachimie!
Kto oni? jaki owoc ich odwagi? —
Bóg snac za okup wziął grzesznika imię. —
Święty zwan w dziejach — Bartłomiejem z Bragi.

1854.

RZEŹBIARZ.

DO DEOTYMY.

Onego czasu, w pewnym włoskim mieście.
Żył rzeźbiarz—słynny z cnót swych i nauki.
Gonił za chwałą — aż syt jój nareście.
Pojął cel wyższy i życia, i sztuki.

Pojął, że talent tak jest dany z Nieba,
Jak wszelka siła, i jak sam dar życia:
A komu dany, temu już go trzeba
Użyć, i Dawcy zdać sprawę z użycia.

Bo czy kto, mając, w ziemię go zagrzebie,
Czy źle obróci, czy roztrwoni marnie.
Czy wsławić przezeń zechce tylko siebie :
Grzech równy — równie nie ujdzie bezkarnie.

Ale, o! Panie! jakże go mam użyć,
By mi się nie stał źródłem potępienia?
Jak przezeń godnie Tobie Bogu służyć—
Ja proch — przez dzieła z gliny i kamienia?

„Ty sam wskaż drogę myśli méj i dłótu!
Ja tylko mogę — i ślubuję Tobie—
Prócz Ciebie nie tknąć innego przedmiotu,
Pracować tylko ku świątyń ozdobie.“—

Tak się mistrz modlił w chwili uniesienia,
I wbrew ponętom ziemskiej czei i złota,
Chrystusa tylko krzyż, śmierć i cierpienia,
Wziął za jedyny cel myśli i dłóta.

I próżno możni wielbiciele sztuki
Arcydzieł jego żądali z okoła:
Żadnego, przysiągł, nie sprzedać, dopóki
Ktoś ich nie przyjdzie nabyć dla kościoła.

Ale tymczasem dni, lata mijały,
A nikt ich nie brał ku świątyń ozdobie.
Mistrz bez zasobów, czując zmierzch swój chwały,
Cierpiał — lecz dotrwał, i kruszył się w probie.

Aż raz, gdy serca poskromić nie zdołał,
Miotany między rozpaczą i wiarą,
Padł na kolana, i łkając zawołał:
„Panie! dla czego gardzisz mą ofiarą?“—

A wtém myśl nagła, jak odpowiedź Boża,
Jak głos wewnętrzny, w duszy mu przemknęła:
„Patrz na twój podpis u dzieł twych podnoża!
Sobies, czy Bogu poświęcił te dzieła?—

„Czyżes pracując nad Zbawcy obrazem,
Pozbył w swém sercu wszelkiej chluby próżnej?—
Czyżes sam raczej nie myślał, zarazem
Słynać jak sztukmistrz i jak mąż pobożny?”...—

Strwożon tym głosem, mistrz spytał sumienia,
I wstyd mu ogniem zapłonał na czole. —
Więc by korzystać z łaski upomnienia,
Szukał ustronia — i wybiegł na pole. —

Aż gdzie dwie drogi krzyżują się społem,
Postrzega starca: — on łzami zalany,
Na drżących barkach, z uchyloném czołem,
Dźwiga sam jeden, krzyż prosty, drewniany.

Mistrz się pokwapił ku wsparciu wieśniaka,
I cel ofiary zgadł z jego powieści:
Bóg mu odebrał syna jedynaka,
On święci Bogu krzyż swojej boleści.—

Wzruszył się rzeźbiarz — i wkrótce w téj włóci
Dziw stał się wielki i okrzyk wesela:
Na krzyżu zawisł, przecudnej piękności,
Konającego obraz Zbawiciela.

Zbiegło się zewsząd tysiącami ludu:
Żywy duch Boży ezuja w martwém drzewie;
Dziela ból Zbawcy — wielbią sprawcę cudu—
Lecz kto on? — człowiek, czy Anioł? — nikt nie wie.—

Aż dnia jednego, jak pielgrzym, tamtędy,
Pan jeden możny z nad brzegów Dunaju,
Powracał z Rzymu: gdzie, gładząc swe błędy,
Ślubował Bogu wznieść kościół w swym kraju.

Ujrzał figurę — i nagłą czią zdjęty,
Pytać wnet począł o biegłym rzeźbiarzu,
Coby powtórzył wizerunek święty,
By go postawić na wielkim ołtarzu.

Wskazano mistrza: — a pan, gdy obaczył
W pracowni jego arcydzieła dłóta,
Pojął skazówkę, co mu Bóg dać raczył,
Zaprzagnął wszystkich — choć na wagę złota.

Mistrz się nie drożył — i tylko jedyny
Dał mu warunek, pod słowem sumienia:
Że, choć pytany, nie mówiąc przyczyny,
Przed nikiem jego nie wspomni imienia.

A sam, za cenę dzieł swoich, przy krzyżu,
Na jaki stało, dom Boży założył,
I w samotności osiadłszy w pobliżu,
Wielbił w nim Pana — aż dnia śmierci dożył.

Ale nim umarł, ujrzał przy skonaniu,
Mąż w bieli stanął przed nim, i powiada:
, Jam pisarz księgi „O Naśladowaniu
, Chrystusa;” — ktom był? świat napróżno bada *).

„Pan mi ją natchnął — jam się wyrzekł siebie. —
„Pójdź! równa mojej czeka cię zapłata:
„Pan ci da w duchu czuć i widzieć w Niebie
„Skutki dzieł twoich — aż do końca świata.“ —

Ilekroć myśli o sztuce i Niebie
Zbiegną się we mnie, w marzeniu czy w rymie,
O! Deotymo! zaraz mi twe imię
Wschodzi na pamięć: — bo wierzę, że z ciebie
Stanie wzór w dziejach duchowego życia,
Jak natchnień z góry, tak i ich użycia,
I że zeń jaśniej, niż z mędrców nauki,
Uznawszy źródło — pojmiemy cel sztuki.

1854.

*) Pomimo wielorakich domysłów, prawdziwe imię autora ksiąg „O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa,” dotąd z pewnością odgadnione nie jest. Tomasz a Kempis był tylko ich przepisywaczem.

WIENIEC ŁASKI.

Z HERDERA.

Nie w beczynnych, choć świętych dumaniach,
Nie w dumnych, choć pobożnych badaniach,
Bóg Zbawiciel nasz sobie podoba;
Lecz w ochoczém czynieniu dobrego,
Lecz w pokornéj usługach bliźniego,
Chrześcijańska jest moc i ozdoba.

Proterysz, w swéj celi zamknięty,
Ufał w sobie, że mądry i święty,
Bo się modli i w myślach zacieka:
Nad cudowną Taboru jasnością,
Nad niebieską Aniołów czystością,
I nad ziemskim skażeniem człowieka.

Raz gdy dumał i modlił się długo,
Sen go zdjął; — we śnie Anioł promienny
Stanął przed nim, i rzekł mu: „Idź, słuگو!
Do klasztoru zakonnice Taweny. *)

*) Okolica w Egipcie, sławna niegdyś klasztorem świątobliwych zakonnice i mieszkaniem wielu pustelników.

„Tam obaczysz kochaną od Nieba,
„Wińcem Łaski za życia ozdobną;
„Z niej się naucz, co czynić potrzeba,
„By wysłużyć nagrodę podobną.“ —

Proterysusz szedł w drogę z pośpiechem,
Poprzedzony świętości swój chwałą. —
Ze czcią go i z radości uśmiechem
U drzwi grono zakonnic spotkało,
Sama matka, z wszystkimi siostrami.
A on rzekł: „Bóg mi do was przyjść kazał.
„Lecz gdzież jest — że nie widzę jój z wami —
„Ta, co Anioł w widzeniu mi wskazał? —
— „Tuśmy wszystkie“ — odrzekła Wielebna —
„Jedna tylko została, jak widzę,
„Nie tak siostra, jak raczej służebna,
„Wpół warjatka — za którą się wstydzę.
„Wprawdzie pełna jest chęci usłużnych,
„Najpodlejszą się pracą nie brzydzi:
„Wieczna sługa każdego z podróжных,
„Choćby byli poganie lub żydzi.
„Stąd wnosimy, że jest obłąkana. —
„Nikt z niej słowa wyciągnąć nie zdoła;
„Robi wszystko — lecz milczy jak ściana.
„Przytém zawsze szczęśliwa, wesoła,
„A co dziwna, że wtedy najbardziej,
„Jeśli nią kto pomiata lub gardzi.“ —

— „Niech ją ujrzę!“ — rzekł gość. — Zawołano.
Porfiryta — to było jój miano —

Zbliżyła się zmuszona — i z trwogą
Przed spójrzeniem obcego się chroni. —
Odzież miała służebną, ubogą,
Wązką tylko przepaskę na skroni.

Gdy ją ujrzał — wnet padł na kolana
Proterysz: — bo z ócz i z oblicza,
Zgadł, że w niej to jest mu zwiastowana,
Cześć, pokora i świętość dziewicza.
„Błogosław mi, ty święta!“ — zawoła —
„Ty pełna błogosławieństw i Łaski!“ —

Ledwie rzekł — z jój ubogiój przepaski
Blask promienny wyniknął dokoła. —
Wszystkie siostry upadły na twarze.
„Ach! przebacz mi, że z ciebie szydziłam!“ —
— „Ach prosz za mną! niech Bóg mnie nie karze,
„Żem cię lżyła; że tobą gardziłam!“ —
— „Że cię nieraz, by drugim dogodzić,
„Wbrew sumieniu — Wielebna wyrzekła —
„Ukarałam! — Mów, jak mam nagrodzić?“ —

Porfiryta tymczasem uciekła. —

Te ich słowa, ta cześć ich niezwykła,
Zdały jój się bluźnierstwem i grzechem. —
I widziano, jak biegła z pośpiechem,
Lecz nikt nie wie gdzie poszła, gdzie znikła —
Nikt nie doszedł, gdzie żyjąc umarła. —

Ale w duszy świętego człowieka
Pamięć jój się na wieki nie starła. —
I ilekroć się w myślach zacieka :
Nad cudowną Taboru jasnością,
Nad niebieską Aniołów czystością,
I nad ziemskiém skażeniem człowieka :
Porfiryta mu w oczach stawała,
Jak ją widział — uboga i skromna,
Pogardzona, milcząca, nieśmiała,
Sługa wszystkich, na siebie niepomna.
Stała przed nim w służebnej odzieży,
Uwieńczona promienną przepaską. —
Święty poznał, co czynić należy,
By zajaśnieć zasługą i Łaską. —

1834.

PACIERZE.

(Z POWIEŚCI GMINNÉJ).

Des Herzens Andacht hebt sich frey zu Gott,
Das Wort ist todt—der Glaube macht lebendig.

SCHILLER.

Modlitwy serca Bóg zawsze wysłucha,
Słowo jest martwe—Wiara żywi ducha.

O! jak jest piękny widok jeziora,
W letnią pogodę i ciszę,
Kiedy je zlekka powiew wieczora
Jak do snu, zda się, kołysze!

O! jak się wdzięcznie głuchy szum wali
W uchu patrzących rozlega,
Gdy błękitniejąc w mglistej oddali,
Powoli mdleje u brzegu!—

Taką się niebo śmiało pogoda,
Taki technął urok wieczora,
Gdy raz sędziwy kapłan nad wodą
Cichego jechał jeziora.

Ostatni brzeżek dziennój pochodni
Już się za szczyty gór schował,
I błądy tylko odbłask zachodni
Spokojne wody malował.

Wzniósłszy wzrok w niebo, kapłan pobożny
Świątami zważał myślami:
Jak ten być musi dobry, wielmożny,
Kto niebo zasiał gwiazdami!

Kto wie dzie słońca ogniste biegi,
I błądy księżyc kolejają;
Kto nalał morza w głębokie brzegi,
Z których się wyprzeć nie śmieją!

Czyją się sprawą ziemia zieleni,
Dzień świeci, czernieją noce;
Kto kwiaty wiosnie, kto dał jesieni
Ziarna i słodkie owoce!

Za czyjém „stań się!“ wszystko się stało,
Kto wołą swoją świat stworzył!... —
Tak dumał kapłan, i myśl zdumiała
Przed Wszechmogącym ukorzył.

A gdy znów oczy zwracał na wodę,
Nagle nad brzegiem, w uboczy,
Widzi wieśniaka — a ten przez kłodę
To skoczy, to znów przeskoczy.

„To tobie, Boże!“ — za każdym skokiem —

„A to mnie, Boże!“ — wyrzeczę.

Zdziwiony kapłan takim widokiem:

„Co czynisz, spyta, człowiecze?“ —

— „Modlę się.“ — „Jak to?—kapłan zawoła,

„To ty nie umiesz pacierza?—

„Alboż to u was nie ma kościoła,

„Alboż to nie ma pasterza?“ —

— „Nie wiem;—z dzieciństwa śród tego lasu

„Sam jeden żyję; a w drogę

„Nigdzie nie chodzę, bo nie mam czasu,

A chwale Boga, jak mogę.

„Wiém, że ON wszystko widzi tam w Niebie,

„Wszystkiém na ziemi kieruje;

„Więc GO o wszystko proszę dla siebie,

„JEMU za wszystko dziękuję.“ —

Zdziwiony kapłan takiej prostocie,

Uczuł powinność sumienia,

Pograżonemu w myśli ciemnocie

Rozjaśnić drogę zbawienia.

I najgorliwiej, jak mógł w pośpiechu,

Jał mu wykładać pacierze:

Uczył *Ojciec nasz, Zdrowaś i Wierzę,*

Mówił o cnocie i grzechu.

A gdy już mniemał, naukę świętą
Że mu w pamięci zostawił,
Powtórzył jeszcze, pobłogosławił,
I kończył drogę zaczęta.

I w samym sobie, z żalem i trwogą
Dumał o losie dusz — które,
Tęskniąc ku Bogu i rwąc się w górę,
Drogi doń poznać nie mogą. —

Wtém nagle słyszy wołanie w ali —
Patrzy — i oczom nie wierzy.
Wpoprzek zatoki, po wierzchu fali,
Wieśniak ku niemu wprost bieży!

„Poczekaj, ojcze! poczekaj!“ woła,
„Powtórz mi swoje pacierze.
„Słów ich spamiętać nie mogę zgoła,
„A chciałbym umieć je szczerze.“ —

Lecz kapłan widząc jawne dowody,
Jak go w swój łasce Bóg chowa:
Rzecz mu: „Synu! módl się jak wprzódy
„Serce Bóg ceni, nie słowa.“ —

I kiedy wieśniak, wstecz po jeziorze,
Bieży znów jakby po suchu ;
On wielbił Pana, widząc co może
Wiara w prostocie a w duchu.

ZRÓDŁO Ś. GANGOLFA.

Z KOSEGARTENA.

Pobożny pielgrzym, w skwarne południe,
Gangolf do Rzymu się kwapił;
A bliską drogi ujrawszy studnię,
Szedł ku niej, aby się napił.

Postrzegł to dziecko — nadbiegł, i rzecze:
„Nie wolno! to moja woda.“ —
— „Więc mi ją sprzedaj, dobry człowiecze!“ —
— „Dobrze! daj cekin!“ — „Masz!“ — „Zgoda!“ —

Łakomiec w duchu śmiał się z pielgrzymem,
Że go tak złupił i podszedł.
Ten, z wzniesionemi w niebo oczyma,
Przeżegnał studnię, i odszedł.

I ślub spełniwszy, do swój zagrody
Wracał w Burgundzkiej krainie:
Gdzie obok wszystkich darów przyrody,
Wody brak było jedynie.

Więc ledwie tkliwa żona u progu
Z rodzeństwem wita go miłym,
Rzekł: „Ciesz się, żono! podziękuj Bogu,
„We Włoszech źródło kupiłem!“ —

— „Na cóż się przyda? co nam pomoże
„Zdrój w tak dalekiej krainie? —
„O! nierozważny! sądziłeś może,
„Ze on za tobą popłynie?“... —

— „Niewiasto!“—Gangolf przerwał surowo:
„Niech się gniew płochy uśmierzy!
„Toż ci nieznane Chrystusa słowo?
„Czy mu twe serce nie wierzy?—

„On rzekł: „Zaprawdę mówię wam, który,
„„Ze szczerem we Mnie ufaniem,
„„Rozkaże góróm „pójdźcie!“ wnet góry
„„Powstaną i pójdą za nim.“ .

„Jam obietnicy Boskiej zawierzył,
„Bóg szczerój wiary nie myli.“ —
To rzekł, i laską w ziemię uderzył —
I oto, w téjże wnet chwili,

Z ziemi obfite wytrysły zdroje,
Na podziw zląkłej małżonce;
I wkrąg ożyweze niosąc napoje,
Z szelestem biegą po łące. —

Wieki minęły, a dotąd płynie
Krynica czysta i chłodna.
Ale we Włoskiej za to krainie
Zdrój nagle wysechł aż do dna.—

1824.

PIORUN.

(FAKT PRAWDZIWY, ZDARZONY W R. 1855, W INFLANTACH).

Słuchajcie! słuchajcie! straszliwój powieści,
Powieści prawdziwój, nie baśni!
I niechaj nam sama okropność jój treści,
Jak piorun, moc Bożą nad nami obwieści,
Tajemnicę życia rozjaśni!

A wszyscy przed Panem uchylmy w proch czoła!
Albowiem są rzeczy na ziemi,
Przez które jeżeli głos Boży nie woła,
Toć chyba już Boga nie byłoby zgoła,
Traf ślepy pomiatał wszystkiemi.

A jeśliż Pan mówi — toć czujmy w pokorze
Jak różny sąd nasz, a sąd JEGO;
Jak różne snać dobra światowe, a Boże,
I jako je tylko świat pojąć tu może
Przez krzyż Boga, Zbawcy naszego!

W skromnym zaścianku, wiodła szczęśliwa
Rodzina życie ciche i sielskie:
Ubogiej szlachty para sędziwa,
I dwie ich córki anielskie.

I to nie tylko krasa ich licia
Z ust im sąsiadów dała to miano:
Z cnót serca znała je okolica,
Wzorem je dzieci w niej zwano. —

Któżby rodziców śmiał o to winić,
Że choć im samym dość na swój doli,
Dzieciomby wszakże radzi przyczynić
Szczęścia i światu téż gwoli? —

Ojciec i matka zdwoili pracę,
Pracę rąk własnych na swym zagonie,
By plon jej córkom starczył na płacę
Nauk, w Panińskim zakonie.

I błogosławił Bóg dobrej chęci. —
Aż jak kwiat słońca pędzony siłą,
Im w myśli jaśniej, tém w sercu święciej,
Życie się dziewie rozwiło.

I świat je wzywał, pełne nadziei,
Że się ofiarą wzajem i pracą,
Jak Bogu, światło szerząc z kolei,
Tak i rodzicom wypłacą.

I raz ostatni do nizkiej chatki
Wróciły obie: by pokrzepione
Błogosławieństwem ojca i matki,
Iść na trud — każda w swą stronę.

I widzą matkę — zdjęta niemocą
Za próg się domu ruszyć nie może;
I słyszą, jak się z ojcem kłopotą
O zbyt dojrzałe swe zboże.

„Kto nam je później?—Tyś biedna chora,
„Najmu opłacić jestem nie w stanie;
„A niech dzień wietrzny — toć do wieczora
„Słoma nam tylko zostanie.“—

Spójrzały na się dziewczeczki obie,
Jedna myśl razem z ocz ich błysnęła.—
Boże! Ty jeden wiesz, jak w téj dobie
Ta myśl na los ich wpłynęła!—

Ledwo jutrzejsze błysło zaranie,
Już obie siostry, z sierpami w dłoni,
Stały u żniwa — a ich śpiewanie
Wesoło brzmiało po błoni.

Wieżę się rozniosła na okolicę,
Tłumem się w pomoc skupili żęncy:
Z czułością matki, z śmiechem dziewice,
Z czią i zapałem młodzieńcy.

I nim południa nastał spoczynek,
Już naokoło dwóch siostr z wieńcami,
Cała družyna, z pieśnią dożynek,
Stała przed starców wrotami.

O! i pojmijcie radość w téj chatce,
Zapał współczucia w świadków tych gronie,
Gdy takie dzieci ojcu i matce
Wieniec wkładały na skronie!

Któż mógł nie życzyć, kto śmiał nie wróżyć,
Z błogosławieństwa starców nad niemi,
Że dzieci takie muszą zasłużyć
Największe dobro na ziemi? —

I nikt nie baczył, jak nad szczyt domu
Burzliwy obłok wzniósł się, rozszerzył.
Nagle wiatr świsnął — błysk, łoskot gromu —
Piorun wśród izby uderzył. —

Co żyło, padło — ściany zadrżały —
Lecz bez płomienia przeszedł dym siarki.
Powstali wszyscy — tylko nie wstały
Obiedwie siostry żniwiarki.

U stóp rodziców, w chwili zabłysku,
Jakby swój wzajem szukać opieki,
Padły w objęcia — i w tym uścisku,
Klęcząc, spoczęły na wieki.

Cóż na to, o! ludzie!? Wierzycie, czyli nie.

Że Bóg jest? że wszystkiem On władnie?
Że piérwój świat, ziemia i niebo przeminie,
Niż słowo, co wyrzekł: że ptaszek nie zginie,
Włós bez woli JEGO nie spadnie?

I wyż więc sąd Boży przesądzać będziecie,
Zamiast sercem uznać w pokorze:
Że dobrem najwyższém snać nie jest na świecie
To, za czém tu goniąc w wir świata bieżecie,
Lecz co z Bogiem złączyć was może? —

A jeśli kto okiem, mgłą ziemską zaćmioném.
I tu ręki Boga nie widzi:
Niech wspomni jak umarł Kleobis z Bitonem — *)
I jeśli śmiał szemrać nad dziewic tych zgonem,
Niech go przykład pogan zawstydzi!

Poganie w tém Bogów uznali prawicę,
Ofiary zrównali z Bogami! —
I my was nie płaczem, cnotliwe dziewice!
Kto może, niech wasze pociesza rodzice,
A wy — wy módlcie się za nami!

1855.

*) Kleobis i Biton, synowie kapłanki Junony, wsławieni miłością ku matce, gdy raz, w niedostatku wołów, zaprzęgli się sami do jéj wozu i zawieźli ją do świątyni, a ona w uniesieniu macierzyńskiej wdzięczności, prosiła Bogów, aby ich obdarzyli największém dobrem na ziemi: oba razem, modląc się przed ołtarzem, nagłą śmiercią tamże zasnęli. — Argiwowie wystawili im posągi w świątyni Delfickiej.

ŚWIAT DUCHOW.

Już za górami słońce skonało:
 Jakaż to wsparta na grobie,
Oczy zakrywszy chusteczką białą,
 Płacze dziewica w żałobie?

Po kim to może płakać tak rzewnie? —
 Ach! z niespłonionych jój liców.
Z łez nietajonych, zgaduję pewnie,
 Że to mogiła rodziców! —

Lecz oto słowik zamilknął w lesie,
 Zdrój bliski ciszéj szeleści: —
Echo tłumiony głos ku nam niesie,
 Słuchajmyż głosu boleści!

„Szczęśliwszy, kogo zaraz z powicia
 „Los na sieroctwo przeznaczy!
„Bo choć nie dozna słodyczy życia,
 „Nie dozna mojej rozpaczy.

„Szczęśliwszy! kogo w młodości kwiecie

„W grobowej zamknęli cieśni!

„Wesele tylko znając na świecie,

„O niém i śmierci sen prześni.

„A gdy go wręście po długim spaniu

„Obudzi trąba Anioła,

„Wszystkich, co płakał przy pożegnaniu,

„Razem obaczy dokoła! —

„Lecz ja, niestety! w lat mych rozkwicie

„Szczęścia zgubiłam już drogę;

„Świat mi pustynią, ciężarem życie,

„A jednak umrzeć nie mogę! —

„O! Boże! czémże mogłam zasłużyć,

Żeś moje prośby odrzucił:

„Ani dni szczęścia nie chciał przedłużyć,

„Ni dni boleści nie skrócił? —

„Gdzież jest ta dobroć, ta Twoja litość,

„W którym tak szczerze ufała?

„Gdybyś serc ludzkich przenikał skrytość,

„Czyżbyś mógł...“ — „Nie kończ, zuchwała!“

Krzyknął pustelnik, co już przez chwilę,

Wprzód się zbliżywszy nieznacznie,

Słuchał, na bliskiej wsparty mogile,

A teraz mówić tak zaczyna:

„Nie bluźń, szalona! z kąd ci ta śmiałość.

„Sąd woli Bożej rozbierać?

„O cóż Go wini bezbożna żałość? —

„Człowiek się rodzi umierać.

„Jednaż ty dźwigasz sieroctwa brzemię,

„By w grzeszne wpadać rozpacz? —

„Patrz, co tu grobów okrywa ziemię,

„Nad każdym grobem ktoś płacze!

„Zaprawdę, żalu ni łez twych rzewnych

„Usta me ganić nie mogą;

„Lecz i ja miałem rodziców, krewnych,

„A teraz nie mam nikogo.

„Co mnie kochało, co ja kochałem,

„Wszystko grób połknął głęboki;

„Płakałem nad nim—lecz nie szemrałem

„Na święte Boga wyroki.

„On téż pokornój ulżył żałobie,

„I gdy mię żal zbyt dociskał,

„On mi pokazał drogę ku Sobie,

„I w Nimem wszystko odzyskał!

„A gdy goryczą zatrute lata

„W dzikiéj pustyni zamknąłem;

„A gdy umarły powabom świata,

„W Nim nowe życie zacząłem:

„On wzrok mój przetaił z omamień mroku,
„Duch z ziemskich wyrwał łańcuchów;
„On śmiertelnemu odsłonił oku
„Tajny śmiertelnym kraj duchów.

„Tam opłakanych łzami gorzkiemi
„Znowum obaczył przytomnie,
„Jako w powietrzu, skrzydły jasnemi,
Ulatywali koło mnie.

„Bo kogo w życiu lubęgo mieli,
„Kto o nich pomni statecznie,
„Z tym oni zawsze; — śmierć ciała dzieli,
„Lecz związek duchów trwa wiecznie.

„I duchy widzą, i duchy czują,
„Gdy ich tu pomną i płaczą;
„Lecz uciekają, lecz odlatują.
„Przed nierozważną rozpaczą. —

„Więc gdy ci teraz wolniej łzy płyną,
„Gdy ich twa rozpacz nie płoszy:
„Czyż nie doznajesz — wyznaj, dziewczyno!
„Jakiéjs tajemnej rozkoszy?

„Widzę ją, widzę, jak się objawia
„W blasku twych oczu i liców;
„Czujesz — lecz nie wiesz co ci ją sprawia,
„Nie widzisz lubych rodziców:

„Nie widzisz, jako w blasku miesięcznym
„Płyną schyleni ku tobie;
„Jak żal twój kojąc uśmiechem wdzięcznym,
„Cieszą się z żalu po sobie.

„Oni twych stróżów pełniąc powinność,
„Zawsze cię widzą i słyszą;
„Z radością każdą piękną twą czynność
„W księgę cnót ludzkich zapiszą.

„A gdy ich godna wytrwasz do końca,
„Wtenczas cię z ziemskich padołów,
„Strojni w weselne promienie słońca,
„Wzniosą w orszaku Aniołów! —

„Więc chociaż piękna żalność dziecinna,
„Ty i w sierocój żałobie,
„Pomnij coś Bogu, pomnij coś winna
„Światu, i bliźnim, i sobie! —

„A teraz z Bogiem wracaj do domu!
„Lecz com ja tobie powiedział,
„Żeś mnie widziała — nie mów nikomu,
„Żeby nikt o mnie nie wiedział.“ —

DWIE SIOSTRY.

Dwie ich było — w jednąż chwilę
Na świat przyszły wraz obie. —
Cóż że jedna śpi w mogile,
Druga płacze na grobie?

Dwie ich było i jest — w duchu
Tak wciąż zlanych pospołu,
Jak dwa zgodne tony w uchu,
Choć brzmią z góry i z dołu.

Bo siostrzanych serc ogniwa
Śmierć rozciąga, nie kruszy;
Żywą Wiarą, Miłość żywa
Duszę wskrzesza dla duszy.

W modłach, myślach i marzeniach,
Żywa z zmarłą rozmawia;
W snach-widzeniach i w natchnieniach,
Zmarła jój się objawia.

I w żyjącej słowo ducha
Nadaremnie nie woła:
Ona pyta, i z czcią słucha
Przestróg swego Anioła.

I ten związek poza-grobny
Dusz, w Wierze i Miłości,
To nie życia kir żałobny,
To smug światła z wieczności.

I młoda dziewica, gdy wdzięk jój zachwyca,
Gdy świat wkoło sławi jój wdzięki:
Nie pycha ją wzdyma — lecz przed jój oczyma
Staje obraz siostry trumienki.

Aniołek być nie mógł piękniejszy jak ona—
A potem tak sina, tak blada!
A potem!... O! cóż jest ta piękność sławiona,
Gdy tak nagle w proch się rozpada?—

Lecz dusza bez winy, śród Niebios krainy,
Jak piękna! jak widać szczęśliwa!
Gdy w świetle i w bieli, jak święci Anieli,
W snach ku niej przylata jak żywa!—

„O! niech mi, o! Boże! twa łaska pomoże,
By ziemską nie zwiodła mię chwała:
A każdym przeżyтым, dniem dobrze użytym,
Dusza tylko jaśniej świeciła!“—

I kiedy jój oczy, świat zdala uroczy,
Daremnie swym blaskiem urzeka:
Jój świat — domu strzecha; rodziców pociecha,
A starców i sierót opieka!

Lecz w duszy dziewiczej, zdroj wewnętrznej słodyczy
Weselem ją rajskiem napawał;
I w snach — snać jak ona — duch siostry strażniczy
Wciąż bielszym, jaśniejszym się stawał.

I przyszła chwila, gdy z kwiatu nadziei
Życie dziewicy w owoc się przewija.
Tłum ją czcicieli otoczył z kolei.
Co świat uwielbia, za czém się ubija:

Ród, świetność, skarby — wszystko między niemi
Ma do wyboru; — lecz jój więcej trzeba:
Nie ogniw tylko, co wiążą do ziemi,
Ale i skrzydeł, co wznoszą do Nieba.

I duch siostrzyczki, jakby rósł z nią razem,
Jakby dojrzewał z jój serca rozwiciem,
Jak wprzód ją raju zachwycał obrazem,
Tak dziś pomaga rozmyślać nad życiem.

„Cóż jest blask przodków, gdy w ślad ich nie zmu-
[sza? —

Błyszczące próchno grobowej zgnilizny! —
Po własnych tylko promieniach swych dusza
Może Niebieskiej dosięgnąć ojczyzny.

„Cóż jest bogactwo, gdy żadna powinność
Nie wskaże duszy, jak go użyć trzeba? —
Grobowy nasyp! — co wszelką jój czynność
Zagrzeblszy w ziemi, odwróci od Nieba! —

„Czyż własną męża hańbę lub sromotę
Zastąpi żonie czyjaś chwała cudza? —
Czyż dlań jój serce kupią skarby złote,
Gdy zbytek wzgardę, sknerstwo wstręt obudza?“...—

Tak jój myśl własna — i duch siostry radzi.
I dumni, możni, odprawieni z niezém. —
Bo ona wierzy, że Bóg przyprowadzi,
Z kim duch jój sprzężon w świecie tajemniczym.

I Bóg go przywiódł. — A miłość w nim była
Nie dla niój tylko; — i była moc wiary,
Nie w siebie tylko; — był zapal i siła
Do walk i pracy; i był duch ofiary.

I ona w pełni godności niewieściój,
Staneła przy nim ze czcią i pokorą,
Być, czém duch dla niój — osłodą boleści,
Pobudką czynów, i w trudach podporą.

I Bóg w niój sprawdził: że kto duszą słucha
Głosu i natchnień JEGO—ten sam wzajem,
Dla swych kochanych będzie jak głos ducha:
Co ich, anielskich przestroóg obyczajem,

Budząc, i krzepiąc, i prostując społeczeństwem,
Wieść będzie — kędy, po walkach i znoju,
Krzyż swój złożywszy, obaczą nad czołem
Wieniec zasługi, i palmę pokoju.

1854.

RODZENSTWO.

Z HERDERA.

Był gaj, śród gaju łączka zielona,
 Śród łączki stała kaplica,
W niój, Zbawiciela tuląc u łona,
 W obrazie Bogarodzica.

Tam u drzwi młoda wdowa siedziała,
 A przy niój dziątek jój dwoje:
Brat i siostrzyczka; ta kwiatki rwała,
 A ten z kwiatkami wiódł boje.

A ona tkliwie patrząc na dziatki,
 Lała w nie nauki duszne:
Jak Jezus dobrym był dla swój matki,
 Jak kochał dzieci posłuszne!—

„A mnie czy kocha?—spytał syn—mamo!” —
 — „Kocha, gdyś dobry, me dziecię!” —
— „A mnie czy kocha?” — „Obu tak samo,
 „Jeśli mnie słuchać będziesz!” —

— „Gdyby Pan Jezus chciał kiedy z nami
„Poigrać! — rzekł syn do matki:
„Dałbym mu koszyk co mam z jabłkami!” —
— „A jabym wszystkie me kwiatki!” —

Zgromiła matka dzieci surowo
Za myśl i mowę tak śmiałą;
Lecz w serce wpadło dziecinne słowo,
A we śnie tak się jój zdało.

Na łączce Jezus igrał z dziatkami,
Obok Najświętszej swój Matki,
Synek mu oddał koszyk z jabłkami,
Córeczka wszystkie swe kwiatki.

Pan Jezus wzięwszy chłopca za rączkę,
Łagodnym rzecze wyrazem:
„Wkrótce cię wezmę na inną łączkę,
„Gdzie będziemy igrali razem.

„Obaczysz, chłopcze! jak tam wesoło,
„Jak zawsze pięknie, jak wiosną!
„Jakie tam kwiatki kwitną wokoło,
„Jakie jabłuszka tam rosną!

„A ty, dziewczynko! gdy cię młodzieniec
„Przed me postawi ołtarze,
„Z tamtych ci kwiatków uplotę wieniec,
„I tu nim ciebie obdarzę.

„Boście wy dobre, posłuszne dziatki,
„Ofiara wasza mnie miła;
„I wysłuchawszy prośb waszój matki,
„Moja mnie za was prosiła.“ —

Tak się śni matce; — trwogą przejęta,
Kłęka i woła: „O! Panie!
„Zostaw mi syna! — lub niechaj święta
„Wola się Twoja z nim stanie!

„Lecz gdyby można!... ach! gdyby było!...
„Zostaw go!“ — lecz próżne jęki.
Bo co się śniło, wkrótce spełniło,
Umarł synaczek maleńki.

Ale nim skonał, mówił do matki,
Że mu Pan Jezus u łóżka,
Bawiąc go, wonne wskazywał kwiatki,
I słodkie dawał jabłuszka.

A w przeddzień ślubu z miłym młodzieńcem,
We śnie się zdało dziewczycy,
Że ją Pan Jezus, z kwiecistym wieńcem,
Spotkał u progu kaplicy.

Kwiaty w nim same kraśne a białe,
Ciemnych—choć były — lecz mało.
A na wzór wieńca, życie jój całe
Z chwil się wesołych splatało.

KWIAT ŻYCIA.

Z HERDERA.

Zosia sierota, bez ojca, bez matki,
Codzien wieczorem i rano,
Wybiega z cudzej — ich niegdyś chatki,
Łzy swe, modlitwy, i świeże kwiatki
Nieść na mogiłę kochaną

„Ojcie mój! matko miła!
„Biedna ja bez was! biedna!
„Sierota, sama jedna!
„Lepiej gdybym nie żyła,
„Bo tambym z wami była!—
„A tu każdemu cudza, w cudzym domu!..
„Każdy mię krzywdzi, nikt nie pocieszy.
„Płacz mój ich śmieszy!
„Ni się pożalić komu,
„Ni się mnie kto pożali!—
„Ach! nie tak było, kiedyście wy żyli!
„Wszyscy mnie kochali, chwalili,
„Bo o was dbali. —

„A teraz — biedna ja, biedna!
„Sierota, sama jedna! —
„O! gdybym was mogła, rodzice!
„Choć raz obaczyć, choć przez sen w raju!“ —

Tak się modli — Bóg dobry wysłuchał dziewicę.
Bo gdy raz wedle zwyczaju,
Cały dzień żal tając w sobie,
Wybiegła wieczorem z chatki.
By się wypłakać na grobie
I w świeże ubrać go kwiatki:
Usnęła słodko — a sen życzliwy
Takie jój malował dziwy.

Weszła na łąkę piękną, szeroką,
Całą zasłaną kwiatami,
Jakich tu ludzkie nie widziało oko;
A wśród nich drzewa, pod liści wieńcami,
A na tych drzewach, i kwiat, i zawięzie,
I razem owoc dojrzały;
A ich łagodnym wiatrem pochwiane gałęzie
Słodką harmonią brzmiały! —
Patrzy zdumiona — aż nagle w drzew cieniu
Ojca i matkę postrzegła. —
Krzyknęła, i ku nim pobiegła.

Oni ją tuląc w tkliwém uściśnieniu,
I błogosławiąc, mówią: „Lube dziecię!
„Patrz! czyż to płakać nad nami potrzeba?
„Gdzież co równego jest na waszym świecie?

„A i to jeszcze ledwie wstęp do Nieba! —
„Czekać tu będziem, aż już razem z tobą
„Pójdziemy stanąć przed Majestat Boży.“ —

Tu Zosia nagle ujrzała przed sobą,
Śród krzewu cierni, tak cudny kwiat róży,
Że jakby w sobie uczuła ból kwiatka.
„Ach! ja go wyrwę z tych cierni!“ wyrzekła.
— „Spróbuj!“ z uśmiechem odpowie jój matka.
Ona chce zerwać—róża do góry uciekła. —
Więc pragnie cudu przyczyny dociec.

„Córko moja! rzekł jój ojciec:
„To jest kwiat życia twego; — choć śród cierni,
„Patrz! jak się wdzięcznie uśmiecha!
„Żaden go proch nie kala, żaden cień nie czerni!
„W tém jest nasza — i twoja niech będzie pocie-
[cha!“ —

— „A gdzież są — Zosia zagadła, —
„Kwiaty waszego życia?“ — „Widzisz?“ — „Widzę.“ —
— „Obok twójego — oba na jednej łodydze.
„Korona cierni już wkrąg ich opadła;
„Lecz by dójsé pełni i dojrzeć dla Nieba,
„Cnót twych im jeszcze i twych modlitw trzeba.“ —

— „A toż, mój ojczę! czyje,
„Te kwiaty białe, w szeregu,
„Od których taki blask bije,
„Jak u nas słońca od śniegu?“ —
— „To ogród wybranych ludzi. —
„Niewinnością ich duszy, kwiat się życia bieli;

„Namiętność nie rumieni, ni grzech ich nie brudzi,
„A straż nad niemi Pańscy trzymają Anieli.“ —

— „A któż mego stróżem kwiatka?“ —

— „Ja i twa matka.“ —

Rzekł—wszystko znikło;—lecz w duszy dziewiczej
Został na zawsze ów sen tajemniczy.

I choć sierota, w cieniu cudzej strzechy,

Choć kwiat jój życia kwitł w cierniach na świecie :

Ilekroć rajske przypomniała kwiecie,

Czuła i w sercu blask rajskiej pociechy.

JALMUŻNA.

DO ALINKI.

Litość ku biednym, wdzięczność sieroty,
Jakiegóż serca nie wzruszą?
Alinko! wszystkie piękne są cnoty,
Lecz litość wszystkich cnót duszą.

Widziałem wczoraj, gdyś przez okienko —
I za tom wdzięczność ci dłużny —
Zebrany m dziatkom, rączką maleńką
Hojne sypała jałmużny.

Jak Anioł na wpół skryty w obłoku,
Zwiastunnik Bożej litości,
Taką się memu wydałaś oku,
Słodkiej pełnemu radości.

Po kres żywota cieszyć się będę
Miłą téj chwili wspominką,
A za nagrodę, moję legendę
Tobie poświęcam, Alinko!

Lubisz, Alinko! w porankach Maju,
W rozkosznych bawiąc Giełwanach, *)
Biegać po łąkach, igrać po gaju,
Lub zbierać kwiatki po łąkach.—

Maj to był właśnie — ledwie jutrzienka
Rozlała blaski i wonie,
Gdy jak ty piękna, jak ty maleńka,
Biegła dziewczynka przez błonie.

I znać że śpieszno było niebodze,
Że pełna żalu, czy trwogi. —
Aż gdzie drewniany krzyż stał przy drodze,
Pod krzyżem siedział ubogi.

„Pan Jezus z tobą! dziewczynko miła!
„Gdzie to tak śpieszno? i czego?—
„Uczcij krzyż Pański! — Bóg pomoc zsyła
„Tym, co jój proszą u Niego.” —

Na taki widok, na głos staruszka,
Dziewczynka nagle się wstrzyma,
I łzy otarłszy końcem fartuszka,
Mierzy go długo oczyma.

A starzec znowu: „I cóż tak stoisz,
„Tak patrzysz?—Zkąd te łzy twoje?—
„Czy czego żądasz?—czy się mnie boisz?”—
— „Ja się ubogich nie boję.

*) Wieś w powiecie Wileńskim.

„ Bo oni biedni, kochać ich trzeba,
„ Często słyszałam od matki;
„ Zawsze im sama wynoszę chleba.
„ Jak który przyjdzie do chatki.

„ Ale, mój dziadku! matka mi chora,
„ Chce mnie, jak mówi, porzucić;
„ Z łóżka nie może wstać już od wczora.
„ Ach! jakże nie mam się smucić!

„ Całą noc słysząc jęk nieustanny,
„ Klęcząc, prosiłam ze łzami
„ Pana Jezusa, Najświętszej Panny,
„ By mieli litość nad nami.

„ I ty, staruszkule! módl się do Boga,
„ Proś go o zdrowie méj matki,
„ A przyjm to — choć ja sama uboga,
„ Choć to już nasze ostatki.

„ Chciałam dziś za to bochenek chleba
„ Kupić dla siebie; — lecz lepiej
„ Tobie to oddam; — proś tylko Nieba,
„ Niech moję matkę pokrzepi!” —

— „ Tak jest, pokrzepi! będę go prosić,
„ Nie próżna twoja otucha!
„ Przestań, dziewczynko! ócz łzami rosić,
„ Bóg szczeréj prośby wysłucha.

„Bo kto biednemu poda jałmużnę,
Cierpiącym boleść osłodzi,
„Temu, rzekł Jezus, Niebo jest dłużne,
„I Bóg go hojnie nagrodzi.” —

Zaledwie skończył — aż w mgnieniu oka
Blask nagły błysnął dokoła,
Z plec mu szat grubych spadła powłoka,
Starzec się zmienił w Anioła.

Z ramion mu złote skrzydło wystrzeli,
Trzy gwiazdy młodą skroń wieńczą;
Do kolan długi, strój śnieżnej bieli,
Jasną przepasan był tęczą.

Pogoda wiosny śmiała się z czoła,
Wonność wionęła we tchnieniu,
Gdy mgłą przejrzystą oblan dokoła,
Wzłatał ku nieba sklepieniu.

I gdy dziewczynka nagłym widzeniem
W dłoni strwożony wzrok chowa,
Z tklwym uśmiechem, z wdzięcznym spójrzeniem,
Te jeszcze do niej rzekł słowa:

„Nie płacz, dziewczynko! wracaj do chatki!
„Bóg twoję żalność obaczył,
„I drogie zdrowie wrócił dla matki,
„I dla cię szczęście przeznaczył.

„Bo kto biednemu poda jałmużnę,
„Cierpiącym boleść osłodzi,
„Temu, pamiętaj! Niebo jest dłużne,
„I Bóg go hojnie nagrodzi.“ —

To rzekł — i coraz, i coraz chyżej
Wznosi się we mgle obłoka,
I coraz wyżej, i coraz wyżej,
Aż całkiem zniknął z przed oka. —

Długo dziewczynka, drżąca i zbladła,
Jak wryta na miejscu stała,
Przez nadzwyczajne złąkła widziadła,
Wracać do chatki nie śmiała.

Wróciła wreszcie — o! co za radość,
O! co za szczęście tam było!
Stało się wszystkim życzeniom zadość,
Matce jój zdrowie wróciło! —

Ale, Alinko! jeszcze nie na tém
Koniec Niebieskiej nagrody.
Bóg ją opatrzył mieniem bogatém,
Rozmnożył stada i trzody.

A gdy w szesnastym żyła już maju,
Taka ją piękność odziała,
Ze była jak ów posłaniec raju,
Co go przed laty widziała. —

Raz gdy w orszaku rówiennych dziewic
Zbierała kwiatki w dąbrowach,
Ujrzał ją trafem młody królewic,
Co się tam bawił na łowach.

Ujrzał, pokochał, wzajem kochany,
Wziął ojca błogosławieństwo,
I wkrótce, mimo nierówne stany,
Pojął dziewczynkę w małżeństwo.

Długo im, długo, szczęśliwe lata
I uciech płynęły zdroje;
Aż utrudzeni marnością świata,
Do Nieba poszli oboje. —

Litość ku biednym, widzisz, Alinko!
Jak hojnie Pan Bóg nagradza.
Z każdym to będzie, co z tą dziewczynką,
Kto bliźnim nędzę osładza.

Bo tylko dobrych uczynków ślady
Wiodą do szczęścia świątyni. —
W niej cię postawią ojca przykłady,
I rady mądrój mistrzyni.

ANIÓŁ STRÓŻ.

Późno w noc z balu, w świecącym się stroju,
Wróciwszy Zosia do swego pokoju,
Z tańczącym sercem, z myślą rozigraną,
Dziękować Bogu za radość doznaną
Gdy do modlitwy przed spoczynkiem biegła,
Nagle swą postać w zwierciadle postrzegła.

Staneła — żywiej zapłonęło lice,
Skromne ku ziemi spuściła źrenice,
Stoi i myśli — i spójrzała z trwogą,
Czy prócz niej w izbie nie było nikogo. —
Widać w tym wzroku, że jakaś myśl cudza,
Jój samej dziwna, w sercu się obudza.
Stoi i myśli: — jakaś niepojęta
Chęć, jakiś urok, tajemna ponęta,
Gwałtem jój kroki ciągną do zwierciadła. —
Już z ust i z myśli modlitwa wypadła.

W pełnym rozkwicie jój piękność dziewicza,
I blask spójżenia i gładkość oblicza,

I miękkość bujnych warkocza pierścieni,
Ujętych wstęgą z gwiazdzistych kamieni:
I postać lekka, powietrzna, wiejąca,
Bez skrzydeł zda się ku niebu lecąca :
I pierś, w nieznanym, lubym niepokoju,
Lekkiem się tchnieniem wznosząca z pod stroju:
Wszystko ją samą cieszy i zdumiewa. —
Tajna się lubość po sercu rozlewa,
Coraz w kryształe głębiój toną oczy. —
Im dłużej patrzy, tém obraz uroczy
Coraz ją bardziój czaruje i nęci.

Raz piérwszy teraz rozbiera w pamięci :
Czułe zabiegi, pochlebne wyrazy,
Względy, spójżenia — co jój tyle razy
Twarz mimowolnym rumieńcem oblały. —
Dotąd, w prostocie skromnej i nieśmiałej,
Widząc w nich tylko dobroć, pobłażanie,
Bogu i ludziom dziękowała za nie. —
Teraz wié prawdę — teraz myśli inne...
Były to hołdy jój wdziękom powinne!
I lekki uśmiech, wesela — próżności,
Nowego blasku przydał jój piękności.

Jakaż mgła nagle wzrok jój przesłoniła? —
Twarz zadumaną ku ziemi skłoniła,
Żywszém westchnieniem pierś chwiać się zaczyna. —
Jakaż myśl nowa? — Kochała dziewczyna!..
Młodzian, towarzysz jój od lat dziecinnych,
Wspólnik jój zabaw, jój uczuć niewinnych

Piérwszy powiernik!... Rodzice weseli
Z pociechą miłość wzajemną widzieli.
A ona — ona! — W nim dotąd jój cała
Nadzieja, szczęście, ufność spoczywała.
Często się sama dziwiła, dla czego
Wszędzie jój tęskno i smutno bez niego?
Czemu, gdy przyjdzie, niechęca się płoni?
Czemu się gniewa, gdy nie mówi do niój?
Czemu wprzód sama przemówić się wstydzi?
Czemu chce płakać, gdy go smutnym widzi?
Lub gdy z nią nawet rozmawia, żartuje,
Zkąd nieraz nagle tak łzy bliskie czuje,
Iż, by je ukryć, ucieka — i nieraz
Długo się, długo modli? — Ale teraz!...
Dla czegoż teraz raz piérwszy dziewczyna
Z upokorzeniem te chwile wspomina? —

Myśli jój błędzą po balowój sali. —
Wszyscy się o nią w tańcu ubiegali;
Gdzie tylko okiem rzuciła na stronę,
Spotkała oczy na siebie zwrócone;
Každy chciał z jakąś pośpieszyć usługą!...

Znów we zwierciadło spójrzała — i długo
Patrzy. — Dla czegoż miałaby, dla czego
Tak dbać, tak bać się o względy jednego,
Gdy tylu innych — byle chęć, wzrok, słowo?...—
On tylko dzisiaj, z postawą surową,
Spoglądał na nią zimno i nieczuło,
I to spójrzzenie wesołość jój truło!..

„Nigdy z ust jego tych słów uwielbienia,
„Nigdy tych względów, przysług, uprzedzenia!...
„Muszę być wartą ich — gdy tylu innych!...
„Jużem téż przecie wyszła z lat dziecinnych;
„Czy chce mną rządzić?...— On nie mój brat! cudzy,
„Jak każdy inny! — Niech widzi jak drudzy!...
„Będzie się gniewał? — I cóż ztąd? toć przecie
„Nie ja z nim jedna jesteśmy na świecie!—
„Pójdzie? — niech idzie! — bylebym pragnęła,
„Może ktoś lepszy!...” — Tu się uśmiechnęła,
Lecz coś takiego było w tym uśmiechu,
Że się go sama przełękała jak grzechu. —
Chciała się cofnąć — wtém lice jój zbladło —
Jak mgłą się całe powlekło zwierciadło —
Krzyk skonał w ustach — musiała pozostać.

W zwierciadle druga zjawiała się postać. —
Nie ziemską — jasną, jako światło dzienne:
Śnieżyste skrzydła i czoło promienne!
Lilię białą w prawej trzyma dłoni,
A lica, jakich oko nie widziało,
Były — czy prawda?—czy jój się tak zdało?—
Do jój kochanka podobne, i do niój! —

Strach ją ogarnął — w oczach się zaćmiło,
Krew pozimniała, i serce nie biło.
Wtém ciche słowa do uszu jój płyną:
„Jam twój Stróż-Aniół!—nie bój się, dziewczyno!
„Jam twój Stróż-Aniół— jam jest dusza twoja!—

„Cóż jest ta piękność, co tak wzrok twój ludzi? —
„Piękniejszaś w oczach Boga, niżli ludzi:
„Dziewczyno! patrzaj, jaka piękność moja! —
 „Kiedy się modlisz co wieczór, co rana,
„Ja twoje modły zanoszę do Pana.
„Seraf z uśmiechem przed tronem mię stawi,
„Z uśmiechem we mnie Pan cię błogosławi,
„I z Jego woli, niosę ci w powrocie
„Niebieski pokój, i słodkie uczucie,
„Którém twój Anioł z swym bratem się kocha. —
„Lecz od złych duchów idzie próżność płocha! —
 „Dziewczyno! dziś się twój Anioł zasmucił,
„Niewysłuchany od bram Nieba wrócił! —
„Widzisz tę białą lilię w méj dłoni?
„Widzisz ten promień wokoło méj skroni?
„Promień to Łaski, co nad tobą świta,
„W lilii obraz twych uczuć rozkwita,
„A z nich twe czyny i myśli Bóg czyta! —
 „Póki blask świeci w całej swój jasności,
„Póki kwiat kwitnie w całej swój białości,
„Póty stróż Niebios, z obliczem wesołym,
„Otwiera bramę przed twoim Aniołem.
 „Lecz dziś — patrz! blask się otoczył mgłą siną,
„Kwiat więdnąć zaczął! — Zgrzeszyłaś, dziewczyno!
„Zgrzeszyłaś! — żałuj! popraw się! — masz porę!
„Kwiat jeszcze żyje, i blask jeszcze gore!“ —

Skończył — jój życie powracać zaczyna.
Grzech swoich myśli uznała dziewczyna!

Żal ścisnął serce — i łzami zalana,
Twarz kryjąc w dłoniach, padła na kolana.—
Lecz gdy po chwili spójrzała dokoła,
Raz jeszcze swego ujrzała Anioła,
Znikał w zwierciadle — lecz już kwiat był bielszy,
I blask jaśniejszy, i Anioł weselszy! —

A gdy z kochankiem zmieniawszy pierścionki,
Szła mu poprzysiędz na miłość małżonki,
I przed ołtarzem stanąwszy nieśmiało,
Modląc się w myśli, wzrok wzniosła ku górze:
Anioł jój w kadzidl ulatywał chmurze,
I błogosławił ją lilią białą. —

1830.

RUBELEK TESI.

Maj, wiosna! — wokoło
Pogodnie, wesoło,
Zielono, błękitnie!
Co kwiatek, to kwitnie,
Co ptaszek, to śpiewa.
Gaj, pola i drzewa,
Brzmiały w kolej, jak tony
Téż pieśni i stróny.

I oto w ogródku,
Po kwiatkach, w drzew chłódku,
Śród płasów, igraszek,
Jak kwiatek, jak ptaszek,
Tesiutka, malutka,
Swawolna filutka,
To śpiewa, to biega,
Aż sad się rozlega,
To piosnką, to śmiechem,
To kroków jéj echem.

A na ganku, jak co ranku,
Za wczorajszą w polu pracę,
Robotnikom, najemnikom,
Ojciec siedząc dzieli płacę.

 Postrzegła,
 Przybiegła,
I obces do Taty!
„Jaki ty bogaty!
„Dajże i mnie proszę,
„Choć grosz — choć trzy grosze!“ —
— „A za co? — Ej! Tato!...“ —
„— A na co?“ — „Ot na to,
„Na włóczki, koralki,
„Na różne zabawki,
„Na suknię dla lalki,
„Obrózkę dla Żwawki“!... —
I nagle, jak sroczka,
; Porwała rubelka,
I rada z figielka,
Uciekła jak skoczka. —

Po godzinie, ojciec słucha —
W całym sadzie cisza głucha.
Nikt nie skacze, nikt nie śpiewa! —
Gdzież to Tesia? —

 W cieniu drzewa,
Twarz na dłoni, dłoń na sęku,
Siedzi wsparta, z rublem w ręku.

Siedzi, myśli — co za niego
Kupić komu? wiele czego? — •
Suknię niańce? — rubla mało!
Suknię lalce? — Jaka? — białą?
Nie! — Zieloną? — tę już ma! —
Żółtą? — nie! fe! żółta zła!
Więc różową, czy błękitną,
Ale całą aksamitną!... —
Lecz czyż na to rubla dosyć? —
Można Tatę znów poprosić...
Ale kto wie, da, czy nie da? —
Wreście z Tatą mniejsza bieda!
Ale Mama!... Czuje sama,
Że dziś jakoś przed śniadaniem,
Nie najlepiej poszła gama,
Jak po grudzie szło z czytaniem! —
Mama powie — Tata, kto wie,
A nuż może każe sobie
Oddać nawet co dał?.. — Bieda!
Co tu począć? — Główkę skrobie,
Sama sobie rady nie da.

„No! toż nie chcę nie kupować.
„Rubla schowam. — A gdzie schować? —
„Skrzynki nie mam. — Ancia mówi,
„Że najłatwiej złodziejowi
„Przyjść i ukraść! — No! to włożę
„Pod poduszkę. — A jak może
„On z łóżeczkiem mnie wyniesie? —
„Obudzę się w nocy, w lesie!...
„Ach!...“ — i dalej w płacz żałośny. —

„Ach! ty rublu! ty nieznośny!
„Co ja muszę cierpieć za cię?—
„Precz odemnie! oddam Tacie.“ —

Już chce skoczyć — i znów stoi,
Spuszcza główkę — znów coś roi.
Żal rubelka! — Jak się odda,
Już go nazad nie odebrać! —
Chować, kłopot; stracić, szkoda! —
Ach! najlepiej było nie brać! —
Lecz co zrobić wzięwszy już?...—

Gdy tak duma — Aniół-Stróż,
Stróż jój myśli i serduszka,
Zlitował się — i do uszka
Szepnął zcicha: „Bieź do Mamy!
„Tam jest mądrość, tam skarb dzieci!
„Nie doradzisz sobie samój,
„Aż Bóg przez nią nie oświeci.“ — .

Tesia cała zecerwieniła,
Nie wie, że to głos Anioła;
Czuje tylko, że się stała
Znów spokojna i wesola.
I do Mamy!... —

Aż u bramy
Mama z jakąś biedną gada,
Co wpół naga, wsparcia błaga,
O swych dziatkach rozpowiada.

Ma ich czworo — jedną chorą,
Troje z głodu mrą bez chleba!... —
 Żal zdjął Tesię — rubla niesie,
Wié już co z nim zrobić trzeba!... —

A gdy Mama, i uboga,
I Aniół-Stróż, w téjże chwili,
Z rozrzewnieniem, w imię Boga,
Wszyscy ją błogosławili:
Aniół-Stróż tchnął w jéj sumienie
Naukę na całe życie:
Że szczęście daje nie mienie,
Lecz dobre mienia użycie. —

1854.

GARNUSZECZEK ŚMIETANKI.

PRZYPISANY UCZENNICOM PENSYI

PANNY TERESSY BRZEZIŃSKIEJ.

W WARSZAWIE.

Dzieweczki młode! któraż nie rada
Kiedy się ludziom podoba?
Niechże więc każda myśli i bada
W czém jest prawdziwa ozdoba.

Bo jużciż ufam, że was nie złudzi
Lada hołd głupców lub trzpiotów;
A zaś by zjednać cześć dobrych ludzi,
Dobrych potrzeba przymiotów.

Lecz same nawet cnoty z rachuby,
Byćby przestały cnotami;
I czyn najlepszy w celu swój chluby,
Nie zdobi duszy, lecz plami.

Cóż więc jest dobrém prawdziwie?—Oto,
Co wam Stróż-Aniół w sumieniu
Powié, że czynicie! a wy z ochotą
Czynicie, gwoli natchnieniu.

I takie tylko czyny niech złożą
Szereg dni waszych na świecie,
A nie dość ludzką, ale i Bożą
Miłość i Łaskę znajdziecie.

Albowiem wiedzcie, że przed obliczem
Boga, postępek nasz wszelki,
Jak i największy sam przez się niezém,
Tak i najmniejszy jest wielki,

Jeśli go tylko Bogu poświęci
Człowiek przez Miłość i Wiare:
Bo nie z wartości, lecz z dobrej chęci
Bóg ceni ludzką ofiarę. —

I by téj prawdy wzorem wam dowieść,
I głębiej utkwieć w serduszkach,
Powiem najprostszą, jak można, powieść,
Bo o śmietanki garnuszkach.

Ongi żył w Wilnie żołnierz odstawnny,
Stary weteran bez nogi;
Przed laty Rotmistrz chorągwi sławnéj,
W końcu inwalid ubogi.

Lecz Bóg mu, w zamian darów swych innych,
Dał dar najdroższy na świecie:
W jedynój córce wzór cnót dziecinnych,
Najprzywiązańsze doń dziecię.

Tak, że ta nawet dola ich biedna,
Zda się, że szczęściem jój była:
Bo przez nią czuła, że ona jedna
Gorycz jój ojcu słodziła.

I coby może zdało się drugiej
Upokorzeniem, przykrością:
Jój, nieść najniższe ojcu posługi
Było największą radością.

A codzien zwłaszcza pierwsza jój sprawa
Była — ażeby co ranka,
Już nań czekała gotowa kawa,
I co najlepsza śmietanka. —

Raz więc, gdy dzień już świtał w okienku,
A ona w rannym fartuszku,
Kłęcząc przed piecem, drewnienkiem w rękę
Zgarnia kożuszek w garnuszku:

Drzwi się otwarły — wszedł człowiek młody,
Z Rotmistrem widzieć się żąda. —
Jój wstyd ognisty oblał jagody,
I on zmięszany spogląda.

I jak w nas każdym, z lada ponęty,
Z lada wzruszenia — w téj chwili,
Duch nasz kusiciel, i Stróż jój święty,
Walkę w niej o nią stoczyli.

„Wstyd ci, wstyd, hańba!“ — szepnęła pycha —
„Kłęzcę przed piecem u garnka!
„Patrz, jak się z ciebie ten pan uśmiecha!
„Myśli, żeś pewnie kucharka!“ —

Na szept téj myśli, już chce co żywo
Zemknąć — ruszyła już krokiem... —
Wtém Anioł ojca postać sędziwą
Przewiódł przed myślą i okiem:

Jak ją codziennie Bogu poleca
Rad ze śniadania staruszek! —
I znów dziewczynka bliżej do pieca —
A już, już, wzbiera kożuszek!...

„No! toż przynajmniej mów!“ — tak przez próżność
Kusiciel w myśli rzekł dalej:
„Że to dla ojca; — niech twą pobożność,
„Niech twoję czułość pochwali!“ —

Już ma coś mówić — chociaż się wstydzi,
Gdy wtém — jak z głębi serduszka,
Słyszy głos cichy: „Dość, że Bóg widzi!“ —
I ach! war bieży z garnuszka.

Pierzchnęły wszystkie względy i trwoga —
Znów na kolanach u pieca!...—
A wtém wszedł Rotmistrz — i gość od proga
Dał krok, i sam się zaleca.

Syn towarzysza w niejednej bitwie,
Co oto w liście zaklina,
Aby młodzieńca, obcego w Litwie,
Rotmistrz przygarnął jak syna.

I gdy staruszek rozczulon rzewnie,
Wspomniawszy młode swe lata ,
Woła na córkę, i ręczy pewnie
Że go téż przyjmie za brata :

Twarz ich obojga ogniem spłonęła —
Bo wzajem z swego spójrzenia,
On wdzięk jój duszy — ona pojęła,
Że on jój duszę ocenia.

I za lat parę, Nieba łaskawe
Dały im dożyć téj chwili,
Że jak mąż z żoną, razem już kawę
Dla starych ojców warzyli.

TRZY WIŚNIE.

Onego czasu, śród uczniów swych grona,
Mistrz-mędrzec, wzorem greckiego Platona,
Chodząc po polu i wiodąc rozmowę,
Ujrzał na drodze złamaną podkowę.
Rzekł więc jednemu: „Podnieś!“ — Lecz ten w sobie
Pomyślał: „Co ja z tém żelaztwem zrobię?
„Nie warto trudu!“ — i do towarzyszy
Zwróciwszy oczy, udał że nie słyszy.

Mistrz się uśmiechnął — bo właśnie w tę porę
Wykładał świętą, prawdziwą pokorę —
Lecz nie rzekł słowa — i gdy ci mijali,
Sam się nachylił, podniósł — i szli dalej.

Przy drodze stała kuźnia. Mistrz wszedł do
[niój,

I ukazując podkowę na dłoni,
Rzekł do kowala: „Daj wiele cheesz za to!“ —
Dał grosz. — Szli dalej — a było to lato
I skwar. — Spotkali niewiastę: szła z koszem
Wiśni do miasta. — Mistrz zaszedł jój z groszem:
„Wiele za niego?“ — Dała trzy jagody. —

Szli dalej.—Kraj był piaszczysty, bez wody;
Skwar wzrastał.—Wtém Mistrz, niby nieumyślnie,
Przed owym uczniem rzucił jedną wiśnię.—
Ten zgiął się po nią—podniósł—zjadł!—Szli dalej...
A skwar się wzmaga, a pragnienie pali!—
Mistrz o pokorze wciąż wiodąc rzecz długą,
Znów jak z przypadku rzucił wiśnię drugą.
Uczeń znów zgiął się, podniósł—i pomału
Ssał w ustach, tłumiąc zasuchę upału.—

Szli dalej;—aż Mistrz znów jak przez przygodę,
Otrząśł z łodyżki ostatnią jagodę.
Potoczyła się, i zagrzebła w piasku.—
Uczeń poskoczył—ale że po blasku
Dójrzeć jój nie mógł—jął macać rękoma,
I niecierpliwy, czuł jak go oskoma
Bierze.—Lecz znalazł, otarł, i z pośpiechem,
Już miał do ust swych włożyć—gdy z uśmiechem,
Mistrz się obrócił ku niemu, i rzecze:
„Nie prawdaż? smaczne wiśnie, gdy skwar piecze?—
„Lecz wspominając, com rzekł o pokorze,
„To sobie także będziesz przypominał:
„Że po podkowę raz zgiąwszy się w perze,
„Trzykroć po wiśnie nie byłbyś się zginał.“ —

LEGIA TEBAŃSKA *).

„Zwycięstwo! zwycięstwo!“ Gall pierzcha w nieładzie
Przed legią Rzymską po polu ;
I Cezar Maksym in już w myśli swój kładzie
Na czoło swe laur w Kapitole.

I niżli sam wprędce, jak tuszy i marzy,
Cześć boską śród Romy odbierze :
U stopni dla Marsa wzniesionych ołtarzy,
Bić stugłów rozkazał w ofierze.

Lecz cóż to?—Falanga, co tryumf odniosła,
Nie łączy się sama do innych ;
I stoi jak głazem do ziemi przyrosła,
Zdała od obrzędów dziękczynnych? —

*) Fakt ten, opisany obszernie w dziejach Kościoła, między innymi u Rohrbachera w tomie VI-tym, księdze 30, zaszedł około r. 290, u stóp dzisiejszej góry Ś-go Bernarda.

Obaczył Maksym in — starszyznę przewodnią
Obwieszcza: — starszyzna jak głucha.
Szyk stoi bez ruchu. — O! zgrozo! o! zbrodnie!
Legija Cezara nie słuca!—

Gniew zawrzał w mocarzu:—wtém wódz się jój zbliża,
I rzecze: „Chcesz prawdy? o! panie!
„Tyś wódz nasz i Cezar — lecz Bóg nasz, Bóg krzyża!
„My Grecyi syny, Tebanie.

„Bóg dał nas w moc twoję, i wolę w tém JEGO
„Szanujem i znosim na ziemi;
„Lecz ON nam zakazał czeić Boga cudzego,
„W NIM żyjem i umrzem wolnemi.“—

—„Ha! śmierć więc wam w wszystkim!“—I na głos ty-
[rana

Gromadzi się tłuszcza siepacza;
Zawiścią drażniona, wściekłością pijana,
Skazanych na zgubę otacza. —

Lecz ostrzem ich włóczni pół pola się jeży,
Jak mury szeregi ich tarczy:
Przed ciosem zbojeckim, co zewsząd w nich mierzy,
Czyż sił im na odpór nie starczy?

I tysiąc serc mężnych, w szeregach pogańskich
Na hasło ich tylko drząc czeka,
By stanąć w obronie — nie praw chrześcijańskich,
Lecz swobód i prawa człowieka.

I Wiktor, Rzymianin, na świetnym rydwanie
Przybieżał i woła: „O! Grecy!
„Kto prawy syn Romy, ten za was dziś stanie! —
Więc naprzód! Wy piersi, my plecy.“ —

A na to wódz Greków: „Nie nasza to droga!
„Nie siłą ludzkiego oręża,
Lecz czystą ofiarą, za prawdę, dla Boga,
„Duch Boży przez ludzi zwycięża.“ —

Wtém zabrzmiał znak straszny, i zbójców okrzyki —
I wpadli. — Tebanie w tej chwili,
Zrobiwszy znak krzyża, rozwarli swe szyki,
I oręż na ziemię rzucili.

I wszyscy—czy który sam pierś swą odsłania,
Czy słabszy, co w żalu i skrusze,
W modlitwie sił szuka na chwilę skonania:
Wszyscy radzi oddali swe dusze. —

I widział Rzymianin—i poczuł sam w sobie
Moc prawdy i Krzyża zwycięstwo.
Uwierzył — i wyznał, i dotrwał w swój probie,
I z Greci podzielił męczeństwo. —

Poganie szydzili z słabości swych wrogów,
Maksymin się cieszył z ich zgonu;
Ci, widząc w nim pomstę i tryumf swych bogów,
On, pewność swój władzy i tronu.

Lecz w Niebie Wszechmochny osądził inaczéj! —
Ta święta pokora ofiary,
Ta krew tylu wiernych pod mieczem siepaczy,
Mak i prób dopełniła snać miary.

I w mało lat potém, krzyż z Nieba widomy
Oświecił pogromcę Cezarów;
Konstantyn go zatknął na tronie śród Romy,
I nad świat wznosił na ostrzu sztandarów.

1860.

ANNA KSIĘŻNA MAZOWIECKA.

W Mazowszu wre wojna braterska:
Na głos panów, tłum szlachty orężny
Obległ wkoło warowny gród Czerska,
I poselstwo wyprawia do księżny:
„Niech opieki nad synem się zrzecze,
„Przed kądzielą giąć nie chcą się miecze.“ —

Lecz i księżna, mocna niewiasta,
Zgiąć się nie chce i nie da przed gminem.
„Że w mym synu, rzecze, krew Piasta,
„Wam on panem—mnie tylko wždy synem.
„Opieki się nad nim nie zrzekę.
„Los mój Bogu poruczam w opiekę.“ —

I bój zawrzał — i brat przeciw bratu
Dobył miecza, i grotem weń mierzy. —
Ale księżna pamiętna co światu,
Pomni téż co się Bogu należy.
I przez okno patrząc ku bitwie,
Myśl i ducha korzy w modlitwie.

„Gdy w tém wola Twoja, o! Boże!
„Bym się z ziemskiej potęgi wyzuła,
„Ty wiész, że się ofiar nie trwożę,
„Lecz spraw, bym powinność poczuła.
„Bo się groźbą i strachem nie wzruszę,
„A jak czuję, tak czynić téż muszę.“

Jeszcze w ustach modlitwa jój brzmiała,
Gdy jęk powstał w jój dworskich pań kole. —
Przez okno, strzaskawszy szkło strzała,
Ugodziła w książęce pachole.
Krew trysnęła z rany dziecięcia,
Matka syna porwała w objęcia.

I w téj chwili myśl nagła, myśl nowa,
Przenikła jój duszę jak strzała:
„Co ty cierpisz, ty matka-królowa,
„Każda matka to będzie cierpiała,
„Gdy jój syn krew przeleje w potrzebie,
„Co się wszechyna za ciebie—przez ciebie!“—

Zrozumiała głos Boży niewiasta,
Rzekła słowo — i walka skończona. —
Składa władzę — lecz cześć jój urasta.
Naród wielbi w niej matkę — a ona,
W Bogu tylko i Bogiem zajęta,
Żyła i umarła jak święta.

1867.

WIDZENIE BALTAZARA.

Z LORDA BYRONA.

Baltazar zasiadł na tronie,
Wkoło Satrapów gromada;
Gmach tysiącem ogniów płonie,
Uroczysta trwa biesiada.
Na święte niegdyś ofiary
Strzeżone w przybytku Pańskim,
Jehowy złote puhary
Szumią napojem pogańskim.

Lecz cóż to tak niespodzianie
Gwar zmienia w ciszę żałoby? —
Dłoń się zjawiła na ścianie,
Dłoń niewidomój osoby! —
Zamilkła wrzawa godowa.
Palce przebiegając ścianę,
Ogniem na niej piszą słowa,
Wskazując już napisane.

Widzi to mocarz struchlały,
Skinął — ustała biesiada.
Słowa na ustach mu drżały,
Wzrok obłąkany, twarz blada.
„Niech — rzekł — Magowie i wieszczce
„Przychodzą! niechaj tłómaczą,
„Ten cud, te słowa złowieszcze,
„Co wyrażają, co znaczą?“ —

Biegli są wieszczce Chaldei,
Lecz choć tajemnic gwiazd doszli,
Choć dumnej pełni nadziei,
Przyszli — spojrzeli — i poszli.
Mądre Magi z nad Tygrysu:
Lecz tu ich mądrość daremna;
Treść nieznanego napisu
Trwa zawsze groźna i ciemna.

Z Izraelskiej ziemi jeniec,
Królewskie słysząc rozkazy,
Wystąpił skromny młodzieniec,
Nieznane pojał wyrazy. —
Blask jaśniał w całej swój mocy,
Napis był wszystkim na oku:
Daniel czytał go w nocy,
Świt stwierdził prawdę wyroku.

„Wielkość twa w gruzy się wali,
„Kres twój potędze i włści!
„Zważonyś na Niebios szali,
„Los twój spadł na dno przepaści.

„Pychą cię olśnił blask tronu:
„Każń twoja — nauka świata! —
„Me d jutro stróż Babilonu,
„P e r s twego pan majestatu.“

1824.

W I E R S Z E R Ó Ż N E .



BÓG I LUD

CZYLI

NIEDZIELA I PIĄTEK.

KU CZCI JEGO ŚWIĄTOBLIWOŚCI

PAPIEŻA PIUSA IX.

I.

- „Błogosławiony! błogosławiony
„Zesłaniec Pański, co kocha lud!
„Jemu hozanna, Jemu pokłony!
„Przezeń wślawiony, przezeń zbawiony,
„Nad świat Syoński wzniesie się gród!
- „On zwycięstw naszych ożywi palmy,
„Przed Nim pogański uleże wróg.
„Jemu ofiarne wonie zapalmy,
„Jemu tryumfu zanóemy psalmy,
On Mistrz, on Prorok, on Król, on Bóg!“

Tak w Jeruzalem lud Izraela,
 Jak fale morza wyszłe z swych tam,
Tłocząc się, wołał głosem wesela,
Cześć Messyasza, Emmanuela,
 Gdy do Syońskich wstępował bram.

I strach ogarnął ludu książęta,
 Krzywój potęgi poczuli kres.
Bo w lud wstąpiła siła natchnięta:
Lew Judy powstał, i wstrząsł swe pęta,
 Co już przejadła rdza krwi i łez.

I strach ogarnął Fałyzeuszę,
 I zawiś w sercu rozdeła złość.
Czują, że nie doś, w kłamanėj skrusze,
Obłudą ludu omamiać dusze,
 By współ z książęty w moc nad nim roś.

Bo w Nim jest miara Prawdy i Ducha,
 Bo trzeba upać — lub być jak On!—
Ale w ich sercu pycha, nie skrucha.
Aż w myśl zbrodnicza weszła otucha:
 „On tylko człowiek! kres jego — zgon!“ —

I Pan przenika serc ich zamiary,
 I w licu Jego boleści ślad. —
Słudzy ołtarzów! Mistrzowie wiary!...
W nichże to Niebios najdroższe dary
 Strach tylko ziemskich wzbudzają strat?—

Lecz i lud, który Bogiem Go zowie,
Czyż tylko Boga znaleźć w Nim chce?
Czyż tylko nawet sami uczniowie
Prawdę w Mistrzowém pojmują słowie,
A nie swe myśli wcielają w nie? —

Lud pragnie kresu nędz i niedoli,
I w synu ludu swą widzi cześć.
Kleofas marzy blask dawnych króli, *)
Iskaryota, pysze swój gwoli,
Myśli, jak z Mistrzem sam się ma wznieść. —

I tak na całym świata przestworze,
Gdy nań widomie zstąpił sam Bóg,
Nikt Boga w Bogu pojąć nie może! —
Kędyż im przyjdzie Królestwo Boże,
Gdy nikt tu jego nie czyni dróg?

Jak pojną sercem niebieskie dary,
Gdy w ziemi tylko skarbów ich skład? —
Przyjdź duchu Łaski! przyjdź w świetle Wiary!... —
Lecz ach! Duch musi, przez krzyż ofiary
Pierwój odkupić, nim zbawi świat! —

I Syn posłuszny téj Ojca woli,
Wié, że dlań tryumf jest wstępem mąk.
I nie nad sobą — o! lecz Go boli
Grzech podżegaczy zrad i swawoli,
Z których ma umrzeć namów i rąk.

*) Ewang. ś. Łukasza, Roz, 24. w 21.

Albowiem biada! i stokroć biada!

Kto woli Pańskiej stawać śmie wbrew;
Kto Prawdę Pańską émi; kto przykłada
Serce do zdrady: lub czyja rada
Bliźnich na bliźnich poduszcza krew!

I stokroć biada szaleńcy! który,

Jak niegdyś w raju zwodniczy wróg,
W lud prosty w myślach, lecz w sądach skory,
Zamiast miłości, zamiast pokory,
Tehnie szął swój pychy: „Tyś jako Bóg!“ —

II.

Jeszcze nie przyszła druga Niedziela,

Jak Pan w Syoński wstąpił swój gród:
Jakiż w nim znowu głos Izraela? —
O! nie miłości! o! nie wesela!
Choć ten sam jeszcze i Pan, i lud.

Wiarę zachwiała zdrada Judasza,

Faryzeuszów zakwitnął siew.
Lud, co tak wielbił, sam się doprasza
O sąd, o wyrok na Messyasa,
Sam na się Jego przyjmuje krew! —

Z uśmiechem wzgardy Faryzeusze

Święcą już w sercu tryumf swych zrad;
Piłat gotuje sąd i katusze:
Zwątpienie uczniów owładło dusze —
I przeciw Bogu jest cały świat! —

Bo oto chwila wielkiej godziny,
Gdy odkupienia staje się cud.
Syn Boży cierpi za ludzkie syny —
Cierpi przez wszystkich, za wszystkich winy:
Za króle, mędrce, kapłany, lud!—

Ale na Niebie Anielskie chóry,
Ale w otchłani piekielny wróg,
Wiedzą — że oto kres, po za który
Stary świat w nowe pójsć musi tory,
Za Panem panów, za Sługą sług!—

I na Niebiosach hymn uwielbienia,
I wściekłość w głębi piekielnych jam. —
Ziemio! ty tylko, w mgle zaślepienia,
Chcesz—lecz nie z góry czekasz zbawienia,
I ufasz tylko w swój rozum sam!—

O! i doświadczysz jego roboty,
Byś sama o nim wydała sąd!
Zbawcę powiedziesz na krzyż Golgoty,
Do pęt swych przydasz piętno sromoty,
I prawdę w głębszy odepchniesz błąd.

Aż przyjdzie ciemność, co cię przeleknie,
Budząc żal żalów i skrucę skruc;
Aż samolubstwo w łzach swych rozmięknie,
Aż pycha myśli pod Krzyżem klęknie —
I wtedy z Krzyża—zaświeci Duch.

I co dożyją, będą widzieli
Cuda dzieł Pańskich i Pańskich dróg.
I czemu hardzi wierzyć nie chcieli,
Sercem skruszonych rzekną Anieli:
„Świat zbawia tylko — nie lud — lecz Bóg!

1849.

BÓG I ŚWIAT.

CZYLI

WYSTAWA I WOJNA.

Stwórczo i Sędzio świata!

Tyś Pan, Ty Ojciec!

Ku Tobie ze wszech stron,

Jak jeden płaczu ton,

Głos ludzkich modlitw ulata! —

Lecz komu woli Twój dociec? —

Panie! nikt nie wie,

W łasce czy w gniewie

Ważysz nad ziemią przeznaczeń jój szalę? —

Góry runą w otchłanie —

Lecz co po nich powstanie? —

Panie! Panie!

Obyż ku Twojej chwale! —

Wiek i człowiek rzekł wzajem:

„Dojrzeliliśmy, i stajem

„Początkiem nowych dróg.

„Zakon nasz nam ogłasza
„Natura — matka nasza!
„My i ona — to Bóg!—

„Sobie nieśmy ofiary:
„Ona nam swoje dary,
„My jój, sztukę użycia.
„Siłą złączoną wzajem,
„Ziemie uczynim rajem,
„Rozkosz prawidłem życia!“ —

I jedni przed drugimi,
Skarby i dzieły swemi
Chęłpili się, wołali:
„Patrzcie! gdzie już dosięga
„Rozum nasz, i potęga!“—
I— i tryumfowali.

Ludzkość w prostocie ducha
Słuchała—i otucha
Pokrzepiała cierpliwość.
„Czekajmy! niedaleki
„Dzień, gdy już nam na wieki
„Rozum zjedna szczęśliwość!“ —

Panie! czyż te dział gromy,
Co wstrząsły świat widomy,
Jój zwiastują przybycie?

Czy jęk i płacz sierocy,
Z południa i z północy,
Nowe witają życie?—

Panie! Panie! straszliwa
Snać się próba odbywa,
Aż świat w skutkach obaczy:
Jak, i na co pracował,
Jakim bogom hołdował,
I — i zacznie inaczej.—

Bóg z Niebios majestatu,
By nieść zbawienie światu,
Sam stał się sługą sług.
A syn śmierci, proch lichy,
Na słowo ducha pychy,
Chce sam być *jako Bóg*.

Bóg w człowieku wśród świata,
W każdym miłował brata,
Za wszystkich przelał krew.
Panów świata wciąż ima,
Albo zawiść Kaima,
Lub pychy jego gniew.

Ach! czyż świat nie obaczy,
Komu służyć ma raczej:
Bogu, czy ludzkiej dumie?—
Nie raczej-li da ucha
Na głos Bożego ducha,
Niż pychy w swym rozumie?—

Panie! a gdy się ziści,
Że zamiast nienawiści,
 Świat spoi zgoda bratnia:
Nie będzie-li i ona
Wojna błogosławiona,
 Co już była ostatnia?—

1870.

M O J Ź E S Z.

Mojesz rozdarł swe szaty, w proch uderzył czołem—

Lud jego zgrzeszył! — on widzi.

On był jego prorokiem, wodzem, apostołem!

On go kochał jak ojciec! jak brat cierpiał społem!

Śmierć dlań zniósłby z rozkoszą!..— A dziś!... dziś się

[wstydzi —

On! za lud swój!—Dziś się brzydzi

Sam sobą: bo nienawidzi

Sam w sobie, tego, co czuje.

Bo czuje, że nie miłuje,

Że wątpi — on! o swym ludu!—

Bo czuje, że nie wart cudu,

Nie wart, co Pan mu przeznacza!—

Czuje, widzi, i rozpacza.

„Panie! wiem żeś Wszechmocny, wiem żeś Miłosierny,

„Lecz ach! Tyś i Sprawiedliwość!...

„Coś obiecał, dawałeś—lecz lud ten niewierny

„Zmarnował Twą i Szczodroblliwość.

„Głupi lud bez rozwagi i bez roztropności!

„Z darów Twych rósł tylko w butę;

„W karach Twoich nie uznał win swoich i złości:

„Podwajał grzech, nie pokutę.

„W gniewie swym, gniewu Twego chciał kruszyć na-
[rzędzia,

„Zamiast go skrucną rozbrajać!—

„Cóż za dziw, żeś Pan i Sędzia,

„Każń tylko musiał podwajać?—

„A wielkie były dary, coś nań zlewał, Panie!

„Jak orzeł młode orlęta,

„Tyś go Sam na Swych skrzydłach podniósł na latanie;

„Sam jego pokruszył pęta,

„Sam wywiódł z domu niewoli,

„Postawił między narody,

„By w posłuszeństwie Twój woli

„Dał wzór prawdziwej swobody! —

„A on!... rozwierzał się. miły,

„Przeciw twój władzy i właści!..

„Pokruszył szranki, co były

„Poręczem brzegów przepaści.

„Z każdą pokusą się swatał,

„Każdym prorokiem pomiatał,

„Przed każdym cudzym bałwanem

„Zapomniał, żeś Ty jest Panem,

„Aż jak on praw Twych tablice,

„Tyś go zdruzgotał na nice!... —

„I jemuż to ma być dana

„Ta ziemia Twa obiecana,

„Płynąca mlekiem i miodem?

„On to ma być tym narodem,
„Co jak lud z ludem nawzajem.
„Ziemie miał złączyć znów z rajem?... —
„Tyś chciał — lecz biada mu, biada!..“

— „Stój!“ — głos-grom zabrzmiał z wysoka.
„Milez! słuchaj! Pan odpowiada. —

„Kto dał sąd ustom proroka?
„Kto śmie chceć sądów Mych dociec?—

„Jam Pan — lecz Jam jest i Ojciec.
„Ty widzisz fale — Ja widzę
„Dno mórz.— Serc głębie, Ja zmierzam.
„W gniewie Mym—nie nienawidzę,
„Karząc — nie zemsty domierzam.

„Znam lud Mój — ze Mnie wziął ducha.
„Tyś o nim zwątpił—lecz nie Ja.—
„Wiém, serce-wulkan w nim bucha;
„Wiém, w myślach burzy zawieja.
„Lecz gdzie jest Miłość — jest skrucha,
„Jest Wiara—gdzie jest Nadzieja. —

„Pokuta z win go oczyści,
„Wiara i Miłość w nim ziści
„Cel mego w nim przeznaczenia. —
„Bo wiedz! tylko dla zwątpienia,
„I tylko dla nienawiści,
„Nie ma u Mnie przebaczenia!—

„Tyś zwątpił, sługo wybrany!
Lecz przez miłość ludu twego.—
Ujrzysz więc kraj obiecany,
Lecz sam nie wejdiesz do niego!

1867.

TYTANY I GNOMY.

„Do Nieba! do Nieba! — Dość hańby służebnej!
Dość Bogów być tylko narzędziem!
Jak oni zstępują na świat nasz podniebny,
My świat ich nadziemski zdobędziem!

„Saturna wyzujem z potęgi nad czasem,
Dłoń Zeusa z piorunów rozbroim.
I z ramion Cyprydy, uroków jój pasem
Piers dziewczic-ziemianek przystroim!

„Bo wstyd nam i krzywda, wciąż z Bogów li daru
Brać życie, i piękność, i dzielność! —
Więc bądźmy jak oni! Z puharów nektaru
Wypijmy i my nieśmiertelność!“ —

I góry na góry zwałając Tytany,
Szturmują i pną się ku Niebu...
Lecz góry ich zgmiotły — a z gór tych wulkany
Błysnęły jak uśmiech Erebu.

„O! głupi szaleńcy! — wołają dziś Gnomy,
Upadli — bo warci swój kaźni.
Sięgali po Niebo — po eter znikomy!
Do Bogów — do mar wyobraźni!

„W głąb ziemi! w głąb ziemi! — Tam prawda! tam,
[złoto!

Tam warstat tajemnie Natury!
Tam rozum się rzeczy przeniknie istotą —
Bo wszystko jest z dołu, nie z góry! —

„Tam pozna, że rozkosz — to jeden cel życia,
Bez trwogi ni zgryzot, ni gromów!
I tam go nauczy rozkoszy użycia
Natura — twórczyni małop-gnomów!“ —

I w przepaść z przepaści — i coraz to głębiój,
Gnom gnoma pościga łańcuchem...
A z dróg ich dym tylko tém gęściej się kłębi --
Nie piekło-li grozi wybuchem?...

„O! biedni śmiertelni! O! jak was uleczyć?“ —
Anioły wzdychają wiek z wieka:
„Ni Bogu dorównać, ni Boga zaprzeczyć,
Nie dano jest mocy człowieka.

„A litość nas bierze nad łzami waszemi,
Choć próżna jest nasza przestroga.
Bo widzimy, że szczęście jest dla was na ziemi —
Lecz wam go nie znaleźć bez Boga! —

„Lecz nie bój się, ziemi! Ten, który cię stworzył,
Co skruszył potęgę Tytanów,
Nie na to On za cię krew Syna położył,
Byś poszła na pastwę szatanów!

„I przyjdzie—że kiedyś, jak z jutrzni poranka,
Zbawienia dzień w pełni zabłyśnie:
Gdy w krajach ludzkości, nad tronem Baranka,
Duch Boży jak gołąb zawisnie!“ —

1867.

PROROK.

Soll einst die Nachwelt dich mit Segen nennen,
Sollst du den Fluch der Mittwelt tragen können
(Raupach).

Gdy kiedyś przyszłość ze czecią ma twoje imię głosić,
Gotuj się od współczesnych zlorzeczenia znosić.

W kim duch lotny, myśl wysoka,
W sercu żądza świata chwał:
Cóż mu za dziw, że Proroka
Cześć i miano miećby chciał?—

Lecz niech spójrzy—a ochłonie —
Jaki na to brać ma chrzest:
Czém u ludzi—nie po zgonie,
Lecz za życia Prorok jest?—

Szał, ślepotą, czeze rachuby,
Pchną lud jego w grzech lub srom:
Prorok widzi otebłan zguby,
Groźb niebieskich słyszy grom.

Prorok woła, co mu każe
W sercu Prawda w duszy Bóg.
Za odpowiedź grzmią potwarze:
Wszyscy bracia — on jest wróg!

W nim się serce żalem krwawi,
Wkoło śmiechu szydny ton.
Wszyscy mądrzy! wszyscy prawi!
Kłamca, zdrajca — jeden on!

Najlichszego gmin podnasza.
Gdy ma kamień rzucić nań. —
Ból i los Jeremiasza,
To Proroków wszystkich dań. —

Lecz czyż zmilknie, i z bojaźni
Bożych natchnień stłumi dar?
Czyż i w nim się nie rozdraźni
Człowieczego gniewu żar? —

Ale biada Prorokowi,
Co błąd karcąc, sam brnie w błąd!
Bóg litościw człowiekowi,
Lecz na niego inszy sąd.

Wziął najwyższe — wziął natchnienie,
I najwyższe musi dać,
Na co ludzkie przyrodzenie
I ludzkiego ducha stać! —

Prorok musi zrzec się siebie,
Czciją i życiem wzgardzić tu.
Stos kamieni, co go grzebie,
To dopiero ołtarz mu.

Tam się naród w pierś uderzy,
Tam wdzięczności spłaci dług:
Gdy po skutku groźb uwierzy,
Że z Proroka mówił Bóg.

DUCH, CZYN, POSTĘP.

Duch, czyn, postęp — wielkie słowa!
Lecz co w czyich ustach znaczą:
Gdy co serce, gdy co głowa,
Wspak lub inak je tłómaczą?

I jak niegdyś hardzi w duchu,
W Babilońskim słów zamęcie.
Každy jedno czując w uchu,
Różne w duszy ma pojęcie? —

Duch — to Bóg! to Boża siła,
Co sam Stwórca tehtał w pierś ludzi,
Co przez Zbawcę świat zbawiła,
I co Zbawca wciąż nam zsyła,
Gdy ku Niebu w ślad swój budzi! —

O! kto takich natchnień słuca,
Kto przez taką siłę działa,
Ten wart zwać się synem Ducha.
Tego czynom cześć i chwala!

On przewodnik — on na przedzie!
Postęp — jest to jego droga,
Co wciąż idąc wyżej, wiedzie
Wprost do celów woli Boga.—

Lecz i szatan jest téż duchem,
I on siłę ma na ziemi,
Co namiętnych żądz wybuchem
Serce wstrząsa, rozum ciemi,
I sumienia głos zagłusza.

Taka siła w ludzkim czynie,
Jest to lawa Wezuwjusza,
Co z dna piekieł na świat płynie.

Nie oświeca — chociaż błyszczy;
Nie ogrzewa — choć zapala;
Nie ożywia — ale niszczy;
Nie odradza — lecz przywala.

Biada niwom! biada grodom!
Gdzie jój postęp wziął swą drogę:
Za grzech Gomorr albo Sodom
Niosąc tylko kaźń-pożogę!..

Lecz kto w Pańskim ufa Duchu,
W kim ku ludziom serce bliźnie,
Ten na łoskot jój wybuchu,
Wołać musi w swój ojczyźnie:

„Zbawco świata! Boży Synu!
„Pogromco piekieł zastępu!
„Bronń nas od takiego czynu,
„I od takiego postępu!

1851.

GWEBER *).

Nie! jam nie czciciel bałwanów,
Nie w ziemskie światła ja wierzę:
Nie w wybuch ognia wulkanów,
Nie z ogniem piekieł w przymierze!—

- *) *Gweber, Giabir*, i pochodzący ztąd przez skrócenie wyraz *Giaur*, któremu dziś we wszystkich muzułmańskich językach nadano obelżywe znaczenie: *niewierny*, niegdyś oznaczał tylko wyznawców religii Zoroastra, *Czcicieli ognia*, jak ich nazywano, których wyznawcy Mahometa, podbiwszy Persyą, jako bałwochwalców prześladowali i wytępiłi.

Bóg, mówi Zoroaster, jest jeden, przedwieczny, nieskończony, Stwórca wszystkiego co jest. Lecz w świecie przez Niego stworzonym, działają z woli Jego dwie przeciwne sobie potęgi: dobra i zła. Pierwszą zowie *Oromazem* (*Hormuzd*), co znaczy: dawca wszelkiego dobra; drugą *Arymanem*, co znaczy pan, albo wódz złego. Ztémwszystkiém sam tylko Oromaz był wiecznym i miał kiedyś przeciwnika zwyciężyć. Światło było godłem Oromaza, ciemność godłem Arymana. Według *Zenda-Westy*, sam Bóg rzekł do Zoroastra: „Światło moje jest w tém wszystkiém co świeci.“ Na tych to właśnie słowach opiera się wprowadzona przez Zoroastra cześć ognia, palącego się na ołtarzu w świątyniach: na wolném zaś powietrzu cześć słońca, jako najszlachetniejszego ze wszystkich światel niebieskich, przez które Bóg ożywia i utrzymuje całe swe dzieło stworzenia.

Tryumfu dnia mi nie wróżą
Komety płomień ziejące.—
Gwebr wierzy tylko w moc Bożą,
Którój obrazem jest słońce.

Cóż, że synowie sił ziemi,
Czciociele tylko sił własnych,
Z litością szydzą nad temi.
Co wierzą wróżbie gwiazd jasnych? —
O! gwiazdy te na niebiosach,
To tylko godła prawd wiecznych:
A z nich Gwebr wróży o losach,
O celach swych ostatecznych.

A jeśli w długim zbyt mroku,
Stos ofiarny, znak wojenny,
Czczy meteor jego oku
Zda się zorzy wschód promienny,
I on im w stróny uderzy:
On człowiek — popadł w błąd chwili!
Lecz on Gwebr, czuje i wierzy
Że wiara jego nie myli:

Że tylko jasność z wysoka,
Nie z dołu ziemi pożoga,
Zwalczy noc — którą pomroka
Zasłania światu twarz Boga.
Aż światło odeń bijące
Moc Arymana ukorzy.
A wtedy Ormuzd, przez słońce,
Na świat rozleje dzień Boży.

R O D Z I N A.

Jak niebo szerokie deszcz leje potokiem,
Świat cały pod niebem wre morzem głębokiem,
 Straszliwa potopu godzina!
I jedna już tylko, w otchłaniach nicości,
Pamiętka przeszłości, nadzieja przyszłości,
 Buja w arce Noego rodzina.

I wszystkie skazanój ludzkości boleści,
Żal, rozpacz, zwątpienie, i przestach niewieści,
 Miotają jój syny i córy.
I obok litości, gniew na tych, co sami,
Niewiary, swawoli, i pychy grzechami,
 Każń tę świata ściągnęli nań z góry.

Sam Noe z pokojem cierpienia na czole,
Przeniknął ich myśli, zrozumiał ich bole,
 I stanął w pośrodku, i rzecze:
„Pan stworzył, Pan zniszczył; — cześć Panu nad Pany!
„Łzy wasze nie grzechem; lecz sąd wam nie dany
 „Na braci, na plemię człowiecze.

„Zgrzeszyli, zginęli! — lecz dla was z ich kaźni,
„Nie gniewu, nie wzdardy, lecz Pańskiej bojaźni
„Pobudka niech będzie jedynie!
„Bo wyście wybrani odrodzić świat nowy —
„A jako w swém ziarnie plon wszelki światowy,
„Tak Ludzkość zawarta w Rodzinie.

„Z praojców spuścizną, w plemienu Adama.
„Grzech skaził świat stary; i oto ta plama
„Potopem się zmywa ze świata.
„Spuścizną niech po was odzierżą synowie,
„Co światu nowemu zwrót Łaski zapowie:
„Wiarę w Panu, i miłość dla brata.

„Chłonące świat wody w głąb ziemi wnet wsiękną,
„I ziemia, jak była, odrodzi się piękną —
„Lecz duch Boży niech w was się odrodzi! —
„I patrzcie! Pan słowu mojemu poręcza.“ —
Rzekł Noe, i wskazał ku Niebu — a tęcza
Jak wstęgą spłynęła ku łodzi.

1867.

KÓŁKO DOMOWE.

Ciemność i burza, wichry i gromy,
Ziemia zadrżała, Niebo się sroży.
I któż nie czuje, że snąć widomy
Na grzechy ludzkie spada sąd Boży?

I biada, biada ludziom! jeżeli
Z serc swych upartój nie złożą buty,
Jeśli w łzach, które leją i leli,
Bóg nie dopatrzy łez ich pokuty!

Ale gdzież Skrusze wyznać swe grzechy,
Gdzie Prawdzie śmielszém ozwać się słowem,
Gdzie sercom wzajem szukać pociechy,
Jeśli nie w bratniém Kółku Domowém?

Bo jak z ziarn tylko—drobnych, lecz zdrowych,
Rośnie chleb świata, plon ludzkich trudów:
Tak tylko z ognisk i z cnót domowych
Wzrosć może szczęście krajów i ludów.

Tam niech więc kapłan, z mężstwem proroka,
Wiare sere wiernych krzepi i czyści:
Że niezachwiana Prawdy opoka
Jest wždy w miłości, nie w nienawiści.

Że pyszny rozum drogi swe krzywi;
Że płocha krewkość goni w bezdroża;
Że co się prawom Bożym przeciwi,
Z dobrem się ludzkim zgodzić nie może!

Tam niech się starzec ocknie z uspienia,
Niech się upomni o cześć siwizny,
A światłem prawdy i doświadczenia
Usprawiedliwi prawo starszyny!

Tam niech się młodzian uczy i słucha,
Wprzód nim sam zacznie radzić lub rządzić;
Niech błaga darów Świętego Ducha,
By się złym nie dać zwieść, i nie zbłądzić!

Tam niech niewiasta, przez łzy boleści
Spójrzawszy jaśniej na świat i życie;
Z enót szuka tylko chwały niewieściej,
Anioła światu wróci w kobiecie!

Wtedy, po takich przodkach w spuściznie,
Gdy na potomków sere i głowę
Błogosławieństwo spłynie w ojczyźnie:
Wdzięczność jój uczei Kółko Domowe.

PO GRADZIE.

Różaną jutrenką promieni się dzionek,
Pogodny, łagodny, wiosenny:
W przezroczach błękitu poranny skowronek
Wyśpiewuje hymn swój codzienny.

I patrząc nad sobą w niebiosą przeczyste,
Jak wróżą pogodę i ciszę:
I patrząc pod sobą na łąny kłosiste,
Jak wiatr w nich urodzaj kołysze:

Śpiewacze w nim serce wezbrało pociechą,
I pieśń brzmi radością natchniętą,
Wkrąg budząc jak echo, pod niebem i strzechą,
Lud do pracy, do chóru ptaszęta.

I chór ten i praca, naprzemnian, kolejną,
Ożywia las, pola, i domy. —
O! pieśni! o! praco! o! ludzka nadziejo!
Jak radość, jak plon wasz znikomy!

Cóż nada, że słońce opatrzone na niebie
 Wyiskrza blask twórczych promieni?
Kir chmury burzliwej zagarnął je w siebie,
 Grom z wichrem panują w przestrzeni.

I z czarnych chmur łona, jak śmierci nasiona,
 Sypnęły się grady ziarniste.
O! biedny skowronku! gdzież dla cię ochrona?
 O! biada wam, łany kłosiste!

A z nich ci to przecież, rolniku! brać trzeba
 Wzór wiary i męstwa w niedoli.
Skowronek po burzy znów leci pod nieba,
 Kłos z ziemi się dźwiga powoli.

A tobież z rozpaczą w krzyż składać ramiona,
 Jak ten, co snem wiecznym już drzemie? —
Dłoń tylko wśród pracy ku Niebu wzniesiona,
 Miłosierdzie ściąga na ziemię.

ALLELUJA.

Alleluja! wiosna błyska.
Słońce grzeje, trawka buja:
Ziemia z trumny znów kołyska
Zbóż i kwiatów — Alleluja!
I z tych kwiatów wnet się wonność
Jak kadzidło w Niebo wzniesie;
Świat zaściele łąk zieloność,
Chóry ptasząt zabrzmia w lesie:
Aż znów mroczna i ponura
Cała ziemia i natura
Jak świątynia strojna stanie,
Na sił swoich zmartwychwstanie.

O! Młodości! wiosno życia!
Wiosno pokoleń ludzkości!
Gdybyś i ty, w dniach rozwicia
Sił zapału i miłości,
Wzorem ziemi i natury,
Wszystko, co ci dane z góry,
Zamiast rozwiać wichrów technieniem,
Zamiast spalić żądz płomieniem,
Bożem ziarnem siała światu!

Jakby ono twemu latu,
Samo rosnąc w nieskończoność,
Dało plenność, barwność, wonność!
Jakby ogień w ciebie tchniony,
Blaskiem tęczy, a nie łony,
Z ziemi odbijał na niebie,
I na ziemi, wokrag siebie.
Po nad starych zasług groby,
Rozpromieniał kir żałoby,
Nowej pracy budząc życie!.... —

O! i jakby przy tym świecie,
Ziemia z Niebem, zawsze społem,
Brzmiały zgodném a wesołem

Alleluja!

1869.

WESTALKA.

U stóp ołtarza, w śnieżystej bieli,
W blasku świętego ogniska,
Jakże niém sama, w oczach czcieli.
Kapłanka jego odbłyska!

Wieszcz w Jój spójrzeniu myśl swą zapali,
Natehnienie z ust Jój nań wionie;
Od Niój w rycerzu, jak odblask w stali,
Duch poświęcenia zapłonie.

Przed Nią z pokłonem, z miejsc swych na Forum,
Ojce ojczyzny powstaną;
Znak Jój wytrąci topór Liktorom,
Nad głową na śmierć skazaną.

Bo tak chce światem władająca Roma,
By dać tém wiedzieć po świecie:
Jak czei niewinność, ani się sroma
Świętość uwielbić w kobiecie.

A hołd czei takiej, bez prac i trudu,
A taki tryumf bez walki,
Wiek w wiek ma w sercach Bożego ludu
Niewiasta z duszą Westalki.

Jąż-by więc mogły, czy szal zapalu,
Czy tak zwiesić myśli pokusa,
By z swój wysokiěj czei piedestału
Skoczyła w orszak Bachusa?

Jéjż-by to, zamiast brać hołd w świątyni,
Na rynku przed gminem płasać?
I zamiast władać berłem bogini,
Tyrśą bachantki potrząsać?

Onażby mogła, nad chórów modły,
Nad kornych westchnień hymn cichy,
Sprośnych Satyrów przenieść śmiech podły,
Lub wrzask przy brzęku w kielichy?

Onażby miecąc na wiatr, jak włosy
Tak i zasłonę dziewiczą,
Wzięła za tryumf, że pjane głosy
„Evoe!” dla niej zakrzyczą?—

Nie, nie! świętego ognia kapłanko!
Nie dla cię płas Bachusowy!
Tak jak nie tobie, duszo-chrześcianko!
Dzielić szal pychy wiekowéj!

Co i niewiastę, prądem zakrętu,
Z cienia domowej zagrody,
Porwał jak wieher, i w wir zamętu
Niesie, pod hasłem swobody.

Ty wiesz, że wolność nie jest w swój woli;
Wiesz, z kim tę wolę zespolić.
By serce naprzód z złych żądz niewoli,
Myśl z próżnych marzeń wyzwolić.

Ty wiesz, nad światem moc władnie czyja;
Znasz dział niewiasty i męża:
Że co on tylko siłą podbija,
Ona miłością zwycięża. .

Że przez nią tylko, co on dokona,
Na święty idzie pożytek:
I co on tylko buduje — ona
W Boży ma zmieniać przybytek.

I ty wiesz jeszcze — że jak w naturze,
Tak w ludzkich losów kolei,
Słońce i Wiara tylko na chmurze
Malują tęczę nadziei.

Wierz więc i błagaj Matkę-Dziewicę,
Za błędną siostrą i bratem:
By z sere i z myśli burz błyskawice
W grom się nie zlały nad światem!

MOC NIEWIASTY.

Jedna jest w świecie potęga prawdziwa,
Potęga duszy nad duszami ludzi.
Świat wciąż z nią walczy, choć sam wciąż jęj wzywa
A ona—jak Bóg, z którego wypływa,
Przez krzyż swój nawet, cześć i wiarę budzi.

Dwa są jęj miana: Gieniusz i Cnota.
Ale jest jeszcze — lecz kto ją okréśli,
Kto powié, w czém jęj źródło i istota? —
Jest siła — co jak słońca jasność złota,
Ożywia serca i rozwija myśli.

Gieniusz przez nią poczuwa sam siebie,
Cnota się przez nią krzepi i zachęca.
Zródło jęj chyba u Aniołów w Niebie! —
Lecz ją na ziemi Bóg wlał tylko w ciebie,
Niewiasto! kwiecie stworzeń Jego wieńca!

Świat bałwochwali wdzięk twego oblicza,
Miłość twa świat ten zdobi i odradza.
Lecz świętych uczuć pokora dziewieży!...—
Gdzież, jeśli nie w niej, ta moc tajemnicza,
Co raj do serca, duszę w raj wprowadza?—

O! i na ziemi raj kwitnął do pory,
Aż się niewieście duch Pychy objawił.—
I gdy świat Litość ogarnęła z góry:
W duszy Maryi tchnął wprzód wzór Pokory,
Nim się narodził z niej Ten, co świat zbawił.

1867.

MIŁOŚĆ I PRACA.

I gniew mię burzy, i żal mię wzrusza,
Ile kroć widzieć mi trzeba,
Jak się anielska piękność i dusza
Unuża w pracy dla chleba.

A tak dziwnego jest coś w tym razie
W owym i gniewie i bolu,
Jak gdybym Świętą, com czeił w obrazie,
Ujrzał u żniwa na polu.

I w tém uczuciu zda się odslania
Tajna przeznaczeń zawilość:
Czém tu, z Boskiego snać powołania,
Winy być: Praca i Miłość.

Praca na ziemi, jest z sądu Pana
Karą ludzkiego rodzaju;
Lecz mu na ulgę Miłość zesłana,
By nie zapomniał o raju.

Pracą grzech ciała odkupić trzeba;
Krewkość utrzymać w pokorze;
Lecz się przez Miłość tylko do Nieba
Duch oczyszczony wznieść może.

I tylko Miłość pracę uświęca,
Jak w Pracy dla niej opieka.
Na to Bóg siłę technie w pierś młodzieńca,
Dziewięć w piękność obleka.

Wstyd więc młodziana trwodze próżniaczéj,
Co się téj zrzeka opieki!
I drząc przed pracą, woli się raczéj
Miłości wyrzec na wieki!

Żal was, i za was, córki Adama!
Że wasza miłość i krasa,
Zamiast być pracy pobudką, sama
W ziemskich jéj znojach zagasa!—

Lecz jest Kto widzi, jest Kto zapłaci,
Ku Niemu tylko myśl wznieście!
I kto wie, zali win męzkiéj braci
Bóg nie odkupi w niewieście?

HYMN DO Ś. CECYLII.

O! Cecyljo święta! Za jakież zasługi
Bóg cię wzniósł tak wysoko międzysług swych chóry?
Lub czemuż tam do téj aż pory
Obok ciebie nie stanął nikt drugi?

Toć gdy dosycé na sztucznych strón dźwiękach,
Harmonijnych ich pieśniach lub wrzawie—
Tylu mistrzów moc czaru ma w rękach,
Tyle imion w światowej brzmi sławie!

O! Patronko! snać w tobie nauka,
Jakich natchnień i ducha potrzeba,
By mistrz sztukę uświęcił, a sztuka
Aby mistrza podniosła do Nieba.

O! muzyko! ty echo
Jakby słowa twórczego!
Kierownico gwiazd biegu w przestrzeniach!
Ty niebieska pociecho
Serc i ducha ludzkiego
W burzach uczué i życia cierpieniach!

W tobie pokój i zgoda,
W tobie zapal i tkliwość,
W tobie myśli swoboda,
W tobie wiary żarliwość.

Przez cię miłość się budzi
I nadzieja tehnie błoga:
Tyś głos Boga do ludzi,
I głos ludzi do Boga.

Ty uśmierzysz katusze
Szału Saula w rozpaczy;
Na twe jęki, Bóg skrusze
Dawidowój przebaczy.

I pokuta ocali
W przepaść wtrąconych pychą;
I grom trąb twych rozwali
Harde mury Jerycho.

Bo choć grzech się wielmoży
Po nad ziemią, swą branką,
Piekło zwalczy duch Boży,
A tyś ducha posłanką! —

O! Cecylio święta!
Spraw, niech muzyka taka,
Wzorem twoim poczęta,
Duchem twoim natchnięta,
Zabrzmi z duszy śpiewaka!

A nie czeza rozkosz ucha,
Nie czezy poklask słuchaczy,
Ale potędze ducha
Wtór dusz ludzkich przyświadczy.

I nad czezéj sławy blaski,
Wiara promieniem łaski,
Miłość sercami braci,
Znoje mistrza odpłaci.

A gdy przezeń z kolei,
Ogniem świętej nadziei
Świętych czynów zapali się dzielność:
Z natchnień jego te czyny,
To są mistrza wawrzyny,
To cel sztuki — i w tém nieśmiertelność!

LILIJA.

(*Wiersz poświęcony Deotymie*).

Lilijo, kwiecie biały!
Z barwy i wysokości,
Tyś symbol ziemskiej chwały,
I serca niewinności.

Biadaż ci, o! ty kwiecie
Aniołów i ołtarzy!
Biada ci na tym świecie
Zawiści i potwarzy!

Tłum cię obiegł z zdumieniem —
Ty bez osłon, bez cierni,
Nie wiesz, jak on swym cieniem
Sam cię w oczach swych czerni.

Ty dlań ożywiające
Tchniesz wkrąg woni balsamy;
On na cię, jak na słońce,
Patrzy — by szukać plamy.

Jak zadymione szkiełka,
Zewsząd wyteżył oczy,
Czy skazy lub ździebełka
Na twój bieli nie zoczy.

Czemu? — Niech go kto spyta!
On nie wie. — Lecz na ziemi,
Tak każdą wyższość wita
Zawiść między niższemi.

A do czyjéjzby skroni,
Do piersi przypadł czyjéj,
Kwiat, co go z Nieba w dłoni
Aniół przyniósł Maryi? —

Toć niech cię świat świat nie łudzi,
Ty gościu wyższych światów!
Los poety wśród ludzi,
To obraz twój wśród kwiatów.

Myśl jego strzela z ziemi,
Jak twe kielichy białe;
Proch próżno blask ich ciemi,
Jak potwarz jego chwałę.

Pieśń jego, wonie twoje,
Pod niebem — w niebo płyną;
W gwarze cizby — oboje
Tłumią się, albo giną.

Poeta, w życia szrankach
Walezący dla nagrody,
Byłby jak ty w równiankach
Na uczty lub na gody.

Ale jemu i tobie
Któż się równać odważy,
W pól rodzinnych ozdobie,
Lub w ustroju ołtarzy?

Tam pieśń i kwiat króluje.
I w tém widać na świecie
Bóg cel życia wskazuje
Lilii i poecie.

1869.

KOPERNIK.

„Światło, stań się!“ — rzekł Bóg.

I stało się słońce na niebie,

Lecz tajnie jego dróg,

Panie! kto zgadnie bez Ciebie?

Kto pojmie dzieło stworzenia,

Bez TEGO, który je stworzył? —

Lecz wart-li JEGO natchnienia

Duch, co się przed NIM nie korzył? —

* * *

„Chcecie być jako Bóg“,

Rzekł pierwszy ludzi wróg.

„Wyłamcie się z woli Pana!“ —

Wyłamali się — i biada!

Ród ludzki spadł, i zapada

W ślepotę pychy szatana.

I świat Boży, świat przyrody,
Świat piękności, ładu, zgody,
Odwrócił się od człowieka:
Jak anielskie, jak dziewicze,
Jak niewinności oblicze,
Gdy nie z miłością, nie z cichą
Czeią jój świętości — lecz z pychą,
Wzrok z jój lic myśli docieka.

* * *

O! słońce! ty żywe godło
Stwórcy w stworzeniu! ty źródło
Życia i światła! Na ciebie.
Jak przeciw NIEMU na Niebie,
Zarazem, ślepe w swój dumie
Ludzkie targnęło się plemię:
JEMU chcąc zrównać w rozumie,
Nad ciebie wzniosło swą ziemię,
I jak duch w sobie pod ciało,
Ciebie pod rząd jój poddało.

I z wieków w wieki trwał zamęt
W myślach i w prawdzie stworzenia—
Aż oto spójrzył w firmament
Mędrzec, wart z góry natchnienia.

* * *

Koperniku! twoja chwała,
Jako słońce niewzruszona,
Na świat cały słońcem pała!—
W niej strop, i szczyt, i korona
Owój wieży tajemniczej,
Co już z dolin Babilonu,
Jako Tytan-budowniczy,
Rozum ludzki, cheiwy tronu,
Dźwigać zaczął: by z jój szczytu,
W sferach światła i błękitu,
Zajrzeć w Niebo — i samemu
Stać się równym Najwyższemu.

* * *

Ale czemuż z mędrców tylu,
Z tylu plemion, z tylu wieków,
Od proroczych Magów Nilu,
Do badawczej myśli Greków,

Nikt z nich nie zgadł, nie przeniknął,
Własną myślą, okiem własnym,
Co po tobie świat nawyknął
Zwać tak prostém i tak jasném?

Czemu żaden żeglarz śmiały,
Od Jazona lub Ikara,
Nie dokonał, co zdziałały
Kolumbowa myśl i wiara?—

O! bo do tajemnic Nieba,
Jak do nowych ziem odkrycia,
Genijuszom jeszcze trzeba
Rozpromienieć w świętość życia!

* * *

Koperniku! w twym żywocie
Świętość pierwsze miejsce bierze.
Nieskażony w ludzkiej enocie,
Niezachwiany w Boskiej wierze!

Tyś nad laury w grodzie Romy,
Nad Italski strop gwiazdzisty,
Przeniósł ojców dach poziomy,
Przeniósł mroczny kraj ojezysty.

I w tym kraju — tyś nie pychy,
Nie potęgi szukał pańskięj;
Chrystusowy sługa eichy,
Mąż pokory chrześcijańskięj.

Pracą ducha — prawdy Bogu,
Pracą serca — służąc bratu,
U mogiły ledwo progu
Tyś twą sławę zwierzył światu.

Kresem prac twych i nagrodą
Był zgon święty. — Dziś narody
O kolebkę twą spór wiodą!...
Lecz co martwe rodowody?

Mąż téj wiary i miłości,
Z duszą taką, z sercem takim,
Kim być musiał z krwi i kości?...

Mów, kto znasz dzieje przeszłości!
Mógł-że on być nie-Polakiem?—

1873.

W Ł A D Z A.

DO JERZEGO BARANOWSKIEGO.

(Przy objęciu przezeń wysokiego urzędu).

Za władzą goni szlachetna dusza,
By dobro szerzyć lub stwarzać;
Lecz jakże często, Prometeusza
Los musi tylko powtarzać!

Onaby chciała, słońcem na niebie,
Przez światło budzić ku życiu;
Ciepłem swém wszystko ogrzać wkrąg siebie,
Cnotę dopatrzeć w ukryciu.

A oto ledwie błysnie na ziemi,
Wnet jak ćmy nocnej gromady,
Zewsząd się ku niej, skrzydły czarnemi,
Zlatują duchy-owady.

Niekzemność przed nią czołem w proch pada,
Pochlebstwo bieży, by służyć;
Próżność na klęczkach w blask się jej wkrada,
Duma za szczebel chce użyć.

Cheiwość w niej widzi źródło korzyści,
Nienawiść zemsty narzędzie;
A w mroku na nią technie jad Zawiści,
A Zdrada sidła nań przędzie.

I co ludzkości świecić miał z góry,
Musi natężyć swe siły,
Aby mgły z bagnisk ludzkiej natury
Jego samego nie śmiły.

I co miał miłość przyoblec czynem,
W sercu wieść musi bój twardy,
By, nie dójrzawszy ludzi za gminem,
Z miłości nie przejść do wzgardy:

I lub się nie stać, z poduszczeń wroga,
Biczem postrachu i kary,
Lub się samemu nie wziąć za Boga,
A wszystkich za swe ofiary.

Bo wtenczas nad nim, z progów zenitu,
Grom mocy Pańskiej zaświeci,
I świat nań runie skałą granitu,
I sęp zgryzoty przyleci!...

Lecz nie o ciebie, mój przyjacielu!
Te straszne myśli mię trwożą,
Co wzrok twój w świętym utkwivszy celu,
Nie w swą moc ufasz — lecz w Bożą.

I wiész, że wszelka władza na ziemi,
Gdy w niej ma działać moc Pana,
Musi być służbą tych, nad któremi,
I tam wciąż zmierzać, zkąd dana.

I że największej, praca jest marna,
Jeśli się tylko kłopoce,
Nie jak w czas zasiać dane jój ziarna.
Lecz jak z nich zbierać owoce.

Bo rząd przyszłości—ludzi i świata,
Pan sobie tylko zostawił.
Nie miecz Heroda, nie sąd Piłata,
Lecz krzyż Chrystusa świat zbawił.

I Pan tym tylko da władzę cudu,
Co piérwsi w kraju lub wieku,
Cel jój czuć będą w potrzebach ludu,
A ludzkość—w Bogu-człowieku.

BOGACTWO.

DO MŁODEGO DZIEDZICA.

Żal mi ciebie, młodzieńcze! żal twój duszy czystej,
Żal twój myśli, jak palma rosnącej nad ziemię,
Że wnet na nią uderzy wyziew mgły bagnistej,
Że ją wnet giąć ku ziemi ciężkie zacznie brzemię:

Wyziew pochlebstw, obłudy, i rachuby ludzi,
Brzemię rzeczywistości, trosk życia i mienia.
Cóż, że poznasz pochlebstwo? że cię fałsz nie złudzi?
Że pracy sprosta siła myśli i ramienia?—

Jedno jest szczęście serca —kiedy kochać może,
Gdy ma komu zaufać i wierzyć bezpiecznie.
Jedno jest szczęście ducha—gdy wolny ku górze
Wzleci, i światłem Niebios odetchnie słonecznie.

A co kochać, w co ufać będzie serce, które,
Z poznania ludzi, tylko wyczerpnie k'nim wzgardę?
A jak myśl, jak duch ludzki zdoła wznieść się w górę,
Gdz je tu ziemska praca wprzęże w jarzmo twarde?

O! młodzieńcze! to właśnie, co świat zajrzy w tobie,
To we mnie żal nad tobą i obawę budzi! —
Nie mając innych skarbów, prócz tych, co masz
[w sobie,
Kupiłbyś za nie serca wszystkich prawych ludzi.

Oniby cię na ziemi otoczyli kołem,
W nich poznałbyś i uczył piękność cnót ludzkości;
Myśl twoja, duch twój z niemi pracujący społem,
Znalazłby pokój w Prawdzie, a szczęście w Miłości.

A dziś—jak gniew lub boleś utrzymasz na wodzy.
Gdy za gminem pochlebców nie dójrzysz człowieka?—
Bo tém są od bogatych szczęśliwsi ubodzy,
Że zły do tych się kwapi, a od tych ucieka.

Jak znajdziesz chwilę spocząć z trosk i trwóg zło-
[wrogich,
Gdy ci wciąż grozić będą zdrada albo szkoda? —
Troska, ciągły cierń bogactw; tak jak skarb ubogich
Jest ich ciągła nadzieja, i myśli swoboda.

Lecz mającym tu wszystko, w jakiej żyć nadziei?
A bez niej życie — przesył, albo trud mozolny! —
Nie ma, nie ma dla ciebie, jedno świat idei,
Gdzie możesz być, jak człowiek, szczęśliwy i wolny!

Tam tylko godne siebie ujrzysz cele życia,
Tam tylko godną siebie spotkasz dusz społeczność.
Tam cię tylko nauczą ziemskich dóbr użycia,
Dwie Niebieskie Mistrzynie: Powinność i Wieczność.

Powinność względem Boga, bliźnich, i narodu. —
Czuj ją tylko!—a spełnić, Bóg da czas i dzielność.
I obyć tak wiódł drogą twojego zawodu,
Byś w sercu czuł wždy pokój. w duszy nieśmiertel-
[ność!

1852.

S Ł A W A.

DO JULJANA KORSAKA.

*(Podczas tłómaczenia przezeń „Boskiej Komedyi”
Danta).*

Sława — syreny głos w młodzieńczém uchu!
Choć nie usypia, ale raczej budzi.
Chęć jój, to pierwsza iskra życia w duchu.
U wstępu na świat, sława — to sąd ludzi.

Kto, by go zjednać, nie odważy trudu,
Kto óń niedbały, leni się do czynu:
To już nie żywy brat Bożego ludu,
To już na wieki mętna kropla gminu!

Lecz kto z bram domu, w dziecinném marzeniu,
W świat patrzy tylko — nim weń stąpi krokiem:
Temu, jak ziemia z niebem w oddaleniu,
Świat w jedną całość zlewa się przed okiem.

I wszystko jego echa, jednym chórem
Brzmią k'niemu zdala — nie jak huk pioruna,
Nie! — jak szum tylko morza, po za którym
Zwie go i czeka skarb Złotego Runa.

TRENY POETY.

I.

(Za młodu).

O! jak to straszna być musi zgryzota,
Kiedy kto pomnik swój hańby, lub zbrodni,
Zostawi w drodze swojego żywota:
A cień od niego — coraz dłuższy z przodu,
W miarę jak życie idzie do zachodu —
Czerni się przed nim, jako szlak przewodni
W głąb nieskończonej ciemności! —
O! jak to straszne być muszą męczarnie!
Gdy już myśl sama o próżnej przeszłości,
O latach strwonionych marnie,
Bez owocu dla kraju, dla świata, dla ludzi,
Skoro raz duszę ogarnie,
Tak ją przywala, i taki żal budzi!...

Ja — ja naprzykład! — Najpiękniejsze lata
Wiosny méj—przeszły! Jakaż ich oznaka?
Jaka z nich korzyść dla ludzi, dla świata?—
Com zrobił więcej od nędznego ptaka,
Co wiosnę całą prześpiewał daremnie?—
Ach! ptak ten więcej uczynił ode mnie!
Ptak nóćąc spełnił cel swój na téj ziemi:
Ptak co mógł, zrobił pieśniami swojemi:
Był częstką wiosny—choć o nim nikt nie wie.
Jak źródł w gęstwinie, jak wietrzyk na drzewie,
Był głosem swego drzewa, gaju, niwy.
A czyż i rolnik, pasterz, lub myśliwy,
Pociechy kiedy nie czuł w jego śpiewie?..

Ja sam—o! pomnę!—i ileż to razy,
Gdym szedł dumając, posępny, samotny,
Zimny na wiosny, na kraju obrazy—
Nieraz w gęstwinie jakiś ptak przelotny,
Albo skowronek zaśpiewał wysoko.
Zrazum nie słyszał—lub nie myśląc o tém,
Szedłem dumając!—ale potem, potem—
Gdy on wciąż śpiewał i śpiewał swe pieśni,
Nieraz ku niemu poszła myśl i oko;
I z samolubnej wyrwawszy się cieśni,
Śledząc go w lesie, lub z nim lecąc w górę,
Ujrzałem piękną, żyjącą naturę,
Uczułem miłość Stwórcy—i wracałem
Wesół, z nadzieją, z natchnieniem, z zapałem.—

A ja—ja człowiek!—ja, który od młodu

W dumném mém sercu żywię chęci śmiałe,
Przyczynić dobra dla mego narodu,
I sam mu dając, wymódz na nim chwałę:
Com zrobił dotąd, z moją wiarą dumną
W chęć moję silną, w myśl moję rozumną?—
Nie!—Cóż zem śpiewał?—czyż choć jedną duszę,
Jak mnie ów ptaszek, pieśnią moją wzruszę?—
A to był przecież cel mój na téj ziemi,
Téj tylko władzy chciałem nad drugimi.
Boże! Tyś widział, na com jój chciał użyć,
Czy by sam słysząc, czy by Tobie służyć?—
Zkąd miłość pieśni? jeżeli nie z tego:
Że gdym sam naprzód poczuł z pieśni cudzej,
Wartość wielkiego, pięknego, dobrego,
Wszystko, czém człowiek wart Stwórcy swojego,
Chciałem, by z mojej toż poczuli drudzy?—

Jeśli mię cel ten z lepszéj drogi złudził,
Jeśliś tu dla mnie cel zamierzył inny:
Wiém, jakbym zbłądził!—lecz błąd był niewinny.
Pierwéj niż wolę, w méj duszy dziecinnéj
Głos pieśni—ja myślałem, żeś Ty sam obudził!—
Teraz w téj myśli jest moja katusza.
W niéj żyje dla mnie sęp Prometeusza—
Prometeusza!—obym mógl przewinić
Jak on! dla świata, to co on uczynić!—
Lecz widzieć całą wiosnę swego życia
Straconą bez pożytku, bez użycia:
Nie nie uczynić, i drzeć: czym nie winien,
Żem to chciał czynić, com nie był powinien?!...

Lecz czemuż dotąd, łamiąca się dusza
Do innych celów napróżno się zmusza?
Czemu mój rozum, dręcząc mię, daremnie
Więszą prac innych ważność wmawia we mnie?
Lub gdy już wszystko mgłą w duszy zamierzcha,
Czemuż znów dawna nadzieja młodzieńcza
Ogniem przede mną zabłyśka, jak tęcza?—
Albo ach! raczej—czemu znów tak pierzcha?

Obyż mi kiedy—niechby choć raz przecie,
Wcielić w pieśń całą blasków jój potęgę,
I na mój naród rzucić ją jak wstęgę,
Jak ślad méj drogi po świecie!

II.

Jest-żem szaleniec?—Nieraz tak rozumiem,
Gdy sam swych myśli rozdrażniwszy roje,
Żądłom ich potém bronić się nie umiem,
Ani wiem w końcu jak je zaspokoję.—
Cel znika z oczu, gdzieś tylko co wpródy
Chciał był je posłać—by jak kwiat na łące
Obsiadłszy razem, jak grono brzęczące,
Ssały zeń ludziom balsam albo miody.
A mnie?—Ja innéj nie pragnę nagrody,
Jak żeby od nich mieć pokój sam w sobie;
Czuć się ich panem; widzieć, że się we mnie
Własném mém życiem karmią nie daremnie,
I że coś przez nie dla mych bliźnich zrobię!...

—A brzęk ich tylko mnie samego głuszy,
A jad ich tylko czuję w mojej duszy!

III.

Zwą mnie poetą!— O! gdyby zbadali,
Co ja natenczas czuję w serca głębi,
Jak mię wewnętrzny wstyd płomieniem pali,
I jak pogarda takich sędziów ziębi!—
Bluźnią!—Ja życie dałbym za to imię,
Gdybym czuł prawo słusznie się niém zdobić;
Ale niém gardzę—gdy już w takim rymie,
Jak moje dotąd, można się go dobić.

Mnie zwać poetą!—nie z tego, co może
Tleje w méj duszy, dotąd tajne światu,
Lecz z owych pieśni, co jak liście z kwiatu,
Z płon nego kwiatu, opadły nie w porze!—
O! ciemni chwalecy! toć gdy wam dość na tém,
Com ja napisał:—ach! czyż warto pracy,
By stać się kiedyś, czém chciałbym, przed światem,
Gdy wyrok o tém dawać mają tacy?—
Wartoż chcieć chwały—gdy lada pochwała,
Byle z ust wielu, już ma zwać się: chwała?
Czezy brzęk owadów, co póki zdaleka,
Nadziemskim chórem nęci słuch człowieka,
Brzmiąc na powietrzu;—jakże się zawstydzi,
Kto przyjdzie zbliska i chórzystów widzi!
Cóż gdy go wzajem otoczy gromada?

Owad gdy brzęczy, znak jest, że ujada.
Brzęk straci wartość, żądło ból obudzi—
Oto jest sława, i z nią zawieść ludzi!

O! szczęście moje! zem nim to, już wcześnięj
Pojął cel wyższy i wieszca, i pieśni,
By czuć—że kto go osiągnie, wypłaci
Wszystko, co winien dla Ojca i braci.
Bo nie osiągnie, aż wprzód sam usłucha,
Aż znajdzie w sobie głos Prawdy i Ducha;
Wtedy tym głosem gdy powie do ludzi,
Ileż dusz ze snu na światło obudzi?—
Cóż Ty większego chcesz po ludziach, Boże?
Cóż człowiek nad to bliźnim zrobić może?—

To cel poety—to mój!—Czy mu zdoła
Moc moja? —nie wiem; --lecz ach! gdybym wiedział!
Gdyby mi w duszy głos mego Anioła,
Lub wielki człowiek na ziemi powiedział!...
Ma pieśni moje—drobne nakształt piasku,
Lecz Mistrz z nich nawet wartość przyszłych zgadnie:
Jak biegły górnik, z pierwszych żwirów blasku,
Wię, w której minie złoto leży na dnie.

IV.

Oby mi dano moc twórczego głosu,
Na jedną chwilę, i na jedno słowo!
Bym do mych ucuć i myśli chaosu

Mógł wyrzec: „stań się!” czynem, pieśnią, mową,
Czem bądź—lecz stań się! bym spoczął—bo muszę!...
Jak łuk przed strzałem czuję w sobie duszę:
Grot musi wypaść—lub cięciwę spęka;
Grot musi trafić—lub na wieki ręka
Martwém zostanie narzędziem, straciwszy
Wiarę swą w siebie.—A toż spocząć znaczy,
Gdy kto moc wszystką próżno wyteżywszy,
Padnie na ziemię w mdłości i rozpaczy;
I gdybyż umarł!—lecz ach! nieszczęśliwszy,
Życia się tylko niegodnym obaczy?—

Taki spoczynek miał szatan w otchłani.
I dobrze, jeśli temu człowiekowi,
Szatan, na boleść, co go wewnątrz rani,
Téj, co sam sobie, pociechy nie wmówi:
Pogardzić dobrém, co go nie mógł dostać;
Stać się złym raczêj—by niczém nie zostać!

Ciebie chcę, Niebios rozkoszy! spoczynku!
Którego tylko Bóg w pełni doświadczył,
Gdy świat swój stworzył, i w swoim uczynku
Sam doskonałość zupełną obaczył!
Spoczynku mędrca, poety, malarza!
Gdy duchem z góry, czyn swój woli stwarza,
Lub już w żyjącém lubując się dziele,
W niém moc swą czuje, a w sobie wesele!

Bo duch tworzący w ponadziemskiej sferze,
ak głodny orzeł, dwie tylko ma chwile,

Gdzie spocząć może:—gdy cel swój spostrzeże,
I wisząc nad nim, ufa w swojej sile;
Potém—gdy spadnie jak grom, i oczyma
Oczenia zdobycz, co już w szponach trzyma.—

V.

(W lat dziesięć później).

Czemu nie piszę?—Czeze na pozór słowo,
Co ktoś przez grzeczność rzuci od niechceunia;
Ale nikt nie wie, jak ono na nowo,
I jakie budzi cierpienia.

Dusza niém zda się z letargu wyrwana.
Sama go w sobie wstydzi się jak zbrodni;
Jak ta niewiasta, co na przyjście Pana
Swój nie zatlila pochodni.—

Tożem ja sobie rokował za młodu.
Że kiedyś w pełni siły méj usłyszę,
Z ust mych przyjaciół i mego narodu,
Pytanie: czemu nie piszę?

Ja—co natenczas w kole życia całém,
Innego celu i życia podniety
Ani widziałem, ni szukać nie chciałem,
Jak nieśń i okrutu poety!

I czułem zda się moc czucia tajemną,
Że jak śpiącemu pod paproci kwiatem,
Cała natura szeptała przede mną,
Com miał rzec w pieśni przed światem.

I tak wierzyłem, że sam Bóg wysłucha
Prośb mych o pomoc, w chwilach uniesienia,
Że nieraz drżący nastawiałem ucha,
Jak na głos Jego natchnienia!—

Lecz mojaż wina? żem zadrzał, niestety!
Z przykładu drugich widząc co mię czeka;
Żem nie mógł w sobie, dla sławy poety,
Poniżyć dumy człowieka?

Abym to tylko śpiewając, co Bogu,
Co bliźnim moim, czułbym, żem jest dłużny,
Sam, jak ów śpiewak przy kościelnym progu,
Żył z przechodzących jałmużny?

Lub się zaparłszy prawdy i sumienia,
Sługa namiętych fałszów czy zepsucia,
W potwornych baśniach, w obrazach zgorzenia,
Zebrał u zgrai współczucia?—

O! nie!— A pomnę, gdy nakształt ofiary
Pałac się w sercu miłością dla ludzi,
Sypałem w słowach myśli moich żary,
Pewny, że słowo miłości i wiary,
Miłość i wiarę obudzi:

Cóżem obaczył?—czy łzę rozrzewnienia?
Iskrę zapału?—czy szyderstwo w oku?—
Cóżem posłyszał?—czy szmer poruszenia
Uczuć słuchaczów? czy głos współmyślenia?—
Czy szept obmowy na boku?—

Patrzali na mnie ściskając ramiony,
Lub drażnić chcieli słowa nieszczeremi,
Bym jako kuglarz, w pole wywiedziony,
Popisywał się przed niemi!—

Pojałem zamiar, i zamilkłem z trwogą.—
Gdy żywych uczuć nikt nie chciał podzielać,
Gdym żywém słowem nie wzruszył nikogo,
Mamże je w sztuczną pieśń wcielać?—

Natchnienie tylko z czucia Prawdy płynie,
Ale współczucie jest pieśni podniętą.
Gdzie tego nie ma—pieśń bez echa ginie,
Człowiek być nie chce poetą.

VI.

(W dziesięć lat później).

O! Boże! dawco siły i pokoju!
Jakiemiż słowa hołd dzięków Ci złożę,
Żeś mi po tylu walk i cierpień znoju,
Siłę i pokój dał znaleźć—w Pokorze?

Ty wiesz, o! Panie! że sercem i słowem
Duch mój od młodu Tobie służyć pragnie.
Lecz jam Cię świętym chciałem uczcić stugłowem,
Gdy mię za ledwo stać było na jagnię.

I niepamiętny, że tylko od Ciebie
Dar nam przyjsię może godny chwały Twojej:
Jam go naprózno chcąc stworzyć sam z siebie,
Mdał tylko w czuciu bezsilności mojej.

I zwykłym torem męczenników dumy,
Winę swą z siebie przerzucał na ludzi:
Czemu mię podnieść nie umięją tłumy?—
Czemu ich oklask sił we mnie nie wzbudzi?—

I gdy z ołtarzów braci mój rówiennój
Dym ofiar wzrastał przed memi oczyma:
Cud w tém był tylko modlitwy codziennój,
Żem na nie patrzył nie okiem Kaima.

Cud w tém był Twojej łaski tajemniczój,
Że same wrogów urągania ciche,
Nie Miłość we mnie, tchem swojej goryczy,
Lecz tylko rażąc—zabiły mą Pychę.

A jak bojownik, gdy ujrzy w potrzebie
Że go bohater ochrania i wspiera:
Doś mu już tylko zapomnieć na siebie,
Aby mógł stać się częścią bohatera;

I ufny w jego, a nie w swojej sile,
Lub na jój godne odważył się dzieła,
Lub sam czuł zadość, czyniąc tylko tyle,
Ile go ona wzmogła i natchnęła.

Tak—dzięki Tobie niech będą na wieki!—
Zaledwem przestał ufać siłom własnym,
Zaledwem uznał cud Twojej opieki,
Pokój w méj duszy zaświtał dniem jasnym.

I pomnąc dumne młodój myśli szale,
Rzekłem: „Ty dzierzysz darów Twoich szale!
„Daj mi Cię ucześć—nie blaskiem méj chwały,
„Lecz ich użyciem ku Twój tylko chwale!” —

I ledwo bojaźń sądów tego świata,
Jak duch kuszący, z myśli ustąpiła:
Wnet jak ożywczy chłód rosy śród lata,
Nie moja we mnie rozlała się siła.—

Co bądź z niej wzrośnie—duch mój stąd nie reści
Praw do swój chluby; byle Prawdzie g'woli,
Tobie niósł w pieśni cześć na wysokości,
A pokój myśli ludziom dobrej woli.

1830—50.

DO ADAMA MICKIEWICZA.

I.

(Z okoliczności wyrażonej w teście).

Ty mi zazdrościsz, że na sercu mojem
 Siadł robaczek Święto-Jański; *)
Ty, na którego, jak ognistym zdrojem,
 W natchnieniu spływa duch Pański!

Ty, od którego, jak krąg aureoli,
 Bije blask Prawdy i chwały,
By serca braci, w smutku i niedoli,
 Gwiazdę nadziei w nim miały!

O! uznaj rączej, że przy twoim boku,
 Któryś jest natchnień mych źródłem,
Drobny ten świetlik, ledwo widny w mroku,
 Istnłem méj sławy jest godłem.

*) W okolicach Rzymu, i zapewne gdzieindziej we Włoszech, mnóstwo jest latających świetlików, które zaczynają latać o zmierzchu.

I sercu memu dość na téj nadziei,
 Że jak on, w ziomków wspomnieniu,
Odblask przyjaźni twojej i idei,
 Lśnić będzie na mém imieniu.

1830 w Rzymie

II.

(Po powrocie z Wezuwiusza).

O! dzięki ci! Jam dzisiaj sam, i moja dusza
Była najbliżej Nieba, najwyżej nad ziemią!—
Przy tobie—na wierzchołku ścian Wezuwiusza,
Nad otchłanią—gdzie w głębi ognie piekieł drzemią
Po nad ziemią—co zda się jak raj u obrazem;
Po nad morzem—zwierciadłem blasku i obwodu
Najpiękniejszego nieba: na którym zarazem
Słońce gasło, a księżyc wznosił się od wschodu;
Sród jakby zlanych w jedno tych cudów przyrody:
Nieba, ziemi, powietrza, i ognia, i wody,
I w obec jak symbolu dziejowych kolei
Przeszłości świata—chwały i ruin—Pompei:
Stać przy tobie—najwyższym wieszczu swego wieku,
Stać jako przy najmilszym na świecie człowieku,
Czuć uścisk dłoni twojej, serca twego bicie,
Gdy jeden płaszcz dla obu służył za okrycie,

A jak gdyby pod skrzydłem twój orlój potęgi.
Myśl i duch mój leciały w nadgwiżdżyste kręgi!...

O! ty mój! tyś mi dzisiaj był zda się widomie,
Czém w duchu byłeś zawsze — zesłańcem z wysoka!
I twój płaszcz — od którego barw słońce jak płomień
Biło blaskiem — zdał mi się jak ów płaszcz Proroka,
Przez który duch od Mistrza zszedł w Elizeusza. —
I jak bądź nie śmiem ufać bratnim wróżbom twoim —
Gdy się kiedy pieśń moja wzniesie — jak dziś dusza,
Tyś przewodnią, ty wsparciem, tyś jest Mistrzem moim!

1830 w Neapolu.

WSCHÓD SŁOŃCA NA RIGI *).

DO TOWARZYSZÓW PODRÓŻY.

ADAMA MICKIEWICZA I ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

Mgła jak morze zalewa ziemię— a nad ziemią,
Na tle przezrocza niebios ciemnego lazuru,
Szczyty Alp, jak olbrzymy z białego marmuru,
Podnoszą się, bieleją—i snać jeszcze drzemią.
Istny obraz szeregu Patryarchów—którzy,
Wzrosłszy duchem ku Niebu po nad świat poziomy,
Czekają jeszcze światła, co im duch ten wróży.
I u stóp ich świat jeszcze we mgle nieruchoméj.—

*) Rigi, góra w Kantonie Uri (8,000 stóp nad powierzchnią morza), z której wzrok ogarnia całe pasmo Alp Berneńskich, kilkadziesiąt miast, wsi, jezior, i sięga aż do Niemiec. Wspanialszego obrazu, jak wschód słońca na Rigi, nie ma pewnie na kuli ziemskiej.

Lecz patrzcie!—jak cudowna jasność na Horebie,
Wschód się zatlił;—i oto, jak piorun z obłoków,
Blask ognisty wytrysnął—rozbłysł się po niebie—
I szczyty gór już iskrzą—jak myśli Proroków.
Ale słońca nie widać—i świat w mroku jeszcze.

Wtém, patrzcie! istny wybuch wulkanu!—to słońce!
Weszło—i jak w kaskadach potoki iskrzące,
Światło z gór spływa na dół—i góry, jak Wieszcze,
Budzą świat.—

Mgła się rusza, podnosi się, kłębi.
I wtém wiatr — jak zbudzonych tchnienie gór, z ich
wierzchu
Powionął.—Mgła u góry rzednie, lśni—lecz w głębi
Skupia się i czernieje, jak sklepienie zmierzchu.

Marna walka!—O! słońce! o! wy góry białe!
Śnieżne same, lecz jego światłem gorejące!
Odblask wasz najpiękniejszą słońcu daje chwałę,
Jak najpiękniejszym blaskiem was uwieńcza —słońce.

O! Prawdo! o! Wieszczowie! oto wasze wzory! —
Lecz patrzcie!—ta najwyższa w tych olbrz; mów gronie,
Ta, tak dziewiezo-kształtna, tak piękna!—na której,
Kaźda gra światła naprzód mieni się i płonie.
Nim ją powtórzą szczyty niższe, i nim z onych
Spłynie niżej i niżej—aż zejdzie do ziemi!
To Jungfrau!—To Geniusz, pomiędzy ziemskimi
Wysokościami ducha!—To blask prawd natechnionych!—

O! przyjaciele moi! towarzysze mili!
Bracia serca i pieśni! Ty, coś już w tój chwili,
Śród wieszczów ludu twego, jest jak ta dziewicza.
Góra między siostrami! O! i ty! któremu,
Tęczą młodzieńczych ogni, z oczu i z oblicza.
Świeci niemylna wróżba, że wzrośniesz ku niemu!
Przyjmcie mię w pośród siebie!—i wszyscy zarazem,
Po nad zamgloną ziemią, przed Niebem bez chmury,
Ślubujmy Ojcu Prawdy, a Stwórcy Natury,
Prawdę w pieśni, i miłość, i cześć—o! i wspólne
Służby wspólnój Rodzicy!—A jeśli powolne
Natchnieniu Jego stróny, Pański duch obudzi,
Jemu chwała!—w Nim tylko moc i światłość ludzi.

1830.

DO KLAUDYNY POTOCKIEJ.

*(Ofiarując jój przepisany exemplarz przekładu
„Czycieli Ognia”).*

Niech ci, Pani, na miłą pamiątkę zostanie,
Ta pieśń, to przyjacielskiej ręki przepisanie!
Pieśń cudza—lecz przez duszę moją gdy płynęła,
Tyle z sobą mych myśli, uczuć moich wzięła;
Tyle w niej, jako w rzece, wzdłuż krótkiego biegu,
I chwil, i twarzy miłych odbiło się z brzegu:
Że jako na różańca ziarna tajemnicze,
Na jój słowa i rymy dni szczęśliwe liczę,
A jakby przywołany ich wspomnień urokiem,
Obraz twój spływa ku mnie, i staje przed okiem.

Tyś duch wieszczy z długiego zbudziła uspienia,
Tyś mu dodała skrzydeł wzlatać w kraj natchnienia;
Tyś, po Bogu, najpiérwsza téj pieśni słuchała,
Ja raz piérwszy uczułem, jak jest marną chwała,
Obok łez lub zapalu wielkiej, świętej duszy,
Kiedy ją pieśń przeniknie, uniesie lub wzruszy.

Pani! ja dziś odjeżdżam—a słowa rozstania
Święte są i prawdziwe, jak w chwili skonania.
Można rzec co się czuje, a serca nie razić;
Można cześć wyznać, a ust pochlebstwem nie skazić.

Słuchaj więc! Tyś w mych oczach wyższa od
ziemiarki,
Wyższa duszą kobiety, Polki, Chrześcijanki!
Blask twój ziemską mych myśli rozproszył ślepotę.
Wiém dziś, jak kochać Boga, kraj, ludzi, i cnotę.
I jeżeli mię liczyć będą w jakiej chwili,
Ojczyzna do tych synów, co się zasłużyli;
Ziomkowie do tych wieszczów, co pieśniami swemi
Rozwinęli choć jedną dobrą myśl na ziemi;
Bóg do wybranych dzieci, które uzna w Niebie—
Ja tu i tam z wdzięcznością ukażę na ciebie.

1832 w Dreźnie.

DO STEFANA WITWICKIEGO.

(*Podziękowanie za exemplarz „Wieczorów.”*)

O! jako w sobie dusza czuje słodkość nową,
Gdy mądrą, a z ust miłych napoi się mową,
Co jako deszcz majowy bujnemi kroplami,
Przesięknie w nią aż do dna żywemi słowami,
A myśli w nią, jak kwiaty więdnące, z rozkoszą
Piją ożywczą rosę, a główki podnoszą:
Lub jak owe ptaszęta, co skwarem spragnione,
Siedząc niemo, a dziobki trzymając ściśnione,
Uczuwszy chłód rzeźwiący, zaraz się trzepocą
Skrzydółkami, a głosu probując, świegocą;
A człek się, jak ogrodnik, uśmiecha radośnie,
Marząc, co może w jesień z tych kwiatów wyrośnie!

Oto masz wierne mojej duszy malowanie,
Gdy twój duch, z kart twój księgi, mój luby Stefanie!
Owionął mię i porwał, podniósł i ukorzył;
Gdym przezeń zamarł sobie, a ku Prawdzie ożył,
I w sercu poczuł zapach natchnionej ochoty,
Do podobnej dla miłych współziomków roboty.

Tak leniwy myśliwiec, gdy się darmo znuży,
Odstawi strzelbę, siądzie, i oczu zamruży,
Gotów nawet zapomnieć strzeleckiego sromu,
Gdy w wieczór przyjdzie z niczém powracać do domu:
Wtém mu nagle nad uchem wystrzał zagrzmi w lesie,
I towarzysz jelenia albo sarnę niesie.
Więc się zrywa zbudzony, i znów ima broni,
I chłodząc wstyd na twarzy — wiatry w polu goni.

Lecz mnież to rość ku tobie zuchwałą nadzieją,
Serdeczny narodowej prawdy kaznodziejo!
Co i sam jój zbadaniem głębszą myśl zdumiewasz,
I do serc z pełni serca miłość jój przelewasz?—

O! jak snać, jako woda czysta a spokojna,
Rozlała się w twój duszy mądrość bogobojna!
Jak jasno z dna jój głębi błękit Niebios bije!
Jak wykwitają myśli, jak wodne lilije!

Biada mu! kto ją widząc nie będzie się kwapić,
Przejrzeć się w niej, oczyścić, a wewnątrz się napić;
Kto na pamięć ku służbie ojczystej i Bożej,
Kwiatów onych ku swojej piersi nie przyłoży!—

Przyszła bowiem godzina skruszenia bałwanów!
Sam Duch Czasu, Duch Boży, jak brzmienie organów,
Z tysiąca ust, tysiącem różnych głosów woła:
Starą Cnotę do domu, Wiarę do kościoła,
Grzeszników do pokuty; wszystkich samych w siebie,
I z wszystkiemi o litość do Ojca na Niebie!

O! jakież nie ma wewnętrzném tehnąć rozradowaniem,
Czyj głos, jako wódz chóru przed wspólném wołaniem,
I w ojczyźnie najszerzej Bożą Prawdę głosi,
I ku Niebu najwyżej bratnią myśl podnosi!

1835 w Dreźnie.

DEOTYMY.

I.

*(Po przeczytaniu pierwszych jej improwizacyj,
ogłoszonych w gazetach Warszawskich).*

Deotymo! wieszczko nasza!
Z tego, co nam wieść ogłasza,
Z tego, co w twój pieśni czuję,
Wiém na pewno—nie zgaduję,
Że ty sama, w owój świętej,
Tajemniczój, niepojętej,
Uroczystój chwili ducha:
Gdy jak arfa w mistrza rękę,
Mimo swojej, z drzeniem słucho
Woli jego, i w słów dźwięku

Brzmi jak stróna:— że w téj dobie,
Czujesz sama, że nie w tobie,
Nie w twój myśli gore owe
Światło twórcze, Memnonowe,
Co jak w piersiach głazu budzi
Głos budzący serca ludzi:
Jak z ust ssących wywieść zdoła
Słowo, które świat obwoła:
Tak z wyższego snać przejrzenia,
Zehodzi na cię z sfer swych górnych,
I dziewicze twe marzenia,
Jak mgły lekkie gór nadehmurnych,
Topi w wieszczych pieśni zdroje,
By szły krzewić na płaszczyzny,
Nie laur tylko na skroń twoję,
Lecz i palmę dla ojezyny,
Na usłanie drogi Pana!—

Deotymo! na kolana!
Bo tak tylko człowiek może
Przyjąć godnie dary Boże,
I zrozumieć, jako niemi
Cel ich spełnić na téj ziemi.

Deotymo! gdy Pan wzrusza
Lud do czynów w Izraelu,
Tehnie głos z ust Elizeusza,
By przodkując zwał do celu.—
Gdy ma skarać—wprzód ogłasza,

Jękiem słów Jeremiasza,
Groźby swoje, nim je ziści.—
Lecz gdy wzruszon skruczą ludu,
Czeka tylko, aż oczyści
Resztę zmaz, by łaskę cudu
Zjawić nad nim;— woneczas budzi
Chór Anielskich głosów, które,
Tchną z Nadzieją w serea ludzi
Wiarę, Miłość i Pokorę,
Te trzy źródła oczyszczenia,
Te trzy zdroje namaszczenia,
Trzy rękojmie odrodzenia!

Deotymo! w tym to chórze
Stajesz, wieszczko powołana!
Na wzniesienie serc ku górze,
Na świadectwo mocy Pana:
Ducha duchów, co natchnieniem,
Stwórca, rządzi swém stworzeniem;
Na wstyd mędrków, cielców tłumu,
Bałwochwalców sił swych *umu*;
O! i oby na wzór, który
Twymby braciom wskazał tory,
Do Miłości, do Pokory!

Deotymo! dziś dar Boży
Blaskiem obu w tobie świeci.
Młody zapał miłość nieci,
Przed natchnieniem duch się korzy.

Świat twe pieśni, jak twe wdzięki,
Wita, jakby wschód jutrzeńki,
Ukazuje, nie zaciemia.

Deotymo! lecz to ziemia!—
Przyjdą chwile, gdy pospołu
Burze z góry, mgły od dołu,
(Burze losu, mgły zawiści),
Grozić będą:—boć to droga,
W której każdy duch się czyści,
Powołany dójść do Boga.

Deotymo! wtedy pora,
Aby Miłość i Pokora,
Z darów Nieba, w serca probie,
W twą zasługę przeszły w tobie,
I jak w ogniu piaski złote,
Z uczuć tylko—stwardły w cnotę,
By z niej pieśni, jak promienie,
Niosły światło i natchnienie.

Deotymo! skarb' więc z rana
Treść ich mocy!—Nie świat w ludzie,
Lecz w Ludzkości kochaj Pana!
Taka miłość dotrwa w trudzie,
Taka tylko nie omyli.

A gdy słyszysz, w natchnień chwili,
Jak oklaski ku twój chwale
Wrą gdzieś w dole, jako fale:

Wzrok twój w Niebo niech się wzbija,
Zkąd Bóg patrzy w myśl człowieka,
I gdzie Święta Cecylia *)
Na patronkę pieśni czeka.

*) Ś. Cecylia, Patronka Muzyki.

1854.

II

(Odpowiedź na wiersz do mnie).

Dzięki ci, dzięki! wieszczko dziewico!
Że chcesz zakłębem ucuć przyjaźni
Cieñ mój wywołać przed twą źrenicą,
W zwierciadle czarów twój wyobraźni!

O! i myśl moja, na głos twych 'pieśni,
Czuję, jak wzajem rwie się do ciebie,
Jak ptak stęskniony z klatkowej cieśni.
Słyszac skowronka piosnkę o Niebie.

Moc-li w tém twoich zakłęb uròku,
Czy tylko wyższych natchnień potęga?
Czy tajemnicza siła wyroku,
Co w sferach ducha mój z twoim sprzęga?—

Bo wiész podanie z krajów kamieni?—
Najpośledniejszy w skarbnicach ziemi,
Wagl—przez to tylko, że blask promieni
Słońca rad wsiąka i tleje niemi:

Może wejść z czasem w skład dyamentu,
Co w twórczej mistrza ociosan dłoni,
Promiennym ogniem gwiazd firmamentu
Gore na ludzkiej piersi lub skroni.—

O! Deotymo! mnie Bóg od młodu
Dał stać i krażyć, z daru swój łaski,
Śród mistrzow pieśni, śród słońc narodu,
I tchnąć ich ogniem, wsiąkać ich blaski.

Mnie w progach życia, jako duch z góry,
Dłoń opiekuńczą podał jak bratu,
I w swe objęcia przyjął ten, który
Duch nasz dziś w sobie wyraża światu.

Mnie—gdym bez niego, jak pielgrzym w nocy,
Został sam nagle, z sercem złamaném:
Łzy moje po nim i żal sierocy
Słodzili społem: Stefan z Bohdanem.

A gdym z nim znowu, w cudzych krainach,
Szedł, gdzie nas nęcił wdzięk ich lub sława:
Z nami na starych Rzymu ruinach
Stał, jak brat trzeci, śpiewak „Wacławą.”

Z nami. na szczycie Alp ponad-ziemnych,
W obec Dziewiczej Pani ich grona,
Wymienił śluby uczuć wzajemnych
Przyszły wieszcz-twórca „Irydiona.”

Na czoło moje kładł niegdyś dłonie,
Jak wieszcz i kapłan, Ursyn sędziwy;
Na piersi mojej wspierając skronie,
Konał „Wiesława” śpiewak cnotliwy.

O! Deotymo! i nie tu jeszcze
Koniec uroczych imion łańcucha!—
Geniusz pojąć dali mi wieszce.
Lecz wieszczom nawet, jeszcze świat Ducha

Stał pod zamknięciem;—choć już nadchodził
Dzień, gdy na stosie wspólnej ofiary,
Ogniem swój skruchy, przed słońcem Wiary,
Nowy się fenix—duch nasz odrodził.

Wtedy z nim razem zabłysło imię,
Jak zwiastujący go blask komety.—
Wspomnieć go w ziemskim nie śmiem ci rymie,
Dziś już nie ziemskie imię, niestety!

Ale od krańców kraju do krańców
Spytaj!—a nikt go nie przeinaczy:—
Kto był pociechą smutnych wygnańców?
Kto był opieką błędnych tułaczy?—

Lecz kto w Niój bliżej znał moc natchniętą,
Moc tajemniczą wyższego świata,
Prócz mnie?—com przed nią kląkł jak przed Świętą,
A Ona rzekła: „bądź mi za brata!”—

O! Deotymo! to mój przewodni
Duch-stróż, na drogach ducha i życia.—
Lecz skarb, com zebrał od Nich i od Niój,
Nie mnie snąć chciano dać do użycia.—

Bo cóż że we mnie on, jak zaklęty,
To błyska w myśli, to w sercu gore:
Czuję, że trzeba siły natchniętej,
By go o władnąć i użyć w porę.

Gdzież więc i komu zdam go przy grobie,
By się w proch marnie nie rozwiął ze mną?—
Ta, co być miała podobną tobie,
Orszula moja—poszła przedemną!

I odtąd próżno szukam na ziemi
Tych, co go warci, lub co go przyjmą.
Tych pycha wzdyma, tych mierność ciemi.—
Wtém głos twój zabrzmiał, o! Deotymo!

Nie ziemskich natchnień poznałem echo,
Świętość natchnienia zgaǳłem w Pokorze.—
Ty chrześcijańskich dusz być pocięchą,
Ty masz im głosić Królestwo Boże!

Sił albo światła, co Duch technie z Nieba,
Mnie czerpać z ciebie, nie tobie ze mnie.
Lecz co tu łzami okupić trzeba.
Owoc doświadczeń— ty przyjm odemnie!

Zwij mię twym bratem, nie przewodnikiem;
A skarb idei, w podaniu świętém,
Co we mnie tylko był jak węglikiem,
Oby się w tobie stał dyamentem!

1854.

TECZA I RZEKA.

(WIERSZ POŚWIĘCONY DEOTYMIE).

Z krynicy ukrytej w cieniach,
Niewidny z brzegów swych węzi,
Jęcząc po ostrych kamieniach,
Szemrząc przez sploty gałęzi,
Ponik, zdrój, strumyk się sączył.
I na piaszczystej równinie
Umilkł. — Czy zawód swój skończył?
Wsiąkł, zginął w piasku? czy zginie?
Sądziłi różnie — on płynął.
Aż jako sztandar w dzień sądu,
Anioł burz kir swój rozwinął.
I gromem wstrząsnął głab' ładu.

Wstrząsł się i strumyk: — i z boków,
I ze dna jego, i z góry,
Wezbrane fale potoków,
Gęste łąy deszczu, i chmury,
Wzmogły go — lecz i zaćmiły.
A gdy jał rosnać w nurt rzeki,

Cień ponadbrzeżnej mogiły
Wzdłuż nad nim zaległ na wieki.—
I odtąd w wód swych przezroczu,
Sam jak przepaska żałoby,
Odbija tylko dla oczu,
Pochmurne niebo i groby.

* * *

O! jakże różny los tęczy,
Co na tle burzy u końca,
Razem zwiastuje i wieńczy
Tryumf pogody i słońca!
I z wszystkich jego barw razem,
Snując tkan niebios przepaski,
Od razu błyszczy obrazem
Przymierza, cudu, i łaski.
I świeci ziemi, jak droga,
Którą duch na świat zszedł z Nieba,
By ludzi wołać do Boga,
I wskazać kędy iść trzeba!

O! i nad rzeki korytem
Pas jój uroków rozwisnął,
I w świetle od niej odbitém
Nurt barwą życia zabłysnął!—
I dwóch sił—ziemskiej, natchnionej,
W ich spójni figura żywa:
Tęcza—łuk z Nieba zwieszony;
Rzeka—to ziemska cięciwa.
Tęcza—to jakby widomy

Ark tryumfu, portyk Nieba;
Rzeka—to jego poziomy
Próg—który przecięż przejść trzeba.
U kresów tylko je zbliża
Źródło i cel przeznaczenia:
Jak się myśl grobu i krzyża
Łączy z nadzieją zbawienia.

* * *

A więc o! tęczo! o! rzeko!
Krzepcie się jedna przez drugą,
Jak bądź ty płynąć daleko,
Jak bądź ty świecić masz długo!

Lecz rzeko! choćbyś ty wzrosła
W potęgę Niemna czy Wisły;
Choćby nad tobą i wiosła
I białe żagle zabłysły;

Lecz tęczo! choćbyś ty w czarnej
Pomroce, która świat ciemi,
Przeszła w blask zorzy polarnój,
W blask aureoli swój ziemi;

Biada i tęczy i rzece,
Gdyby w tryumfu godzinę,
Tęcza rzec śmiała: ja świecę!
Rzeka rzec śmiała: ja płynę!

Z jednych—choć z góry i z dołu,
Płynie rąk światło i woda.
Źródłu hołd nieście pospołu,
Ono wam wzajem sił doda.

I gdy się rzeka w swém morzu
Bez śladu zmięsza i zginie;
I gdy się w niebios przestworzu
Tęcza w mgłę kiedyś rozplynie:

To wam u świata na wieki
Niech wspólną pamięć zaręczy:
Że kto się wpatrzył w głąb' rzeki,
Ku Niebu wznosił się po tęczy.

1855.

WAJDELOTA DO SWOICH.

PO WIDZENIU JADWIGI.

*(Wiersz z powodu piérwszój styszanój improwizacyi
Deotymy: „Do Litwinów o Litwie”).*

Widziałem ją, widziałem!—O! to nie dziewczica
Piękność tylko, co z oblicza,
Co jak jasność lśni z Jój oka!
Owa jasność tajemnicza, -
Co z świętego ognia Znicza,
Nie od ziemi, lecz z wysoka
Bije w serca!—I w Jój głosie
Brzmi uroczy ton, jak onój
Wajdelotki, co w natchnionój
Pieśni, przy Krywejty stosie,
Głosi—nie jęk uzalania
Nad żywym jego pogrzebem:
Lecz wielki hymn poświęcenia
Lecz nadzieję połączenia,
Przez ofiarę—Ziemi z Niebem!

A Jéjże słowa!—O! bracia moi!
Lutnię nam naszą skruszyć w kawały,
Kto z nas ją tylko dla własnej chwały,
Dla echa na ziemi stroi!

Lecz kto z niej w duszy hołd Niebu złoży,
Ten Ją niech widzi, ten Jój niech słucha!
Moc w nim rozmnoży, pychę ukorzy,
Cud i potęga: Słowa i Ducha.

1857. Lipca 6, w Warszawie.

DO WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

(Z okoliczności wiersza jego, p. t. „Lirnik”).

Lirniku ty nasz rzewny!
Urok liry twój śpiewnej
Czują serca narodu.
Słuchaj, z jaką rozkoszą
Witają cię i głoszą,
U bram twego zawodu!

Czy na Rzymskiej cytarze,
Czy na wiejskiej fujarze
Zagrasz—oklask się budzi.
Przecz więc z liry twój rzewnej
Brzmi jak gdyby ton gniewny
Na społeczność, na ludzi?

Cóż że może ktoś w tłumie
Pieśni poczuć nie umie?
Ktoś nie słyszy, nie słucha?—

Je no tylko na świecie
Żądać wolno poecie:
By go pojał brat z ducha.

Od Anioła do ptaka,
Bóg nie stworzył śpiewaka
Ku czci jego samego.
Wszystkim, w dole i w górze,
W jednym tylko stać chórze,
Ku czci Stwórcy swojego.

Anioł w chwale promiennój,
Ptak w pogodzie wiosennój,
Wieszcz w Prawdzie i Miłości,
Czerpią Boże natchnienia,
By Mu wzajem wznieść pienia,
W Niebie, w świecie, w ludzkości.

Któż z twych pieśni nie zgadnie,
Jaka miłość w nich na dnie?
Jak myślami tęsknemi
Gonisz Prawdę i Cnotę? —
Lecz nie piaski to złote,
Nie wykopiesz ich z ziemi!...

Prawda z góry, od Pana.
Jest jak światłość rozlana:
Wszędzie część—nigdzie całość.

Tak lśni w iskrach i rosach,
Jak w gwiazdach na niebiosach.
Jedna różnica — trwałość.

Prawdy ludzkie, poziome,
Są jak rosy znikome,
 Jak skry z chwilą gasnące.
Lecz niebieskie, odwieczne,
To są gwiazdy słoneczne,
 Nieruchome jak słońce! —

Więc, lirniku uroczy!
W górę serce i oczy!
 Lira w Niebo niech dzwoni! —
Nie z perł rosy, choć lśniących,
Nie z iskr, choćby palących,
 Z gwiazd wij wieniec twój skroni!

Myśl! — nie co tu o tobie,
W obec ci, lub na grobie,
 Powie świat, co wždy błądzi?
Lecz jak cię tam, z użycia
Darów danych za życia,
 Pan i dawca osądzi? —

On cię wzywa ku Sobie,
On doświadcza w żałobie,
 On wziął twój skarb na ziemi:
By myśl z ziemskich padołów,
W ślad kochanych aniołów,
 W Nim szła mieszkać tam z niemi.

O! i oby nas obu,
Cośmy równie snać z grobu
 Głos wezwania poczuli:
Jak był wodzem w żałości,
Tak tam w progach wieczności,
 Spotkał ojciec Orszuli!

1850.

DO KAROLINY PRONIEWSKIEJ.

(Z powodu wiersza jój do Deotymy).

Ptaszek śpiewa
W cieniu drzewa,
Tém się nie frasuje:

Czy go w ciszy
Kto posłyszcy,
Pieśń jego poczuje?

Kwiat w ustroni
Woń swą roni,
Nie myśli i nie wie:

Komu w lesie
Ja zanieś
Wietrzyk w swym powiewie.

Lecz głos śpiewów,
Lecz woń krzewów,
To głos, technienie wiosny:
Z nich się składa,
Przez nie włada
Urok jój radośny.

A gdy wzbudzi
Wdzięczność ludzi
Bogu, za jój datek:
Są-li cudze
Tój zasłudze
Ów ptaszek i kwiatek?—

O! dziewico!
Gdy ci świecą
Myśli, jak promienie:
Gdy w twém łonie
Technie i płonie
Święty żar—natchnienie:

Choćby wszysej
Twoi blisej
Odwrócili ucha:

Ty wierz przecie,
Że jest w świecie
 Pobratymstwo ducha.

Piosnka tkliwa,
Myśl enotliwa,
 Podobne iskierce:
Dość niech wzlecą,
Wzdyc zaświecą
 W czyjaś myśl lub serce.

A gdy wpadną
W duszę na dno,
 Jako czynu ziarno:
Czyż pieśń taka
Dla śpiewaka
 Jest zasługą marną?—

Ja, gdym dźwięki
Twój piosenki
 Do wieszczki nad Wisłą,
Słyszał z boku—
Łzą w mém oku
 Współczucie zabłysło.

Więc wzajemnie,
Gdyć odemnie
 Głos ten będzie miły:

Gdy ci może
Doda w porze
Otuchy lub siły:

Porzuć żale!
Bożej chwale
Służ, jako ci dano!

A tve pieśni,
Później, weześniej,
W bratnim chórze staną,—

1856.

DO MŁODEGO AUTORA.

Jeśli kochając Boga, cnotę, kraj, i ludzi.
Miłość cię dzielić z niemi uczucia tve budzi;
Jeśli Prawdę, co z góry na twą duszę padła,
Chcesz braciom odbić w słowie, jak blask od zwierciadła;
Jeśli siłę doznaną przed czynem lub w czynie,
Chcesz rozlać na nich w pieśni: — pieśń twoja nie zginie,
I jako gość niebieski w ziemi twój zasiądzie,
I zasłudze dni twoich przyświadczy na sądzie.

Lecz gdy kochasz sam siebie tylko, a z próżności,
Kłamiąc miłość, chcesz ziomków dobić się miłości:
Jeśli szermując tylko słowem i rozumem,
Chcesz się jak zręczny kuglarz popisać przed tłumem,
I myślisz na to tylko, by twą myśl wnet piórem
Nakreślić na papierze: — możesz być autorem,
Lecz nie wieszczem, nie mędrcein; — a będziesz upiorem
Mózgu twego i duszy: — wysiesz je, zabijesz;
Wstrząśniesz kogoś, lub zdziwiesz; — lecz sam nie ożyjesz

W myśli i sercu ziomków; i echo twój chwały
Przebrzmi, jak głos bez słowa, odbity o skały.
A pomnij, że jest prawo, co Bóg postanowił,
Że każdy zda mu liczbę z próżnych słów, co mówi!

1857.

MONOLOG DŁUGOSZA *).

(DŁUGOSZ siedzi przy stole, napełnionym książkami, i pisze.
Po chwili, składa pióro i mówi):

Święta i straszna dziejopisa praca!
Gdy w głąb' przeszłości, jako w loch grobowy,
Zchodzi z pochodnią Prawdy, i obraca
Nią, z czcią i zgrozą, na ten proch wiekowy
Rzeczy i ludzi—co jak gruz i trumny,
Jedne na drugich piętrząc się w kolumny,
Znaczą tu drogę, kres—nie cel człowieka.
Gdy jak Czarodziej, laską swój potęgi,
Strąca z łoskotem owych trumien wieka,
By z lic umarłych, jako z żywej księgi,
Wyczytał, odgadł, te myśli, te siły,
Co w nich jak morze falą w serca biły.
Jak piorun grzmiały z ich ust, i gorzały
Z ócz ich nad światem, jak świata sygnały!

*) Monolog ten miał niegdyś stanowić początek prologu do dramatu historycznego z czasów Kazimierza Jagiellończyka.

I gdzie są ślady ich dzieł, prac, i chwały?
Pamięć ich zasług, cnót, i geniuszu?
Blask ich tryumfów, zwycięstw, majestatu?
Gdzie są?— W Homerze tylko, w Liwiuszu.
W pieśniach, lub w dziejach!— I gdyby ich światu:
Nie rzekł głos wieszczu lub dziejopisarza,
Któżby znał imię Bohatera-Greka,
Kto moc i wielkość Rzymskiego Mocarza?—

Dziejopis przeszłość po raz drugi stwarzał
I jak duch w Bogu, tak sława człowieka
W nim, przezeń tylko wiekuje na ziemi.—
Bóg i on tylko sędzia nad wszystkimi!

Lecz cóż gdy zbłądzi? gdy dumny lub płochy
Sąd, skrzywi prawdę, której nie zrozumie? —
Cóż, że tu milczeć będą martwe prochy?—
Lecz tam! ich duchy—gdy on sam w ich tłumie
Stanie przed Sędzią, co jeden wie jasno
Prawdę wszystkiego:—czyż się nie upomną
O cześć, o krzywdę Prawdy—i swą własną?—
Czém zdoła zgładzić potwarz wiekopomną,
Jeśli nie wiecznym wstydem i zgryzotą?—
A gdzież szaleniec, coby śmiał w swój dumie
Czuć się niemylnym?—on, co za ciemnotą
Siebie samego wskrós przejrzyć nie umie!

(Powstając i wznosząc ręce ku Niebu)

O! źródło życia, prawdy i światłości!
Ty mi bądź świadkiem, że z czią i pokorą
Służąc ojczyźnie: z jój tylko miłości,

Jak drudzy oręż, ująłem za pióro.
Że mi nie idzie, aby imię moje
Wślawić u świata:—lecz aby z méj pracy,
W dziejach jój, Panie! cel i wolę Twoję,
Jak ja sam, przez mię pojęli rodacy.
I z cnót naukę, a z błędów przestroję
Czerpiąc na przyszłość—szli, współ z wszystkiemi
Braćmi w Chrystusie, prostować Twą drogę,
I Twe Królestwo budować na ziemi!...

O! i niech piętno sromoty i kaźni
Spadnie na pióra! coby śmiały po mnie,
Z lichój rachuby, lub czezój wyobraźni,
Prawdę dziejową deptać wiarołomnie!—
Próżna ich ufność w sztuce lub rozumie,
W namiętnych rzutach, lub zwrótach wykrętnych!
Duch nie tehnje światłem ku fałszom i dumie,
Jak słońce w zdrojach nie przejrzy się mętnych.
I talent będzie—nie jako przewodnia
Gwiazda niebieska, co świeci nad braćmi:
Lecz lub jak ognek, co mami przechodnia,
Albo jak główńia, co blask dymem zaćmi...

1854.

SĄD POETY.

Z PAWŁA KUKOLNIKA.

Żal, płacz i łkanie, nad łożem śmiertelném
Wieszczą narodu!—W nim blask jego chwały,
W nim zgasł wódz myśli!—On swém pieniem dzielném
Poruszał serca. Jemu Nieba dały
Natchnienie—dar swój najdroższy w człowieku.
Ojczyzna jego pyszniła się dzieły,
Imieniem jego usta ziomeków tęnęły,
On cud, on podziw, on Geniusz wieku!

I jeszcze w narodzie pieśń jego ostatnia
Budziła serc życie i siły:
Gdy z pieniem kapłanów, gromada już bratnia
Do zimnej go wiodła mogiły.
I wkoło cześć jego, jak dzwony pogrzebu,
I wkoło jęk ludu, jak hymny,
Z serc wszystkich, z ust wszystkich brzmiać chórem
ku Niebu,
Na wieki zegnały proch zimny.

* * *

I duch Poety z wysoka, z nad świata,
Widzi tę żalność, ten hołd ludu swego.
Widzi, że osiągnął, co chciał: że zapłata,
Za którą gonił, nie zawiodła jego.

Świat mu dał wszystko, co mógł; co wieszcz może
Żądać od świata. I urok téj chwały,
Urok tryumfu—lecący ku górze
Duch jego, jeszcze ku ziemi wiązały.

Lecz próżno! wyższa siła go porywa,
Gdzie mu na wieki Pan zostać przeznaczy.
I słyszy straszny głos, który go wzywa
Przed tron Sędziego—co sądzi inaczej.

Przed którym mądrość tego świata—głupstwem,
Wielkość—jest tylko gwałtem, lub morderstwem;
Sława—próżnością; miłość—samolubstwem;
A pieśń dla chluby tylko swój—błuznierstwem.

* * *

I ziemia wnet znikła z pod stopy Poety,
W błysk oka prześcignął gwiazd kręgi;
Miljony słońc minął przelotem komety—
I przed nim—blask Bożej potęgi!

A nad nim z jasności, z przybytków przedwiecznych,
Brzmiały chóry Zastępów i Tronów;

Hymn pieśni Anielskich, dźwięk światów słonecznych,
Hozanna miljona miljonów!—

Jak piorun przeleciał przez chmury Aniołów,
Przez rzędy Proroków przelata.
Już zastęp Wyznawców! już krąg Apostołów!
I stanął—a przed nim Pan świata!

* * *

Prawda i Cnota, u stóp Majestatu
Stoją:—lecz nie te, co je świat tak zowie.
Prawda nie owa, co fałsz barwi światu,
Cnota nie owa, co brzmi tylko w słowie:
Ale co wiedzie w ślad za Bożym Synem,
Ale co wiarę Weń potwierdza czynem.

A obok przy nich jest Miłość:—lecz nie ta,
Co ją w swych rymach opiewał poeta.
To miłość bliźnich, dla miłości Krzyża;
To miłość Boga, co ku Bogu zbliża.

A dalej Mądrość:—nie owa rozumu,
Jak wąż zdradziecka, i jak on, myśl tłumy
Pychą kusząca;—lecz co uczy siebie
Być doskonałą, jak Ojciec na Niebie.

* * *

I duch Poety drżąc patrzy na Sędzie.—
Przed sądem Jego, cóż go bronić będzie?
Geniusz? talent?—Toć są dary Jego,

Dane mu do użycia—lecz dla czego?—
O! i Pan widział—czy się pyszniąc niemi,
Nie zaparł Dawcy? Czy przez nie na ziemi
Czynił, co kazał Dawca? Czy ich użył
Dlań, czy dla siebie? A na co zasłużył,
Zali już nie wziął tam?—

Wieszcz ze łąz w oku,
Patrzy na Sędzię—i czeka wyroku.—

* * *

Wtém półki Aniołów zlatują z około,
Oblicza ich w tęcze promienne się zlały.
I oto przed tronem błysł miecz Archaniola,
I słowa Sędziego zagrzmiały:

„Jam w mocy słowa dał ci grom, byś w rymie
„Twym grzmiąc nad światem, świat budził do skruchy;
„Bojaźń Mą wrażał w serca; Moje imię
„Wślawił u ludzi—a gromił złe duchy.

„Jam ci w natchnieniu dał miecz Archaniola,
„Byś bronił cnotę, a karciał bezprawia;
„Byś rozciął sidła, co ludziom dokoła
„Duch namiętności i fałszu zastawia.

„Jam ci dał w pieśni arfę Cherubinów,
„Abyś jój brzmieniem jęk ludzi łągodził;
„Do serc ich wlewał miłość dobrych czynów,
„Dobrym ich myślom ku Niebu przywodził.

„Nimem cię wybrał, przez wieki na Niebie
„Chroniłem dary, com ci dał dla ziemi.—
„Mów więc!—jak one użyte przez ciebie?
„Coś zrobił przez nie?—i coś zrobił z niemi?—

„Ażas nie przeniósł oklasków słuchaczy,
„Nad chwałę Moich duchów nieśmiertelnych?
„Chwili, nad wieczność?—Czegoś słuchał raczój,
„Czy woli Mojój, czy pokus piekielnych?—

„Wieszczą na ziemi cel—zbliżać nawzajem
„Mnie z swym narodem, i swój naród ze Mną.
„A ty? Czyś myślał o Mnie, i nad krajem?
„Coś kochał więcej nad twą chwałę ziemną?
„Mów!“—

A wieszcz: „Panie! miej litość nademną!“—

Wtém chóry Aniołów, głosami zgodnemi,
Zabrzmiały z jasności potoków:
„O! przepuść mu, Panie! On syn swojej ziemi!
„Izrael ma tylko Proroków!“

1859.

PROROK.

Z PUSZKINA.

Duchowém pragnieniem palony,
Błądziłem po stepów przestworzu;
Wtém sześciami skrzydły osłonięty,
Seraf spotkał mię na rozdrożu.

I lekko, jak senne widziadło,
Tknął mych oczu ręką bez ciała.
„Przejrzyj!” rzekł—i bielmo z nich spadło.
I raz piérwszy wieszczą źrenica,
Jako przestraszona orleca,
W otwarty świat ducha spójrzała.

Duch końca powietrznych swych palców
Ścisnął, i do uszu mych włożył.
I dziwny w nich słuch się otworzył.
Poczułem dźwięk planet obrótu,
I w chmurach świst ptaków przelotu,

I szum morskich fal, i pod niemi
Ruch ryb, i pełzanie padalców,
I rośnienie trawy na ziemi.

Duch do ust mych sięgnął—i z gardła
Dłoń mi jego język wydarła,
Pustosłowy, chytry, kłamliwy;
I dał mi zań żądło węzowe,
Ostrz za słowo, jad za wymowę,
I głos Prawdy—jak syk przeraźliwy.

I w pierś mą swe palce, jak miecze,
Duch wraził—i serce człowiecze,
Samolubne, płóche i trwożne,
Wyrwał z niej—i w miejsce to próżne
Wrzucił węgiel żywych płomieni,
Co mi duszę przetlił do rdzeni.

I jak trup leżałem w pustyni,
Aż głos Pański zabrzmiał z wysoka:
„Proroku! wstań! idź, i prorokuj!
„Znasz Mą wolę:—patrz! co świat czyni.
„Głoś Prawdę—pokutę, nie pokój!
„Świat przeklnie—Ja wsławię Proroka.“

1855.

PO PRZECZYTANIU PSALMU.

Z CHOMIAKOWA.

Grom—z końca w koniec rozległ się po niebie,
Ziemia zadrżała, zamilkła, i słucha.
Pan z Majestatu ozwał się.—Daj ucha,
Ludu wybrany! Bóg mówi do ciebie.

„Ludu mój! widzę, tyś gotów mi wznosić
Ogromy świątyni; nie oszczędzasz złota;
Najdroższe wonie dłoń twa w ogień miota,
I myślisz—że to już dosyć!

„Co mi po twoich gmachach? Jam zbudował
Świat ten nieogarniony; Jam na zrębie
Otchłani, dźwignął Niebo; Jam mórz głębie
Napełnił; Jam je okował.

„Chcę—i dość słowa Mego, by z nicości
Stały się nowe światy, nowe słońca.
Jam Pan, Jam Stwórca przestrzeni bez końca,
Jam nieskończoność wieczności!—

„Co Mi po twojém złocie? Jam w głąb' ziemi,
W rdzeń skał jój wnętrza, jako morskie fale,
Jako deszcz, ogniem stopione metale
Wlał potokami wrzącemi.

„Tam one, w pętach przepaści bezdennój,
Wrą i szaleją.—Wasze miny złota,
To tylko krople, bryzg, co ku wam miota
Burza téj fali płomiennój.—

„Co Mi kadzidła? Ku mnie nieustanną
Woń całej ziemi, z wszystkich jój pod rosą
Gajów i kwiatów, wszystkie wiatry niosą,
Jak jój ofiarę co-ranną.

„Co Mi te blaski waszych lamp? Przede Mną
Gwiazd miryady, jak iskry z wulkanu,
Tryskają w mroku, i gasną poranu,
Wam, nie Mnie, świecąc w noc ciemną.—

„Ludu mój! błahe przynosisz mi dary!—
Jest wszakże jeden—z którym, gdy Mi wierny,
Hołd złożyé przyjdiesz:—Ja, Pan miłosierny,
Przyjmę tve wszystkie ofiary.

„Dar ten—to serce twoje; jego skrucha
Przed sądem Prawdy; jego miłość z bratem,
I moc niezłomna w bojowaniu z światem,
Na tryumf Mojego Ducha.“

1856.

KWESTA NA KOŚCIÓŁ.

Z XIĘCIA WIAZIEMSKIEGO.

Jedno spotkanie zawsze raduje mą duszę.
Czy w słotny dzień jesieni, czy w skwarnéj posusze,
Czy w mróz, czy w śnieżną zamieć, czy w deszcz na-
wałnicy,

Zawsze On z nagą głową stoi na ulicy,
I z książką w ręku, którą podając przechożym,
Sam zda się być pielgrzymem i człowiekiem Bożym.

Spokojność i prostota jaśniejają mu z czoła.
Z krzyżem, i w imię krzyża, z dalekiego sioła
Przyszedł on do cudzego miasta, nie ażeby
Szukać zysku, lub własne opatrzeć potrzeby.
O! nie! insze uczucie w sercu mu się żarzy.

On cześć domu Bożego i świętość ołtarzy
Ukochał sercem całym, i ku ich ozdobie
Poświęcił trud i życie; a sam w swój chudobie
Nie mając czém ich wspomódz: w żebrzącej postaci,
W imię Chrystusa, prosi o jałmużnę braci.

Śród próżności i zbytku, śród ulicznych steków,
On wzór i przypomnienie Apostolskich wieków,
Jak wieść Ewangeliczna idzie między ludzi,
I próżne serca nasze ku czci Bożej budzi.
I rzadki, kto go minie;—o! i biada temu,
Ktoby go mógł ominąć, nie złożywszy jemu,
Czy datku, jaki może; czy czci pozdrowienia,
Czy choć dobrego słowa współzucia, życzenia,
By go Bóg wspierał w drogach Swojego zakonu,
I trud jego nagroził obfitością plonu!—

Lecz najmilszy mi widok ubogiego ludu,
Co ostatni grosz może, plon krwawego trudu.
Wrzuciwszy do karbony, żegna się szczęśliwy,
Jakby dziękował Bogu za swój czyn pocziwy!—

Chowając w duszy mojej prostą ojców wiarę,
I ja śpieszę w ślad ludu, i ja mam ofiarę
Rad składam w ręce Jego, i myślę: „O! Boże!
„Daj, niech i ja choć ziarno kadzidła przyłożę,
„Niech ku Twój czci choć kroplę oliwy doleję
„Do lampy—co jak symbol Wiary i Nadzieje,
„Siejąc z góry na ołtarz tajemnicze blaski,
„Świecić będzie dla wiernych promieniami Łaski!“ —

I w myśli téj jest dla mnie urok niepojęty,
Że i moja cegiełka do budowy świętej
Wejdzie:—gdzie, widzę zda się, jak już wierna rzesza
Pobożnych kmiotków, zewsząd na dzwon jej pośpiesza,
Aby z radością w sercu, i w szacie weselnój,
Dziękczynieniem w jej progach uczcić dzień Niedzielnny,
I z dziecinną ufnością, w każdej swój potrzebie,
Modlić się jako dzieci do Ojca na Niebie:
By cały lud Swój wierny ochraniał i zbawił,
Obesłał go pokojem Swym, i błogosławił
Domom ich i rodzinom, ich trzodom i roli;
Chorych dźwignął z niemocy, ubogich z niedoli;
Wziął ojcowską opiekę nad sieroty płaczem,
Miłosierdzie nad więźniem, litość nad tułaczem;
Żeglarzy wiódł bezpiecznie przez burzliwe tonie;
Walczącym za ojczyznę stanął ku obronie;
Nie pogardał prośbami ubogich ziemianów,
Za swych cnotliwych królów, panów, i kapłanów;
Grzeszników doprowadził do żalu za grzechy;
A wszystkim zesłał światło Łaski i pociechy,
By oderwani sercem od marnych trosk ziemi,
Duchem dążyli w Niebo za Anioły swemi.
I przeżywszy wiek w Pańskiej bojaźni i skrusze,
Usnęli w Nim w pokoju;—i aby ich dusze,
I ojców ich, i braci, co poszli przed nimi,
Pogrzebionych czy w swojej, czy na obcej ziemi,
Obmyte w łzach pokuty i krwi zbawczej zdroju,
Doprowadził do krain światła i pokoju,
I wszyscy, na dzień sądu ostatniego, w bieli
Niewinności dziecinnój, przed Panem stanęli!—

I śród takich to modlitw, wznoszonych codziennie,
Lud tam wspomni i o mnie—choć bezimiennie,
Gdy zebrany u świętych ołtarza podnoży,
Pomodli się i za tych, co mu ten dom Boży
Zbudować dopomogli.—I choć przejdą lata,
I darń grobu pokryje obcego im brata.
Zawsze jeszcze i wtedy, w pokoleniu nowém,
Tém samém dobrém, wdzięczném, kochającym słowem.
Wspominać o nim będą w téj świątyni progu,
I polecą go żywych i umarłych Bogu.—

I może, da Bóg, siła téj modlitwy wspólnéj
Odkupi grzech mój wolny, albo mimowolny,
I Pan, choć ztąd się ku mnie do litości wruszy,
Żem nigdy ku czei Jego nie ostygął w duszy.

MODLITWA Ś. EFREMA SYRYJCZYKA.

Z PUSZKINA.

Boże mój! Rządźco mojego żywota!
• Spraw, niech lenistwo, ni ducha tęsknota,
Ni gniew, ni pycha, ni łakoma zawiść,
Ni płocha próżność, ni gorzka nienawiść,
Ni wielomówstwo, co głos Prawdy głuszy,
Ni samolubstwo nie skażą méj duszy!
Ale ją oświeć światłem Twego Ducha,
Niech Wiara, Miłość, Pokora i Skrucza,
W sercu mém Tobie zgotują mieszkanie.
A grzechy moje daj mi uznać, Panie!
A sądu brata niech nie będzie we mnie!
Byś mię Ty, Ojcze! nie sądził wzajemnie,
Ale mię przyjął pod cień Twój opieki,
Teraz, i zawsze, i na wieków wieki.

Amen.

STAROŚĆ DUCHA.

WIERSZ POŚWIĘCONY KAJETANOWI KOŹMIANOWI

W 80-tą rocznicę Jego Urodzin, 7 sierpnia 1852 r.

W każdym ustach żal młodości,
W każdym sercu chęć jój zwrótu,
Pory szczęścia i miłości,
Siły ducha, myśli lotu.

Lecz czyż słońce południowe
Mniej ogniste, niż u wschodu?
Czyż gdy do snu schyla głowę,
Mniej ma blasku i obwodu?—

A duch, światło co nie gaśnie,
Promień Słońca Przedwiecznego,
Miałby stygnąć, przez to właśnie,
Że ogniska bliższy swego?

Miałby słabnąć razem z ciałem,
On, którego cel na ziemi,
Wzrosć i wzmódz się życiem całym,
By się zrównać z Niebieskimi?...—

O! kto w młodych dniach zapału
Prawdy Pańskiej słów usłucha:
Serca nie da w służbę ciała,
W świetle Wiary pojmie Ducha:

Duch takiego nie starzeje;
I gdy ciało, plewa marna,
Kruszy się w proch, i niszczeje —
Rośnie w Niebo — jak cedr z ziarna.

VENI CREATOR.

NA ŚLUB TOMASZA ZANA.

Przyjdź Duchu Święty, przyjdź!
Ogniu Miłości, zniźdź!
Na serca pary téj
Światło Twój Łaski zléj,
Ucz w Tobie żyć!

Dawno już przed Twój tron
Z krzyżem swym stanął On;
U Ciebie szukał sił,
I Tyś mu wsparciem był
Śród obcych stron.

I Twa to, Panie! dłoń,
Z-rodzinnych jego błon,
Wywiodła dlań ten kwiat,
Co ma mu zdobić świat,
Uwieńczyć skroni.

Strzeż więc i broń go Sam,
Od cierni, burz, i plam;
A sprawuj, jako cheesz:
Bo Ty sam jeden wiesz,
Co lepsze nam.

Lecz gdy prośb naszych chór
Wart przejść tych świątyń mur:
Panie! wysłuchaj nas!
Błogosław w każdy czas,
Błogosław parze téj!
Niech jak żyé ku czci Twéj,
Nam daje wzór!

1847, Października 29.

P R A W D A.

Co jest Prawda? od Piłata
Świat wciąż pyta — i sąd świata
Wciąż, jak Piłat, wbrew jój słowu,
Prawdę na krzyż wbija znowu.

Wy więc. którzy na tym świecie
Żywą Prawdę poznać chcecie,
Nie szukajcie jój w tych, czyja
Myśl, chcąc zdobyć ją — zabija.

Jeden tylko treść jój wiedział,
Żył w niej, dla niej, mówił o niej:
Przecież, co jest? nie powiedział,
Drogę tylko wskazał do niej.

I sam tylko ON jest razem
Jój istotą i obrazem:
Bóg w-człowieku; -- a jój droga:
Od człowieka dójść do Boga.

I w téj drodze -- ON przewodnią,
ON pobudką, ON jest celem.
Słowo Jego — jój pochodnią,
A Jego krzyż — wskazicielem.

1854.

CIERPIENIE.

DO KLAUDYI POTOCKIÉJ.

Cierpię nieraz — i gardząc sobą lub drugimi,
Gardzę naturą ludzką. — Lecz wspomnę na ciebie!
Widzę, czém człowiek może, winien być na ziemi.
Czuję świętość w ludzkości — i poprawiam siebie.

Cierpię jednak — i duma do szemrania budzi.
Lecz pomnę wzrok twój łzawy, lic twych bładość
[chorą,
Ślad poświęceń, ślad cierpień, dla ludzi, za ludzi! —
Ty cierpisz!... jażbym nie miał?... nie znosił z pokorą?...

Cierpię — ale już czuję, że jak na świat ludzie,
Duch Boży w sercach ludzi rodzi się z cierpień. —
Tobiem winien to czucie, co mię krzepi w trudzie,
I sam jad cierpień w balsam pociechy zamienia.

1832.

POKÓJ.

DO X. ALEXANDRA WAŻYŃSKIE GO.

Gdy Wszchemogący na Niebie
W łonie Swój woli świat począł:
Czém snać nagroził Sam Siebie?
Pokojem — w którym odpoczął.

Gdy Stwórca, by świat Swój zbawił,
Wziął Sam brzemię ludzkiej doli:
Co za piérwszy dar objawił?
Pokój ludziom dobrej woli.

Gdy odchodząc, ucznie Swoje
Posłał światu nieść Swe prawa:
Co im dał za broń i zbroję?
Pokój — nie ten, co świat dawa,

Lecz co ON Sam przyniósł z Nieba,
Co w ucisku i sromocie
Strzegąc, uczył, jak strzedz trzeba.
Aż z nim umarł na Golgocie. —

Lecz tyż to mnie, przyjacielu!
Coś sam Bożych prawd tłómaczem,
Pytasz: kędy iść do celu?
Gdzie ten pokój? w czém i na czém?—

W tém pytaniu twém, już tobie
Jest odpowiedź, mnie nauka:
Że go nikt wciąż nie ma w sobie,
Mądry tylko, kto wciąż szuka.

Lecz sam wspomnij czas twój próby,
Czas twój chwały — i wyrokuj:
Czy w dniach szczęścia, czy żaloby,
Czułeś bliżej Boży pokój?

I nie tam-li on się zbliża,
Gdzie swą wolę złamie skrucha,
Gdzie cierpliwość, u stóp krzyża,
W poświęcenie krzepi ducha?—

Lecz kto, jak ty, święte znamię
Raz już zdobył w życia boju:
Ten wódz; — tego ślad i ramię
Niech wskazują tór pokoju!

WARJAT.

DO SYXTUSA JASIEWICZA.

Drogi Syxtusie! tyś od lat dziecinnych
Był mi kolegą, przyjacielem, bratem:
Kiedyż, dla Boga! przestanę z ust innych
Słyszeć a słyszeć, żeś stał się warjatem?

Niegdyś ta nazwa bywała nam wspólną,
Gdyśmy wał z śniegu zlepiwszy śród zimy.
Wierszami z Tassa uczyli młódź szkolną,
Brać w nim, lub bronić mur Jerozolimy.

Lub wiosną, kręgle złocistym papierem
I koguciami okleiwszy pióry,
Gwałtem w nich drugim kazali z Homerem
Widzieć Achille, Ajaxy, Hektory.

Pomnisz, jak wtedy Professor Wymowy.
Śmiał się, aż płakał, z nas i z naszych braci,
A Matematyk, Xiądz Prefekt surowy,
Trząśł głową, mówiąc: „Poeci-warjaci!”

No! dajmyż na to! Nazwa ta poecie
Służy jak tytuł dziedziczny u świata.
Ależ ty wierszy nie pisałeś przecie —
Tak! — ale czyny poety-warjata!!!

Naprzód na wojnę: — nie wiedzieć zkąd? czemu?
Od książki raptem skoczyć do bułata,
By, coś gdzie czytał, doświadczyć samemu! —
Wybacz! i jam cię miał za pół-warjata.

Potém na wojnie: — pod gradem kartaczy,
Raz wraz dobranój przodkując czeredzie,
Gnać się z hordami Tureckich rębaczy,
I pewno w myśli marzyć o Tankredzie!

Aż gdyś syt wreście chwały Paladynów,
Wracał jąc radło i pług Cyncynnata,
Półk twój, do wieńca nabytych wawrzynów,
Wplótł ci i nazwę: śmiałego warjata.

Potém po wojnie: — kiedy ci swatano
Familiantkę, i z wianem bogatém:
Tyś wziął sierotę — biedną, lecz kocchaną! —
Świat — nie ja — znów cię osądził warjatem.

Był czas zaprawdę, gdy widząc w twym domu
Miłość, i pokój, i anielskie dziecię,
Sędziowie twoi zamilkli od sromu,
I coś nad złoto poczuli na świecie.

Sen to był krótki! — i gdyś, przyjacielu!
Chęć nawet szczęścia zamknąwszy z Nią w grobie,
W ojcu już tylko i obywatelu
Żył powinności, krajowi — nie sobie;

Gdyé urząd tylko był polem do pracy,
A władza służbą krzywdzonych od świata:—
O! przyjacielu! czyż nie byli tacy,
Co cie i wtenczas brali za warjata?—

Lecz Pan snać z góry upodobał w tobie,
I jak zwykł czynić z wybranemi Swemi,
By duch twój całkiem obrócić ku Sobie,
Wziął ci ostatni skarb serca na ziemi.

I duch twój pojał świętą wolę Pańską,
Wziął krzyż — i wesół po nad ziemię wzłata:
Gdy na cudowną siłę chrześcijańską
Tłum woła: „Exaltacya warjata!“ —

O! przyjacielu! jeśliś z twój pamięci
I braci serca nie rugował z światem:
Modlitwą twoją dopomóż méj chęci,
Bym mógł być takim, jak dziś Ty, warjatem!

DO TEGÓŻ.

(*W dzień jego prymicyi, 11 Czerwca, 1855 r.*)

Chwała na wysokości Bogu! a na ziemi
Pokój ludziom, co idą drogami Bożemi,
Niosąc swój krzyż i brzemię do wieczności progu!
Pokój—nie śmierci w grobie, ale życia w Bogu!

Syxtusie! tyś dziś stanął na téj świętej drodze;
Dziś Bóg cię przyjął między sługi Swe, a wodze
Nas, błądzących po świata rozdrożach;—dziś chwała
Panu na wysokości, z ust twoich zabrzmiała
Przed ołtarzem i ludem; dziś sam w ręku twojem
CHRYSZTUS stał ci się żywym chlebem i napojem,
I dał moc dłoni twojej, na spółbliźnich czoła
Rozlać błogosławieństwo Nieba i Kościoła!

Cześć więc na wysokości Panu! cześć i dzięki!
Za każdy kielich łez twych; za każdy krzyż męki
Życia twojego, w sercu, i w myśli, i w duszy!
Boś się obmył w boleści; boś się wzmógł w katuszy;
Boś ogniem skruchy ducha wypalił swe grzechy;
Boś zdobył sam, i odtąd masz nieść skarb pociechy
Nam, grzesznym braciom twoim, mdlejącym od
[znoju,

Skarb Nadziei, Miłości, Wiary, i Pokoju,
Co go wziąć tylko może i dać z łaski Pańskiej,
W prawowiernym Kościele kapłan chrześcijański!

O! i błogosławione czasy i narody,
Gdzie Bóg dobrych pasterzy poszle dla swój trzody,
I gdzie ich trzoda ze czcią i miłością słuca!
Tam, wtedy tylko, z góry świeci światłość ducha.
Tam tylko widać drogę do Bożego celu.
Tak Jehowa przed wieki władał w Izraelu,
Tak Kościół Apostolski wzniósł na gruzach Romy,
I tak w dziejach narodów rządzi niewidomy,
Którym wyrzył na sercu i włożył na skronie
Znak ludu wybranego w Krzyżowym Zakonie.

Spójrz w ich dzieje!—ilekroć wierne Pańskiej woli
Szły nieść pomoc narodom, zbawiać od niedoli,
Świat zasłaniać pierściami przed dziecżą pogańską.
Lub zaszczepiać i krzewić wiarę chrześcijańską:
Patrz, jak obok ich królów, wśród ich rad, w senacie,
W obozach, stoją święte kapłańskie postacie,
Podpory majestatu, prawd i swobód stróże,
Lub przewodnicy na śmierć, za kraj, w imię Boże!

Lecz gdy naród, niestety! zbyt często niepomny
Cnót ojców: krnąbrny, płochy, albo wiarołomny,
Miał zboczyć z dróg Miłości, Wiary—ach! i Łaski:
W Kościele gasły naprzód cnót kapłańskich blaski.
I był to zawsze w dziejach klęski znak proroczy,
Jako przed burzą naprzód firmament się mroczy.

Aż gdy pod ręką gniewu Bożego, znów skrucha
Upokorzyła serca, ożywiła ducha:
Kto pierwszy zgubne sidła odszczepieństwa targa,
Jeśli nie święty kapłan-obywatel, Skarga?
Kto, gdy naród naprawić idzie czyn zdradziecki,
Da wzór — jeśli nie kapłan-bohater, Kordecki?
Kto w Krzyżu odkupienie i żywot obwieszcza.
Jeśli nie z Jasnój Góry głos kapłana-wieszcza?
I co snać pewniej wróży litość sądów Pańskich.
Jak mnożące się w mroku gwiazdy enót kapłańskich?

Śród nich odtąd, Syxtusie! obyś i ty społem
Świecił długo pomiędzy ludem a Kościołem,
Aż przyjdzie Bóg Zbawiciel, zwić z was wieniec
[nowy,
Dla Swój Niebieskiej Matki, a naszej Królowej!

A dziś, módlmy się społem, w proch schylając czoła:
My lud, o dobry przykład i chwałę Kościoła,
A ty, w gronie sług jego, za nas lud, Syxtusie,
O Wiarę, i N adzieję, i Miłość w Chrystusie!

DO ADAMA SUZINA.

(*W Częstochowie*).

Pomnisz tę chwilę, mój drogi Adamie!
Gdyśmy się niegdyś całym gronem bratniém,
Po raz ostatni zeszli w Ostrój Bramie,
By się pożegnać uściskiem ostatnim,
I w chór z kapłanem wtórzyli ze łzami:
Królowo nasza, zlituj się nad nami!

I któż z nas w życia przemiennej kolei,
W próbach, tęsknocie, pielgrzymce dalekiej,
Gdy w Nięj synowskiej nie tracił nadziei,
Jéj macierzyńskiej nie doznał opieki?
Wszędzie i zawsze — czuliśmy to sami —
Królowa nasza czuwała nad nami.

Lecz nam dwóm tylko dano było razem
Zejsć się znów naprzód na ziemi rodzinnéj,
I przed cudownym Maryi obrazem,
Za samych siebie niosąc hołd dziękczynny,
Wspólnie, jak niegdyś, błagać za drugimi:
Królowo nasza, zlituj się nad nimi!

I gdym wnet przedem wiódł cię do kobierca,
Byś na nim miłość poprzysiągł wzajemną,
I mój od młodu brat z ducha i z serca
I krwi braterstwem połączył się ze mną:
Głos braci wzajem brzmiał z dalekiej ziemi:
Królowo nasza, opiekuj się niemi!

Dziś my znów z tobą na cudownej Górze
Wzywamy społem Najświętszej opieki:
Lecz te, co niegdyś w jednym brzmiały chórze,
Głosy najmilszych—zamilkły na wieki!
Z tylu ich, z tylu — zostaliśmy sami!
Królowo nasza, zlituj się nad nami!

Lecz gdzież na ziemi jest miejsce, z którego
Bliziej nam ku nim — ku świętym, ku czystym? —
O wy! z przybytku wesela wiecznego
Jeśli patrzycie ku stronom ojcystym,
Głos wasz połączcie z naszymi modłami:
Królowo nasza, zlituj się nad nami!—

9 Lipca, 1857.

DO IGNACEGO CHODŹKI.

(Z Częstochowy).

Po śladach wszystkich naszych i wielkich, i świętych,
Królów, kapłanów, wodzów, i wieszczów natchnię-

[tych,

Ubogi pielgrzym wszedłem na szczyt Góry owój,
W próg przybytku Niebieskiej i naszej Królowej,
Zkąd, jakby z duchowego wyżyny Horebu,
Czy w dół spójrzysz ku dziejom, czy w górę ku

[Niebu,

Przed narodowej chwały i Boga obliczem,
Musisz zapomnieć siebie i poczuć się niczym,
Jako duch wyszły z ciała, na wieczności progu,
Co już umarł w człowieku, a ma ożyć w Bogu.

I gdy w téj chwili cudu, strasznej i uroczej,
Z otchłani zda się grobów, i z Niebios przezroczy,
Wyszły, i wkrąg przedemną stanęły postaci,
Wielkich przodków, a sercem miłowanych braci,

Proszących o modlitwę, lub których nawzajem
Nam błagać o przyczynę za sobą i krajem:
Ignacy! twój mi obraz stanął najwyraźniej.
Bom w tobie ja w téj chwili, współzuciem przyjaźni,
Czuł własną boleść moję — największą na ziemi,
Co wiesz, jak dotąd serce wiecznym kirem ciemi,
I na którą w tych miejscach szukając sposobu,
O co miałem dla siebie — prosiłem dla obu.

Óbyż więc i ów promień tajemniczój Łaski,
Co tu padł na mą duszę: mógł, jak słońca blaski
Od chmur, odbity od niéj, po nad sercem twojém
Zaświecić, jako tęcza, Wiarą i Pokojem:
Ową Wiarą widzącą, przed którój oczyma
Grób i wieczność dla ducha tajemnicy nié ma;
I pokojem dziecięcia, co we wszystkiém czuje
Wolę Ojca — co nawet karząc je, miłuje!

O! mój drogi Ignacy! tać jest tylko jedna
Pociecha na twą boleść; — i onę ci zjedna
Taż sama boleść twoja: byleś ją, jak trzeba,
Sercem odniósł do Krzyża, a duchem do Nieba.

A więc dawszy mogile hołd ziemskiej żałoby,
Spójrzyj z niéj — wstecz na życie, a wzwyż po za
[groby!

A potém, tonąc myślą w sercu zakrwawioném,
Pytaj: czego snąć wczesnym uniknęła zgonem?
Aza kres twych tu cierpień tak nazbyt daleki?
I co czynić, by tam z Nią złączyć się na wieki?—

A gdy sił nie dość jeszcze na krewkość natury:
Ślubuj z wiarą pielgrzymkę do téj świętej góry!
Tu cię Matka boleści przyjmie i wysłucha,
Tu szczebel z uczuć serca — do krainy Ducha.

10 Lipca, 1857.

ANIÓŁ ŚMIERCI.

Jam duch pokoju, jam duch cicheści,
A świat się boi mnie.

Jam jest posłannik Bożej miłości,
Jam kres walk, cierpień i mąk ludzkości,
Jam jest początek nieśmiertelności.
A ludzkość na mnie klnie!

Bo wstyd pierwszego grzechu, ich oczy
Tak w ziemię tylko zgiął:
Ze gdy ich z góry cień mój otoczy,
Nie przez mię w Niebo szlak mój uroczy,
Lecz widzą tylko kir, co ich mroczy,
I swój mogiły dół.

Ale kto z serea i z ócz proch swiata
Zdrojem zbawienia zmył:
Ten w mym uścisku poczuje brata,
Tego duch z moim wesół ulata,
Gdzie krótkich cierpień wieczna zapłata,
By w niej na wieki żył.

WARTOŚĆ RZECZY.

Próżno rozum człowieczy
Prawdziwą wartość rzeczy
 Chce pojąć w ich przelocie.
Światło chyba gromnicę,
W konającej prawicy,
 Oświeci go w istocie.

Za czém tęsknił i gonił,
Nad czém, mając, duch ronił,
 Po czém wzdychał lub szlochał;
Na czém oparł rachubę,
W czém miał rozkosz lub chlębę,
 Co uwielbiał, co kochał:

Jak to wszystko inaczej
W owéj chwili zobaczy,
 Gdy się wszystko w proch kruszy:
A z nim tylko na wieczny
Straszny sąd ostateczny
 Idą skutki ich w duszy!

Czém więc w rzeczy dłań była
Władza, chwała, lub siła,
Gdy nie Bogu służyła,
 Gdy się w pychę z nich puszył? —
Nie lepsze-li ma w zysku,
Z krzywdy, z wzgardy, z ucisku,
 Gdy w nich serce swe skruszył?

Dobrem-li zwać bogactwo,
Gdy go wiodło w próżniactwo,
 W twardość, w zbytek, lub w sknerstwo
Złem-że była potrzeba,
Choćby sam głód bez chleba,
Gdy w nich Opatrzność Nieba,
 Bliźnich poczuł braterstwo?

O! a jeśli miał chwile,
Że na lubyh mogile
 Czuł, jak żyjąc umierał;
Jak wzrok — choć się nie zwarły
Oczy — lecz wzrok umarły
 W świat dłań martwy spozierał:

Jeśli wtedy nie zgrzeszył
Rozpaczą, ni się cieszył
 Przez co bądź, krom przez Wiarę:
Niech konając obwieści,
Co w swój onój boleści
 Widzi: Łaskę, czy karę?—

Cóż, gdy zamiast z żywemi
Płakać go tu na ziemi,
Dusza ta, tak mu droga,
Spotka go tam w wieczności,
I z uśmiechem radości
Poprowadzi do Boga! ...

Tam w świetle Prawdy wiecznej,
Jak swój cel ostateczny,
Pojmie dobra prawdziwe:
Krzyż, co go wzniosł nad ziemię,
Żal, co zmył grzechów brzemię,
I skonanie szczęśliwe.

1854.

MEMENTO MORI.

O! ludzie, ludzie! gdybyście wy czuli
Jak wątłe życie tych, których kochacie,
Czyżbyście sami tyle chwil im truli,
Chwil, co tak mało do użycia macie? —

Cóż, że dziś duma winę z siebie zwali?
Że serce, ranie podobne świerzbicój,
W łzach swych lub cudzych, na gniew co je pali,
Kosztuje ulgi — jad tylko jątrzącój?...

Przyjdzie czas, przyjdzie! kiedy te powieki,
Co dziś dzień cały krzywd niewinnych płaczą,
Znużone łzami, zamkną się na wieki,
I już twój późnej skruchy nie zobaczą;

Gdy te ramiona, co dziś nadaremnie
Wznoszą, ku tobie uścisk pojednania,
Złożone na krzyż, ostygną wzajemnie
Na łzy pokory i pocałowania;

Gdy to obliczę, co jak zorze ranne
Światłem pociechy na twą duszę biło,
Na wieki oczom twoim odebrane
Grabarze ciężką narzuca mogiłą!

Pomyśl, nieszczęsny! gdy wrócisz do domu,
I znajdziesz pustki okryte żałobą —
Co poczniesz wtedy? gdy nie będzie komu
Ni cię pocieszyć, ni zapłakać z tobą?

Gdy wspomnisz miłość, coś miał, a odrzucił;
Gdy wspomnisz szczęście, coś mógł, a nie użył;
Chwile, coś zatrul; dni, coś może skrócił;
I cierpiąc, będziesz czuł, żeś sam zasłużył?...

Próżno natenczas, na kolanach skłucy,
Przyzywać zechcesz kochanego ducha!
Ty, coś był w życiu na głos jego głuchy.
Śmiałżebyś mniemać, że cię on wysłucha?...—

I tak dzień po dniu—aż z rozpaczą wściekłą
Sam zaczniesz na się wzywać pomsty Bożej. —
Szczęśliwy jeszcze! gdy to ziemskie piekło
Wiecznej Litości bramę ci otworzy!

RADA PIĘKNÈJ.

Jeśli cię chwała z wdzięków napuszy,
Ja ci poradzę co zrób.
Patrz na się naga, i myśl: bez duszy,
To moje ciało jest — trup!

W całun obwite, w trumnie zabite,
W ciemny zarzuca je loch;
Pleśń je otoczy, robak roztoczy,
Zostanie szkielet i proch. —

Lecz dusza, dusza! która jest w tobie,
Ta nieśmiertelna jak Bóg,
Co ją z miłością woła ku Sobie,
I Swoich naucza dróg!—

O jój dbaj piękność! aby gdy stanie
Na Pański w Niebie sąd,
Nie zawołało straszne wołanie:
„Skażona! precz idź ztąd!“

NA ŚMIERĆ DZIECKA.

Niewinne dziatki! o! jak was tam wiele
W przybytku Niebios, pomiędzy Świętami!
Jakie tam musi być wasze wesele,
Gdy go nie maćci żadna pamięć ziemi! —

Któż z ludzi zgadnie, dla jakiej przyczyny
Bóg was na świecie stworzył nie dla świata?
Lub czy za ojców zasługi, czy winy,
Śmierć wasza była kara, czy zapłata?

Czy ją tu po was przysłano tak wczesnie,
By was rodziców nie skalały grzechy?
Czy by tu po was płaczących boleśnie
Zwrócić na drogę Niebieskiej pociechy?

Któż z ludzi zgadnie?—Ale biada temu,
Kto w tym największym smutku i niedoli,
Nie zada pytań sumieniowi swemu,
I nie zrozumie wyższej Bożej woli!

Bo choćby wszystko Bóg zdał na trafunek,
W tym jednym razie — On źródło litości,
On Ojciec — Onby przybył na ratunek,
I traf odtrącił siłą Wszechmocności! —

Ale, o! Panie! jakże snąć wysoki
Jest cel u Ciebie ludzi przeznaczenia,
Iż, by go doszli, Twe święte wyroki
Iść im tu każą przez takie cierpienia!

A łzy, co płyną na dziełek mogiły,
Łzy rodzicielskich żalów i miłości,
Któż zliczy, ile twardych serc skruszyły,
Ile od ziemi wzniosły ku wieczności?

I jak na ziemi własna Pańska droga
Krwia młodziankową znaczy swój początek:
Tak, kto wie, w drodze Ludzkości do Boga,
Jakie znaczenie ma śmierć niewiniątek?

1845.

SMIERĆ DZIECIĘCIA.

(WIERSZ POŚWIĘCONY PANI MARYI GÓRSKIĘJ).

Dziecię konało — rodzice oboje
Kłęczeli obok, i łkając mówili
Pacierz za konających. — Wtém łez zdroje
Trysły z ocz dziecka; i w téj saméj chwili
Głos, słowa z głębi serca matczynego,
Potężne prawdy i boleści echem,
Zabrzmiały: „Nie płacz, dziecko! nie ma czego!“ —
I dziecię skonało z uśmiechem.

Czy że ostatni raz jeszcze w swém uchu
Głos matki poczuło znów?
Czy Anioł śmierci dał mu pojąć w duchu
Myśl tych matczynych słów?

„Nie płacz, dziecko! nie ma czego!
Ojciec bierze cię.
Tam już, tam cię z łona Jego
Śmierć nie porwie, nie!

„Tam już więcej nie doświadczysz,
Coś tu zniósł w chorobie;
Tam ty nigdy nie zapłaczesz.
Jak my dziś po tobie!

„Żal ci mnie, żal ojca twego!—
O! znam ja cię, znam!
Ale nie płacz! nie ma czego!
I my przyjdziem tam.

„Tyś niewinny, wprost do Nieba
Wzlecieć możesz wzwyż;
Nam snać grzesznym wziąć wprzód trzeba
Z twój mogiły krzyż.

w Maju 1865.

NA ZGON SZESNASTOLETNIJ A. Z.

Obiecałem ci piosnkę na wesele twoje,
Uiszczam się—choć gody twe zwa się pogrzebem,
Choć na nich dla nas tylko kir, ból, i łez zdroje—
Lecz tyś w bieli! tyś w kwiatach! Śmierć — to ślub
[twój z Niebem.

Połączenie się duszy z swój miłości celem,
Zapewnienie w Najmilszym szczęścia i opieki—
O! gdy to w krótkim życiu świat tu zwie weselem,
Jak je zwać, gdy się w Niebie osiąga na wieki?—

Duszo czysta! wionęłaś przez ten świat i życie,
Bez obrazy ich cierniów, bez plamy ich cieniu;
I uleciałaś w wieczność, jak w dziecka zachwycie,
Gdy na ojcowskim łonie usypia w marzeniu:

W marzeniu o przeżytych jasnych dniach—z nadzieją,
Że się wnet znów do nowych, jaśniejszych obudzi!—
A przecież, dość jest widziéć te łzy, co się leją,
By pojąć, czém już byłaś dla twych bliźnich-ludzi.

Kto cię znał, ten cię kochał—kochał dobro w tobie.
A cóż jest podobniejsze Anielskiej zasłudze,
Jak z Bogiem i dla Boga żyjąc tylko w sobie,
Promieniem świętych uczuć świecić w serca cudze?—

Pokój ci więc, dziewico! A gdy ku padołom
Duszę twą zwraca jeszcze naszych żalów echo:
Proś, aby twym rodzicom, i twym przyjaciółom,
Pewność twego *tam* szczęścia, *tu* była pociechą.

1865.

W DZIEŃ POGRZEBU MARYI POTOCKIEJ.

Pięknaś była, o! duszo przezczysta!
I twym ziomkom świeciłaś jak zorza!
Tak im jasna, i tak promienista
Z myśli twoich świeciła myśl Boża.

Kto ich promień raz przejął swą duszą,
Kto w głąb twojej raz sięgnął oczyma,
Ży się może z ócz jego osuszą,
Lecz czei dla cię do grobu dotrzyma.—

Cóż zrobiła? spytacie niektórzy,
Cicha, skromna, a zgasła za młodu?—
O! pytajcie, co zrobił brzask zorzy,
Nim go chmury zaćmiły u wschodu?

Ile ptasząt swój śpiew zanóciło,
Ile ziół, ile kwiatów podrosło.
Ile oczu się ze snu zbudziło,
Ile modlitw ku Niebu się wzniosło?

Bo blask żaden nie błysnie daremnie,
Chociaż skutków zeń nikt nie obliczy! —
O! nie w jedną pierś pewno, jak we mnie,
Tchnął z niej urok świętości dziewiczej,

Tchnęła świętość godności niewieściój.
I ktoś może natchniony ich siłą,
Wpływ tych natchnień tak w czynach obwieści,
Jak ja tylko w łzach nad jój mogiłą.

5 Marca 1866.

ŻYCIE I ŚMIERĆ.

(PO ZGONIE S. P. WACŁAWA ŁUSZCZEWSKIEGO).

Z podwojów pałacu, na wóz pogrzebowy,
Wyniesiono ojca rodziny.

O! jakże ten pałac dla sierot i wdowy
Tehnie straszném pustkowieм ruiny!

Kąt każdy, sprzęt każdy, sklepienia i progi,
Gdzie stąpią, gdzie zwróćą oczyma:
Jak echo rozpaczy, jak puszczyk złowrogi,
Brzmią ku nim: „ach! nie ma go, nie ma!”

Ten głos je zabija — a przecież tak całém
Chwytają go sercem i uchem.—

O! w grób-że wam tylko iść myślą za ciałem,
A nie w Niebo wznieść się za duchem?

On jest tam! on żyje! on woła ku sobie!

Tęsknota w was po nim — głos Jego.
Zostawcież wspomnienia, jak kwiaty na grobie,
A idźcie go szukać żywego.

I oto jak odblask czystego zachodu,
 Lśni jeszcze i gore ta droga,
Którędy skrós świata i swego narodu,
 On przeszedł przez ziemię do Boga.

Pomnicie, czujecie, tę dobroć, tę tkliwość,
 Tę miłość i ducha ofiary;
Tę w próbach stateczność, tę w bolach cierpliwość—
 Lecz zkađ on je miał, gdy nie z wiary?

I gdy już cień śmierci émił kirem powieki,
 On tonąc w was wzrokiem miłości,
Jak wierzył? Co mówił? Czy żegnał na wieki,
 Czy do zobaczenia w wieczności?—

O! dusze wysokie! sieroto i wdowo!
 Krzyż dla was wzrół z Jego mogiły;
Lecz z krzyża, wraz z Boskiém, i Jego brzmi słowo,
 Byście z Nim, przez Krzyż w Duchu, ożyły.

w Czerwcu 1867 r.

CINIOM KAROLA SZAJNOCHY.

Wieszcz przeszłości odszedł do niej!
Lecz kto tknieniem wieszczój dłoni,
Przez natchnioną ducha dzielność,
Wskrzeszał z martwych wieki całe:
Ten z ich życiem, i swą chwałę
Oblókł w ducha nieśmiertelność.

Kto wpatrzony w Prawdy słońce,
Dzień swych oczu, życie schnące,
Ku jój czei poświęcił w trudzie:
Przed tym, jak przed jój kapłanem,
Hołd czei, sercem i kolaniem,
Złożą dzieje, czasy, ludzie.

I niech staną narodowie!
Gdzie mistrz, o kim głos ich powie:
„Służy prawdzie, wierzy, kocha“! —
A my z chlubą, choć ze łzami,
Rzekniem: „Takim między nami
Był dziejopis - wieszcz — Szajnocha!

KU PAMIĘCI

Ś. P. MŚCISŁAWA KAMINSKIEGO.

Pokój ci w Panu! Nie wielu nas było,
Cośmy to rzekli nad twoją mogiłą:
Ale jak w duszy méj to pożegnanie,
Niech choć ślad jego w tém słowie zostanie.

Młodzieńcze! zgasłeś w kwiecie twego wieku
Pod skwarem cierpień dojrzałeś, człowieku!
Jak cień lub obraz w kropli łzy czy rosy,
W losie twym wielu odbiły się losy.

Błagał o pracę — i każdójby sprostał;
Radby z najlichszej — a żadnej nie dostał.
Bóg niech przebaczy, jak tyś sam przebaczył,
Kto ci ją może dać mógł — a nie raczył!

I niech tak lekką będzie ci mogiła,
Jak tu na ziemi ciężka dola była! —
Trosk twych ojcowskich, i łez ich goryczy,
Świat nie obaczył — lecz Bóg je policzy.

I póki z góry Opatrzności oko
Patrzy na ziemię, a widzi szeroko:
Znajdzie gdzieś na niój, co rodzinę twoją
Chlebem nakarmią, i w żalu ukoją.

1869.

NA ŚMIERĆ

X. STANISŁAWA PARCZEWSKIEGO,

ZMARŁEGO W RZYMIE, W MAJU 1830 ROKU.

I.

Dawnoż to było, o! mój przyjacielu!
Gdym twój rówiennik w młodości i zdrowiu,
Gdym twój towarzysz przechadzek bez celu,
Gdy ten sam jeszcze księżyc był na nowiu,
Błądziłem z tobą nad Tybru brzegami? —
Noc była jasna, cicha, i wesoła,
Niebo, jak zajrzeć, błyszczało gwiazdami,
Prócz kroków naszych — milczenie dokoła.

Pełni tajemnej, uroczej radości,
Przy Cestusza staliśmy kolumnie.
Wspomnienia kraju i wspólnej przeszłości
Do ust i myśli cisnęły się tłumnie.
Wtenczas ty, pomnę, patrząc na mogiły,
Wkrąg przed oczyma leżące naszymi,

Które w swém łonie na wieki pokryły
Pielgrzymów obej, oddalonych ziemi: *)
„O! biedni oni! — rzekłeś — każdy pewnie,
„Jak my, do kraju tęsknił lub się śpieszył;
„Każdy miał kogoś, co go kochał rzewnie,
„Nadzieją jego powrotu się cieszył! —
„Ciężko im, ciężko było przed skonaniem,
„Bez pożegnania, bez błogosławieństwa!
„Nikt słodkim słowem, nikt czułym staraniem
„Nie ulżył bólów, nie pokrzepił męztwa,
„Nikt nie wyleje łzy nad ich mogiłą!—
„My obey tylko — nie po nich się smucim.
„Kto wie, co komu Niebo przeznaczyło:
„Litwa daleko — kto zgadnie, czy wrócim?—
„Śnił mi się wczoraj przyjaciel umarły,
„Wiódł mię za sobą do ciemnego gmachu:
„Widziałem matkę we łzach i przestachu,
„Chciała mię wstrzymać — wtém się drzwi zawarły.“ —

Śmiejąc się, pomnę, jam twój sen tłómaczył,
Bo ach! czyż mogłem przewidzieć w tę chwilę,
By ten sam jeszcze księżyc mnie obaczył,
Mnie — klęczącego na twojej mogile?—

II.

Boże! któż celów woli Twój dociecze,
Kto pojmie drogi Twego przeznaczenia:

*) Cmentarz Angielski.

Gdy wielkie, piękne zamiary człowiecze,
Gdy gieniuszu wyższego natchnienia,
Jak kwiaty wyższych światów, na tym świecie
Tak często w płonny opadają kwiecie?—

Ach! jam znał tajnie duszy jego!—cała
Była miłością Boga, kraju, enoty;
Jam wiedział cele, do których myśl śmiała
Swe niengięte kierowała loty.
Jam widział skarby jego wyobraźni,
I nauk, pracą zebranych wytrwała:—
Niestety! czemuż głos tylko przyjaźni
Ma być ich całą rękojnią i chwałą?—

Kilka lat jeszcze— a jużby twe chęci,
Stawszy się czynem, służyły ojczyźnie;
Kilka lat jeszcze— a ziomek pamięci
Imieby twoje zostało w spuściznie!—

U stóp ołtarzy stałeś już gotowy,
W albie Pokory, w stule Poświęcenia,
By śladem Skargi, mówca złoto-słowy,
Lud swój z miłością wołać do zbawienia.
I wyobraźni pochodnię iskrzystą
Wstrząsłszy nad dziejów przeszłością ojczystą,
Jużes był poczuł ową ducha dzielność,
Co przeszłość słowem wskresza w nieśmiertelność.

O! wieleś wróżył krajowi i sobie!
Ale inaczej rozrządziły Nieba.—

I cóż nam dzisiaj zostało po tobie?
Ach! przykład chyba, jak umierać trzeba.

III.

Pomnę, gdy konał:—północ bliska była,
Wkoło nas ziomeków bratnie grono stało.
Mdłe światło lampy, co się w izbie tliła,
Śród cieniów naszych na twarz mu padało.

Twarz miał spokojną:—wiedział, że umierał,
W piersiach już coraz brakło mu oddechu;
Przecież spokojnie na wszystkich spozierał,
I blade usta silił do uśmiechu.

Ujrzał łzy nasze—i wyciągnął rękę.
„Nie płaczcie! gorzko było mi na świecie.
„Proście, bym tylko rychłej skończył mękę!—
„Prędzej czy później— i wy tam przyjdziecie.

„Żał mi umierać—ale się nie boję.
„Marzyłem tyle o szczęściu, o sławie!—
„A dziś tak nędznie kończę tu dni moje,
„Śladu po sobie nawet nie zostawię!

„Lecz chęci moje widział Bóg na Niebie,
„Chciałem być służyć Jemu i krajowi.—
„Niech choć z was każdy, na moim pogrzebie,
„Po polsku za mnie jeden pacierz zmówi!“—

Z gorzkiem wzruszeniem rzekł słowa ostatnie,
I oczy jego zalały się łzami.
Skinął nam ręką pożegnanie bratnie,
I nie już więcej nie rozmawiał z nami.

Odwrócił głowę, i zamknął powieki—
Lecz widać było z ust lekkiego ruchu,
Że myśl ostatnią, nim zgasła na wieki,
Wzniósł ku wieczności, i modlił się w duchu.

Z uszanowaniem poszliśmy na stronę—
Wtém zegar północ po mieście uderzył.
Słyszym westchnienie ciężkie, przytłumione—
Biegniem do łoża—nieszczęsny już nie żył!

Czy go modlitwa tak uspokoiła,
Czy śmierć tak lekko skończyła cierpienia,
Że twarz tak słodka, tak spokojna była,
Jak gdyby tylko spał snem ozdrowienia!—

Cześć nas obeszła:—jak staliśmy wkoło,
Z krzyżem na piersiach, skronieśmy schylili.
Potém zasłonę rzuciwszy na czoło,
Raz pierwszy jego samym zostawili.—

Ziomku! gdy będziesz śród Rzymian stolicy,
A wspomnisz sobie tę powieść żałoby:
Tam, w Stanisława Świętego kaplicy,
Gdzie gości polskich znajdują się groby,

Znajdziesz grób jego: — na bryle kamienia
Wryte imię. — Pomyśl o nicości:
Nauki, chwały, zdrowia i młodości.
I zmów po polsku Troje Pozdrowienia.

1830, w Rzymie.

NA ŚMIERĆ
STEFANA GARCZYŃSKIEGO *).

Płakać cię, czy się cieszyć? — wierzę, że wraz z tobą —
Że duch twój, istny tutaj Anioł na wygnaniu,
Bolejąc wciąż nad ludzką zmasą lub żałobą,
Odszedł — dokąd tak tęsknił — i snąc w przeczuwaniu
Krótkiej drogi swój, tak się kwapił z gromadzeniem,
Nie laurów albo skarbów — lecz dzieł swój zasługi,
Jakby stosu ofiary — by na nim płomieniem
Własnych swych uczuś spłonać — jak Krywejto drugi? —

Wieszcz, rycerz, obywatel — w każdym z nich twa
dusza

Odbiła, jak ogniste słońce w wód kryształe.

Lecz pieśń dla innych — rozkosz; dla ciebie — katusza.

*) Stefan Garczyński, autor poematu „Wacław“ i wielu innych poezji, pełnych ducha, zapału i myśli głębokiej, zmarł w 1833, w 29 roku swego życia, w Avignonie, w podróży do Włoch dla zdrowia, na ręku Adama Mickiewicza i Klaudyi Potockiej.

I nie strach sądów świata, nie troska o chwale,
Miotaly sercem twojém;—nie! tyś drzał o dary
Dane ci i natchnione—by ich bez użycia
Nie strwonić; by z nich żadnej części, jak z ofiary,
Nie użyć sam dla siebie; by treść prawdy życia
Wydać w pieśni, jak w czynie;—tak, jak wszystkie
czyny

Dostrajałeś do tonu wieszczych natchnień ducha.
Trud dla Prawdy—to dla cię był pokój jedyny.
Ofiara—jedno szczęście;—Krzyż—jedna otucha!

Jeden twój grzech—żeś nazbyt żądał sam od siebie,
Żeś chciał nazbyt wysoko dójść o ludzkiej sile:
Chciał stać się doskonałym, jak Ojciec na Niebie,
Myśląc, żeś mógł i musiał:—i nie tylko tyle,
Ile da i dozwoli w tobie Pan.—Tyś sądził,
Że życie—to już tylko czas działać, nie prosić;
Czas zdobywać, nie czekać! — O! jeśliś w tém zbłą-
dził.

Męczenniku twój cnoty! odcierpiałeś dosyć.

I Pan snać twe cierpienia ujrzał i przebaczył,
Gdy do łoża twój śmierci posłał ludzi dwoje,
Abyś w nich, jako w żywém zwierciadle obaczył,
O czém tu już rozpaczać jeło serce twoje:
Geniusz Chrześcijański, i świętość Anielską.—
Oboje oni duszą kochali cię bratnią,
Oboje z poświęceniem i łzą przyjacielską
Przyniesli ci na ziemi pociechę ostatnią,

O! i rękojmię szczęścia tam! — Bo kto z takimi
Zlał się sercem i duchem: czyż Ojciec Litości,
Kaząc go takim ludziom pożegnać na ziemi,
Innymby duchom kazał spotkać go w wieczności? —

Przyjacielu mój! bracie! wierzę w to, a przecie,
O! przebacz mi! że siebie, a nie ciebie płaczę! —
Jam to cię z nimi poznał i zbliżył na świecie,
A już i ich, jak ciebie, wiem, że nie obaczę. —

1833.

NA ŚMIERĆ
KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO.

ZMARŁEGO W DREZNIE, 10 PAŹDŹ. 1835.

Błogosławiony człowiek, mędrzec Chrześcijański,
I wieszcz, ofiarnik Prawdy! gdy go w niej duch Pański
Oświeca przez natchnienie, a przez miłość budzi
Głosić ją—nie dla sławy, leez dla dobra ludzi!

W tém ci błogosławieństwie pokój, Kazimierzu!
Myśl twoja zawsze z sercem, duch z Niebem w przy-
mierzu,
Wiodły kolej dni twoich cichym, czystym zdrojem,
Ślad ich znacząc zasługą, a darząc pokojem,
Ażeś stanął śród ziomek, i w ich wieszczów gronie,
Wzorem w czynie, i w pieśni—w życiu, i przy zgonie.

W niej dlań budził się codzień sęp Prometeusza.
Bólom serca uległo ciało—lecz nie dusza.

Nieraz w życiu, powiernik przyjaciół mych bliż-
szych,
I w sercach ich najtkliwszych, i w myślach najwyż-
szych,
Widziałem. jak z cierpieniem łamali się duchem:
Jak kamienném wytrwaniem, lub siły wybuchem,
Tępili lub kruszyli bijące w nich grotty.
Lecz tak cichój, tak słodkiój, pokornój tęsknoty,
Tak świętój uległości woli Ojca w Niebie,
I tak Chrześcijańskiego zapomnienia siebie.
Z jakimi on trwał mężnie w smutku i boleści.
Ni z przykładu nie znałem dotąd, ni z powieści.

A przecież ciężkie były boleść i żaloba!—
Z wieszczego snać przeczucia, był on pieśń Hijoła
Wytlómaczył przed laty—jak by w niej dla siebie
Źródło męstwa i siły zgotować w potrzebie.
To téż cierpiał i znosił jak ów Nędzarz Pański.
Jak ów Baranek—symbol siły Chrześcijańskiój:
Aż Dobry Pasterz ujrzał ozdobę swój trzody,
I snać przyszedł, by sam ją zanieść do zagrody,
Jak stokroć brał przed wieki, i bierze na ręce,
Bohatersko-męczeńskie dusze, i dziecięce.

Zbliżała się godzina:—a jako gdy słońce
Schyla się do zachodu—wiatry w dzień wiejące
Ucichają, a ono swe blaski promienne
Weiąga zda się w głąb' siebie. na spocznienie senne.

Lecz nim zgaśnie, raz jeszcze w pełni majestatu
Nieśmiertelne swe jutro zapowiada światu:—
Tak dusza Chrześcijańska, przed ostatnią próbą,
Ucisza się w pokoju; i jakby chcąc z sobą
Zabrać i unieść wszystkie swe cnoty na ziemi,
Wsiąka je, i nie wiedząc promienieje niemi.

Tak był On.—Obmytemu u pokuty zdroju
Bóg snąc wlał taką słodycz wewnętrznego pokoju,
I tak podniósł go w duchu—że z téj wysokości
Stanął przed nim zarazem i obraz przeszłości,
I nadzieja błękitną przyszłość odsłoniła.
Czuł jej blask—lecz nie wiedział, że to wieczność
była.

I ufny, z pełni serca, przed okiem przyjaźni,
Rzucił w nią, jakby resztę gwiazd swój wyobraźni:
A wszystkie były tylko iskry lub odbicia
Jednej—stałej, słonecznej przewodniczki życia,
Miłości: Boga, kraju, ziomek, towarzyszy,
I domowej rodziny, i wiejskiej zaciszy,
Gdzie wrócić—którym jeszcze błogosławić, służyć
Chciał w życiu—które, mniemał, że Pan chce prze-
dłużyć.

Lecz Pan inak rozrządził—i sam mu swą wolę
Obwieścił:—nie przez trwogę śmierci. nie przez
bole,
Nie przez strach nawet sądów swych i Majestatu:—
Lecz jak wstępował w Niebo, błogosławiąc światu,

Jak stokroć zchodził z Nieba na męczeńskie dusze,
By je wzmódz duchem Swoim nad śmierć i katusze:
Tak zszedł snąć i ku niemu:—z jasnym włosom mło-
dzian,

Z promieniejącém czołem, śnieżną szatą odzian,
Stanął przed nim w widzeniu—i skinieniem ręki
Wskazał drogę ku Niebu—palmę życia męki. *)

I on uznał znak Pański!—i jakby Anieli
Na straży mu u serca i myśli stanęli,
Taki pokój technął w licu, taka w oku radość:
Że nawet w onój chwili, gdy już śmierci bladeść
Zwiastowała jój przyjście; gdy na łup jój ciało
Skazane, snąć w jój rękę konwulsyjnie drgało,
A skroń jego stygnącą, jako marmur białą,
Usta już tylko moje i łzy ogrzewały:
Że nawet w onój chwili—którą widząc człowiek,
Drży tylko albo płacze:—z pod gasnących powiek
Lśnił jakiś taki promień, taki blask weselny,
Tak się dawał czuć tryumf duszy nieśmiertelnój,
Taka pewność, że żyje i idzie do Boga:
Że grzechemby się zdały litość albo trwoga;
I tom jedno czuł tylko w głębi serca mego:
Jak dobry PAN! jak słodka śmierć Sprawiedliwego!

Pokój więc duszy twojój ze sprawiedliwemi!
I pokój prochom twoim!—nie na swojej ziemi,

*) Widzenie to miał Brodziński w nocy poprzedzającej dzień śmierci, i sam nie był dość pewny czy to było na jawie, czy we śnie.

Lecz w pośrodku dwóch bratnich mogił, w których
leży
Wzór cnoty Polskich niewiast, i Polskich rycerzy! *)

I gdy ziomek, stanąwszy nad waszemi groby,
Złoży wam ze łzą w oku hołd czei i żałoby,
W kraju cudzym, swój więcej niech pokocha jeszcze,
Co rodzi takie męże, niewiasty. i wieszczę.

*) Groby: Ewy, z Koszuckich, Dobrzyckiej, i Jenerała Stanisława Wojczyńskiego.

NA ŚMIERĆ KLAUDYI POTOCKIÉJ.

DO MATKI JÉJ

JUSTYNY DZIAŁYŃSKIEJ,

WOJEWODZINY POZNAŃSKIEJ.

Matko Jój! co w twój duszy? Czy duch Jój wszedł
w ciebie,

I moc twą na nadludzkiej wysokości trzyma?
Czy z Jój duszą-Aniołem wiarą żyjesz w Niebie?
Czy tylko Jój mogiłę widzisz przed oczyma?—

Błogosławionaś była między płcią niewieścią
Szcześnie Maryi—matko najenotliwszej w świecie!
Błogosławiona jesteś Maryi boleścią—
W męczeństwie za swych bliźnich umarło twe dziecię!

W wielkiem męczeństwie serca—za ich łzy i bole,
Za szal lub pychę jednych, za upadek drugich:
Za wszystkie grzechy, klęski, za wszystkie niedole,
Spadłe na nas po przodkach i po wiekach długich!—

Miłością, u stóp krzyża, krzepiąc duch ofiary,
Sama chciała wziąć na się wszystkich cierpień brze-
mię,
Pokutą, bez swój winy, rozbroić dłoń kary,
I ściągnąć Miłosierdzie na swój lud i ziemię.

Duch Jój, w walce z losami, najpiérwszy na czele,
Był jako ów Helweta pamiętnego męztwa,
Co wszystkie włócznie wrogów sam utkwił w swém
ciele,
By swym braciom otworzyć drogę do zwycięztwa. *)

W ślad więc Jój! Z Jój pokorą uznajmy swe
grzechy,
Z Jój miłością i wiarą dźwigajmy krzyż trudów:
Aż zesze ku nam Duchu łaski i pociechy,
Ten, co skruchy, nie śmierci, chce ludzi i ludów!

Kiedy?—O! bracia moi! próżno się pytacie!
Niech tylko każdy cnotą chce ten dzień przyspie-
szyć!—
Lecz dziś, w takiój boleści, i po takiój stracie.
Co, prócz takiój nadziei, zdoła nas pocieszyć?

*) Winkelried.

Matko Jój! co potrafi zagoić tve blizny.
Jeśli ta myśl nie będzie pociechą dla ciebie.
Że imię córki twojej jest—Aniół ojezyzny,
I że cię jeszcze matką zwać będzie na Niebie?—

1836.

DO WOJCIECHA KORNELEGO STATLERA.

(Z okoliczności wykonania przez syna jego, Henryka, popiersia i posagu Adama Mickiewicza).

Wojciechu drogi, o! z jakąż pociechą,
I duszy ziomka, i bratniego serca,
Synów już twoich słyszę chwały echo,
Ja, com cię niegdyś współ-wiódł do kobierca, *)

Z tym—z tym najwyższym duchem swego wieku,
Z tym nieśmiertelnym w chwale— lecz po którym,
Nam, co w nim sercem żyli jak w człowieku,
Świat zda się dzisiaj pustkowiec ponurym:

Jak gmach świątyni, gdy w nim ogień święty
Wiatr nagły zgasi, a piorun i trwoga
Oniemia nagle głos, co sam natchnięty,
Tchnął jak świadectwem obecności Boga.—

*) 1830 r. w Rzymie.

Lecz głos ten wiecznie—o! nie tylko w uchu
Ziomków brzmieć będzie—lecz w myślach i czynach!
A skutki jego błogosławieństw w duchu,
Ty sam najlepiej widzisz na twych synach.

On cię za brata i w sztuce, i w Panu,
Liczył w swém sercu; a w chwili uroczej,
Gdys szedł wykonać ślub nowego stanu,
Pomnę, coć przezeń rzekł snać duch proroczy:

„Przez sztukę służyć Bogu i Ojczyźnie,
„To cel żyć naszych.—Obyś twój dar Boży
„I na twe syny mógł przelać w spuściznie,
„Gdy twoja praca sztuce sił przymnoży!“—

I Pan ci ziścił to życzenie wieszca.
Bo któż zgadł tajnie wybranego ducha:
Czy przezeń tylko Bóg sąd swój obwieszcza,
Czy przed wyrokiem i prośb jego słucha?—

Lecz kto nad ciebie wie, jak tajemnieza,
Jak niezglębiona, choć otwarta księga,
Jest w żywych rysach ludzkiego oblicza,
I jak z niej żywo technie ducha potęga?—

Tys tę potęgę snać poczuł w twój duszy,
Gdys rysy wieszca odtwarzając w Rzymie,
Rzucił rys pierwszy twych Machabeuszy, *)
Co w dziejach sztuki uwiecznią tve imię.

*) Obraz P. Statlera, który zaczął malować w Rzymie. w r. 1830.

Aleś szczęśliwy, żeć dano raz jeszcze
Spójrzeć w te rysy, i widzieć w tém czole,
Nie już ból tylko lub natchnienia wieszce,
Lecz uświęconej duszy aureolę.

Duszy, co rzekłszy swe słowo natchnięte,
Widzi, że jeszcze świat go nie rozumie,
I słysząc sądy płochę lub zawzięte,
Mileży cierpliwie—w pokorze, nie w dumie.

I o krzyż tylko oparłszy się z wiarą,
Spokojnie czeka Pańskiego wezwania,
Aby i życia potwierdzić ofiarą
Prawdę swych uczuć, słów, i przekonania.—

Trzykroć szczęśliwy! kto w żywej naturze
Raz taką duszę obaczył w człowieku;
Lecz kto ją wydał w płótnie czy marmurze,
Ten już wziął bierzmo na sztukmistrza wieku.

I wieki przyszłe hołd dzięków mu złożą,
Gdy obok wieszczą słów, czynów i pieśni,
Z nie też w nim pojną natchnioną myśl Bożą.
Któręj ogarnąć nie mogli społeczeńsi.

Jakże mu jasno świeciły z oblicza,
I owa młodość, co nigdy nie mija:

I owa ducha siła tajemnicza,
 Co w walce z światem, świat w końcu podbija:
 I owa wiara, co równie użyteczna
 Bodźca do czynów, jak myśl w Niebo wzbija:
 By dobre ziarna w plon rosły na ziemi,
 By Łaska z góry świeciła nad niemi!

O! i niejeden, co z nim biegł w przegony,
 Rad w nim zasłudze hołd pierwszeństwa złożył;
 I lub porwany przezeń, lub natchniony.
 W ślad ducha jego sam swe myśli wdrożył.—
 Bo On tu z wszystkiém, co Święte, spojony,
 Najwyższe pojął, Najpiękniejsze stworzył!—
 Cześć więc wieszczowi! którą w pełnej mierze
 Geniusz tylko w potomności bierze.

(Z wiersza Göthego na śmierć Szyllera).

1856.

NAGROBEK JANOWI CZECZOTTOWI.

(NA POMNIKU W DRUŻKIENNIKACH).

Młodość poświęcił pracy dla nauk i enoty,
 Wiek męzki przetrwał mężnie w próbach i cierpieniu
 Miłość Boga i braci—treść jego istoty,
 Cały ciąg życia jego—droga ku zbawieniu.
 Imię jego w ojczyźnie jest wiecznie związaném
 Z Adamem Mickiewiczem i Tomaszem Zanem.
 Kto wiesz, czém oni byli — schył skroń przed tym
 głazem!
 Pomyśl, westchnij, i módl się— za wszystkimi trzech
 razem!--

1857.

S Ł A W A.

(Dopelnienie niedokończonego poematu na stron. 191).

I on te wszystkie sprzecznych wichrów tony,
Niedoświadczeniem i młodością śmiały,
Radby zholdować, i napiąć jak stróny,
Na Pean swego tryumfu i chwały.

Ale gdy szermierz na wielkie igrzyska
Dobieże wreszcie i stanie u szranek —
Tam czas wybierać, obaczywszy zblizka.
Do jakiej mety, po jaki biedz wianek.

Obywatelskiej pragnie-li korony,
Co mu na Forum okrzyk ludu przyzna?
Czy z mieczem goni po laur krwią zroszony,
Co w Kapitolu hoduje ojczyzna?

Czy z lutnią tęskni w ślady Orfeusza?—
To jedno naprzód niech w swą pamięć wdroży,
Że jak bądź w biegu gwar prawdę zagłusza,
W końcu zawodu, sława — to sąd Boży.

Z jakich ust ludzi hołd jój tutaj bierze,
Z takimi duchy stać mu tam przed Panem:
Przy Waszyngtonie, czy Robespierze,
Z Leonidasem, albo z Gengiskanem.

I lub w nim będą duchowie wybrani
Witali brata z zasługi i chluby,
Lub chór zawiodą synowie otchłani,
Na urąganie z zaślepieńca zguby!—

A więc-że przy kim nam stać, przyjacielu!
By ujrzeć Sędzi łaskawe oblicze?—
Sześcieliwy! kogo, jak ciebie, do celu,
W ślad Danta, Boska wiedzie Beatricze!

Kto i pieśń wielką wieków geniusza
Myślom i sercom swych ziomków przyswoi,
I czyja razem własna myśl i dusza
Na ton się Mistrza, podnosząc, nastroi!

Bo do zbawienia i nieśmiertelności
Jedna jest wszystkim i ta sama droga:
W Prawdzie, ojczyźnie służyć i ludzkości,
W Duchu, isć samym, i wieść je do Boga.

SPIS RZECZY

zawartych w Tomie Pierwszym.

LEGENDY.

	<i>Stron.</i>
Świadek św. Stanisława.	3
Pokutnik.	8
Św. Antoni Padewski	17
Św. Genowefa	22
Z życia św. Franciszka z Assyżu:	
I. Wilk	28
II. Turkawki	34
III. Jaskółki	39
Policzek X. Skargi.	43
Memento Mori.	48
Dwaj przyjaciele	54
Rzeźbiarz	62
Wieniec łaski	67
Pacierz	71
Źródło św. Gangolfa	75
Piorun.	78
Świat Duchów	83
Dwie siostry	88
Rodzeństwo	93
Kwiat Życia	96

II

	<i>Stron.</i>
Jałmużna.	100
Anioł Stróż	106
Rubelck Tesi	112
Garnuszczyk śmietanki.	117
Trzy wiśnie.	122
Legia Tebańska	124
Anna Księżna Mazowiecka	128
Widzenie Baltazara	130

WIIERSZE RÓŻNE.

Bóg i Lud	135
Bóg i Świat	141
Mojżesz.	145
Tytany i Gnomy	149
Prorok	152
Duch, Czyn, Postęp	155
Gweber	159
Rodzina.	160
Kółko Domowe	162
Po Gradzie.	164
Alleluja.	166
Westalka	168
Moc Niewiasty.	171
Miłość i Praca.	173
Hymn do św. Cecylii	175
Lilija	178
Kopernik	181
Władza	186

III

	<i>Stron.</i>
Bogactwo	189
Sława	195
Treny Poety	193
Do Adama Mickiewicza	205
Do tegóż, po powrocie z Wezuwiusza	207
Wschód słońca na Rigi	209
Do Klaudyi Potockiej	212
Do Stefana Witwickiego	214
Do Deotymy	217
Do Tėjże	222
Tęcza i Rzeka	227
Wajdelota do swoich, po widzeniu Jadwigi	231
Do Władysława Syrokomli	233
Do Karoliny Proniewskiej	237
Do młodego Autora	241
Monolog Długosza	243
Sąd Poety	246
Prorok	251
Po przeczytaniu Psalmu	253
Kwesta na kościół	256
Modlitwa św. Efrema Syryjczyka	260
Starość Ducha	261
Veni Creator	263
Prawda	265
Cierpienie	267
Pokój	268
Waryat, do Syxtusa Jasiewicza	270
Do Tegóż	273
Do Adama Suzina	276
Do Ignacego Chodźki	278

IV

	<i>Stron.</i>
Aniół Śmierci	281
Wartość rzeczy.	282
Memento Mori.	285
Rada pięknej	287
Na śmierć dziecka.	288
Śmierć Dziecięcia	290
Na zgon szesnastoletniej A. Z.	292
W dzień pogrzebu Maryi Potockiej.	294
Życie i śmierć	296
Cieniom Karola Szajnochy	298
Ku pamięci ś. p. Mściława Kamińskiego	299
Na śmierć X. Stanisława Parczewskiego	301
Na śmierć Stefana Garczyńskiego	307
Na śmierć Kazimierza Brodzińskiego	310
Na śmierć Klaudy Potockiej.	316
Do Wojciecha Kornelego Stattlera	319
Nagrobek Janowi Czczottowi	323

POEZYE

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

WYDANIE CZWARTE

POPRAWNE I POMNOŻONE.

Tom II.

WARSZAWA.

w Drukarni Gazety Lekarskiej,
ulica Ś-to Krzyzka Nr. 1343 (9 nowy).

—
1875.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Октября 1874 г.

SPIS RZECZY

zawartych w Tomie Drugim,

BALLADY.

	<i>Stron.</i>
Wesele	3
Branka Litwina	9
Ofiara Przerwana	13
Rusalki	21
Tukaj, Część III	24
— Część IV	31
Syrena	38
Wit Stwosz u pręgierza	45
Branki Budrysów	48
Lunatyk	53
Harald i Ringwalla	58
Szal czarny	61
Hajducy	63
Allen-Dal	66
Pielgrzym.	69
Strzelec w Alpach	71
Strachy	74
Epilog do Ballad	83

W I E R S Z E R Ó Ż N E.

	<i>Stron.</i>
Nowy Bogacz, Nowy Łazarz	87
Wieczór przed balem, czyli Lafirinda	99
Wieczór Kawalerski	111
Cudze Grzechy	119
Marnotrawca	129
Wiara i Wiara	132
Sąd i Sąd	133
Prawdomówca	135
Do Młodej Paniienki	138
Wir Stolików	140
Świat i Poeta	143
Do Eustachego Hr. Tyszkiewicza	146
Do Marcinka Wiedzkiego	150
Do Teodora Triplina	152
Do Józefa Korzeniowskiego	155
Do Ignacego Chodźki	157
Do Józefa Rahozy	160
Do Wincentego Jakubowskiego	163
Inwitacya do Przyjaciół	166
Okolnik do Sąsiadów	168
Do A. F. Adamowicza	172
Do Michała Kątkowskiego	174
Do Michała Balińskiego	177
Do Kazimierza Wł. Wójcickiego	182
Mój Kardynał	184
Odjazd z Rzymu	187
Żniwiarze Rzymscy	191
Morze	193

III

	<i>Stron.</i>
Na Obraz Morski	195
Walka Byków	197
Podział Świata	201
Noc Miesięczna	203
Na Obraz Pustyni	207
Z Mathissona	208
Z Klopstocka	210
Wspomnienia	211
Urywek	213
Z Leonarda da Vinci	214
Sztuka	215
Obrazek	216
Lucia	217
Uśmiech	218
Odpowiedź Nieznajomój	219
Do Jaskółki	220
Do Alexandry Kurnatowskiej	222
Do Tesi	225
Dziewic-Wieczór	227
Nagrobek w dzień Imienin	229
Rosa Mistica	231
Róża	232
Fijołek	233
Pierwsze Rozstanie	235
Ostatni Toast	237
Pożegnanie	240
Oddalony	244
Łzy	246
Przypomnienie	248
Pociecha we Łzach	250

IV

	<i>Stron.</i>
Ułamek z Elegii	252
Kochankowie Elegia	254
Ranek i Wieczór.	256
Pod Krużgankiem	258
Czary, Elegia Turecka	260
Z Byrona	262
Skutek w Odległości	264
Sonet	267
Wesoła Piosenka.	268
Panicz i Dziewczyna	270
Złota Rybka	275
Młynareczka	277
On i Ona	280
Antidotum	283
Perfekcya	285
Wątpliwość	288
Woalka	289
Motyl	290
Dziewczę i Gołąb	292
Zając	294
Przeszkody	297
Anti-Przeszkody	301
Chochlik	307
Anakreontyk	310
Wiersz na Parostatku	312
Echo w Alpach	314
W Imionnikach	315
Do P. G.	317
Bajki	319
Piosnki Litewskie	327

BALLADY.

W E S E L E.

Na zamku Kasztelana
Brzmi muzyka dobrana,
Hałas głośny kapele:
Puchar krąży wokoło,
Wszyscy bawią wesoło,
Procz téj — czyje wesele.

I nie dziw! Panna Młoda
Jak róża, jak jagoda:
Jak chwast w zimie Pan Młody.
Niski, łysy, pękaty —
Lecz Starosta, bogaty,
Ojciec kazał — więc gody.

Idzie taniec — na przedzie
Pan Starosta rej wiedzie,
Za nim szlachta się wali.
Wtém „gość!“ krzyknął odźwierny,
I Towarzysz Pancerny
Zbrojno wkroczył do sali.

Kasztelan, gdy go zoczył,
Zaraz ku drzwiom poskoczył,
Pełen gniewu czy trwogi:
„Mówilem już Acanu,
„Że ludziom jego stanu
„Za wysokie me progi!” —

— „Nie tak zbyt, jak się roi,
„Gdym je mógł przejść we zbroi.”
Zimno Rycerz odpowie.
„Každy z nas na zagrodzie
„Równy jest Wojewodzie,
„A cóż Kasztelanowi?” —

Kasztelan w wściekłym gniewie,
Co ma począć, sam nie wie,
Na nic już nie pamięta:
„Hola! szlachta Panowie!
„Kto się bratem mym zowie,
„Za drzwi tego natręta!” —

Wszyscy taniec rzucili,
Wszyscy szabel dobyli,
Słyszac gniewny głos Pana.
„Co ty? kto ty? zuchwały!
„Gdy chcesz unieść łeb cały,
„Precz z domu Kasztelana!” —

Młodzian się nie ustrąsza,
Dobył wzajem pałasza,
I wstrząsając nim dumnie:

„Przez Bóg żywy! téj chwili
„Po swój łeb się nachyli,
„Kto krok postąpi ku mnie!

„Ale nie chcę uczt krwawić,
„Nie długo mam tu bawić,
„Chciałbym tylko, Panowie!
„Pannie Młodój winszować,
„Taniec z nią przetańcować,
„I wypić za jój zdrowie.

„Na tożem w krwawych bojach,
„W ciągłych trudach i znojach,
„Kraj piersiami zasłaniał:
„By mię lada Kasztelan,
„Waszą łaską ośmielan.
„Jak psa z domu wyganiał?“ —

— „Dobrze mówi! zuch! brawo!
„Zostań z nami, masz prawo!
„Do stu djabłów magnaci! —
„Kto chce doznać jak nasze
„Wyostrzone pałasze,
„Niech łeb wzniesie nad braci!”

„Brawo! brawo! pójdź z nami!
„Zaprowadzim cię sami,
„Winszuj — jeśli jest czego.
„Wypijemy jój zdrowie.
„Potém, bracia Panowie,
„Dalej *nieskończonego!*“ —

I wnet krzyząc zuchwale,
Wiodą hurmem przez salę,
Do Kasztelanki prosto.
Zbladły drżące matrony,
Sam Kasztelan strwożony
Skrył się na bok z Starostą,

Kasztelanka struchlała,
Gdy rycerza ujrzała,
Zapłonęła i zbladła.
Chciała witać — lecz siły
Nagle ją opuściły,
Na ręce jego padła.

„Wody! octu! lawendy!“
Krzyk się rozległ wnet wszędy.
Lecz się pomoc spóźniła.
Rycerz, gdy nikt nie słucho,
Szepnął jój coś do ucha,
Kasztelanka ożyła.

„Teraz, bracia Panowie!
„Szczerych kochanków zdrowie!“ —
— „*Vivant!* pijmy koleją!“ —
— „Kto ich dzieli dla złota,
„Niech mu niém za żywota
„Czarci gardło zaleją!“ —

— „Brawo powiedział, brawo!
„Każdy kochać ma prawo.
„Wiwat śmiałość żołnierska!

„Serce sercem się płaci,
„Nikt nie wyższy nad braci.
„Wiwat równość braterska!“ —

— „Héj muzyko, polskiego!
„Dalej nieskończonego!“ —
Idzie taniec po sali.
Młody Rycerz na przedzie
Z Kasztelanką rej wiedzie,
Za nim szlachta się wali.

Staął: koło młodzieńca
Tancerka się okręca,
Dłoń w dłoni, oko w oku.
Wszyscy się okręcali,
Zamieszanie na sali,
Nie nie widać w natłoku.

Znowu taniec spokojny.
Lecz gdzież tancerz ów zbrojny?
Próżno okiem go śledzą.
To figura niezwykła!
Pierwsza para gdzieś znikła.
Lecz gdzie i jak?—nie wiedzą.

Wtém podwórzec zamkowy
Zabrzmiał brzękiem podkowy.
„Pancerny porwał Młodą!“ —
— „Hej! do koni! do broni!
„Kto ich pierwszy dogoni,
„Co chce, weźmie nagrodą!“ —

Rzekł Kasztelan, i prosto
Z zadyszany Starostą,
Zbiegł na dwór—już na koniu.
„Niech mych skarbów nie szczędzi.
„Kto ich piérwszy dopędzi!“ —
I puścił się po błoniu.

— „Gdzie tam! prózna mozoła!“
Ktoś ze szlachty zawoła:
„Muszą lecieć jak z procy.
„Wreście trzeba warjata,
„Za złoto gubić brata,
„Lub kark łamać po nocy!“ —

— „Dobrze mówisz, Wojciechu!“
Zawołali śród śmiechu:
„Krzywdą się nie zbogacim.
„Przebawmy tu noc całą,
„Wypijmy co zostało,
„A tak nie w tém nie stracim.“ —

Jak rzekli, tak zrobili.
A gdy wszystko wypili,
Do domu pojechali.
Starostę koń gdzieś zrzucił.
Kasztelan sam powrócił —
I już nie wiem co dalej.

BRANKA LITWINA.

„No, no, Laszko! dość jęku!
Nie płacz, nie mdlej w mych ręku.
Wszysej na koń już wsiedli,
Wszysej brańców powiedli,
Jaż mam z tobą czas trwonić,
Bym ich nie mógł dogonić?
Czy cię zabić, bym z bitwy
Z niczém wrócił do Litwy? —

„Nie, nie! prosisz daremno!
Żywa musisz iść ze mną.
Daléj na koń! siądz wpodle
Na słomianém mém siodle!
Bystry koń mój ze Żmudzi
Swym cię biegiem nie strudzi,
A przed wiatrem, na łonie
Wilczą burką osłonię.

„Daléj, z sercem ochoczém!
Nie masz płakać tu po czém.

Patrz! twój piękny dwór biały
W ogniach stoi już cały.
A ów Laszek twój młody,
Co na koniu, w zawody,
Chciał cię unieść przedemną,
Chciał obronić daremno,
Wierz mi, w krwawym swym grobie
Nie zatęskni po tobie! —

„Patrzno! patrzno! jak zbladła!
Jak nieżywa upadła! —
Żal jój brać mię zaczyna.
Taka piękna dziewczyna!—

„No, przyjdź tylko do siebie!
Sam dbać będę o ciebie.
Po nad brzegiem Żejmiany
Mam ja zamek drewniany,
Pełne gumna, i pełny
Śpichrz kądzieli i wełny.
Tam nie będzie ci smutno.
Przez dzień będziesz tkać płótno,
W wieczór, w gronie mych dziewczek,
Przędąc, słuchać ich śpiewek.
A jak syn mój jedyny
Wróci z Pruskiej krainy,
Kto wie— gdy cię polubi,
Może nawet zaślubi.

„Mało równych mu w Litwie
I na uctach, i w bitwie!

Nie dziewczyna, nie gaszek,
Jak ów piękny twój Laszek!—
Wzrost, jak dębu, wyniosły,
Cały czarno zarosły,
Wzrok, jak gdyby Perkuna,
Błyska ogniem pioruna,
A niech zginę, gdy kłamię,
W ręku sztabę rozłamie!—

„Ho! już płakać przestała!
Ogniem płonie twarz cała. —
Czy dziękujesz, czy prosisz,
Że tak w Niebo wzrok wznosisz?
Zkąd z tak nagłym pośpiechem
Siadasz na koń z uśmiechem?—

„No, no! przytul się do mnie,
Zarzuć ręce koło mnie!
Tak, tak!— teraz już mogę
Ptakiem puścić się w drogę.—

„Zkądże znowu to drzenie?
Co tak patrzysz w płomienie?
Cóż że jedziem koło nich?
Wszak nie wepehnę cię do nich. —

„Ha, ha! stój, stój! zuchwała!
Z konia mi się zerwała.
Lecz nie ujdiesz pogoni.
Lub cię strzała dogoni!—

„Ale gdzie ją strach żenie? —
Czekaj! nie leć w płomienie!
Przez Perkuna! nie tobie
Za to złego nie zrobię.

„Ani słucho, szalona!
Leci wzniosłszy ramiona.
Prędzój koniu! już blisko —
Śpiesz, nim wskoczy w ognisko!
Śpiesz!...

Lecz gdzież się podziała? —
Ha! to suknia jój biała,
W pośród gruzów zwalonych,
Miga w ogniach czerwonych! —

„Jakem Litwin! dziewczyna
Warta była Litwina.
Spaliła się — a szkoda!
Była piękna i młoda.“ —

OFIARA PRZERWANA.

(WE TRZECH CZĘŚCIACH).

I

PROŚBA,

Ze skały, na mój honor, kuta ojców dusza,
Ży, prośby, narzekania, nie ich nie porusza.

Otoay.

„Ojcie mój! zabij mię raczėj,
Zakop mię żywą do ziemi,
Lub się méj uzał rozpaczy,
Porusz się łzami mojemi!

„W raj rozkwitnie puszcza dzika,
W wosk zmięknije skała twarda,
Niż ja zapomnę Henryka,
Niż będę żoną Oskarda!“ —

— „Zofio! porzuć te szwały!
Pełń me rozkazy spokojnie.
Twój Henryk albo niestały,
Albo zabity na wojnie.“ —

— „O! nie! mój ojciec kochany!
Dusza Henryka nie płocha;
Nie zna on zdrady, ni zmiany,
Jak wprzód mię kochał, tak kocha.

„Tyś go uczył, dla ojezyzny
Poświęcać zdrowie i życie:
W jej obronie wzięte blizny
Wstrzymały jego przybycie.

„Pomnę, dając pożegnanie,
Gdys go przyodziewał zbroją,
Rzekłeś: „Wróć, dzielny młodzianiel
Wróć, a Zofia jest twoją!“—

— „Niebaczna! z kąd ci ta śmiałość?
Wiem, dokąd zmierza twa mowa.
Śmiesz mię winić o niestałość?—
Niech wraca! dotrzymam słowa.“—

— „Ojciec mój! wieczne ci dzięki!
Wyrwałeś mię z głębi piekła.“—
I znowu krasa jutrenki
Blade jej lica powlekła.

Topiąc w córce wzrok sokoli,
Twarz Hrabiego gniewem bladła,
I dłoń jego poniewoli
Na rękojeść miecza spadła.

„Ojciec! wstrzymaj groźbę gniewną,
Każ zwlec naglone wesele!

Henryk, mam wiadomość pewną,
Powróci w przyszłą Niedzielę.“—

—„Wiadomość?“—rzekł Hrabia srogo,
Mierząc ją okiem surowo.—
„Wiadomość?“—Zkąd i od kogo?—
Lecz mniejsza! dałem ci słowo.

„Wiedz tylko, skoro połowy
Żądana dójdzie Niedziela,
Żadnej nie słucham odmowy,
Chwilą nie zwłóczę wesela.“—

Tak rzekł— a serce dziewicy,
Jako kwiat po nawałnicy,
Gdy wiatry rosę obwieją,
Słodką zakwitło nadzieją.

II.

OCZEKIWANIE.

Lecz próżno czeka i czeka,
Nikt nie przyjeżdżał tym szlakiem.

A. Mickiewicz. — Rybka

Zaledwie ranek Niedzieli
Pozłocił wieże zamkowe,
Zjeżdżają goście weseli,
Brzmia wkoło pieśni godowe.

Cieżarem sreber schylone
Giermkowie stoły ubrali:
Zamku dziedzińce przestronne
Zalały tłumy wassali.

Zegar południa domierza,
Wszystko gotowe w kaplicy.
Lecz jeszcze nie ma rycerza,
Ni młodej oblubienicy.

Ona w weselnój odzieży,
I we łzach gorzkich od ranka,
U okna wysokiéj wieży,
Czeka przybycia kochanka.

Okiem panując nad drogą,
Słucha, nie śmiejąc oddychać.
Ale nie widać nikogo,
Ale nikogo nie słychać.

„Aneto! wstąp tu na wieżę,
Siądź przy mnie, patrz na tę drogę!
Może go wzrok twój dostrzeże,
Ja nie już widzieć nie mogę.“—

Rzekłszy, twarz chustką zasłoni.
„Aneto! która godzina?“—
— „Pół biło.“— Spójrzy po błoni,
I znowu płakać zaczyna.

— „Aneto! nie widzisz kogo?
Nie słyszysz tententu w lesie?“—

— „Wiatr tylko szumi, i drogą
Tumany piasku tu niesie.“ —

— „Henryku! gdzieżeś kochany?
Przyjdź, skrusz piekielne zameńcie! —
Przebóg! czy może twe rany?
Czy jakie nowe nieszczęście?... —

„Aneto! któraż godzina?„ —
— „Kwadrans już tylko.“ — „O! Boże!
W tobie nadzieja jedyna,
Twa dłoń mię chyba wspomůže.

„Aneto! nie widzisz kogo?
Nie słyszysz tententu w lesie?“ —
— „Wiatr tylko szumi, i drogą
Tumany piasku tu niesie.“ —

— „I nicze więcej?“ — „Nic zgoła.“ —
— „O! ja nieszczęsna! niestety!
Czas nagli, powinność woła.
Henryku! gdzie ty? ach! gdzie ty? —

„Niewdzięczny! ty u nóg innéj
Z łez może, z żalów mych szydziś,
Z mojej miłości niewinnéj!...
Aneto! nie-że nie widzisz?“ —

— „Słyszę, słyszę tentent koni,
Widzę, jak lecą w zawody.
To oni! pani, to oni!“ —
— „Oni! kto oni?“ — „Pan młody.“

— „Okrutna! — toż więc nie miną
Nad śmierć straszniejsze mi śluby? —
O! ty, łez moich przyczyno!
Gdzieżeś, ach! gdzieżeś mój łuby!?”

„Zbliża się moment straszliwy,
Stało się! czekam daremnie. —
Henryku! żyj więc szczęśliwy,
Gdy nim być możesz bezemnie!“ —

Ale już ostatnie słowa
Dźwięk podnożnych spiżów głuszy,
Co jak trąba pogrzebowa
W tęsknej się rozlega duszy.

„Córko! minęła godzina —
Rzekł Hrabia — wszystko gotowo.
Pomnij, o! moja jedyna!
Na posłuszeństwo i słowo.

„Nie truj ojca swemi łzami!
Niech się wzgardą płaci wzgarda.
Henryk jawnie wzgardził nami,
Pójdź, zostań żoną Oskarda!“ —

— „Zostanę, ojczy! zostanę,
Miłość, nienawiść przemogę.“ —
I oko łzami zalane
Na próżną pobiegło drogę.

Ś L U B.

Mnie księżę stulą wiąż

Mickiewicza. Lilijs.—

Gdzie się pysznemi kolumny
Kościelny dźwigał przysionek,
Obiecaném szczęściem dumny
Stał niecierpliwy małżonek.

Wkoło sąsiedni młodzieńce,
Lśniący od złota i stali,
W mirtowe ubrani wieńce,
Oblubienicy czekali.

Patrzcie! to ona! to ona!
A przy niej družki dwie młode.
Z czoła jój biała zasłona
Kształtną obwiewa urodę.

Jak w wodzie promień księżyca,
Tak ona drżąca i blada;
Łzami zalana żrenica
Nieśmiało ku ziemi spada.

Zagrzmiały kotły i rogi,
Drżą echem okna kaplicy,
Skoro w jój święte wszedł progi
Oskard przy pięknej dziewicy.

Ku uroczystej ofierze
Wszelki zrobiwszy porządek,

Ksiądz kończył zwykłe pacierze,
I święty zaczął obrządek.

Na złotój tacy pierścionki
Słowem i wodą poświęca,
Młodemu pierścień małżonki,
Małżonce dając młodzieńca.

I dłoń prawą wzniosłszy w górę,
Czyta przysięgę powoli.
„Bierzesz go za męża?“ — „Biorę.“ —
— „Z własnej-li, wolnej swój woli?“ —

„Milczysz?—odpowiadaj śmieie!
Co znaczą te łzy i żale?“ —
Lecz jakież to krzyk w kościele?
„Stój, księżu! precz ztąd, wassale!“ —

Jakież to rycerz, dla Boga?
Postawa kształtna i śmiała,
Twarz razem miła i sroga
Niecierpliwością pałała.

Zbroica czarna, bez znaku,
Pianą i kurzem okryta;
Na czarnym jego szyszaku
Czarna wahała się kita. —

Złękły rycerza widokiem
Lud korne czoła uniża;
On idzie naglonym krokiem,
I do ołtarza się zbliża.

Szmer głuchy powstał w kaplicy —
Kto on jest? zgadnąć nie mogą.
Drży serce biednej dziewicy
Między nadzieją i trwogą.

Nieba! to Henryk jój luby!
Radośnym wita go krzykiem. —
Ksiądz kończył zaezete śluby,
Lecz już z kochanym Henrykiem.

1823

RUSAŁKI.

DO ADAMA MICKIEWICZA.

(Posyłając mu kwiaty z doliny Kowieńskiej).

O! ty mój mistrzu w pieśniach i cnotach,
Mój przyjacielu jedyny!
Jak mi bez ciebie, w ciągłych tęsknotach,
Leniwe płyną godziny!

Jako na morskie żeglarz odmęty,
Żrenicą łzami zroszoną,
Pogląda z brzegu, gdy mu okręty
W bezdennych falach potoną:

Morze przeszłości widzę za sobą,
Równém uczuciem przejęty,
Gdzie potonęły dni, com żył z tobą,
Życia mego dyamenty.

Wszystkie w niej dotąd błyszczą przedemną,
Jak gwiazdy w wodzie odbite.
Wróca-li kiedy?—pytać daremno!
Księgi przyszłości zakryte.

Wspomnienie tylko—blask, co po sobie
Meteor szczęścia znikomy
Zostawia w duszy—ulgą w żałobie,
Boś ty w nich tylko widomy.

Z niemi ja lubię błądzić samotnie,
Gdzie serce z tobą przywykło.
Ztąd myśl za czasem goniąc się lotnie,
Jeszcze ogląda co znikło.

Takem w Kowieńskiej błądził dolinie,
Dolinie głośniejszej twém pieniem,
Co dzisiaj wdzięczna, że przez cię słynie,
Twojém się szczyci imieniem.

Noc była—księżyc z mglistych obłoków
Czasem twarz smutną odsłania,
Zdając się postać wszystkich widoków
Do mego stroić dumania.

Jak mi tu znany każdy zakątek,
Każda najmniejsza krzewina!
Tu świat najmiłszych moich pamiątek,
Każda mi ciebie wspomina.

Niemi zajęty, szedłem daleko,
Nocy ni chłodu niepomny,
Aż gdzie się w cieniu wierzby nad rzeką
Wznosi ów kamień ogromny.

Gdziem zapominał po razy tyle
Z tobą o słońcu zapadłem.—

Tam, chcąc szczęśliwe przypomnieć chwile,
Na tym kamieniu usiadłem.

Nagle ze śmiechem zmieszane głosy
Zdumione uderzą ucho.
Powstałem, trwoga zjeżyła włosy —
Lecz wkoło ciemno i głucho.

A wtém, z kąd zarośl nieco otwarta,
Dziewica w białej odzieży,
A za nią druga, trzecia i czwarta,
Piąta i setna wybieży.

Złote warkocze, wzrok miały czarny,
A gdy już wszystkie wybiegły:
Półkolnym rzędem staną, jak sarny,
Kiedy myśliwca spostrzegły.

Chciałem się cofnąć:—wtém jedna z koła,
Gdy się za krzaki zakradam,
Pomknąwszy ku mnie, głośno zawoła:
„To Adam, siostry! to Adam!”—

I wnet mię wszystkie wkoło otoczą,
I skaczą, i klaszczą w dłonie;
Te z nich po kwiaty biegną ochoczo,
Te plotą wieniec na skronie.

Stałem—pot zimny wybił na lica.
Głos długo z ust się mych sili:
„Kto bądź jesteście, piękne dziewice!
„Strój czarny pewnie was myli.”—

— „Co? tyś nie Adam?” — z podziwu gestem,
Wzrok we mnie topiąc, wyrzeką.

— „Przyjaciół tylko Adama jestem.” —

— „A gdzież jest Adam? — „Daleko!” —

Rzekłem, umilkły; wzrok w ziemię wryty,

Z ręki wypadła więź kwiatków.

Wtém jedna dając wieniec uwity

Z niezapominek i bratków:

„Poszlij mu — rzecz — od nas te kwiaty;

Myśmy tych dolin boginie.

Ach! on je kiedyś lubił przed laty

Na naszej zbierać dolinie.

„Do droższych wieńców, za swoje rymy,

Wiemy, że słusznych praw nabył.

To tylko dowód że go pomnimy,

By i nas wzajem nie zabył.“ —

Oddała wieniec, z drżeniem go wziętem,

Podobnym cudom niezwykły;

One wtém lekko skinąwszy czołem,

Odeszły zwolna, i znikły.

Szlę ci więc kwiaty, szlę ci me rymy,

Wierz prawdzie jakem je nabył.

Znajdziesz w nich dowód że cię pomnimy,

Patrz! byś i nas téż nie zabył.

TUKAJ

ALBO

PRÓBY PRZYJAŹNI.

(*Dokończenie Ballady A. Mickiewicza**).

CZEŚĆ TRZECIA.

Tukaj przeżył lat czterdzieście,
Zdrowia, złota nie żałował,
Hulał, szalał—aż nareście
Przesycił się i zmordował.
Kochanki się postarzały,
Młode młodszych wybierały.
Mógł odmłodnieć—po cóż zwlekać?
Z przyjaciół—miał ich nie mało —
Trzech się tylko pozostało,
Którymby się dał posiekać —

*) Któż nie zna dwóch pierwszych części *Tukaja*? Autor ich, w 1829 r., polecił mi ich dokończenie, i sam do ułożenia treści trzeciej części dopomógł. (P. A.)

Ma się rozumieć, po probie.

Rzekł więc naprzód najstarszemu;

„Przyjacielu! ufam tobie.

„Nie pytaj na co i czemu?

„Lecz weź ten słój, pójdz do zdroju,

„I cokolwiek będzie w słoju,

„Proszę, byś do wody wrzucił.” —

Przyrzekł, poszedł, nie powrócił.—

Tukaj się mocno zasmucił.

Szczęściem, że przyjaciel drugi

Stanął gotów do posługi.

Wrócił — lecz dziwem przejęty:

„Tukaju! to dyamenty!

„Co za kaprys lub powody,

„Taki skarb rzucać do wody?” —

— „Będziemy dość mieli oba,

„Weźmiesz, ile się podoba.“ —

— „Mniejsza o to! Powiedz raczěj,

„Co to? na co? co się znaczy?

„Nikomiu nie powiem o tém.“ —

— „Jeszcze nie czas! — potém, potém! —

„Masz słój drugi, wrzuc do zdroju,

„Ale nie patrz co jest w słoju!“ —

Wziął słój — ale nie mówi.

Patrzy w oczy Tukajowi.

„Idź, idź! resztę czas wyświeci.“ —

On odszedł. mileżąc ponuro.

Alić ledwie znikł za górą,
Z za góry czarny kruk leci.
„Cóż? Tukaju! wracam suchy!—
„Cha, cha! lecz nie trać otuchy.
„Idzie twój przyjaciel trzeci!“—

Tukaj się uderzył w skronie,
Z rozpaczą załamał dłonie,
I wzrokiem tocząc po niebie,
Klął ludzi, djabłów, i siebie. —

„Tukaju! co się to znaczy?
„Wyjaw mi powód rozpaczy:
„Jeśli osłodzić nie zdoła,
„Przyjaźń twój smutek podzieli!“—
— „Ha! przyjaźń!— Tukaj zawoła—
„Wszak wiesz, miałem przyjacieli,
„Gdzież są po najpiérwszej probie? —
„Lecz znana mi dusza twoja.
„Mów, mogeż zaufać tobie?“—
— „Doświadczeń! to odpowiedź moja.”

Wziął słój — skarb do wody wrzucił.
Wziął drugi—kruk nie powrócił.
On wraca.—Skoro go zoczył,
Tukaj na spotkanie skoczył.
Już są blisko, już wzajemnie
Wyciągają uścisk tkliwy...
Tukaj szepnął coś tajemnie,
Skinął—i wtém, dziw nad dziwy!

Potwór — lew, gryf, smok straszliwy,
Z dymem w paszczy, z ogniem w oku,
Na Tukaja wypadł z boku.

„Ratuj, bracie!” — Tukaj krzyknął.

On zapomniał że bezbronny,
Skoczył śmiało — zapęd płonny!

Zwierz jak wypadł, tak i zniknął.

Głos tyko z śmiechem zmieszany
Zabrzmiał: „Winszuję wygranej!
Ale jeszcze, jeszcze proba!”

Ci się uścisnęli oba.

Tukaj już się nie nie trwożył,
Odkrył sekret, rzecz wyłożył;
Dał przepisy, dał przestrogi,
Jak ściąć głowę, siekać nogi;
Lecz nadewszystko powtórzył:
Jak pocięte skleić członki,
Jakie zioła i korzonki
Rwać na nowiu lub pod pełnię;
Po ile brać szczypt i łotów. —
To skończywszy, był zupełnie
Do operacyi gotów.

Jednak żal mu się zrobiło.

Słońce pięknie zachodziło,
Księżyc wznosił się od wschodu.
Tukaj poszedł do ogrodu.
Kwiaty kwitły na około,
Wonny wietrzyk chłodził czoło,
Słowik śpiewał gdzieś wesoło. —

Tukaj stanął po nad strugą.
Myślał, patrzył — długo, długo.
Wtém łzą błysnął wzrok ponury,
Oczy, ręce, wznosił do góry:
„Niebo! słońce! bądźcie zdrowe!” —
Wtém przyjaciel ściał mu głowę.

1829 r. w Wejmarze.

CZĘŚĆ CZWARTA.

Drugi miesiąc na młodziku.
Już cała ciała budowa
Uklejona — tylko głowa
Leży pod szkłem na stoliku.
Lecz i tę głowę z kolei
Przyjaciół dziś już przyklei.

I pełen wiary, nadziei,
Z miłością marzy o chwili,
Kiedy się Tukaj ocuci:
Jak mu na szyję się rzuci!
Co będą czuli, mówili,
Jak się kochali, jak żyli!
Światu się staną przykładem,
Jak nowy Orest z Pyladem.

I w tém rozkoszném marzeniu,
Wzruszeniu i uniesieniu,
Ani spostrzega, jak burza
Cały horyzont zachmurza.
Aż jednym razem, nad domem,
Wichrem, ulewą i gromem
Rykła — i trzęsie ścianami.
A w téjże chwili, przed drzwiami
Głos jakiś błaga o wnijscie.

Gość nie w porę, rzeczywiście
Gorzój Tatarą: — lecz jużcić
Niepodobienstwo nie wpuścić!
(Albowiem rzecz się, jak wiecie,
Dzieje w Litewskim powiecie,
A żaden barździej być ludzki
Nie może, jak Nowogródzki).

Gość więc wszedł. — Postać i mina
Nie ukazują Litwina.
Lecz kto? zagadka nie lada!
Bo chociaż po polsku gada,
Znać po nim że cudzoziemiec.
Lecz kto? Włoch, Francuz, czy Niemiec?
Z każdego zda się mieć trocha.
Oczy ogniste, jak Włocha;
Ruch, uśmiech, podróżna bluza,
Przypominają Francuza;
A ledwo usta otworzył,
Zda się że Niemiec Faust ożył,
Tak się z nich raptem polała
Mądrość — jak owa nawała
Z chmur po nad domem. —

On, burzę
Wziąwszy za assumpt: wnet z progu,
Jak zaczął, to o naturze,
To o człowieku i Bogu,
Prawić — a wszystko tak ślicznie,
Tak górno, filozoficznie,
Że czy to urok wymowy,
Czy figiel sztuki Faustowój,

Dość, że gospodarz osłupiał.
I tak, czy zmądrzał, czy zgłupiał,
Że chociaż dobrze słów jego
Ani ogarnął, ni zmierzył,
Od razu zaczął od tego,
Że im na oślepu uwierzył.
I sam, w *jajości* swój środku,
Nagle, jak kurezę w zarodku,
Poczuł straszliwą ochotę
Zbadać wszech rzeczy istotę.

Więc choć mu zawsze w pamięci
Tukaj, i nad nim robota:
Chęć wiedzy również go nęci,
Ciekawość również nim miota:
Jak może stać się, gdy stanie,
Że martwy z martwych powstanie?—

Ale jak zadać pytanie?—
Wié on i dobrze pamięta
Tukaja *pacta conventa*,
Że zdradzić przed kimbądź sekret,
To znaczy wydać nań dekret
Nie tylko śmierci—lecz piekła.

A więc ubocznym sposobem
Zagadł: Co mądrość dociekła
O życiu dusz po za grobem?
I czy są siły, co mogą,
Naprzykład—ot wskrzesić kogo?—

Gościowi radość na lica
Wybłysła, jak błyskawica,
I tając uśmiech w pół drwiący,
Co się z ust wymknął niechęący,
Nuż *ex cathedra, ab ovo*,
Rozprawiać na dane tema.
Naprzód o Bogu:

„Bóg—słowo.

„I jest—i razem go nie ma.
„Nie ma na ziemi ni w Niebie.
„Ale jest w mędrców rozumie.
„Bez nichby nie był— bo siebie
„Sam bez nich pojąć nie umie.
„Wbrew więc dawnych Teozofów,
„Dopiero ludzie poznają,
„Że nie Pan Bóg filozofów,
„Ale go oni stwarzają.” —

Gospodarz strasznie się zdziwił,
Wytrzeszczył oczy, twarz skrzywił,
I jak mógł nastawił uszy.
A gość tak dalej o duszy
Ciągnął rozprawę swą:

„Dusza,

„Jako jest Boga obrazem,
„Tak téż jest, i nie jest razem. —
„Jest to wiatr, co światem rusza,
„A jak rusza światem całym,
„Tak rusza i każdym ciałem.
„A jak to ciało spróchnieje,
„Wiatr wiatrem— jak wiał, tak wieje,

„I drugie ciała kołysze.
„Z bytu jego w każdym ciele
„Zostaje tylko tak wiele,
„Ile kto w księgach zapisze.
„O kim zaś raczą w swój głowie
„Pamiętać Filozofowie,
„Ten dopiero rzeczywiście
„Żyje w Bogu wiekuiście —
„Co gmin ślepy Niebem zowie.” —

Gospodarz w ciągu téj mowy,
Jak oczadzony, z początku
Czuł tylko kręcenie głowy;
Ale przy dalszym jój wątku,
(Jak zwykle w oczadzie bywa),
Poczuł nudzenie i cikliwość.
Już, już na wybuch go zrywa —
Lecz się uzbroił w cierpliwość,
Ściał zęby, i znów w milczeniu
Słucha. — A gość o wskrzeszeniu
Tak zaczął:

„Chcieć wskrzeszać ciało,
„Formę człowieka, czy ludu,
„Głupcom się tylko ubrdało.
„Rzecz zresztą nie warta trudu!
„Bo forma ciał nie okréśli
„*Absolutu* życia myśli.
„Ale podźwigać tułowy
„Ludów, narodów, lub stanów,
„Gnijące w śmierci *mysłowój*;
„Im nowe nasadzać głowy;

„Do głów tych, jak pustych dzbanów,
„Lać wyskok mądrości nowój—
„Ów nektar, którego dzielność
„Bogów ma czynić z bałwanów,
„Nicości dać nieśmiertelność!....
„To dział tych wielkich, tych dzielnych,
„Tych Boskich i nieśmiertelnych,
„Mistrzów z nad Sprei i Pregli,
„Co po nad ziemią się zbiegli,
„Jak mglistych komet *jajosci*:
„I twardo-mocni nauką,
„Jak w bitki wzajem się tłuką
„Na firmamencie mądrości!
„Lecz biada, biada mu, ktoby,
„Mając dokonać téj próby,
„Szedł torem ślepej natury!
„W czyichby ręku ta nowa,
„Wsadzić mająca się głowa,
„Była téj saméj struktury,
„Lub w takim samym została
„Stosunku do reszty ciała,
„Jak ta, co dziś ją człek dźwiga—
„Istną makówkę łodyga,
„Rodzącą tylko nasienia
„Uśpienia, lub upojenia.
„Za piérwszy przeto warunek,
„I *sine qua non*—potrzeba,
„Stargać jój z sercem stosunek,
„I wzrok osłonić od Nieba:
„By ciągły ruch serca rzutu
„Nie mącił w niéj *Absolutu*,

„A on wyższego od siebie
„Nie upatrywał na Niebie.
„Wtenczas to ludzieby przyszli
„Do swoich przeznaczeń szczytu,
„Do swój mądrości zenitu:
„Do życia w myśli, dla myśli,
„Co dziś tli jeszcze w iskierce,
„Ale świat słońcem okraśi,
„Gdy całkiem zagłuszy serce,
„A wiarę całkiem wygasi.“ —

Tu już uczniowi się zdało
Że mistrz drwi z niego wyraźnie.
Krwia polską serce zawrzało —
I jak Trentowski w „Przedburzy“,
Nie mogąc wytrzymać dłużej,
Jak fuknie: „Ach ty! ty błaznie!
„Ty szołdro! taki, owaki!
„Albożem to ja żak jaki,
„Że mi śmiesz świecić te baki?...
„Widzę, że alboś sam szatan,
„Albo być musisz z nim zbratan,
„Gdy wiész zajęcie dziś moje. —
„Lecz ja się diabła nie boję!
„Nie dam się zwieść, i nie zgrzeszę.
„Przyjaciela kocham szczerze,
„W nieśmiertelność duszy wierzę,
„Przez Boga z martwych go wskrzeszę!“ —

— „Cha, cha, cha! — gość parsknął śmiechem:
„Nie każdy grzech zda się grzechem. —

„Tyś nieodrodny w swym rodzie,
„Mądry—lecz zawsze po szkodzie!
„Gdybyś był czynił wytrwale,
„Co teraz krzyczysz w zapale,
„A w czas mu głowę przyłożył,
„Tukajby może i ożył.
„Lecz teraz—czas już przeminął!“—
Rzekł—świsnął, chychnął, i zginął.

A wtém— o! Jezus Maryja!
Północ dwunastą wybija.
Tukaj miał wstać o północy!—
Przyjaciół skoczył jak z procy.—
Alić, u progu alkowy,
O! zgrozo! Tukaj bez głowy
Stoi, a w ręku swą głowę
Grozi jak kulą działową.

Cisnął—i nagle po domu
Rozległ się jakby trzask gromu.—
W całym powiecie słyszano
Ów nocny łoskot—a rano
Ze wszech stron zbiegła się zgraja
Na gruzy zamku Tukaja,
Próżno chcąc zbadać przyczynę
Czemu tak runął w ruinę,
Co jako wielka mogiła,
Tajnię téj nocy pokryła.—

Lecz wkoło góry Żarnowój,
Lud dotąd widzi co nocy
Dwa cienie: jeden bez głowy,

Goni—a drugi jak z procy
Ucieka. A ten, co goni,
Własną snać głowę ma w dłoni,
I za ściganym tą głową,
Raz w raz, jak kulą działową,
Ciska—a skoro odbita
Odskoczy—on znów ją chwyta,
By wnet znów cisnąć na nowo.

To ów przyjaciel z Tukajem
Tak pokutują nawzajem.
I póty będą, aż póki,
Wnuki ich, albo prawnuki,
Świadomi smutnych przykładów
Dziadów swych, albo pradziadów,
A świadki kary nad niemi—
Nie oduczą się powoli:
Jedni hołdować swój woli,
A chceć żyć tylko dla ziemi;
Drudzy, nakłaniać wnet ucha
Na słowa cudzego ducha,
Choćby był w zмовie ze złemi.

1854.

SYRENA.

W krzyżowój zbroi, z wiatrem w zawody,
Na dzielnym koniu gnał Rycerz młody,
Nad brzegiem morza, w Judei.

Gonił po laury na świętej ziemi,
Marzył o palmie między świętymi,
Z miłością wierzył nadziei.

„O! Tyś mi, Panie, dał dary hojne:“
Wołał ku Niebu — „serce spokojne.
„Swobodną myśl, i waleczność.
„Myśl więc i serce przyjmij w ofierze,
„Abym stateczny w enocie i wierze,
„W śmierci wziął życie na wieczność!“ —

„Bóg-że to przyjął duszy méj śluby?
„Dźwięk-że to głosów, czy arf Cheruby
„Łączą ze szmerem tej fali?“ —
Tak nagły, dziwny, słodki, uroczy,
Głos, czy z powietrza, czy z wód przezroczy,
Wzniósł się, i płynie z oddali.

Rycerz się wstrzymał, i cały w uchu —
Jeździec i rumak stali bez ruchu,
Jak jeden posąg z marmuru.

Głos coraz głośniej, coraz się zbliża,
Zda się, że z falą wznosi i zniża —
W jednym — harmonia chóru.

A dzień już zagaśł — a z za gór szczytów,
Księżyc, jak łabędź, na tło błękitów
Wypłynął z czołem wybladłym;
I senném tchnieniem cichój pogody
Ukołysawszy wiatry i wody,
Świeci nad morza zwierciadłem.

Jegoż to odblask, czy złuda oczu,
W mgle przezroczystej, na wód przezroczu,
Ściąga spójrzzenie Rycerza?
Nie! — tak nie może ludzić źrenica!
To żywa postać! — duch czy dziewica?
Płynie, i k'niemu wprost zmierza.

A ile czaru w pieśni jój echu,
Tyle uroku w ust jój uśmiechu,
Tyle powabu w spójrzieniu!
Mgła tylko lekka pierś jój osłania,
I włos złocisty, co bez związania
Po śnieżném spływa ramieniu.

O! cóż się stało z duszą twą młodą,
Z pokojem serca, z myśli swobodą,
Z twemi ślubami, Rycerzu? —
Próżno chce od Niój oderwać oczy;
Spójrzył sam na się — obraz uroczy
Odbija w stalnym pancerzu.

Próżno chce wznowić, co czuł przed chwilką;
Spójrzył ku Niebu—lecz myśl go tylko

Ku morskiej ciągnie otchłani.

Miłość zaćmiła nadzieje wiary;

Został mu tylko poehop ofiary,

Ofiary za Nią, lub dla Niój.

Jój snąc wiadoma uczuó ta zmiana.

Skutek jój czaru w duszy młodziana,

Bo pieśń ozwała się słowy:

„Tobie oświóca księżyc me lica,

„Twoje mi kryje gósta przyłbica.

„Hełm twój żelazny zdejm z głowy!“—

Rycerz zdjął szyszak, zwiesił na łóku.

A ona znowu: „Włócznia w twém ręku

„Wstręt we mnie budzi i trwogę.“—

On włócznie utkwił w ziemię—a ona:

„Stal miecza twego we krwi zboczona,

„Do krwi się zbliżyć nie mogę.“—

Rycerz odpasał miecz swój od boku,

Zeskoczył z konia, i pomknął kroku

Ku szklannój morza topieli.

„W uóscisk się złączyć nie mogą razem

„Pierś kochająca z twardém żelazem.

„Twój pancierz jeszcze nas dzieli.“—

Rycerz na brzegu złożył swą zbroję.

„Pójdź-że, pójdź,—woła—w objécia moje!

„Spełniłem wszystko, co żadasz.—

„Cóż-to? uciekasz?—Niewdzięczna! sroga!
„Ja cię tak kocham!—Zkąd ci ta trwoga,
„Że z nią tak na mnie spoglądasz?—

— „Precz, precz z twych piersi to cacko złote!
„Złoto znieważa uczuć pieczętę,
„To mi twe serce zasłania!“—

— „Nie!—to najświętszych uczuć zadatek,
„To krzyż, co kiedyś najlepsza z matek
Dała mi w chwili skonania.“—

— „Nie chcę go, nie chcę! Rzuć go od siebie!
„Ja kocham ciebie, ja pragnę ciebie,
„Rzuć—a jam twoja na wieki!“—

— „Nie!—to spuścizna mojej rodziny,
„Skarb mój najdroższy, zakład jedyny
Matki i Niebios opieki.“—

— „O! ja nieszczęsna!“— i w głosie pieśni
Załkała rozpacz; - a im boleśniej,
Tém głębiiej serce przenika.
Groźby i łkania, gniew i błagania
Złała jak w jeden ton obłąkania,
Namiętna, rzewna, i dzika.

O! i w nim w duszy walka straszliwa!
Ona podpływa—on krzyż porywa,
Porwał—i do ust przycisnął.
Powietrze drgnęło wściekłemi jęki—
A w téjże chwili promień jutrenki
Jak błyskawicą zabłysnął.

I w téjże chwili, z nadbrzeżnej skały,
Zerwał się ze snu orzeł wspaniały,
 W szerokie skrzydła zaszumiał.
I Rycerzowi w lot oko w oko
Spójrzawszy, w niebo śmignął wysoko —
 Rycerz wzrok orła zrozumiał.

Mysł w nim i serce znowu goreją
Miłością chwały, wiary nadzieją,
 Za orłem, w pogoń znów dalej! —
Gdzież się podziało widmo urocze?
Dziewica znikła — a kłęby smocze
 Wiją się za nią po fali.

1870.

WIT STWOSZ U PRĘGIERZA.

(DO WINCENTEGO POLA).

Śpiewaku Stwosza! jak w senném widzeniu,
Duch mu proroczy, w postaci niewieściej,
(Jak sam opiewasz), w krzyżu i płomieniu
Zwiastował godło chwały i boleści:

Tak snać ku tobie samemu się zbliża
W blasku twój sławy, znak i próba krzyża.
Bacz więc i czuwaj! abyś sam w téj probie
Dotrwał, i drugim wzór zostawił w sobie:
„Że krzyż ten tylko zdoła godnie dźwignąć,
Kto sam w miłości nie będzie tu stygnąć.“
I choćby nawet brat wziął rolę kata,
On w kacie nawet nie zapomni brata;
Aż przyjdzie chwila, że mu to odpłaci
Bóg, na swym sądzie, i sąd innych braci!—

Tymczasem, w dowód mych uczuć braterskich,
Przyjm! com wyczytał z kronik Norymberskich.

* . *
* . *

W Norymberdze gwarno, świętno.

„Co się stało?” każdy pyta.

— „Na rzeźbiarza, Stwosza Wita,
Pod pręgierzem kładą piętno.” —

— „Za co? — Jak mógł? czém przewinił?

On, co przez swój żywot cały
Strzegł Zakonu, a co czynił,
To dla Bożej, naszej chwały?” —

— „Kacierz! Apostata w wierze!
Wszystkich zbrodni stek i zaród.
Z Lucyperem wszedł w przymierze,
Błuzni Bogu, truje naród!” —

— „Gdzież dowody?” —

— „Sąd burmistrza

Nie potrzebuje dowodu.
I ja sam dziś dzieło mistrza
Spełniam — dla dobra narodu!” —

Tak w zgiełku miejskiej hołoty,
Do tłumu, co go otacza,
Wołał młodzian, co z ochoty
Wziął na się rolę siepacza.

Sam on rzeźbiarz, i niedawno
Uczeń Stwosza — gdy w zapale
Wielbiąc jego przeszłość sławną,
Chciał mu tylko zrównać w chwale.

I widząc, jak po mistrzowsku
Tworzył: nieraz na podziękę,
Z rozezuleniem, po synowsku,
Usta kładł na jego rękę.

Dziś—jaki powód go kłoni
Znęcać się nad losem bratnim?
Bóg to sam chyba odsłoni
Na swoim sądzie ostatnim.—

A Wit Stwosz już u pręgierza,
Na milczącą patrzy zgraję,
Co choć zbrodni nie dowierza,
W obronie prawdy nie staje.

I ci, co jego przyjaźni
Jako zaszczytu szukali,
O jego tylko już kaźni
Szeptając, stoją w oddali.

On przecież, chociaż sromotny,
Krzywy nań wyrok się iści,
Jak w duszy próżen zgryzoty,
Tak w sercu bez nienawiści.

I chociaż wie, że niewinny
W tém, w czém go winią potwarze,
Sam szuka przyczyny innéj,
Za co go może Bóg karze.

I gdy tłum wrzaskiem złowrogim
Zwiastuje przyjście siepacza,
On sercè korzy przed Bogiem,
A prześladowcom przebacza.

Ale gdy ujrzał młodziana,
Co nań żelazo rozpałał:
Żałość go zdjęła nieznana,
I nagle łzami się zalał.

„Tyżeś to? Korneliuszu!
Ty, widzę, chcesz mi być katem,
Com w sztuce i geniuszu
Z radością witał cię bratem?—

„O! żal mi ciebie, młodzieńcze!
Bo gdy w ślepém uniesieniu
Popelniasz to—ja ci ręczę,
Że karę znajdziesz w sumieniu.

„I gdy rozwagą dojrzejesz,
A burze uczuć przeżyjesz,
Czyn twój, sam łzami oblejesz,
Lecz plamy jego nie zmyjesz.

„Gdyby zaś gniew cię zapalał
Z jakiej pobudki nieczystej;
To choćbyś wszystkich pokalał,
Nie uszczkniesz palmy artysty.

„Bo miłość tylko mu siłą,
W niej tylko ducha narzędzie.
A gdzie miłości nie było,
Tam i natchnienia nie będzie.“—

1862

BRANKI BUDRYSÓW.

(DO LUCI, TERENI, MANI.)

Lucia, Terenia, Mania,
Łzami ubolewania
Płaczą losu tych żon *Trzech Budrysów*,
Co to Laszki, baranki,
Niewiniątka—a branki
U Litwinów—niedźwiedzi! tygrysów!

Zkądże takie współczucie?—
O! dość spojrzeć na Lucię,
Na Terenię—*wesołe koteczki*;
Dość się wpatrzeć w te czarne,
Mani oczki figlarne,
Co się błyszcza, jak z chmur *dwie gwiazdeczki*;

By dójść, że się w tym razie
Same czując w obrazie,
Tak drżą przed nim ze wstrętem i trwogą.
Ach! a gorsza przyczyna,
Że snąć ze mnie, Litwina,
O Litwinach zdań zmienić nie mogą.

Lecz nie płaczcie! albowiem
Ja wiem, i wam opowiem,
Dalszy koniec téj całej przygody.
Wieszcz ją przerwał na chwili,
Gdy synowie wrócili,
A dziad posłał zapraszać na gody.

A tymczasem trzy one,
Rozżalone, strwożone,
Nuż w płacz głośny, pokląkwszy na ziemi!—
Stary w głowę zachodził,
Cieszył, koił, łagodził,
Aż nakoniec, nuż płakać wraz z niemi!

Bo w myśl weszła mu Ona,
Ukochana, stracona:—
Taką była, gdy wiozł ją do domu;
Taką nieraz bywała,
Gdy go płacząc błagała,
Aby krzywdy nie czynił nikomu!—

Zrozumiały filutki
Łez i modłów swych skutki —
Więc do dziada z błagalnym wejrzeniem!
Nuż go chwycić za dłonie,
Nuż się tulić na łonie —
Dziad roztopniał, jak wosk przed płomieniem.

„Dzieci! — krzyknął nareście —
„Gośćmi memi jesteście.
„Stary Budrys nie krzyżak, nie zbójca.

„Przez Znicz i przez Perkuna!
 „Ja wam za opiekuna,
 „Ja sam stanę za stróża i ojca.—

„Hola! słuchać mię, chłopcy!
 „To me córki — wy, obcy;
 „Chcę was z niemi poswatać—lecz proba!
 „Nie dam żadnej żadnemu,
 „Aż się skłoni ku niemu,
 Aż go sama bez musu podoba.“ —

Luci, Mani, Tereni,
 Z ócz się radość promieni:
 „O! z tych Laszek nie będzie Litwinek!“ —
 Poczekajcie! boć przecie
 Z Lamé-Fleury śnać wiecie,
 Jak to było z porwaniem Sabineka.

Rzecz nie moja, powody
 Ich miłości i zgody!
 Lecz jak prawdę największą rzekł Adam:
 „Że nad wszystkie ziemianki,
 Milsze Laszki kochanki,
 Tak ja prawdę nie mniejszą powiadam:

Że na całym tym świecie
 Nie ma, i nie znajdziecie
 Mężów lepszych, jak męże Litwini!
 Każdy z nich, na głos żony,
 Jest jak niedźwiedź uczony,
 A cierpliwy, jak wielbłąd w pustyni.

A pytam pannę Lucię:

Nie miłeż to uczucie .

Czuć się w domu królową i panią?

Pytam pannę Terenię:

Żleż to, na swe skinienie

Mieć wnet wszystko, co zechce?—A Manio

Nieraz ci, jestem pewny,

Śnią się wschodnie królowy,

Słoń za konia, i tron w palankinie!—

Otóż wszystko to prawie

Znaleźć możesz na jawie

W wsi litewskiej, i w mężu Litwinie.

A cóż mówić o lidze,

O Jadwidze?... Lecz widzę,

Że dość tego, co rzekłem już wprzódy.

Mani, Tereni, Luci,

Nie dziwi już, ni smuci,

Że bez musu odbyły się gody.

1865.

LUNATYK.

„Patrzcie! ach! patrzcie! co to za człowiek
Idzie po blasku miesiąca? —
Zacięte usta, twarz dumająca,
Sciężałych nie wzniesie powiek.

„Gdzież to on idzie z takim pośpiechem,
Gdy wszyscy śpią już głęboko?
Z jak przyjacielskim zda się uśmiechem
Wita się z drzewem, z opoką!

„Co mu jest? patrzcie! gdzie się on zbliża?
Chce-li wejść na skał tych czoła,
Gdzie ledwie sarna doleci chyża,
Lub dzikie skrzydło sokoła?

„Przebóg! on śpiący! — Wzrok-li mię ludzi?
On śpiący! widzę dokładnie.
Niech kto pobieży, niech go rozbudzi,
Inaczéj w przepaść tam wpadnie! ..

Słyszając to kilku młodzieńców z koła,
Chcą mu nieść pomoc z pośpiechem.
Wtém na wpół z żalem, na wpół z uśmiechem,
Sędziwy starzec zawoła:

„Stójcie, młodzieńcy! niech go niewczesnie
Nikt nie ostrzega, nie budzi;
Jestto lunatyk, co chodzi we śnie,
Człowiek nadludzki wśród ludzi.

„Zawsze on nie rad z drugich, ni z siebie,
Zawsze myślami tęsknemi
Dziwaczne mary goniąc po niebie,
Nie dba że żyje na ziemi.

„A taka nad nim jest wola Boża:
Gdy księżyc w pełnej łśni mocy,
On śpiący nagle zrywa się z łoża,
I śpiący błądzi wśród nocy.

„Gdzie stare zamków leżą zwałiska,
W posepne lasów samotnie,
Gdzie się po skałach pnie ścieżka śliska.
Tam on pośpiesza ochotnie.

„A jak słyszałem od tych, co sami
Tego doznali za młodu,
Że go zwodniczy sen wtenczas mami
Wdziękiem rajskiego ogrodu.

„Lecz skoro ranne zabłyśnie zorze,
On przebłądziwszy noc całą,
Znowu spokojnie wraca na łożo,
Niepomny co się z nim działo.

„Wzrok tylko smutny, twarz tylko blada,
Od innych różnią go ludzi.
Lecz gdy się czasem idąc przebudzi —
Biada mu wtenczas, ach! biada!“ —

Rzekł: a młodzieńcy starca słuchali.
Zbiera się większy tłum ludzi,
Tamci szydzili, ci żałowali,
Ale go żaden nie budzi.

A on tymczasem coraz się zbliża
Do niedostępnych skał czoła,
Gdzie ledwie sarna doleci chyża,
Lub dzikie skrzydło sokoła.

On idzie śmiało — światłość księżycyca
Zda się mu służyć za stopnie;
Dziką radością jaśnieją lica,
Usta się śmieją okropnie.

Nagle do góry podniósł ramiona,
Na skałę uścisk zarzucił.
I z gwałtownością ciśnie do łona —
Przebóg! — i wtém się ocucił.

„Gdzież to ja jestem? Co mi się śniło?
Jaka tu przepaść podemną?
Przed chwilą takie słońce świeciło.
Teraz tak zimno, tak ciemno!

„Tu mię kochanki wabił blask oka,
Stali przyjaciele wierni.
Zamiast kochanki - zimna opoka,
Zamiast przyjaciół — krzak cierni!

„Przepaść mi wsteczną przelega drogę,
Przedemną same pustynie!
Iść dalej nie chcę, wrócić nie mogę —
Nieszczęsny! cóż więc uczynię?

„O! śnie mój słodki! Gdzież znajdę ciebie?
Gdzieś mi tak rychło upłynął? —
Pójdę cię szukać — w piekle, czy w Niebie!“ —
Rzekł, skoczył w przepaść, i zginął.

1824.

HARALD I RINGWALLA.

SAGA SKANDYNAWSKA.

„Haraldzie! Haraldzie! co dumasz tak smutnie?
Dla czegoś odrzucił i miecz swój i lutnię?

„Dla czego tak zdala od ludzi i świata
W gór dzikiéj pustyni zamykasz swe lata?

„Tyś piérwszy *Król Morza*, najsmielszy z rycerzy,
Tyś postrach francuzkich i włoskich wybrzeży.

„Narody ci niosły swój hołd i bogactwa,
Tyś rozsiał je drugim, jak ziarno dla ptactwa.

„Skaldowie cię zowią półbogiem na ziemi,
Tyś Skaldów zawstydził pieśniami swojemi.

„Królewny ku tobie wzdychały daremnie,
Tyś spojrzeć na żadną nie raczył wzajemnie.

„Więc za czém ty gonisz, że górą tak wzlatasz?
Więc czego ty pragniesz, gdy wszystkiém pomiatasz?

„Jam wieszczka nad wieszczki; — odpowiedz! a może
Pociechę ci znajdę, i szczęście wywróżę.“ —

— „Ty wieszczka nad wieszczki?—Skłamałaś zu-
chwale!

Ja wieszczką nad wieszczki znam tylko Ringwallę.

„Kto raz ją obaczył—ten spójrzył na słońce.
A czém są przy słońcu robaczki świecące?

„I na co mi wszystkie bogactwa i chwala,
Gdy ona ich ze mną podzielić nie chciała?

„Wzgardziła tém wszystkiém, co niosłem jój
w dani.

Ja nie chcę żyć bez niój—i umrę tu dla niój.“—

— „Nie umrzesz, Haraldzie! Ringwalla cię kocha.
Lecz przecz-żeś ją sądził, że próżna, czy płocha?

„Nęciłeś ją blaskiem swych bogactw i chwały;
A o tém, żeś kochał, twe usta milczały.“—

— „Ach! jażbym śmiał sobie wzajemność jój wróżyć,
Nie mając, nie wiedząc, czém na nią zasłużyć?

„Cześć pęta milczenia na usta mi kładła.
Lecz wieszczka-dziewica, czyż sama nie zgadła?“—

— „A tyżeś, dla czego natchnieniem poety
Nie przecuł, nie uczcił milczenia kobiety?—

„Lecz serce za serce! zrównała się szala!
I obacz, kto jestem!“—

— „O Nieba! Ringwalla!“—

— „Haraldzie! tyś dla mnie chciał umrzeć z boleści,
Jam dla cię przemogła wstyd dumy niewieściój.

„Skaldowie z nas wezmą naukę w przyszłości,
Że miłość jest tylko zasługą miłości.“ —

1870.

SZAL CZARNY.

Z PUSZKINA.

Rozpaczą, wściekłością, i żalem miotany,
Poglądam dzień cały na szal krwią zbryzgany.

Przed laty, gdym jeszcze był płochoy i młody,
Kochałem Greczynkę precudnej urody.

Precudna dziewica łudziła mię wzajem.
Lecz krótko, ach! krótko świat dla mnie był rajem!

Sprosiłem przyjaciół na ucztę wspaniałą.
Do drzwi mych żyd podły zapukał nieśmiało.

„U ciebie, rzekł, goście godują weseli,
Greczynka z kim innym pieszczoty swe dzieli.“—

Z przekleństwem mu kiesę cisnąłem pod nogi;
Mój arab za chwilę był gotów do drogi.

Jak wichher, jak piorun, leciałem przez błonie,
Wiatr świszcząc wokoło, żal głuszył w mém łonie.

Lecz dom jój zaledwo ujrzałem zdaleka,
Krew ogniem zawrzała, łzę trysła powieka.

Jak wściekły pobiegłem w znajome ustronie —
Ormianin niewierną piastował na łonie!

Skry w oczach mi błysły; miecz zagrzmiał, uderzył —
Nim usta od ust jój odchwycił — już nie żył.

Patrzałem z rozkoszą, jak drżąca i zbladła,
Dłoń wznosząc, na klęczkach, do stóp mych upadła.

Pamiętam błagania, krwi strumień, i jęki!...
Zginęła Greczynka, i miłość, i wdzięki! —

Z wściekłością szal czarny zerwałem z jój skroni,
krew nim ciekącą otarłem z méj broni.

Niewolnik mój, skoro wieczorna mgła wstała,
W głębinie Dunaju powrzucał ich ciała. —

Ach! odtąd zgryzota jak piekło wre we mnie,
Ach odtąd spoczynku przyzywam daremnie!

Rozpaczą wściekłością, i żalem miotany.
Poglądam dzień cały na szal krwią zbryzgany.

HAJDUCY ¹⁾.

Z SERBSKIEGO.

W dzikiéj jaskini Mladin się ukrywa,
A przy nim żona jego urodziwa,
I dwaj synowie w bojach doświadczeni,
Leżą, do ostrych tuląc się kamieni.

Trzy dni w jaskini, trzy dni nic nie jedli,
Pandury ²⁾ wyjścia dokoła obsiedli.
Sto karabinów wnet ku nim wyceli,
Niechby skroń tylko od ziemi podjęli.

Język w ich ustach na węgiel zgorzały.
Jest trochę wody w rozpadlinie skały,
Ale ją matce podając kroplami,
Wilgotną ziemię ssali tylko sami.

Jednak nie jęczą, nie śmią ubolewać,
Wszystcy się boją Mladina rozgniewać.

¹⁾ Hajducy, zbójcy publiczni.

²⁾ Pandury, milicya, szczególnie do ścigania Hajduków używana.

Gdy się noc trzecia nad nimi rozwlekła,
Stłumionym głosem Katarzyna rzekła:

„Niechaj się Pan Bóg zlituje nad wami,
„Niech się da pomścić nad prześladowcami!“ —
Podniosła głowę, na łokciu się wsparła,
Westchnęła ciężko — padła, i umarła.

Mladin udawał, że się nie zasmucił;
Ale synowie, gdy się on odwrócił,
Z żalem to na nią, to na się patrzali,
Nic nie mówili, i łzy połykali.

Przyszedł dzień czwarty, z nim słońca upały,
I wyschła woda w rozpadlinie skały.
Próżno brat starszy głód przemódz się stara,
Wpadł w obłąkanie, i dobył handzara ¹⁾,

Patrząc na matkę, jako wilk na jagnię. —
Zgadł Aleksander czego Chrystycz pragnie.
Własnym handzarem przebił ramię swoje,
I rzekł do brata: „Bracie! pij krew moję,

„Lecz niech ta zbrodnia ust twoich nie kali!
„Po śmierci będziem krew Pandurów ssali.“ — ²⁾.
Słyszał to Mladin, wytrzymać nie zdołał,
Porwał się z miejsca, i głośno zawołał:

¹⁾ Rodzaj noża, nakształt sztyletu,

²⁾ Mniemanie o upiorach powszechne jest w Serbii.

„Za mną, synowie! probujmy przechodu!
„Lżej połknąć kulę, niż umierać z głodu.“—
Wszyscy trzej razem, jak wilecy zajadli,
Ze swéj kryjówki na Pandurów wpadli.

Każdy dziesięciu obalił swą siłą,
Każdego piersi dziesięć kul przeszło.
Wrogi ich głowy na dziżdżach zatknęli,
Nieśli w tryumfie—a spojrzeć nie śmieli.

1828.

ALLEN-DAL.

Z WALTERA SKOTTA.

Allen-Dal piękny i młody,
Nié ma ni lasów, ni roli,
Nie ma ni stada, ni trzody,
Ma jednak złota dowoli.
Zkąd?— Posłuchajcie! a snadnie,
Kto umie słuchać—odgadnie.

Lord Duglas ma wielkie mienie,
Lord Hom szerokie dzierzawy,
Lasy obfite w jelenie,
Rybne jeziora i stawy.
Wszakże co ma las, co fala,
Mniej jest ich, niż Allen-Dala.

Allen-Dal nie jest baronem,
Sławy swój nie wziął od przodka,
Przecież go z niskim pokłonem
Omija każdy, kto spotka,
Lub jako panu krainy,
Korne mu niesie daniny.

Allen-Dal nie jest rycerzem,
Ma jednak złote ostrogi;
Złotym odziany pancerzem,
Przy boku nosi miecz drogi.
Stu mężnych za nim, gdy skinie,
Idzie—zwycięży, lub zginie.

Allen-Dal kocha dziewicę,
Pewien miłości wzajemnej.
„Ktoś ty jest?” — rzekli rodzice.
„Nie rój nadziei daremnej!
„Zięć nam wprzód ma być znajomy.
„Zkąd twój ród? Gdzie są tve domy?” —

— „Dom mój, rzekł Allen, ja cenię
„Nad królów gmachy błyszczące;
„Dachem mu niebios sklepienie,
„Ozdobą księżyc i słońce.
„Ród?—Z czynu, nie z pargaminu,
„O ojcach, sądźcie po synu!” —

Ojciec ma serce nad skały,
Matka twardsze nad żelazo.
„Precz z naszych progów, zuchwały!
„Miłość twa dla nas obraża.” —
Odszedł — lecz serce dziewicy
Urzekł blask jego źrenicy. —

Nazajutrz w zamku rozpacze.
Córka zniknęła bez wieści.
Matka przeklina i płacze,
Ojciec chce pomścić swój cześci.
A w lesie święcił swe gody
Allen-Dal piękny i młody.

1824.

PIELGRZYM.

Z WALTERA SKOTTA.

„Przez litość, otwórzcie wrota!
„Wiatr z północy wieje srogi;
„Na dworze ciemność i słońca
„Zakryła ścieżki i drogi.

„Nie jestem ja ten, co w borze
„Poluje cudze jelenie;
„Choćby on nawet w téj porze
„Wart był wybłagać schronienie.

„Lecz wiodę życie pielgrzymie,
„Czyniąc pokutę za grzechy.
„Byłem w Solimie i w Rzymie,
„Szukając dusznej pociechy.

„Święte pamiątki przynoszę,
„Część Krzyża, wodę z Jordanu.—
„Otwórzcie! otwórzcie, proszę!
„Chętnie udzielię ich panu.

„W gnieździe skrył się ptak pierzchliwy,
„Jaskinia strzeże jelenia;
„A ja, starzec nieszczęśliwy,
„Nigdzież nie znajdę schronienia?...

„Słyszysz, jak szumią potoki!
„Widzisz, na dworze jak ciemno!
„Mam przebyć strumień głęboki —
„Panie! miej litość nade mną!

„Czyż twego serca nie wzrusza
„Błaganie starca, jęk żalu?
„Czyż od żelaznych bram dusza
„Z twardszego w tobie metalu?

„Ach! tak, tak! — Żegnaj więc, panie!
„Nie masz litości nade mną. —
„Obyś nigdy w moim stanie
„Nie błagał równie daremno!” —

Na miękiem łożu, Pan domu
Na głos ten zamknął swe uszy.
Lecz nieraz, głośniej od gromu,
Zabrzmi on jeszcze mu wduszy!

Bo skoro słońce powstało,
Gdzie potok nad brzeg się wzdyma,
Znaleziono skrzepłe ciało —
Ciało to było pielgrzyma.

STRZELEC W ALPACH.

Z SZYLLERA.

„Nie chcesz-li już paść swój trzodki,
Tak niewinnój, tak łagodnej,
Co skubiąc kwiateczek słodki,
Igra po łączce nadwodnej?“...—
—„Puść mię, matko! puść na łowy!
Puść na góry, na dąbrowy!“—

—„Nie chcesz-li już w wieczór letni,
W cieniu drzewa, nad strumieniem,
Na pasterskiej grając fletni,
Ze słowiczem walczyć pieniem?“—
—„Co mi fletnie?... Kij wierzbowy!
Puść mię, matko, puść na łowy!“—

—„Ktoż mię wesprze, kto wspomóż,
Gdy ty nie chcesz wspierać matki?—
Dziko, zimno tam na górze,
Ni ogródka, ani chatki!“—

— „Dość nie nudy tój domowój!
Puść mię, matko, puść na łowy!“

I poszedł chłopiec na łowy,
Ślepa zuchwałość go niesie.
Śmiało skacze przez parowy,
Na najwyższe głązy pnie się.
Przed nim zlekła, lotem strzały,
Miga sarna z skał na skały.

W jednéj chwili rzut ją zwinny
Wiesza na szczycie opoki;
Przez rozpękłych skał szczeliny
Powietrznemi sadi skoki.
Lecz tuż za nią, z łukiem w dłoni,
Niezmorzony strzelec goni.

Aż na śliskiej skały szczycie,
Co się stromo w przepaść zmyka,
Mdlejąc w biegu, drząc o życie,
Górnych pustyń córa dzika
Zawiesza się nad otchłania—
Przepaść pod nią, strzelec za nią!

Niemém spójrzaniem rozpaczy
O litość zda się zaklina.
Okrutnik na nic nie baczy,
I już ciężły łuk napina...
Wtém się z szumem wiatru, w chmurze,
Genijusz Alp wzniósł ku górze.

I tarczą niebieskiej dłoni
Rzucony pocisk odtrąca.
„Kto, rzekł, moje trzody goni?
Kto pokój mych gór zamąca?...—
Ciasnym tobie był świat twój,
W moim — tyś na wieki mój!“ —

1822.

STRACHY.

Kein Gedicht so elend ist,
Dass nicht zu etwas nützlich wäre.

Gellert.

Nie ma wiersza tak ladaco,
By się nie mógł przydać na co.

Na wierzechołku jednéj góry,
Stały zamku pyszne mury.
Dach czerwono malowany,
Duże okna, białe ściany;
Nad gankiem herb, domu chwała,
Bęben, sztandar, i dwa działa;
W nim małżeńskiój znak jedności,
Cyfra Jego i Jejmości,
Wymyśleniem weale nowém,
Strzela z rury;— jedném słowem,
Wszysto pięknie i wspaniale.

Lecz na świecie nic bez ale.
Czego, *sic fata tulere*,
Gmach ten miał dowody szczere.
Bo co do mnie — choć bogato,

Choć pięknie wyglądał z wierzchu,
Choćby męztwa był zapłata,
Nie radbym w nim być o zmierzchu.
Gdyż, jak powiadano cicho,
Było w zamku jakieś lichy.

Nikt nie zgadnął, nikt nie wiedział,
Co téż tam za kaduk siedział:
Ale że siedział, to pewna.
Czy to zaklęta królowna?
Czy upiór o djablój mocy?
Czy czarownik? czy złe duchy?
Nie wiem.— Dość, że o północy
Drzwi skrzypią, brzęczą łańcuchy,
I przy odgłosie kapeli,
Wysoka osoba w bieli,
W nieznanomych strojach,
Chodzi po pokojach,
I aż zaczął śpiewać kury,
Różne płata awantury.

Zdawna, jak zapamiętano,
Już się w zamku ten strach kręcił.
Próżno księdza sprowadzano,
Próżno żegnał, próżno święcił;
Trudne bardzo z djablem boje:
Pleban swoje, djabeł swoje.

Nie najbardziej radzi z gości,
Pan i Pani, pełni strachu,
Zostawiwszy Djablój Mości
Usum fructum swego gmachu,

Sami, w co prędszej ucieczce
Widząc ratunek jedynie,
Choć z biedą, jak śledzie w beczce,
Mieścili się w oficynie.
Mieli rozum—bo koniecznie,
Lepiej ciasno, a bezpiecznie.

A tymczasem bies, pan placu,
Hulał sobie po pałacu,
Brojąc, co mu się roiło.—

Szczęściem, tak się nadarzyło.
Że po dawniej znajomości,
Przyjechał do Jegomości,
W konwikcie kolega dawny,
Jeden poeta sławny.
A poeta gębą całą!

Choć mógłbym, z jego pochwałą
Nie będę się długo szerzył.
Prawda, że mu towarzysze
Mówili, że on źle pisze—
Ale on temu nie wierzył:
Bo i któż Zoilów słucha?
Owszem, z przekonaniem mocnym,
Sądził się, w pokorze ducha,
Najmniej Homerem północnym.

Po półwiecznym niewidzeniu,
Skoro go ujrział Jegomość,
W kordyalnem uściśnieniu
Dawna odżyła znajomość.

By gościa przyjąć sowiecie,
I uraczyć należycie,
Flasza dębniaku wyjęta,
Co Sasów jeszcze pamięta.
A przy miodku, mówią starzy,
Słodzię się gawędka gwarzy,
Rośnie ufność w przyjaciółach,
Przymus niknie, duch rzeźwieje.
Daléjże więc! to o szkołach;
Co się działo, co się dzieje;
Kto jakie przeszedł koleje;
Kto gdzie bywał?—Gadu, gadu,
Od poranku do obiadu,
Od obiadu, do wieczora.
Wtém już i spóźniona pora,
Na deszcz się jęło zanosić.
Grzeczność każe na noc prosić,
A tu, ani weź, niestety!
Nié ma gdzie podziąć poety!

Gospodarz, jakby na igle,
Kręci się na wszystkie strony.
Tu gościnność—tam gniew żony!
Aż potrzebą przynaglony,
Puścił się w końcu na figle.
Nie patrząc więc, czy to pięknie
Będzie, gdy się gość przeleknie,
Słowa nie mówiąc o strachu,
Zaprasza na noc do gmachu.

Wieszcz, jak zwykle, dobra dusza,
Bez namysłu śmiało rusza.—

Lecz Jegomość, widać, jeszcze
Nie znał dobrze, co to wieszczę,
Jak pochopni, jak ochoczy,
Awanturom zajrzeć w oczy.
Snać nie wiedział, jak to moi
Po Febie bracia stryjeczni,
Wszysey są arcy waleczni,
Żaden się djabłów nie boi—
Chociaż się wydarza czasem,
Że ich w swoich rymach mieści.

Ale to między nawiasem.
Mniejsza o to!—Ja tymczasem
Wracam do dalszej powieści;
Z którą już bez żadnej przerwy,
Prościutko do końca idę.

Owóż, jak wam rzekłem pierwój,
Poeta, *in bona fide*,
Nie wiedząc o bożym świecie
Ni o zdradzie, ni o strachu,
Maszerował spać do gmachu.

Ale nie sam jeden przecie.
Z kimże takim?—Z Jegomością.
Zkądże jemu śmiałość taka?—

Grzeczność wiodła nieboraka.
„Niech licho z taką grzecznością!“
Myślał, idąc jak na ścięcie.
Dusza schowała się w pięcie,
Zęby głośne *larum* dzwonią,
Wzrok schylony zakrył dłonią,
Snać bojąc się ujrzeć strachu...

Przyszli nakoniec do gmachu,
Niosąc, na przypadek wszelki,
Karabelę, pistolety,
A na wniesienie poety,
Węgrzyna cztery butelki.
Przyszli—stolik postawili,
Cztery świece zapalili,
I usiadłszy przy kominie,
Poeta tak zaczął pierwszy:

„Wiész, jak się w całej krainie
Rozlega echo mych wierszy?—
Wiész, jako w trudnych zawodach,
Na strome Parnasu głązy,
Sława ma, na czterech odach,
Wszystkie prześcigła pegazy?
Jak za tragedją sławną
Pierścień od króla dostałem?—
Lecz nie wiész, właśnie niedawno
Drugą taką napisałem.

„Dziś więc, gdy i czas po temu,
I mam do czytania wenę,
Posłuchaj!—Lecz notabene,
Tobie to tylko jednemu
Daję ten dowód przyjaźni.—
Słuchaj więc! a bez bojaźni
Powiész mi zdanie otwarte.

„Bo choć wiem, co czego warte,
Wiém, że mi natchnienie sprzyja:

Czuje się to jednak lepiej,
Gdy i światła rada czyja
To własne zdanie pokrzepi.“—

Nie mu pan nie odpowiedział,
Bo nie ni słyszał, ni wiedział.
Strasznym zdjęty ambarasem,
Nie do krytyk się sposobił:
On myślał, by z nim dziś czasem
Strach tragedyi nie zrobił.—

Wieszcz więc, mając chęci szczeré
Czytać, a przytém w pamięci:
Źe qui tacet, consentire
Videtur: papier rozkręci,
I łyknąwszy haust węgrzyna,
Czytać zaczyna.—

I czyta, czyta z zapalem,
Sam sobie tylko przerywa:
„Uważ, jaka scena tkliwa!
Jak tu namiętność wydałem!“—

Nie skończył aktu połowy,
Drzwi skrzypty, brzękły okowy,
I przy odgłosie kapeli,
Wysoka osoba w bieli,
W nieznajomym stroju,
Wchodzi do pokoju.
I ujrzawszy nowych gości,
Z podziwu, czy z ciekawości,
Otworzyła wielkie oczy.
I wprost ku nim—kroczy—kroczy...
I stanęła koło pieca.

Widzi to Pan—zbladł jak chusta,
 Wlepił oczy, otwarł usta,
 I duszę Bogu poleca.
 A nasz poeta. w ferworze,
 Grzbietem zwrócon ku potworze,
 Jakby wśród najgłębszej ciszy,
 Oprócz siebie nie nie słyszy.

Bo jak głuszec, gdy tokuje,
 Nie nie widzi, nie nie czuje,
 Ani strzelca, ani strzału:
 Tak poeta wśród zapału,
 Gdy swe wiersze deklamuje.

Owóż i nasz wieszcz w tym razie,
 Galopując na pegazie,
 Myślał tylko o swój chwale.
 A choć słyszał jęk i żale,
 Rozumiał, pełen radości,
 Że to w jego tkliwej scenie,
 Tak żałośne rozrzewnienie
 Napadło na Jegomości.
 I zatém, rad z powodzenia,
 Czytał bez zastanowienia.

A straszycdło, stojąc zeicha,
 Ciągłe słucha, ciągle wzdycha,
 Lecz co nigdy nie bywało,
 I poziewać zaczynało!—

Coraz, coraz częściej ziewa.
 Jak zawsze było przywykło
 Czekać, póki kur zaśpiewa:
 Teraz jednym razem znikło.
 I już go więcej nie było.—

Możeby jeszcze wróciło.
Ale Jegomość Dobrodziej
Poznawszy, o co rzecz chodzi,
Nuż chwalić produkta wieszczę!
Nuż prosić, jeszcze i jeszcze,
O coraz więcej a więcej!
Nuż wielbić coraz goręcej,
A klaskać za parter cały!
Tak, że nakoniec syn chwały,
Kontent, że przecież spotyka
Godnego siebie krytyka,
Dobyl, co tylko miał w tece.
I noc w noc, na postrach strachu,
Wiedzion jak gdyby na hece,
Szedł z gospodarzem do gmachu,
I czytał, czytał, a czytał!

Nieraz jeszcze strach zawitał;
Lecz nie mogąc dostać placu
Przed tém literackim *Forum*,
W trzecim akcie znikł z pałacu,
In saecula saeculorum.

Moi czytelnicy mili!
Nie będziecie mi wierzyli.
Lecz aby wam prawdy dowieść:
Gdy czasem na was którego
Napadnie co podobnego,
Przeczytajcie mu tę powieść.

NIEWIADOMO CO,
CZYLI
ROMANTYCZNOŚĆ.
EPILOG DO BALLAD ¹⁾.

Szło dwóch w nocy, z wielką trwogą,
Aż pies czarny bieży drogą.
Czy to pies?
Czy to bies?

Rzeczce jeden do drugiego:
„Czy ty widzisz psa czarnego?
„Czy to pies?
„Czy to bies?“—

Żaden nic nie odpowiedział,
Żaden bowiem nic nie wiedział,
Czy to pies?
Czy to bies?

¹⁾ Umieszczając tę balladę w zbiorze pism moich, mam za obowiązek oświadczyć: iż współ-autorem jęj, jest p. Juliusz Słowacki; tytuł zaś, Adam Mickiewicz doradził. (Przyp. z r. 1832).

Lecz obadwaj tak się złąkli,
Że zesli w rów, i przykłąkli.
Czy to pies?
Czy to bies?

Drżą, potnieją, włos się jeży—
A pies bieży, a pies bieży.
Czy to pies?
Czy to bies?

Bieży, bieży— już ich mija,
Podniósł ogon, i wywija.
Czy to pies?
Czy to bies?

Już ich minął, pobiegł dalej,
Oni wstali i patrzali,
Czy to pies?
Czy to bies?

Wtém, o! dziwy! w oddaleniu,
Na zakręcie, zniknął w cieniu.
Czy to pies?
Czy to bies?

Długo stali i myśleli,
Lecz się nie dowiedzieli,
Czy to pies?
Czy to bies?

W I E R S Z E R Ó Ż N E .

NOWY BOGACZ,

NOWY LAZARZ.

NOWA PIEŚŃ KANTYCZKOWA.

(Na nótę dawnéj pieśni o Łazarzu Ewangelicznym.)

„Był Pan pewny bogaty,
W złoto, srebro, szkarłat,
I zbyt kosztowne szaty.”

Był Pan pewny bogaty,
Miał krociove intraty,
Odwieczne antenaty.

I jeszcze nie rad z tego.
Od rządu Niemieckiego
Kupił tytuł Hrabiego.

I ztąd tak mu się było
We łbie coś przewróciło,
Jakby co przystąpiło.

Jakoż był głos sąsiedzki,
Że do pychy szlacheckiej,
Wlaził w nim sknera Niemiecki.

Rzekł więc sobie samemu,
Że on światu całemu
Nie winien nic — a jemu
Świat wszystko.

— A toż czemu?

— Ha! pytaj!

— Czy że głupi,
Wory na wory kupi,
Które kiedyś ktoś złupi,
Jak go wrzucą w dół trupi:

A z których za żywota,
Ni Bóg, ni kraj, ni cnota,
Ni wdowa, ni sierota.

Ni łzy bliźnich, ni modły.
Szeląga nie wywiodły? —
Czy dla tego, że podły,

Płaszczy się, gdzie się boi;
Pochlebia, gdzie zysk roi;
A gdzie słabsi, lub swoi,
Dmie w nos, pnie się, i broi? —

Czy że próżniak, śród zgrai
Swych pochlebców, lokai,
(Z czém się chełpi, nie tai),
Całe życie hultai? —

Bo nie zgoła innego
Nie wspierało wielkiego
Tonu pana Hrabiego.

On żył, dał się, i grzeszył,
Ziomków smucił lub śmieszył,
Djabeł się tylko cieszył.

Djabeł, co jak ptak, który
Siadł już na grzbiecie kury,
Topił w nim swe pazury.

Myśli pychy rodowej
Tchnął przez uszy do głowy,
Jak wiatr w pęcherz wołowy.

Egoizmem, co głuszy
Miłość bliźniego w duszy,
Zrobił z niej step w posuszy.

Serce, przed skruchy żalem,
Zatwardził jak metalem,
I osłonił—medalem.

A gdy już miał bezpieczeńś,
Że go nabył na wieczność,
Przyśpieszył ostateczność.

Raz Pan, w słodkiem dumaniu,
Wpół we śnie, wpół w czuwaniu,
Spoczywał po śniadaniu.

Wzrok się iskrami żarzy,
Krew co nie pryśnie z twarzy,
Pan o kochance marzy.

Nagle hałas przed drzwiami—
Głos przerwany łkaniami
Certuje z lokajami.

I wtém, nakształt widziadła,
Wynędzniała, wybladła,
Przez drzwi kobiéta wpadła.

„Pan to jesteś pan Hrabia?
Pójdź pan, patrz, co wyrabia
Z nami pański Murgrabia!

„Mąż mój chory, ubogi,
Stary żołnierz bez nogi—
On go wlecze przez progi!

„Wszystkie nasze łachmany,
Cały nasz sprzęt zabrany—
Za co? Boże kochany!

„Za dług? — Jaki? — Wszystkiego
Sto złotych! — I dla tego,
Wygnać starca chorego!

„Ale i to oddamy,
Lecz niech wstydu nie mamy,
By nas psami szczwał z bramy!“—

— „A! hołysze wy! chamy!“
Wrzasnął Bogacz ze złością.
„Mnie truzdieć tą małością?—
Hola! precz z tą Imością!“—

Słudzy za tym rozkazem,
Wpadli wszyscy — i razem
Skamienieli jak głazem.

Na środku sali ona,
Wzniósłszy w górę ramiona,
Rzekła, jakby natchniona:

„Biada ci, dumny panie!
Jest Bóg, sąd i karanie —
Coś wart, niech ci się stanie!“ —

Hrabia oczy wyszczerzył,
Zakrzuszył się, zaperzył —
Pęd krwi w głowę uderzył.

Upadł: — a w téjże porze,
Omdlałego na dworze,
Starca kładli na łożo.

I tegóż dnia, Pan w sali,
Starzec w jednym z szpitali,
Oba razem konali.

Lecz jak różne konanie!
Pójdźcie, i patrzcie na nie,
Pobożni Chrześcijanie!

Tam w ustroniu ubogiém,
Nad słomianym barłogiem,
Stoi ksiądz z Panem Bogiem.

U stóp chorego żona,
Tłumiąc płacz w głębi łona,
Tuli go w swe ramiona.

W twarzy już śmierci bladość,
Lecz z ocz jego łśni radość,
Bogu uczynił zadość.

I gdy ksiądz go rozgrzeszył,
Aniół-Stróż wnet pośpieszył,
Stanął przy nim, i cieszył.

Przywiódł, jedną po drugiej,
Na myśl, wszystkie zasługi
Przed Bogiem, przez wiek długi;

Wszystkie trudy i blizny,
Z młodości do siwizny,
Które zniósł dla ojczyzny.

I za wszystkie cierpienia,
Za wszystkie poświęcenia,
Tętnął weń pewność zbawienia.

Aż z wdzięcznymi uśmiechy,
Obmytą w łzach za grzechy,
Duszę, pełną pociechy,

Uniósł — gdzie ją weseli,
Święci Pańscy Anieli,
Na wiek wieków przyjęli.

Jakże wszystko inaczej,
W tej komnacie bogaczój,
Gdzie Pan kona w rozpaczy!

Tuż doktorów gromada.
Pan w nich ufność pokłada,
A więc się nie spowiada.

Tam dziedzice zajęci
Przykładaniem pieczęci
Do skarbcu, co ich nęci.

A Djabeł koło duszy
Skacząc, skruczę w niej głuszy,
Szepcąc choremu w uszy:

„A co? żal ci twych zbiorów?
Tyle skrzyń, tyle wców!
Wszystko to sukcesorów!

„Patrz! jak siedząc w alkwie,
Siostrzany, synowcowie,
Dzielią się po połowie!

„Patrz! worki rozrznają!
Patrz! kufry odbijają!
Patrz! z kassy wyciągają,

„Co aż na dnie leżały,
Same imperyały!!!“ —
— Pan jęknął na gmach cały.

Bo to wszystko w malignie
Widzi:—serce w nim stygnie,
Rwie się—lecz się nie dźwignie.

Doktorzy się porwali,
Krew znów puścić kazali,
A Djabeł szeptał dalej:

„No, cóż? już twoje zbiory
Zabrali sukcesory!—
Patrz! co z nich zrobi który.

„Patrz! ten gra w faraona.
No! ależ gra szalona,
Na raz pół miliona!

„Patrz! tamten daje bale.
Co za mebl! co za sale!
Jak to wszystko wspaniale!

„Patrz! trzeci swój metressie
Część twych klejnotów niesie—
Patrz, patrz! jak ich jój chce się!“—

Pan, na widok takowy,
Wskoczył, i włos rwąc z głowy,
Padł bez zmysłów i mowy.

Djabeł grzeczny dopóty,
Tu wrzasnął pełen buty:
„No! minął czas pokuty!

„Teraz tyś mój, hrabiątku!
Zróbmyż z życia, z majątku,
Rachunek na początku.

„Głupcze! cóż ci się zdało?
Że to nędzne twe ciało
Z innéj gliny być miało?

„Żeś je tak karmił, poił,
Tak pieścił, i tak stroił,
Tyle dłań rozpust broił?

„Żeś się z nikim nie bratał,
Żeś wszystkimi pomiatał,
Żeś kogo mógł, przygniatał?

„Cóż z tych pieszczót, przysmaków?
Wiész?— przysmak dla robaków.
Zgnijesz, jak trup żebraków.

„Co z téj pompy, z téj pychy?—
Ciasna trumna, dół cichy,
Tehlina, szkielet, proch lichy!

„A też twoje szkatuły,
Te czeze twoje tytuły,
Co cię z człeka wyzuły!

„Jam to, ja wmawiał w ciebie,
Że wszystko masz dla siebie,
Nic ku bliźnich potrzebie.

Że wszystko dla użytku
Twój próżności lub zbytku,
Nic dla kraju pożytku.

„A tyś wierzył, nieboże!
Myślał tylko o zbiorze,
Wór ładował po worze.

„Sam nie dbał o nikogo,
O wszystkich myślał z trwożą
Że o coś prosić mogą.

„I wolał doznać sromu,
Siedzieć sam jak wilk w domu,
Byle nie nie dać komu.

„Boś nie czuł nie wyższego,
Boś nie kochał bliźniego,
Tylko siebie samego.

„Gdy zaś ten i ów szydził,
Ten i ów cię zawstydził,
Tyś wszystkich znienawidził.

„Za toż ja cię kochałem!
I jak ty sam nad ciałem,
Nad twą duszą czuwałem!

„A teraz co?—umierasz,
Z sobą nie nie zabierasz,
W wieczność z strachem spojierasz.

„Bo cożeś dla niej zrobił?
Jak się do niej sposobił?
Czém duszę przyozdobił?

„A wieczność jest, jest, bratku!
Summa życia wypadku.—
Lecz o tém na ostatku.

„Tymczasem ku téj summie
Dodaj, żeś w głupiej dumie
Zbyt ufał w swym rozumie.

„Bo gdzież jego rachuba?
Cel był—rozkosz i chluba;
Skutek—hańba i zguba.

„Bo cóż z życia masz w zysku?
Tam pamięć w pośmiewisku,
Tu duch w naszym uścisku!—

„Djabeł ci jak ksiądz gada,
Bo wié, że dobra rada
Już ci dziś nie nie nada.

„A nie byłoby piekła,
Gdyby was w niém nie siekła
Zgryzoty rozpacz wściekła.—

„A teraz, marsz! na sądzie,
Co wnet na cię zasiądzie,
Idź słuchać o wielbłądzie,

„I o uchu igielném—
O! i o nieśmiertelnym
Naszym ogniu piekielnym!

„Tam już prózne twe płacze!
Lecz ja wesół poskaczę,
Gdy w nim z tobą zobaczę
Wszystkie Sknery-Bogacze.“

A M E N.

1847.

WIECZÓR PRZED BALEM,

CZYLI

LAFIRINDA.

TEXT ŚWIATOWY.

Bal, bal w zapustny wtorek,
Ostatnia już zabawa!
Po mieście ruch faktorek,
Po domach gwar i wrzawa.

Żony z mężami w zrędzie:
Aż Ta w płacz—aż Ten fuknie.
Lecz co Ta chce, to będzie,
Ten musi kupić suknię.

Wprawdzie swar się ponowi,
Jak przyjdzie Święty Jerzy,
Jak wypadnie kupcowi
Zapłacić, co należy.

Nawet być może gorzej,
Dójsć aż do palpityci,
Jeśli się wieś położy
Na liście licytacyi.

Ale kiedy to będzie!
A bal tuż, w przyszły wtorek.—
Jak nie zasiąść w Pań rzędzie?
Jak nie pokazać córek?

Zwłaszcza gdy—choć szlachcianka
Z męża—z karty wizytnój
Urodzona hrabianka
Znaczna z mitry wybitnej,

Zwłaszcza, gdy z wychowania
Jest—(jak to rzecz ta sama
Różne miewa nazwania!)—
Świat mówi: „Wielka Dama,“

A my, my ludzie prości,
Od pióra albo grzędy,
Dajem takiej Imości,
Nazwisko Lafirindy ¹⁾.

Lecz w tym jednym wyrazie
Jest jak zbiór zalet w treści,
Jak ideał w obrazie
Światowej płci niewieściej.

Że zaś kto może nie wie
Co on właściwie znaczy,
To mu w tym prostym śpiewie
Samo się wytłómaczy.

¹⁾ W dobrej pronuncyacji wyrazów z francuzka, *in* wymawia się jak *ę*.

Nie dość dla dostąpienia
Tęj pięknej nominacyi,
Pańskiego urodzenia,
Lub pańskiej edukacyi.

Dopiero jedno z drugim
Złączone w amalgamę,
Tworzą, staraniem długim,
Lafirindyczną Damę.

Bo Bóg dał, i nikomu
Sam nie skrzywił rozsądku:
A tylko w pańskim domu
Można wnet niemowlątku

Dać bonę-pedagoga,
By przez najpierwsze lata
Dzieło w niem Pana Boga
Prostować wedle świata.

A tylko na nielada
Pensją i podarek,
Dają się zwabiać stada
Francuzek i Szwajcarek.

Ach! a bez nich, niestety!
Przez żaden mus ni względy,
Z żadnej naszej kobiety
Nie zrobić Lafirindy!

Bo krew przodków nie woda,
Bo nad świata przycinki,

Śmielsza Polki swoboda,
Szczerza tkliwość Litwinki.

A tu właśnie rzecz na tém,
Wypeść wszystko przyrodne,
By módz zasiać, jak kwiatem,
Wszystko cudze, a modne.

W czém jedynie się nadać
Możo metoda taka,
Jaką się uczy gadać
Papugę, albo szpaka.

Naprzód, trzeba im pióra
Póty strzydz i oplatać,
Aż nałóg, jak natura,
Oduczy je chcieć latać.

Potém wciąż trzymać w rękę,
Dzień i noc szeptać w uszy,
Aż w nich to pomaleńku
Głos natury zagłuszy,

Bo niechno raz, broń Boże!
Usłyszają gdzie gwar ptaszy,
Żadne się już nie może
Nauczyć mowy naszéj.

Znać, że gdy pamięć wznowi
Rodzinne, leśne śpiewy,
Wzgardy już ich nie w mówi
Nawet Mamzel z Genewy.

Tak trzeba i z panienką,
Nim się całkiem wychowa. —
Nic prócz książki pod ręką,
Po polsku ani słowa.

Bo w tém największa sztuka,
W tém sekret i rzecz cała,
By książkowa nauka
Duszy myśléć nie dała.

By umieć ustrzedz serce
Przed tém wszystkiém, co budzi
Wrodzoną w niém w iskierce
Miłość kraju i ludzi.

By w pierś uczucie żywe,
Tak jak żywa myśl w głowę,
Nie weszły — bo szkodliwe,
Jak pokarmy surowe.

I w tém talent Szwajcarek,
By serce i naturę,
Ususzyć na sucharek,
Przesmażyć w konfiturę,

I tak w tyglu nauki
Ulotnić duch i życie,
By nic prócz form i sztuki
Nie zostało w kobiécie.

· Sposób na to jedyny,
Jak pączek kwiatu, główkę,

Opleść w metrów godziny,
Tak jak piersi w sznurówkę.

Wsadzić jak za klauzurę,
I usunąć z przed źrenic,
Tak jak żywą naturę,
Widok wolnych rowiennic.

Bo niech z niemi choć trocha,
U siebie, czy gdzie indziej,
Zabawi się, pokocha —
To i po Lafirindzie!

Serduszko się wnet ruszać,
Główka zacznie wnet marzyć —
Próżno wtedy już zmuszać,
Upominać i swarzyć.

Bo duch to zaczął myśleć,
Gdy serce czuć zaczęło.
A jak ducha określić? —
I *adieu* całe dzieło!

To téż jeden z powodów,
Że tylko w nasze czasy
Mogą wśród pańskich grodów
Dojrzeć te ananasy.

Bo tam się tylko godzi
Gościa nie przyjąć w domu;
Bo tam tylko uchodzi,
Nie dać poznać nikomu

Żony swojej, lub dziecka;
Bo tam tylko nie wiąże
Z nikim przyjaźń sąsiedzka,
Chyba kto Graf lub Książę.

A u Grafa i Księcia,
Pewniej niż u Sampanka,
Od kolebki, dziecięcia
Aniół-Stróż — Paryżanka.

Tak, że chociaż te dziatki
Wzajem się i odwiedzą,
Nie ujrzą nic, prócz klatki,
W jakiej i same siedzą.

Drugie zadanie walne.
Jak przez środki nauczne,
Wszystko co naturalne,
Zmienić w pannie na sztuczne.

W kursie tego rodzaju,
Grunt praktyka, nie wykład;
Aż przymus, ze zwyczaju,
Przejdzie w nałóg. Naprzykład:

Zamiast barw łąk i borów,
Cudów w świata obszarze:
Niech patrzy na sztych wzorów,
I rysuje *pejzaże*.

Zamiast ptasząt śpiewania,
Lub w naturze ech Boskich:

Niech ma nóty do grania,
Arye z oper Włoskich.

Zamiast letniój przechadzki
Śród niw lśniących od złota:
Niech po taflach posadzki
Powtarza krok *gawota*.

I to metod ten ścisły
Trzeba chować dopóty,
Aż już tylko jój zmysły
Czuć będą: ucho nóty,

Oko tylko rysunek,
Nosek perfumy wonie,
Ach! a szczęścia warunek
Serce tylko w salonie.

Aż cała naostatek,
Z myśli, z serca, i z duszy,
Nie stanie się jak kwiatek,
Co się w książce zasuszy.

Tu już kurs jest skończony
Domówój edukacji.—
Teraz świat i salony
Szkółą mody i gracyi!

Dotąd myślano o tém,
Jak uczucie w niój zabić,
By już przez nie nikt potém
Nie mógł serca jój zwabić.

Teraz drugą nauką
Zdobia ją:—jak się zwabia,
Z przystojnością a sztuką,
Panicz, Książę, lub Hrabia.

Ale już te sekrety
Pójdźmy słyszeć z ust saméj
Doświadczonej kobiety,
Lafirindy i Mamy.

Nadszedł zapustny wtorek,
Zmrok, wieczór:—ona siadła,
Toalety dwóch córek
Wiszą z dwóch stron zwierciadła.

One stoją przy krześle,
Ona wzrokiem je mierzy,
Jak wódz biegły w rzemieśle
Swych przed bitwą żołnierzy.

Panienki jak jagodki,
Prócz cer trochę niezdrowych:—
I Matki uśmiech słodki
Błysł z Damy lic surowych.

„No, *Mesdemoiselles!*—rzekła,
„Macie już swych tancerzy.
„Hrabini mi przyrzekła.
„Twoim, Zosiu, *Comte Jerzy,*

„Twoim, *Comte Jean*, Emilko!
„Potém w kolej przeciwnie. —
„Pamiętajcież mi tylko,
„By się trzymać, nie sztywnie!

„Myście wciąż, kto jesteście,
„Jaki wasz ród i stan;
„I że ja patrzę wreszcie.“ —
— „*Bien, ma chère Maman!*“ —

— „Zaraz w dół spuścić oczy,
„Gdy tancerz co przemawia;
„Bo to efekt uroczy,
„Gdy się panna obawia.

„Pozwalam się uśmiechać
„Z *bons mots* Hrabiego *Jean*,
„I, broń Boże, nie wzdychać!“ —
— „*Bien, ma chère Maman!*“ —

— „Z Hrabią Jerzym rzecz inna.
„On zawsze mówi górnie.
„Każda go z was powinna
„Słuchać skromnie, pokornie.

„Po tańcu dygnąć wdzięcznie.
„Lecz gdyby w tańcu stan
„Zbyt objął — umknąć zręcznie!“ —
— „*Bien, ma chère Maman!*“ —

— „Gdy z was którą zawoła
„Sama Pani Hrabini,

„Twarz niech będzie wesoła,
„Z uśmiechem usiąść przy niej.

„Nakłonić ku niej ucha,
„A gdy przemówi sama,
„Niech każda ze czcią słucha,
„Bo to jest Wielka Dama.

„Synami jój są oba,
„*Comte Jerzy i Comte Jean.*
„Róbcie, niech was podoba!“—
— „*Bien, ma chère Maman!*“—

— „Gdyby z niższej młodzieży
„Zaczął do was kto gadać,
„Słuchać, już też należy,
„Lecz nic nie odpowiadać!

„Ja wnet w pomoc przybędę,
„Skrócić wasz przykry stan,
„I przerwać tę gawędę.“—
— „*Merci, ma chère Maman!*“—

— „Teraz, nie tracąc pory,
„Niech każda suknię mierzy,
„Bo zapowiadam z góry,
„Jak dwónasta uderzy,

„Tańca już ani kroku.
„Stryj Prałat tego żąda,
„I Hrabini, wiem z boku,
„Krzywo na tych spogląda,

„Co tańczą lub jedzą,
„Gdy post dzwonią już z wieży.
„A chcę, niech ludzie wiedzą,
„Że z was każda w post wierzy.

„Jutro musim też rano
„Uwinać się z kościołem.
„Pisał ma mszę czytana,
„I sam zawsze popiołem

„Chce posypać swe krewne;
„A od Ksieni Ireny
„Słyszałam, że to pewne
„Lekarstwo na migreny.—

„No! czekać mię w salonie!
„Idę ubierać głowę.—
„Basiu! na ósmą konie,
„Każ, niech będą gotowe!“—

1847.

WIECZÓR KAWALERSKI.

ZRZĘDA PANA STOLNIKA.

„Cóż pan, Panie Stolniku!
Tak coś dziś w złym humorze?“—
—„Tak, mój Mości młodziku!
Po Wasaństwa wieczorze.“

—„A! toż bardzo ciekawy!
Z jakiejże, proszę, racyi?
Czyż nie było zabawy,
Gry, cygar, win, kolacyi?“—

—„Tfu! to mi to wymówka!
Toć gdy chcę jeść wieczerzę,
A jest w kiesce złotówka,
Wołę zjeść w traktyerze.

„Nie kłaniać się nikomu,
I nikogo nie bawić;
I wróciwszy do domu,
Położyć się, i trawić.

„Lecz gdy ja, w moim wieku,
Mam iść w świat, między ludzi,

Toć szukam tam, co w człeku
Myśl i serce rozbudzi.

„Bym z tego, co mi w uszy
Ten i ów będzie prawie,
Miał i dziś czém żyć w duszy,
I na jutro zostawić.

„A cóż, myślałem, lepiej,
Jak zabawa młodzieży,
Stare serce pokrzepi,
Stare myśli odświeży?

„Aż tu wszystko, jak widzę,
Wspak do góry nogami!
Myśli moje—to rydze,
Między waszych grzybami.

„I choć głowa już w szronie,
W sercu jeszcze dość żaru,
Iżbym mógł w waszém gronie
Grać rolę samowaru.

„A cóż mi to za młodzi,
Bez świeżości i ciepła?
Cóż ta niwa urodzi,
Co już wiosną tak skrzepła?

„Nie ma nadziei, nie ma!—
Nie dziś żyję na świecie,
Widzę memi oczyma
Pokolenie już trzecie.

„Prawda! każde broiło,
Aż ściągnęło gniew Boży
Ale jeśli źle było,
Toć dziś wszystko jest gorzej.

„Sięgam pamięcią czasów
Bachusowego szału,
Co trwał u nas od Sasów,
Do końca Trybunału.

„Żal wspomnieć, co iskrzących
Serc, myśli, Bożych darów,
Nakształt gwiazd spadających
Zgasło w głębi puharów!

„Ale był duch, Mosanie!
Było życie i siły;
I w Bachusa rydwanie
Szły lwy—nim się popiły.

„Lecz i wtedy otucha
Z serc wždy całkiem nie nikła,
Że lew, gdy się rozczucha,
Sam się z sieci wywikła.

„O! i żar tlał w popiele,
Jak pociecha w boleści!
Wiara żyła w Kościele,
Dom strzegł cnoty niewieściej.

„I dość było, by społecm
Ujść zaguby i sromu,

Skruszyć się przed Kościołem,
I wytrzeźwić się w domu.

„Aż zły duch cudzoziemców
Śmił blask Cnoty i Krzyża,
I jak Bachus od Niemców,
Przyszła Wenus z Paryża.

„O! i wspomnieć ohyda,
Jak drwiąc z wiary i cnoty,
Kraj, niewieściuch z Aleyda,
Przął sam petłę sromoty!

„Zalotność, zbywszy klubów,
Wsiom szła szczepić jad grodów;
Kościół się, z miejsca ślubów,
Stał przedsionkiem rozwodów.

„Na kupno Pań uścisku,
Na ich zbytek szalony,
Wieśniak znojem ucisku
Musiał skrapiać zagony.

„I co bądź przyszło potem,
O! sąd Prawdy straszliwy
Jedno musi rzec o tém:
Że jest Bóg sprawiedliwy!...

„Ale choć tak zepsucie
Gryzło rodzin ogniwa,
Było żywe uczucie,
Była miłość prawdziwa.

„I jeżeli nie enota,
To choć wdzięków zalety,
Dość, że nie sam brzęk złota
Był urokiem kobiety.

„I tysiące szło w szranki
Na wojnę za-krajową,
By wrócić do kochanki
Z Legią Honorową.—

„A dziś co u Wasaństwa? —
Tak! mniej sił do swawoli,
Mniej głów tęgich do pjaństwa,
Mniej śmiałości w złej woli.

„Lecz gdzie lepszosc, choć w chęci?
Gdzie poprawa? gdzie skrucha?
Co was budzi, lub nęci?
W czym cel serca, lub ducha?

„Mogę wam po szczególe
Co do joty powiedzieć:
Bo dość być w waszém kole,
By to widzieć i wiedzieć.

„Piętno wasze — egoizm.
Cel wasz — chyba bogactwo.
Próżność — to wasz heroizm.
Rozkosz życia — próżniactwo.

„Wszystkich was wziętych razem,
Albo każdego z was,

Wiécie, co jest obrazem? —
Talia kart, i *As*.

„Przed grą, martwi jak one,
Jak w kopercie zamknięci;
W grze, w nich tylko wcielone,
Grają myśli i chęci.

„*As!*... O! nie walor *asa*,
Tylko figura sama! —
Dno — czezość, *tabula rasa*;
W środku serce — jak plama.

„Całe téż wasze życie,
W znaczeniu rzeczywistém,
Zrównałbym wyśmienie
Z preferansem lub wistem.

„Żyjecie tak, jak gracie:
Jedni, byle czas zabić;
Drudzy, by w swój intracie
Czyjś grosz jakoś zagrabić.

„Świat wam jest jak stolikiem
Kalebraka początku,
Gdzie każdy naprzód likiem
Śledzi, co ma do wziętku.

„Ludzie dla was — to karty.
Od młódki do figury,

Tyle wam zda się warty,
Ile potrzebny który.

„Żona — to *atu* Dama.
Serce w równi je stawia,
Skoro posag, lub sama,
Grę wam losu poprawi.

„Czyny wasze na świecie,
To nic więcej, jak *bety*. —
Ztąd też wiecznie będziecie,
Jak jesteście — *walety*.

„Choć z asem w podobieństwie,
Każdy z was, w swój próżności,
Sądzi się w społeczeństwie
Średnim punktem wśród czezości. —

„Mógłbym też zrównać dalej
Życie wasze z cygaro.
W ustach się tylko pali,
I z ust niknie czezą parą.

„Obecnym tylko swędzi,
Wzrok émi dymu kłębamii,
I jak dym z oczu pędzi
Łzy litości nad wami.

„O! i łezby nie stało
Na wylanie goryczy,
By tak wszędzie być miało,
Jak jest wśród was — panicy.

„Lecz choć wicher na wodzie
Łódź przez maszty w głąb nurzy,
Dobry balast na spodzie,
Okręt zbawia śród burzy.” —

D I X I.

1848.

CUDZE GRZECHY,

PRZYPOWIEŚĆ.

Pobożny kapłan spowiadał rzesze,
I sam w pokorze i skrusze,
Ku chwale Boga, a ich pociesze,
Prostował serca i dusze.

Wtém blada, drżąca, z obłędem w oku,
Wpół po pielgrzymku ubrana,
Z śród penitentek wybiegłszy tłoku,
Ugięła przed nim kolana.

„Wszelki duch!“ — kapłan rzekł mimowoli,
Patrząc w jój dzikie źrenice;
I pewien ciężkiej grzechu niedoli,
Jął uspakajać grzesznicę.

— „O! nie téj, ojczy! szukam pociechy,
Nie pod tą myślą się trudzę:
Nie własne moje trapią mię grzechy,
Lecz ach! tém gorzej — że cudze.

„Więm bowiem sama drogę do Nieba,
Lecz by i drugich prowadzić,
Co? jak? i kiedy czynić mi trzeba?
Ciebie się przysłałam poradzić.

„Choć to grzech może, że mię tak boli
Ta myśl, że moi kochani,
Gdy Bóg mnie samėj być z Nim dozwoli,
Muszą pozostać w otehlani?“—

—„Hm!“—mruknał kapłan—i kiedy oko
Badawcze na wskrós ją śledzi,
Znać po nim, że się z myślą głębką
Do dłuższėj zabrał spowiedzi.

„Piękna chęć, córko! chcieć bliźnich zbawiać,
Komu Bóg na to sił doda.
Lecz któż są, których masz tak poprawiać,
Ty sama jeszcze tak mloda?“—

—„Papa i mama, siostra i bracia,
Krewni i wszysey domowi,
Dla których świętość i kontemplacja
Przedmiot zgorszenia stanowi.“—

—„Tak?“—rzekł znów kapłan.—„Lecz, moja droga!
Gdy oni tacy bezboźni,
Któż wlał w twą duszę tę miłość Boga,
Co cię dziś od nich tak różni?“—

—„O! powiem wszystko!—bo to tak błogo,
To tak podnosi mi ducha,

Gdy przecież w świecie napotkam kogo,
Co mię pojmuje i słuca! —

„Zasady piérwsze, jak zwykle dziecku,
Rodzice dali mi w wierze.
Dom cały codzien, po staroświecku,
Razem odmawiał pacierze.

„Lecz cóż ztąd? Byłam, jak wszystkie inne,
Które świat kusi i nęci.
Zabawy, tańce, fraszki dziecinne,
To był cel wszystkich mych chęci.

„Rodzice wszystko czynili dla mnie,
Mogliby zrobić mię próżną.
Lecz miłosierny Bóg wejrzał na mnie,
Zesłał w dom ciotkę nabożną.

„Jój winnam naprzód, żem czuć zaczęła
Duchowny cel i pożytek;
Aż mię na Wielki Tydzień raz wzięła
Z sobą do Panien Wizytek.

„Tam obaczyłam prawdziwą Świętą,
Ujrzałam, jaką cześć budzi;
I ztąd poczułam chęć, snać natchniętą,
Jak ona wpływać na ludzi.“ —

Kapłan wstrząsł głową:— „Chęci chwalebne!
Lecz czy téż u niój spytałaś,
Jakie są naprzód enoty potrzebne,
Aby módz stać się, czém chciałaś?“ —

— „Ot jakoś o to nie przyszło spytać.
Lecz ja z niej sama wzór brałam.
Zaczęłam książki pobożne czytać,
I bardzo dużo czytałam.

„A w rozmyślaniu ćwicząc mą duszę,
Po myślach długich a długich,
Taką ich czuję pełność, że muszę
Gwałtem rozlewać na drugich.

„I tu początek mego męczeństwa,
Gorszego, niż Missjonarzy;
Bo ciężej krzywdę znieść od rodzeństwa,
Niż od pogańskich wyspiarzy.

„Papa już w wieku, ma urząd, włości,
Lecz zbyt po ziemsku sumienny,
W nich widząc pierwszy cel powinności,
Zaniedbał pracy zbawiennój.

„Słyszałam wprawdzie, jak uczy braci
Prawd wiary, cnoty, sumienia;
Lecz przytém zawsze żart z kontemplacji,
Jak z próżniaczego marzenia.

„Mam-że nie boleć, widząc, niestety!
Jak grzeszy, jak się rozprasza?
Czyta naprzykład książki, gazety —
To się rozczuła, unasza,

„Nad jakimś wierszem, nad losem ludów!...
Przytém uczynny do zbytku,

Ani ma kiedy, śród ciągłych trudów,
Mysleć o duszy pożytku.

„A gdy ja mówię o prawach ducha,
Jak się podnosi, jak skupia:
To lub się śmieje, albo nie słucha,
Raz nawet fuknął: „Milez głupia!“ —

— „A ty cóż na to?“ — „Zmilkzałam skromnie,
Lecz rozważywszy powoli,
Że to o Boga szło, a nie o mnie,
Dostałam jak melancholji.

„Papa się spostrzegł — chciał mię rozbawić,
Potém sprowadził doktora.
Lecz się sam w niczém nie chce poprawić,
A o mnie myśli, żem chora.

„Nie prawdaż, ojcze! że to jest pycha? —
I toć mię trapi najgorzej.
Bo kto przestrogi Boże odpycha,
Ściągnie nakoniec gniew Boży.

„I biedna mama! — ach! ona może
Jedna mię kiedyś zrozumie! —
Lecz dziś, niestety! jak ojciec w dumie,
Tak błądzi w zbytniej pokorze.

„Z oczu jój, z twarzy, widzę, gdy mówię,
Jak chce, by wszyscy słuchali;
Lecz dość niech papa przeciw coś powie,
Prawdy nie szuka już dalej.

„A gdy mię przeto żal nad nią bierze,
I dam to uczuć jój z rzadka;
Głaszcząc mię, kończy zwykle: „ja wierzę,
„Jak mój mąż, ojciec i matka.“—

„Nie prawdaż, ojcze! że to grzech przecie,
Ciężki grzech przeciw duchowi,
Chcieć tak zagradzać postęp kobiecie,
Chcieć ją tak poddać mężowi?

„W jedném jój tylko—przyznać to muszę—
Winnam obronę otwartą:
Że mam czas przecież kształcić mą duszę,
I być Maryą, nie Martą.

„Papa chciał gwałtem. i nawet nieraz
Wyrzuty czynił mi ostre,
Bym się zajęła domem; — lecz teraz
Mama to zdała na siostrę.

„Ale ach! ojcze! w tój to osobie
Mój najdotkliwszy cierń w życiu;
Bo wszystkie grzechy, com zmogła w sobie,
W niej muszę widzieć w rozwiciu.

„O pięć lat młodsza odemnie — żywa,
Nieszpetna, próżna i płocha,
Goni za światem, i tém szczęśliwa,
Że ją nawzajem świat kocha.

„Byle się tylko podobać komu,
Byle głos zyskać pochwalny,

Wdzięczy się wszystkim—nie tylko w domu,
Lecz lada babie szpitalnej.

„Wię o każdego chęciach i gustach,
Zgadnie co komu potrzebne;
A zawsze tylko uśmiech na ustach,
A co krok, słówko pochlebne.

„Wstręt bierze słyszeć, jak z papą, z mamą.
Lub jak rozmawia z sługami.
Chciałaby wszystkich—mnie nawet samą....
Ale mnie jednej nie zmami!

„Ze mną swych dumnych celów nie dopnie,
Ze mną się chytróść nie uda!—
Lecz to okropnie, ojcze! okropnie,
Z próżności taka obluda!

„A co najgorsza, to widzieć ludzi,
Jak są czy ślepi, czy słabi;
Jak lada pozór łatwo ich złudzi,
Lada pochlebstwo przywabi!

„Widzę to codzień, czuję—i cierpię.
Lecz ach! zaczynam czuć trwogę,
Że się cierpliwość w końcu wyczerpie,
I że ja zgrzeszyć téż mogę.

„Na to więc szukam sił i pociechy,
Aż Bóg mi raczy objawić,
Jak mam spokojnie znieść cudze grzechy,
I jak grzeszników poprawić.“—

Skończyła. — Kapłan wzniosł wzrok ku górze,
I widać z tego spójrzenia,
Że skupia myśli w ducha pokorze,
I z góry czeka natchnienia.

„Córko! — rzekł wreszcie —, grzeszniśmy wszyscy,
Lecz to wiem jak najdowodniej,
Że ci, co Boga najbardziej bliscy,
Najmniej Go czują się godni.

„I że ktokolwiek z nas w oku brata
Lada źdźbło łatwo dostrzega,
Znak to, że jeszcze pokusa świata,
Jak tram, w nim samym zalega.

„Czyż bowiem dusza, jak gospodyni,
Co dom swój urządzić żąda,
Sprzątnie w nim brudy, lub ład uczyni,
Gdy wciąż za okno wygląda? —

— „Cóż to jest? ojeze! Czyż się to do mnie
Ściąga ta twoja przestroga? —
Nikt tak o sobie nie trzyma skromnie,
Nikt tak nie wzdycha do Boga.

„A że i drugich zwrócić ku Niemu,
I prawd im Jego chcę dowieść” . . . —
— „Stój! — przerwał kapłan —” stosowną k' temu,
Powieć ci krótką przypowieść.

„Młodzienzyk jeden widział, jak sławny
Wódz raz swe wojsko sprawował;

Jak jednym rzutem wzrok jego wprawny
Błędy tysięcy prostował.

„Jak go tysiące ze czeią słuchały,
I jak nikt nie mógł mu sprostać.
Młodzian był dzielny, poczuł chęć chwały,
Wodzem zapragnął téż zostać.

„Ale jak mniémasz? czyby mu wprzódy
Król wojska swoje poruczył,
Ażby mu jawne złożył dowody,
Że się być wodzem nauczył?

„I czy mu na to dosyć byłoby
Czytać opisy zwycięstwa,
Gdyby się wzdrygał przejść sam przez próby
Trudów, karności i męstwa?” —

— „Czyż i to do mnie?” — „Tak, moja droga!
Poznałaś świętą osobę,
Wysoką duchem, natchnioną z Boga,
Kościoła Jego ozdobę.

„I chwała tobie! gdybyś jój wzorem,
Gdybyś jój słowem natchniona,
Ślad w ślad iść za nią jeła jój torem,
Ażbyś dosięgła, gdzie ona.

„Lecz wprost, od razu, chcieć doskonałość
Przejąć, i k' sobie stosować,
Jest to — przepraszam może za śmiałość —
Małpować, nie naśladować.

„Lecz jak z przejęcia ludzkiego ruchu
Małpie człowiekiem nie zostać;
Tak nie dość, córko! by urosć w duchu,
Wziąć Świętych mowę i postać.

„Słów, im są świętsze, świat wątpiac słuha,
Lecz świętej wierzy zasłudze.
A pierwsza cecha świętości ducha,
Jest znać swe grzechy, nie cudze.

„Ojciec twój, widzę, jest wzorem męża,
Jak matka wzorem kobiety;
Siostra dobrocią serca zwycięża —
Ty jedna błądzisz, niestety!“ —

— „Co? ja, mój ojczy? Przebach, że tobie
W tém się sprzeciwić odważę.“ —

— „Milcz! Bóg przezemnie mówi w tój dobie.
„Słuchaj, i spełnij co każe.

„Powróć do świętych Panien klasztoru,
Otwórz przed niemi głąb' ducha;
Proś o ich radę, a ucz się z wzoru,
Co jest pokora i skrucha.

„A gdy tam wnątrzną dojrzejesz próbą,
Przyjdę—i wtedy, gdy spytam,
Lub cię rozgrzeszę—albo nad tobą
Exoreyzm święty przeczytam.

MARNOTRAWCA.

(MATKA DO SYNA).

„Jak cię zwać — synem, czy wrogiem?
Ty, co w ciągłym żądź twych szale,
Sam w grzech z grzechu brnąc zuchwale,
Mnie waśnisz z ludźmi i z Bogiem,
I w matki duszy niewieściój
Topisz miecz ciągłej boleści? —

„Gdzie dom? gdzie skarby? gdzie ziemie?
Co ojciec twój przez wiek długi,
Życiem pracy i zasługi
Nagromadził — by swe plemię
Zostawić w chwale u świata,
Jak sam w niej przeżył swe lata? —

„Marnotrawco! obacz na co
Tyś je strwonił? Co z nich komu?
Co z nich tobie, okrom sromu?
Kto są, co się z nich bogacą?

Kto są, co o cudzym chlebie
Płaczą po nich—i na ciebie? —

„Nie kłam, nie bluźń, że mię kochasz!
Czy że słowa chełpliwemi
Chcesz mnie sławić przed drugimi?
Czy że jęczysz sam i szlochasz,
Patrząc na me łzy i smutek,
Twoich szaleństw, grzechów skutek?—

„Gdybyś kochał—toćbyś przecie
Myślał o tém, co mi trzeba:
Toćbyś słuchał mnie i Nieba:
Toćbyś pomniał, że na świecie
Kto chce czei i szczęścia użyć,
Musi na nie wprzód zasłużyć.

„A ty!... O! ty pragniesz obu!
Lecz co czynisz, to wprost k'temu,
By mnie, i sobie samemu
Odjąć wszystko—i do grobu
Mnie i siebie pchnąć czémprędziej:
Mnie z rozpaczy, siebie z nędzy.

„Co mi po tém, że, niestety,
Widzę, wiem, że nie zła wola,
Tylko płochość i swawola
Ćmia tve cnoty i zalety?
Im ich wartość cenię drożej,
Tém ich plamę czuję srożej.

„Lecz się obacz, ukorz szczerze!
I niech twe czyny dowiodą,
Żeś choć raz mądry przed szkoda:
A i ja rada uwierzę,
Że gdyś ty się mógł poprawić,
Bóg cię może błogosławić.” —

1869.

WIARA I WIARA.

Szedł Teolog z prostaczkiem: — napotkali dzie-
cię.

Mdlało z trudu. — Teolog pomyślał tajemnie:

„Bóg jest wszechmocny; wszystkiém Sam rządzi na
świecie;

„Toć więc i temu dziecku pomoże bezemnie.“ —

I poszedł.—A prostaczek myśli: „Panie Boże!

„Jaki Ty dobry! Siły ustają dziecięce,

„A Ty mu już i zsyłasz kto je podnieść może.

„Dzięki Ci, żeś mnie wybrał!“ — I wziął je na ręce.

S A D I S A D.

Nazwij Boga ojcem w Niebie,
Idź grzechy obmyć pokutą,
Wyznaj, że nie wierzysz w siebie,
W swój mózg i wolę zepsutą.
Zdejmij czapkę przed kościołem,
Przeżegnaj się—toć i kwita!
Świat napisał nad twém czołem:
„Hipokryta, Jezuita!“ —

Powiedz księdzu Labusiowi,
Że po za progiem świątyni,
Słuchasz nie tylko co mówi,
Ale i patrzysz co czyni.
Rzecz dewotce, że nie dosyć
W ustach pacierz mleć językiem—
To i dość, by cię ogłosić
„Bezbożnikiem, Heretykiem.“

Tak sąd Pychy wyuzdanéj,
Jak sąd Pychy w owczéj skórce,
Wciąż, jak kozły lub szatany,
Wręcz się bodą w swéj naturze.
Lecz się nie bój, czysta duszo!
Choć cię wezmą między rogi.
Ich się ostrza wzajem skruszą,
Sąd prawdziwy — w końcu drogi.

1854.

PRAWDOMÓWCA.

I.

A czy ja strzelec, co siedząc z wabikiem,
Na strzał chce zwabić ptaszęta;
Bym wszystkim wkoło, ich własnym językiem,
Wdzięczne prawil komplementa?

Czy ja żyd oszust, co częstując miodkiem,
Liczman chce wydać za złoto;
Bym świat pochlebstwem upajając słodkiem,
Fałsz barwił prawdy pozłotą?

A mnież to na co? Nie widzę pobudek,
Bym jak szpak cudzym piał tonem;
Bym z dudkiem czuba nastrzępiał jak dudek,
Jak gawron krakał z gawronem.

Czy by ich wzajem oskubnąć na pierze?
Czy by czerni za mną latała? —
Kołpak się chyba w pstre pióra ubierze,
A chór gawroni — nie chwała.

Kwituję z tego szczęścia i honoru!
W sidła nikogo nie łowię.
Lepszym, niż jestem, być nie chcę z pozoru,
A jak co myślę, tak mówię.

Źle albo dobrze—toć wolna szermierka,
Byle bez pychy i waśni;
A z słów, jak z mieczów, wyprysnie iskierka,
Co wzajem prawdę rozjaśni.

Lecz znieść nie mogę nikezemnika, który,
Sam prawdy bojąc się słowa,
Tępi ją w drugich udaniem pokory,
Jak miecz poduszka puchowa.

II.

Jak wam dogodzić, Panowie i Panie?
W słowach żądacie niby prawdy tonu;
A niech kto w prawdzie wypowie swe zdanie,
Wnet je mierzycie na skalę salonu.

Toć jeśli zdanie zda się wam być krzywe,
Przeczcicie!—w tém ludzka powinność i prawo.
Lecz wy mówicie: „Zdanie jest prawdziwe,
„Lecz je wyraża za żywo, za żwawo.“—

Przez Boga! jakież więc prawo oznaczy
Ton czucia, myśli, i mowy człowieka?—

Gil, wróbel, słowik, śpiewają inaczéj;
Wezbrany potok nie szumi jak rzeka;

Inszy szmer dębu, modrzewiu, lub brzozy.
A człowiek! — piastun duchowéj swobody!
Miałby być tylko jako dudka z łoży,
Grać wciąż ton jeden z turlecika mody?

I gdy uczucie zapala się w duszy,
Kiedy niém słowa wzbierają się pełne,
Myśleć, jak każde włożyć w wasze uszy,
Jak umoczoną w oliwie bawełnę?... —

O! nie wzywajcież świętój Prawdy słowa!
O! nie bluźnijcież świętój Prawdy mianu!
Cel wasz — zabawa, nie Prawda; rozmowa,
Jedno wam tylko, co brzęk fortepianu.

Myśl wasza pragnie łechtania, nie walki,
Hołdów pochlebstwa, a nie Prawdy plonu;
I ludzie tylko muszą was, jak lalki
W szene-katrynce, bawić śród salonu! —

Bawcież się sobie! ja do nóg upadam.
Jam téż syn wieku — Ruszać mi się — nuda;
Spać myślą — rozkosz. Ale gdy już gadam,
Czuje, żem przecież człowiek, a nie duda.

III.

DO MŁODEJ PANIENKI.

Cóż się tak zżymasz, jako sensitiva,
Gdy słowo prawdy draśnie twoje uszy;
I choć zamilknie, twarz twoja odkrywa
Niewymówiony wyraz twojej duszy?

Wiém, że nie taka płytkość w twym rozumie,
Byś miała sądzić, żeś jest doskonałą;
Lecz znieść nie możesz w obrażonej dumie,
Że cudze oko w głąb' twą zajrzeć śmiało.

A przykrzój jeszcze, żeć przez to i samój
Wschodzą na pamięć—przed czém się rumienisz—
Wschodzą nie jedne, choć drobne rdzy plamy,
Które zmyć łatwo—lecz się zmywać lenisz.

I ztąd ci milój w salonowym gwarze,
Gdzie sama siebie unikasz w natłoku,
Gdzie ci Pochlebstwo buduje ołtarze,
A Fałsz uwielbia w kadzideł obłoku.

Tam więc idź króluj! tam niech próżność płocha
Zbiera swe laury, swych tryumfów wieniec!
Ten, co raz Prawdę pozna i ukocha,
Nie zna już bożyszcz w mitrze, ni w sukience.

Ale to pomnij! że w duszy kobiécój,
Z plam, co w nią rzucił grzech pierworodzony,
Co nie wypali wstyd młodój dziewicy,
Zmyć kiedyś będą musiały—łzy żony.

1854.

WIR STOLIKÓW.

CHRYJA PANA STOLNIKA.

Populus meus in ligno suo interrogavit, et
baculus ejus annuntiavit ei. Spiritus enim
fornicationum decepit eos, et fornicati sunt
a Deo suo.

Lud mój pytał się drewna swego, a kij je-
go przepowiadał mu. Albowiem duch zwo-
dnictwa zwiódł je, i odpadł od Boga swego.
(Proroctwo Oztasza IV. 12).—

„Wszelki duch Boga chwali!
Tośmy się doczekali
Dziwolągów i dziwów na świecie!
Na co teraz mieć głowę,
Kiedy nogi stołowe
Rozumniejsze—niż Doktor w birecie?.

„Ot wam rozum bez wiary!
W pysze nie znał wprzód miary,
Sam się mniemał i głosił być Bogiem.
A dziś, oto w proch czołem
Bije—przed czém?—przed stołem,
Jak poganin przed wieszczym trójnogiem!

„Na głos Boga był głuchy,
A dziś słucha, co duchy
Wystukają, lub same napiszą! —
Aleć dobry duch pewno
Z Nieba nie zejdzie w drewno;
A gdy zły—to cóż odeń posłyszają? —

„Tfu, szatańskie pokusy!
Niegdyś Niemiec nas kusy
Wsadził w błoto, wywiódłszy z Kościoła;
Potém djabeł z Paryża
Wmówił w nas wstręt do Krzyża.
Teraz ołtarz chce robić ze stoła.

„I z chytrego zwyczaju,
Kubek w kubek jak w rajcu,
Ewy naprzód jał czmucić i nęcić:
„Kręćcie stół, a będziecie
„Wiedzieć wszystko na świecie!“—
Wiedzieć wszystko—toć choćby kark skręcić!—

„I skręcicie, Mosanie!
Brnąć tak oślep w tumanie,
Co dziś przepaść zakrywa wam zdradną.
Lecz stanąwszy na brzegu,
Nie czas wstrzymać już biegu,
Głęb' jój sama pociągnie was na dno. —

„Myślcie o mnie, co chcecie,
Ostrzedz muszę was przecie.—
Toć bywało i za méj pamięci,

Że gdy družba wesółą
Siądzie obok wkrąg stoła,
Świat, nie stół się nam w oczach zakręci

„I duch, jakby natchnięty,
Ale dobry duch, święty,
Z ust i z serc — nie z pod palców zagada;
Duch serdecznej szczerości,
Duch braterskiej miłości,
W spójni z sercem i z duchem sąsiada!—

„Takie wiążcie znów koła!
A z Nieba, nie ze stoła,
Przyjdzie duch i natchnienie wam Boże.
W świetle jego pojmiecie
Bożą prawdę na świecie,
A téj prawdy sam czart nie przemoże.

ŚWIAT I POETA.

POETA.

Śpiewam, tworzę, bujam, lecę,
W ponadziemski kraj;
Gorę, płonę, błyszczę, świecę,
Swiecie, cześć mi daj!

ŚWIAT.

Mam ja orły i puszczyki,
Znam ich różny lot;
Szpaki moje i słowiki
Z różnych pieją nót.

Dyamenty we mnie płoną,
Lecz i próchno lsni:
Z mych wulkanów ognie zioną,
Słońce świeci mi. --

Wskaż mi piérwój dokąd lecisz,
I chcesz drugich wieść;
Wskaż czém płoniesz, i jak świecisz —
Potém dam ci cześć.

P O E T A.

Zlepku gliny! o! nie tobie
Sąd nademną dan.
Nie z ciebiem wziął, co mam w sobie.
Jam jest duch — twój pan.

Ś W I A T.

Od kolebki méj wieczysty
Toczą o mnie spór,
Czarnych piekieł tłum ognisty,
I Niebieski chór.

Okaż naprzód, z czyjój strony
Chcesz i możesz być:
A obaczę, przeświadczony,
Czy cię kłąć, czy cześć?

P O E T A.

Prochu marny! gardzę tobą,
Depcę prawa twe.
Wolny duchem, i sam sobą
Wolno rządzić chcę.

Co mi groźba, zgroza twoja?
Co mi klątwa twa?
One przebrzmia — mnie pieśń moja
Nieśmiertelność da.

Ś W I A T.

Biada tobie! jeśli czujesz
Wieczność pieśni twój,
A szalony nie pojmujesz
Wiecznych skutków złój!

Lecz ja pomnę miliony
Owych komet-słońc,
Co swój chwale nieskończonój
Zawierzyli śniąc.

Jakie było przebudzenie,
Spytaj u ich dusz!
A sam płoche rozumienie
Z hardój myśli złój!

Gdy zaś moje sąd i zdanie
Tak są niczém ci,
Zkąd to dzikie wymaganie
Hołdu mojej czei?

Tyś nie pan, jam nie twój sługa.
Próżnych słów nie trwoń!
Nie przechwałka, lecz zasługa
Piérwszym szczeblem doń.

Sąd mój temu tylko przyzna,
Temu złoży cześć,
Za kim Ludzkość i Ojczyzna
Przyjdą głos swój wznieść.

Kto wziął ich błogosławieństwo,
Temu pokłon dam.

Zaś na pychę a szaleństwo,
Bonifratrów mam.

1857.

DO EUSTACHEGO HR. TYSZKIEWICZA.

Pracowniku przeszłości! ty, co z grobów nocny,
Z pod kurhanów Litewskich, z pod lodów Północy,
Odgrzebujesz promienie chwały twojej ziemi,
I sam, w oczach twych ziomków, oświecony niemi,
Zdasz się być jak Czarodziej, co z ziemnych roz-
łomów

Wydziera skarb zaklęty z mocy ciemnych Gnomów!

Hrabio z rodu, lecz z serca nasz szlachcicu-bracie!
Nie ja, lecz kraj nasz cały przez mię woła na cię,
Zmiłuj się, jeśli możesz, wśród dawnych pamiątek
Znajdź gdzie dla naszych panów, panków, i paniątek,
Jaki z dawnych sekretów, czy snąc talizmanów,
Przez które Senatorów syny i Hetmanów,
Gdy ojcowie ich, w pełni potęgi i sławy,
Dzierżyli rzeczywiście laski i buławy:
Zamiast gnuśnieć w próżniactwie, a hardą postacią

Chcieć brać, z zasługi ojców, prynu przed szlachtą-
bracją,

Sami owszem do pracy kształć się od młodu,
Dla pożytku ojezyzny, dla czei swego rodu,
Ci w obradach ziemiańskich, ci w sztuce rycerskiej,
Dawali przykład mniejszym, w miłości braterskiej,
I stanąwszy w rząd z nimi, gonili do celów.
Po wieńce wojowników i obywatelów.

A jeśli z nich któremu Bóg mienia użyczył,
Miał je nie na to tylko, by swe skarby liczył,
By je trwonił dla pychy, albo jak Gnom ślepy
Bez użytku w podziemne zakopywał sklepy,
Na tę chyba z nich korzyść, by sam z podłgą trwogą
Drżał ciągle przed wszystkimi, co je wydrzeć mogą.

Że tak dawniej nie było, proste uczą dzieje.
Lecz ty, co owych dziejów tajnie i koleje
Badasz głębiój od innych, ty znać wiesz, dla czego
Było inaczej dawniej, niż dnia dzisiejszego.
A że dnia dzisiejszego inaczej, niestety!
Któż i w tém sądzić lepiój może, jeśli nie ty,
Jeżeli nie ów lekarz o Tureckiej dżumie,
Co sam śród niój żyć musi, a strzedz się jój umie.

Mów więc, w czém była wyższość paniąt staro-
świeckich:
Czy w kańczuku ojcowskim? czy w szablach szla-
checkich?

W tym, że doma do pracy napędzał młokosa;
W tych, że w świecie hardego przycinały nosa.
I co wnich zaszczepiło jad zgubnej trucizny:

Czy rozum Niemca-Lutra? czy szął Francuzczyzny?
Ten, że w miejsce pokory, wmówił wiarę w pychę;
Ta, że rozbiła serca na próżności liche.
A nadewszystko powiedz! są-li jeszcze środki,
By jakoś na wzór przodków odkształcić odrodki?
Boć to jest cel dziejowej, badaczój mądrości,
Z czasów przeszłych wyciągać naukę przyszłości.

Mów więc! a nie brak jeszcze takich, co ochoczo
Z ufnością i miłością na twój głos poskoczą.
A jeśli Bóg litośny, co szalonych strzeże,
Da wam naprawić ową Babilońską wieżę:
Z okrzesanych jój gruzów, pod same obłoki
Dźwigniem tobie, Eustachy, obelisk wysoki,
Co na wieki śród naszych tkwić będzie rozłogów,
Cel czei wdzięcznych współziomków, dziw Archeo-
logów.

1844.

DO MARCINKA WIEDZKIEGO.

(Po przeczytaniu powieści J. Korzeniowskiego „Emeryt”).

Biędny Marcinku! szlachetny Marcinie!
Toć że się w niskim urodziłeś gminie,
Żeś rósł sierota w nędzy i niedoli:
To choć potęgą twój myśli i woli
Wzrosłeś do uczuć najwyższych w ludzkości:
Do światła w Prawdzie, do prawdy w Miłości,
Do poświęcenia bez miary i granic.—
Wszystko to tobie nie przyda się na nic.
Jesteś syn gminu—musisz ugrażać w błocie.

Ale kto z młodu przewala się w złocie,
Kto w marmurowych pałacach się gnieździ,
Kto w pięknym koczku tęgą czwórką jeździ:
Ten—choć depeąc świętość czei i czucia,
Tonie aż na dno ziemskiego zepsucia,
Pije aż do dna z kielicha rozpusty,
I z koterskiemi para się oszusty:
To nie! nie trzeba rozpaczać o panu.
Przez samą ciężkość gatunkową stanu
Wyjdzie on na wierzch -jak pączek z tłustości.

Choć krwawiąc serce niewinnój miłości,
Igra w zaloty dla płochój igraszki,
I łamie świętość swych przysięg:—to fraszki!
Byle był pałac, wioska, i karéta,
Krzywdę kochanki przebaczy kobiéta;
Polor zagładzi szkaradę uczynku.

Lecz ty, syn gminu!—ty biédny Marcinku!
Ty!—choć twa miłość, nie z błysnienia oczek,
Nie z form wydatnych przez lekki szlafroczek,
Nie z brzmienia głosu wdzięcznego dla ucha,
Lecz wzrosła w tobie z czei wyższego ducha,
I choć ją w każdój stwierdziłeś potrzebie
Najcieńszą z ofiar—zapomnieniem siebie:
Tyś jest syn gminu—wszystko to czeza mara!
Ni taka miłość, ni taka ofiara,
Wzniesić i uznać nie mogą cię przecię:
Boś ty syn wioski—boś ty gminu dziecię!

O! jeśli prawda, że tak jest na świecie,
Toć—mówiąc twoim „*Ściechurskim*“ wyrazem—
„Niechże go wszyscy djabli porwą razem!”—
Lecz że i wieszcz to za prawdę obwieszczą,
Kraj i potomność zapytają wieszczą.

Bo on, mistrz słowa, wysoki, promienny,
On, kapłan myśli i prawdy plemiennój,
I co go naród jak kapłana słucha:
On, w obec Prawdy, Sumienia i Ducha,
Winien próbować myśli swoich stróny,
By na ich nótę chór sere nastrojony
Nie zmącił hymnu Nadziei i Wiary:
W Boga, i w ludzkość i w świętość ofiary.

DO TEODORA TRIPLINA.

*(Autora wielu Podróży za granicą, jadącego przez Wilno na
zwiedzenie Litwy).*

Witaj gościu naszej ziemi,
Witaj między braćmi twemi.
Witaj wśród Jagiełłów grodu!

Ty, któremu Bóg przeznaczył,
Być snąc jak okiem narodu,
By niem przejrzał i obaczył
W sercu obcych ziem i ludów,
Śród natury, sztuki cudów,
Źródła ich cnót i zepsucia:
I sam w sobie, obok innych,
Poznał własny skarb uczucia,
Świętość własnych cnót rodzinnych,
Co nie znając, nieobacznie
Poniewierał; lecz gdy zacznie
Znać i cenić: w nich odkryje
To, czém żył—i czém ożyje.

A więc, mistrzu, kończ twe dzieło!
I co serce twe pojęło

Przez tęsknotę—idź z pociechą
Pod Litewską ujrzeć strzechą,
Coś snać widział w Nad-Wiślańskich,
W Nad-Gopłowych, w Pod-Karpatnich:
Na osnowie Chrześcijańskich,
Wspólne wzory uczuć bratnich.

Tam cię spotka w każdym progu
Dawna szczerłość i gościnność;
Tam obaczysz ufność w Bogu,
Hartującą serc powinność.
W słowach prostych, jak w strumieniu,
Prawdę myśli dójrzysz na dnie.
A w milezeniu, w uściśnieniu,
Hołd dla ciebie serce zgadnie.

Idź więc, obacz!—i nawzajem,
Dawnych pątników zwyczajem,
Gdy z dalekich miejsc cudownych
Przyszli między spółziemiany,
Rozdaj w słowach im wymownych
Serc i myśli talizmany,
Coby strzegły naszych progów
Od zgubnej czi cudzych Bogów,
A uczyły znać, co cenne,
Co jest święte—choć codzienne.

Gdy zaś kiedyś, jak uroczy
Obraz ziomkom dasz przed oczy.
Coś gdzie widział w ziemi swojej:
Niech w nim widok wspólnej cnoty

Tak ich serca wspólniej spoi:
Jak rozproszone sieroty,
Patrząc na obraz postaci
Dalekich siostr swych i braci,
Z wspólnego ich podobieństwa
Żywić już muszą czuć w sobie,
I pamięć matki, co w grobie,
I bratnie węzły rodzeństwa.

1856.

DO JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

(Z okoliczności wyzdrowienia z choroby).

Jeśli nie zła jest niemoc, gdy u jój węzłowia
Uczym się cenić sami wartość swego zdrowia;
Toć warto postać nawet nad brzegiem mogiły,
By poznać, jak nasz żywot jest współziomkom miły,
I jak się nasza dla nich miłość albo praca
Wzajemną ich miłością albo czeią odpłaca.

Przykład miałem na tobie.— Gdy o twój boleści
Trwożące po Warszawie rozniosły się wieści,
A jako cień nad miastem rozpostartęj chmury,
Na każdą skroń myślącą padł smutek ponury:
Widziałem, jak się w twojój spotykając bramie,
W milezeniu jedni drugim podawali ramię,
I patrzali nawzajem, jakby chcąc wyczytać
Z oczu i z twarzy, o czém nie śmieli zapytać.
I słyszałem pytania:— a sam dźwięk ich głosu
Dość mówił, kto być musi ten, czyjego losu
Szala, wążąc nad grobem dni jego żywota,
Tak razem serca ziomeków porywa i miota.

A więc wieszczu nasz drogi! gdy snąc wspólne mo-
dły
Braci twoich, rodaków, wezas cię nam odwiodły
Od bram, z kąd już nie wrócić: — czyż w obec do-
wodu
Szczerój czei i współczucia wdzięcznego narodu,
Masz pomnieć, czém cię zawiść albo złość potwareza,
Jak każdą ziemską wyższość, chce émić i obarcza,
Snać tusząc, że z jój wyżyn, skoro ją zamroczy.
Sama, zamiast jój, światu wystanie na oczy?

Tak mgła z bagnisk poziomych czepia się gór
szczytu.—
Lecz zasługę prawdziwą, jak skałę z granitu,
Lada wiatr, lada promień, oczyszcza z zaémienia,
I samą mgłę koło niej—w łuk tęczy zamienia.

1857 w Warszawie.

DO IGNACEGO CHODŹKI*).

Piętnasty już to Dziennik, na pociechę Litwy,
Błękitny lot rozwinął, jak w nim do gonitwy
Wyzwałeś mię na rymy; a jeśli nie skoro
Stawiłem się u szranek: wyznaję z pokorą,
Żem czując ostrz dowcipu, co na mnie uderza,
Krzepił wprzód w ogniu Prawdy hart mego puklerza.

I oto, jużem gotów!—Lecz cóż? nadaremnie!
Czas już ciebie i Prawda zwalczyły bezemnie.
Ciebie, mistrza sofistów! coś wróg i bluźnierca
Romantycznych i pieśni i uniesień serca,
Dziś—jeśli nie zwodnicza pociesza mię *fama*,
Sam, poczuwszy nakoniec, uczcił pieśń Adama,
A prawdziwój miłości ogniem oświecony,
Odprzysiągł zgubnych maxym u stóp—Narzeczonój.

Zważ więc teraz, gdyś rzeczy obaczył istotę,
Zaliś nie dobrowolną miłował ślepotę,
I czyś słusznie zwał marą, duch, którego władza,
Tak nawet, jak ty, twardych, kruszy i odradza?—

2) Wiersz ten jest odpowiedzią na list poetycki I. Chodźki, umieszczony w Dzienniku Wileńskim z r. 1824.

Lecz wiem ja, coé tak długo utrzymując w błędzie,
Raz piérwszy na krzywego wystrychnęło sędzię.
Pojętny uczeń wieku, a wczesnie zaznany
Ze słodkością poetów Tybru i Sekwany,
Gdzie Pegaz na munsztuku ryglowych wędzideł,
Jak struś, do biegu tylko umie użyć skrzydeł;
Gdzie Geniusz, jak dworak, w strzyżonych szpa-
lerach

Spacerujący zwolna w tłumnych Tuillerach,
Z obawy przenikliwój a szyderezój zgrai,
Każdą żywszą myśl tłumi, a uczucie tai;
Nie dziw, żeś wnet podobać nie mógł Muzy, która,
Wróżka-dziwotwórczyni, wolnych ludów córa,
To z wiatry na skrzydlatych hippogryfach lata,
To współczuje z ziemiany, to się z duchy brata,
Aż do wyższych ich celów zatęskniwszy z niemi,
Jak kapłanka na grobie, modli się na ziemi.

Ale czemu się dziwię, to, wyznaję szczerze,
Tój dwoistój a sprzecznój sądów twoich mierze,
Żeś na pieśń i natechnienie chcąc włączać okucie,
Z najświętszych nawet karbów wyzwalał uczucie,
I ziemskiemu bożyszczu czeze niosąc ofiary,
Bóztwu prawój Miłości odmawiałeś wiary.

Lecz błąd, co tve jedynie dotąd serce kulił,
Gdy niebieski jój ogień do rdzeni wypalił,
Patrz! jak pokutującej skroni renegata
Drogi wieniec nagrody własna dłoń jój splata!

Młodą krasą królowój kwiatów rowiennica,
A sercem tylko własném piękniejsza od lica,

Co cię przedtém, jak niegdys Minosowa córa,
Wywiodła z labiryntu błędów Epikura,
Ceniąc szczerosć twych ogniów, gorąc niemi zgodnie,
Niegasłą w nich Hymenu zapala pochodnię.

Oby jój blask niećmiony, jak smug światła z góry,
Świecił wam w drodze życia przeze mgły i chmury,
Jak dziś serca mojego pomrok rozwesela,
Zwiastując choć jednego szczęście przyjaciela!

Pozwól więc, że tём słodkiém uczuciem przejęty,
Życzeniami zakończę rym sporem zaczęty.
Ale nie! nie chcę tego niemój zwierzać mowie,
Co chyba serce pojmie, a oko wypowie.
Sam pośpieszę, jak skoro będę mógł pośpieszyć,
I tobie powinszować, i siebie pocieszyć,
A czerpiąc dobrą wróżbę w przyjaciela losie,
„Piękniejszą od Tulczyńskiej światu śpiewać Zosię.“

DÓ JÓZEFA RAHOZY.

Błogo, na łonie wieśniaczej swobody,
Komu, jak tobie, słodki wiek upływa!
Ani cię krwawe mocarzów niezgody,
Ni dźwięk wojennej trąby ze snu zrywa.
Na kruchój łodzi, za nieznane wody,
Płynąc nadzieja nie waży się cheiwa.
A ten szczęśliwy, kto rad z doli swojej,
Nic więcj nie chce, i nie się nie boi.

Każdy dzień nowy, jako kropla miodu,
Płynąc z kielichów zawsze pełnych Czasu,
Dopełnia miary dni twych; a od młodu
Z namiętnościami zwykły do zapasu,
Przebieżonego pamiątka zawodu
Chwili lubego nie truje ci wezasu;
Lecz jak cień przez cię sadzonego drzewa,
Kwitnąc nad skronią, wonny chłód rozlewa.

Tu ci się zdaje Niebo dobroczynne
Swój nad naturą władzy ustąpiło.
Wszystko ci piękność, wszystko byt swój winne,
Co nadto znikło, co trzeba ożyło.

Na twe skinienie biorąc kształty inne,
Jakby dotknięte czarodziejską siłą,
Zakwitły sady, a nieżyźna niwa
Falami złotój obfitości pływa.

Oby mi kiedy w pomroce przyszłości
Łaskawszém okiem Fortuna błysnęła!
Dumnych nadziei skromna myśl nie rości,
Chciwość śpiewaczój duszy nie ujęła.
Ale w objęciach przyjaźni, miłości,
Z tą, co dla ciebie ten mi rym natchnęła,
Twoim podobne wieść bez przerwy chwile:
Józefie! któżby nie zażądał tyle?—

Tak niegdyś w raju nieśmiertelne lata
Płynąć musiały kochankowi Ewy,
Niżli miecz mściwy zawistnego brata
Krwi się niewinnój sposoczył rozlewy.
Lecz gdy na postrach następnego świata,
Karzące z Niebios wylały się gniewy:
Inny już odtąd wyrok naszój nędzy
Wyryto w twardój przeznaczenia księdze.

Patrz! oto morze groźną falą bucha,
Szaleją wichry, wrą zdradzieckie wiry;
W porcie przejezdnych czeka łódka krucha.
Jak wąż żagle! jak niepewne stéry!
Przebyć w niej morze, jak słaba otucha!—
Życia to wszakże wizerunek szczéry.
U kresu tylu niebezpieczeństw czeka
Spokojność, niegdyś towarzyszka człeka.

Kto skromny w blasku, mężny w niepogody,
Niezlomny w trwodze, wytrwały w cierpieniu:
Ten słodkiej trudów dopłynie nagrody,
Ten tylko stanie w tém Niebios przedsieniu.
Szczęsny, kto stanął!—Jam w żegludze młody,
Ani o dalszém świadom przeznaczeniu,
Płynę, ku jakiej wiatr mię pędzi strefie.
Może ua zawsze, bywaj zdrów Józefie!

1825.

DO WINCENTEGO J....

Takżeś się to w ochocie pracowania zaciął,
Że niepomny obietnic, ni szezerych przyjaciół,
W chmurach pyłu nad stosem fascykułów zgięty,
Na chwilkę wybiedz z miasta nie raczysz, Wincenty?
Czyż prawo kłamać uczy? — Rokiem może wprzódy
Zdolne zmniejszyć twą winę znalazłbym powody,
Kiedy jeszcze w motyliach smakując niestatkach,
Ciągła nowość przy nowych więziła cię kwiatkach.
Dziś trudno wierzyć wieści, co mi o tém głosi.
Gdzież kwiat milszy od róży, dziewica od Zosi?
W blasku jój spójrzeń skrzydło spłonęło motylka.
Nosił, bracie, wilk owce, ponieśli i wilka.

Lecz przebacz, żem zbyt w sobie zaufany wielce
Zapomniał, że grot czasem zwraca się na strzelce.
Zgoda raczej, Wincenty! dajmy wzór dla świata,
Jak i w spółzawodniku można kochać brata.

Tak niegdyś przed wiekami, gdy do chlubnej mety
Rycerze się dziarskimi gonili dzianety,
Choć każdy cheiwy sławy, skromnej pełen trwogi,
Zdradą obok bieżącym nie krzyżował drogi,

I nieraz prześcigniony, godzien chwały w klęsce,
Z uśmiechem szczęśliwszego wieszował zwyciężcę.
Im równie, bądźmy w walce i przyjaźni stali.
Ogień czyści nie złotą, lecz jej nie przepali.

Gdy téj słodkiej nadziei nie chcesz kłaść zaprze-
czeń-

Ziść skutek szczerój prośby i danych przyrzeczeń,
A na chwilę prawniczój zabywszy mozoły,
Przyjdź na wsi z przyjacielem spędzić dzień wesoly.

Nie łudź się jednak szumnój nadzieją biesiady.
W co mój domek bogaty, tém ci będzie rady.
A choć pod wagą srebro stół się w nim nie zgina,
Choć w sklepach od Augustów nie starzeją wina:
Nie trwóż się, godny uczniu Epikura szkoły!
Znajdziesz nie twarde łoże, i nie nagie stoły.
I poeci nie samym wieszczym duchem żyją,
I nie zawsze kastalską tylko wodę piją...

Ale cyt! oto właśnie kiedy ten list piszę,
Śpiew północny koguta głuchą przerwał ciszę.
Przyjedź tylko, Wincenty! a zwinna i szparka
Źródło pieśni nadworna wnet mu przetnie Parka.
I w sadach już nieskapém bogactwem jesieni,
Na wpół zgięta ku ziemi, jabłoń się czerwieni;
I na wysmukłój gruszy, z pod zieleni wianka,
Hesperyjskim migoce blaskiem sapieżanka.
A jeśli ci i wodni smakują mieszkańce,
Są tu już zdawna w więzach wytuczony brańce,
I szczupak, moczarski stawu, co się braćmi pasie,

I złotouste karpie, i słodkie karasie.

Post pisces, vinum misces, jest starych przysłowie.

Przyjedź tylko, Wincenty! nie ręczę, lecz kto wie,

Gdy sobie nadpotrzebnych wydatków pozwolę,

Czy i szampan na wiwat nie strzeli na stole.

Lecz wiem, że mniej dla ciała, więcej cńcesz dla
duszy.

Mam dla niój desser, który, jak me serce tuszy,

Najrychlej cię do skutku obietnic zaprosi.

Ten desser składać będą — nowiny o Zosi.

O wszystkich się z ust moich dowiesz najdowodniej,

Trzecie słońce nie zgaśło, jakem wrócił od niój.

Śpiesz więc, nim jeszcze żywo w myślach mych przy-
tomne.

Jeśli nie — to o wszystkich dla ciebie zapomnę.

A nawet przed nią samą w końcu wyjdzie na to,

Żeś z wiernego czciela, stał się apostatą.

1825.

INWITACYA

DO PRZYJACIÓŁ.

Febus utonął w słońcu; dzień mgłami nawisły
Żądne blasku sennością poobeiżał zmysły.
Nie czas dziś, ni ochota, krokiem uciekanym
Biedz, a troski oddawać wiatrom napotkanym;
Ani rzecz z próżném sercem narzucać się komu,
Jak z worem na pociechę, co dla się ma w domu.

Więc jak ptak, nim z piór jego deszcze się olały,
Tuląc się w ciemnym kątku, siedzę przez dzień cały,
Czekając, aż Hesper nawlokłszy ciemnice,
Weźmie oczom niemiłą pogody różnicę,
A wy, jasne naszego Parnasu Tryony,
Z Astronomem wzejdziecie na mój próg uczeczony,
Aby jako gwiazd owych nieśmiertelném graniem,
Duch się mój rozradował waszém rozmawianiem.

Izbo moja! o! gdyby mógł twój mur niemiecki
Wyrozumieć, co powie Mickiewicz, Gorecki,
Co Garczyński, Domejko! a słów tych wspomnienie
Osadził, jako perły, między swe kamienie:

Nierazby tu potomne polskie pisorymy
Przychodziły, jak owe pobożne pielgrzyny
Do pieczar, gdzie przed wieki mieszkali prorocy,
Natchnień ich tajemniczej zasięgać pomocy,
I rzekliby: „Szczęśliwy był gospodarz, komu
Tacy gośćmi, i tacy przyjaciółmi w domu!“ —

Gospodarz sam to czuje, i gdy łąska wasza,
Na war z chińskiego liścia uprzejmie zaprasza.

1832 w Dreźnie.

OKOLNIK DO SĄSIADÓW.

Któż z nas nie kocha Pana Mateusza?
W kim się weselój nie uśmiechnie dusza,
Kto, zapomniawszy o dziennych kłopotach,
Gdy go przez okno obaczy we wrotach,
Nie krzyknie wesół: „Pan Mateusz jedzie!
„Proś duszko, żeby został na obiedzie!?”
Któraż z żon, słysząc ten głos gospodarza,
Nie skoczy sama zawołać kucharza,
Jeśli ją z krzykiem nie uprzedzą dzieci,
I coś smacznego dodać nie zaleci?
I któryż nawet kucharz nie jest gotów
Robić, nie mruczac na wielość kłopotów?

Bo Pan Mateusz jest wszystkich kochanek.
Ledwie zajechał i wysiadł na ganek,
Już śmiechy, żarty, i wesołe fraszki,
Lecą w ślad za nim z jego karafaszki:
Dom się ich gwarem napelnia wesoły,
Jak ul, gdy po nim rozleczą się pszczoły.

Cóż gdy, jak w naszej nie nowość parafji,
Jaka sąsiedzka biesiadka się trafi,

A młodszy nawet, nad wistem jak kruki,
Siedzą dzień cały, i mileżą jak mruki:
Któż, jeśli nie ma Pana Mateusza,
Biedne panienki do tańca rozrusza,
I nawet w braku muzykantów z Krewa,
Uda basetkę, i altem zaśpiewa,
Lub w Wielkim Poście, gdy taniec przeciwny,
Zaintonuje; „Ogrodzie oliwny!?”
Kto poncez tak wszystkim do gustu przyprawi?
Kto gospodarzy tak wdzięcznie wysławi,
Gdy przy wieczerzy, w patetycznej mowie,
Zachęci gości wychylić ich zdrowie?
Kto wszystkim zgoła przypomni, że przecie
Dawna wesołość jest jeszcze na świecie,
I gdy już damy kładą szuby lisie,
W sieniach im jeszcze huknie: „kochajmy się.?”
Kto, prócz naszego Pana Mateusza? —

Lecz Pan Mateusz z domu się nie rusza.
Próżno go czekać będziecie, sąsiedzi!
Ja wam opowiem, dla czego tak siedzi.
Lecz wy nie ścierpiecie, by się długo smucił,
Kto wam tylekroć smutne chwile skrócił.

Pomnicie pewno ekwipaż ów znany,
W którym przyjeżdżał gość wasz pożądany:
Tę karafaszkę z rznietemi ozdoby,
Jak raz dla jego jednego osoby,
(Choć w niej trzem drugim dość miejsca byłoby),
I w której przeto, od Trab po Zabrzezie,
Sam się, gdzie może, *incognito* wiezie?

Pomnicie tego dziarskiego kasztana,
Co ztąd, że swego przywoził wam pana,
Tak był wam wszystkim znajomy i miły,
Że dzieci wasze chlebem go karmiły,
A pan, z radością widząc te pieśczoty,
Liczył wam jego zalety i cnoty,
Z których najpiérwsza, jakeście słyszeli,
Że go darował przyjaciel Marceli?

Owoż słuchajcie, sąsiedzi szanowni!
Ta karafaszka jest dotąd w wozowni.
Ale kasztanek — pozał się go Boże!
Cygan gdzieś na nim wywija dziś może! —

Bo dnia jednego, gdy jako zwyczajnie
Pan jego z rana odwiedzić szedł stajnię,
Ujrzał — wystawcie, co uczuł w tój dobie! —
Uzdeczkę tylko wiszącą przy żłobie,
I choć ślad świeży znać było po błoni,
Nié miał już na czém przedsiębrać pogoni,

Odtąd się jego zasmuciła dusza,
Odtąd nie widzimy Pana Mateusza,
I nie zobaczymy, aż w dawnym zaprzęgu
Nie stanie nowy rumak do pociągu,
Siłą przynajmniej podobny z kasztanem,
Aby mógł ruszyć karafaszkę z panem.

Lecz dajmy nawet, kochani sąsiedzi!
Że i piechotą was czasem odwiedzi,
Zważcie, jak smutny sprawi na was skutek,

Patrzeć na Pana Mateusza smutek,
I z tych ust, z których, jak z żywej krynicy,
Płynął źródło pociech całej okolicy,
Słyszeć dziś tylko skargi i westchnienia? —

Lecz słyszę, zda się, wasze zagadnienia:
„Jakiż jest środek jego pocieszenia?“

Otoż pozwólcie, sąsiedzi szanowni!
Bym rzekł, co mi się zdaje najstosowniej.

Znane wam serce Pana Mateusza,
Jak łatwo każde uczucie je wzrusza,
Jak dla przyjaciół rad do poświęcenia,
Wzajem dowody przyjaźni ocenia.
I ów kasztanek — czém był mu tak miły?
Czy że tak kształtny? czy że pełen siły?
Nie! — lecz, jakeście to wyżej widzieli,
Że go darował przyjaciel Marceli.
I ztąd ta strata tak żal jego drażni,
Że stracił w koniu pamiątkę przyjaźni.
Koń za pieniądze łatwo się nagodzi,
Ale pamiątkę kto sercu nagrodzi?

Kto? My, sąsiedzi! — Koń ten był dla niego
Darem przyjaźni — lecz tylko jednego;
My wszyscy razem kupmy dlań nowego.
Uczyńmy składkę — a ta mu dowiedzie,
Że przyjaciela ma w każdym sąsiedzie. —
Dowód przyjaźni dumy nie obrusza,
Lecz nim szlachetna pociesza się dusza. —
Daj więc, kto kochasz Pana Mateusza!

DO A. F. ADAMOWICZA.

DOKTORA MEDYCYNY, b. PROFESSORA UNIW. WILEŃ.

(Przy posłaniu fotelu).

Większą część życia, o! mój przyjacielu!
Jużeśmy przeszli; i czas niedaleki,
Że już nam tylko, siadłszy na fotelu,
Gwarzyć i marzyć — nim zaśniem na wieki.

O! i szczęśliwy! komu Niebo zdarzy,
Że wiek swój prostą przebiegłszy koleją,
Z pociechą w sercu o przeszłości marzy,
I w przyszłość patrzy z spokojną nadzieją!

I któż nad ciebie, do jednéj i drugiejj
Lepszemi może pochlubić się prawy?
Ty, co przez pracę tylko do zasługi,
A przez zasługę doszedłeś do sławy!

Bo prac twych wszystkich, w nauce i w czynie,
Pożytek kraju był bodźcem i celem:
Boś ich nagrody w tém szukał jedynie,
Żeś przez nie bliźnich był pocieszycielem.

To téż posłuchaj, jak szerokie echo
Serc pocieszonych, hołd dzięków ci płaci!
A cóż jest życia najdroższą pociechą,
Jeśli nie miłość i szacunek braci?

A cóż pewniejszą rękojmią przyszłości,
Jeśli nie przeszłość — kto jój dobrze użył;
Kto dar od Boga wzięty, dla ludzkości
Niósł na ofiarę, i w niej Bogu służył? —

Marz więc i patrzaj, spocząwszy u celu,
W przeszłość z pociechą, w przyszłość bez bojaźni!
A wspominając twych przyjaciół wielu,
Byś téż i o mnie wspomniał, przyjacielu!
Przyjm ten tron marzeń — pamiętkę przyjaźni.

1850.

DO MICHAŁA KĄTKOWSKIEGO.

Nie wszystko wszystkim, Panie Michale!
Nie do wszystkiego wszysej, jako ty,
Co jak stos Wolty wszelkie metale,
Amalgamujesz różne przymioty.

Znać, że cię darząc hojna natura
Wszystkoć *Rachunkiem* dała *Podwójnym*.*)
W myśli i we krwi żywość Mazura,
Obok z Litwina sercem spokojném.

Wzór kassyerow, mistrz kontrolerów,
Maxym mądrości zbieracz poważny;
Galant z damami, *bon vivant* z nami,
Pod ogniem armat żołnierz odważny,

I oto nagle sławny gospodarz! —
W domu, w apteczce, sam jak kobieta;

*) Pan Kątkowski jest autorem dzieła p. t. „Rachunek Podwójny dla Gospodarzy, czyli, Zasady Rachunkowości Handlowej, zastosowane do Rolnictwa”; tudzież humorystycznego poematu, w kształcie gawęd, p. t. „Dyrektor Ambrożewicz.”

W gorzelni chemik, na polu włodarz,
A przy tém wszystkiém autor, poeta!

I dziwy dziwów! w tece, w szkatule,
Plon w równój mierze rośnie ci razem;
I gdy Fortunę gonisz na *Mule*, *)
Po laur Parnasu śmigasz Pegazem.

Jak ci nie zajrzeć? mnie zwłaszcza, który,
Pokusą twoją zwabion na wędę,
Cheąc jak ty wstąpić w podwójne tory,
Fermę skarbową wziąłem w arendę.

Nadzieja wprawdzie była dwojaka,
I cel dwoisty nęcił mię razem;
Własnym swém sianem karmić stępaka,
I mieć gdzie na wsi bujać Pegazem.

Lecz ach! niestety! zdrajca ekonom,
Tak mię kłopotał, tak znudził wreście,
Iż by ujść tylko jego andronom,
W kanikuł nawet siedziałem w mieście.

A on tam wszystko mierzył w pół miary,
Faktor ostatki sprzedał w pół ceny,
Sianożęć całkiem spaśli huzary,
A troski całkiem zbiły mię z weny.

Tak, że nie tylko Pegaz mój w sobie
Bez duchowego obroku sechnie,

*) Nazwisko majątku.

Lecz i mój rumak, przy pustym żłobie,
Najniezawodniej téj zimy zdechnie.

To jest—jeżeli i cnót podwójność
W sercu się twojem nie będzie gnieździć,
I Oszczędności nie każe Hojność
Wziąć go na przechów—ale nie jeździć!

Bo wiedz, że koń ten z moim Pegazem
Są jak Siamskie rodzeństwo bliźnie;
Jeśli ten zdechnie, to i ten razem
Pójdzie na Styxu paść się płaszczyźnie.

▲ jedź, pogadaj z Ambrożewiczem,
Boś sam na sobie nie doznał—co to
Jest, przed zoilów swoich obliczem,
W drodze do sławy zostać piechotą!—

1852.

DO MICHAŁA BALIŃSKIEGO.

MADRYGAŁ.

Héj! stary Pegazie! raz jeszcze, dopóki
Będiesz skrzydła i nogi podźwigał,
Daj susa z kopyta, a pokaż tve sztuki,
Z Parnasu uszczknijmy madrygał!

A w tym madrygale,
Cny Panie Michale!
Ku czci twój a chwale,
Chcę w ziomków chorale
I ja téż głos mój wznieść.
Boć to jest dział pieśni,
Z pomroku a cieśni
Wynosić naienne,
Na światło promienne,
Ludzi i zasług cześć.—

Lecz gdzieżby, synu Klii!
Był taki nieuk, w czyjój
Myśliby już nie brzmiała
Imienia twego chwała?

Kto nie wie twój zasługi,
Żeś, jak Twardowski drugi.
(Tylko że nie przez czary),
Wskrzesał nam duch Barbary?

Że jako wódz duchowy
Do świętej Częstochowy,
Przodkujesz każdej rzeszy
Pielgrzymów, co tam śpieszy?

I że od Macedona,
Aż do Napoleona,
Żaden z bożków zniszczenia
Tyle miast nie rozwalił,
Ileś ty ich ocalił
Z otchłani zapomnienia? ¹⁾

O tém wie Polska cała.—
Lecz wiesz, co mi się zdaje?
Że ci więcej ta chwała
Odejmuje, niż daje.—

Bo któż nie myśli, gdy ciebie czyta,
Że ten Pan Michał, taki uczony,
Taki Antykwarz i Erudyta,
Musi być mędrzec zatabaczony:
Co wciąż, jak w todze, stąpa z partesów,
Co marszcząc czoło, wznosząc powiekę,
Každy z swych mądrych, górnych frazesów,
Zaczyna pewnie od „*iż tak rzekę*“?...

¹⁾ „Pamiętniki o Królowej Barbarze;“ „Pielgrzymka do Częstochowy;“ „Starożytna Polska;“—dzieła M. Balińskiego.

Dzięki za łaskę! piękna mi sława!
Gwałtem ci biret sadzić na skronie,
Gdy całe Wilno, cała Warszawa,
Zna cię najmilszym gościem w salonie!
Gościem, któremu starzy i młodzi,
Mądrzy i prości, panny i panie,
Z krzykiem radości, gdzie tylko wchodzi,
Serca podają na powitanie.
A w nim, jak z śnieżnym włosem twarz młoda,
Tak z dojrzałością zapał młodzieńczy,
Tak z uczonością myśli pogoda,
Łączą się wzajem, jak barwy w tęczy.
A gdzie ta tęcza błysnie wśród gości,
Wszystkich rozjaśnia blask jój odbicia;
I jak twém piórem dzieje przeszłości,
Tak słowem żywych budzisz do życia! --

Lecz ktoby już myślał, eny Panie Michale!
 Że tu jest twych zalet limita;
To ja mu wręcz mówię, że myli się wcale—
 A w czém?—niechaj u mnie zapyta.
A ja mu odpowiem: że jeśli pisarza
 Równego mu łacniej znajdziecie;
Jeżeli gość taki choć czasem się zdarza;
Toć pewnie takiego, jak on, gospodarza
 Nie było, i nie ma na świecie!

Ale nie ten gospodarz,
Co jak ciwun lub włodarz,
Wciąż po błocie, po słocie,
Z kijem, w szarój kapocie,

Z pękiem kluczów za pasem,
Z ciągłym fukiem, hałasem,
Z kąta w kąt dybiąc gdera.

Nie ten gospodarz sknera,
Co przeto, że skarb zbiera,
I jak gryf na nim siedzi,
Sławią go wprzód sąsiedzi,
Myśląc, że coś w potrzebie
Wypochlebią dla siebie;
Aż w końcu, zawiedzeni
A affektach do kieszeni,
Zaczną, z kolei swojej,
Lżyć go, na czém świat stoi.

Nie ten gospodarz wreście,
Co i na wsi, jak w mieście,
Sadząc się na przepychy,
Sam istny bałwan pychy,
Chce i dom swój, przez zbytek,
Zmienić jak w jej przybytek,
By przyjmować—nie gości,
Lecz hołd dla swój wielkości;
Aż zostanie zczasem,
Istnym królem Midasem,
Między sprzęty złotemi,
Sam—z uszami nie swemi.

Lecz zkąd mi te myśli o szlachtach-ciwunach,
O sknerach, o panach-bałwanach?—
Nie taki Pan Michał gospodarz w Jaszunach!

Wart słynąć nie tylko na lutni méj strónach,
Lecz na całej Litwy organach!

Boć skarb to jest wspólny, skarb droższy od innych
Skarb ducha narodu i kraju:
Dom, arka, przybytek, enót starych, rodzinnych,
I uczuć braterskich, i podań gościnnych,
I nowego wzór obyczaju.

Zaprawdę, o ile ku temu niewieści
I rozum i wdzięk się przykłada:
Madrygał mój musi odstąpić od treści,
I u stóp téż Pani Jaszunskiej hołd cześci,
I córom jój równyż hołd składa.

Lecz Pana Michała wysławić zalety
Jest cel madrygału.—O! Febie!
Ty, co sam twym blaskiem malujesz portrety!
Cóż malarz lepszego ma być od poety?
Poetę téż wspomóż w potrzebie!

Dzień jeden daj tylko opisać najprościój,
Jak stokroć w Jaszunach się zdarza,
A wtedy—Cóż wtedy? Tém większy tłum gości
Najeżdżać je zacznie—aż z wielkiej miłości,
Jak to mówią, zjé gospodarza.

A nam co? —A! prawda! —A zatém, niech na tém
Madrygał mój koniec swój bierze;
A służy świadectwem przed tobą i światem,
Cny Panie Michale! że sługą i bratem
Twym jestem, serdecznie i szczerze.

DO KAZIMIERZA WŁ. WÓJCICKIEGO.

(Z OKOLICZNOŚCI).

Drogi panie Kazimierzu!
Na jakim to czasomierzu
Obliczyłeś, że już pora,
Nadać mi imię Nestora?

Czyż to cię wiek tak przygniata,
Że choć młodszy o dwa lata,
Tak się już staruszkciem czujesz,
Że i mnie nim tytułujesz?

Bóg ci zapłać! boć ja wierzę,
Że sam czując, myślisz szczerze,
Że siwizna, w oczach synów,
To rodzaj ojca wawrzynów.

Że młodzian dzielny, a warty
Być synem Romy czy Sparty,

Czcząc w starszych przeszłość, z kolei
Czei przyszłość własnych nadziei.

Lecz cyt! bo dziś ta myśl dzika,
Gorzéj niż wszelka metryka,
Zdradzi wnet w obec każdego,
Żeś stary — więc *do niczego*.

Bo gdy tak było, toć chyba
Za króla Ówieczka, czy Grzyba,
Nie dziś, gdy postęp wyraźny
Jeździ po drodze żelaznej.

Na co dziś komu wiek długi
Do nauki, czy zasługi,
Kiedy to wszystko dla młodzi
Samo z natchnienia przychodzi?

I kiedy z ust jój moc ducha,
Jak para, w słowach wybucha,
Stary pielgrzymie! co żywo
Zmykaj przed lokomotywą!—

A więc zmiłuj się, kolego!
Nim chyba sami dostrzegą,
Nie popisuj się przed nikiem
Z przybywającym krzyżykiem!

Boć to jest jednak okropnie,
Gdy się człek tego doczeka,
Że Piękność przed nim ucieka,
A lada Młodość go kopnie!

MÓJ KARDYNAŁ.

ŻARCIEK Z OKOLICZNOŚCI. W IMIENNIKU

MARCELINY ŁEMPICKIÉJ.

Każdy człowiek musi przecie
Mieć cel dumy na tym świecie.
Otoż moja дума cała,
Moje szczęście, moja chwała,
Mieć patronem Kardynała.

Więcież kto jest mój Kardynał?—
Ni Watykan, ni Kwirynał,
Nie ozdobił go sygnetem,
Nie przyodział fioletem,
Nie opasał paluszem,
Nie uwieńczył kapeluszem.

Lecz Ten, który róży wdzięki,
Lecz Ten, który twarz jutrzeński,
Lecz Ten, który w głębi fali
Umalował pierś koralu,
Tego dłoń w szkarłat odziała
Lice mego Kardynała.

Choć on dla ludu pocieszeń,
Błogosławieństw ni rozgrzeszeń
Nie rozdziela na wsze strony:
Kto go zna — błogosławiony!
Sam jego wzrok i uśmiechy
Wypędzają z myśli grzechy.
I choć na nóżce, święcony
Nie lśni trzewiczek czerwony,
W każdym wiernym żądza pała
Klęknąć u stóp Kardynała.

Mój Kardynał miejsce nie bierze
W Kapitułe, ni w Kameronie,
Ni śród Watykańskich chorów
Nie śpiewa mszy, ni niesporów.
Kapitułę jego składa
Jasných Serafów gromada.
W ich on chórze nieustanne
Nócił hymny i hozannę,
Nim go Święty Ojciec świata
Posłał do nas za Legata,
By na ziemi mój Kardynał
Ludziom Niebo przypominał.

O! gdybyż on chciał, jak może,
Umieścić mię na swym dworze,
W jakimkolwiek bądź honorze,
Byle nie daleko siebie:
Byłbym już jak gdyby w Niebie!

Bo choć on, jak życzę, będzie
Sto lat bawił na urzędzie;

Ja zaś wkrótce, jak snąć muszę,
Kuryerem w podróż ruszę;
Ale nim się przez komorę
Z pakiem grzechów mych przebiorę;
Nim odbędę przepisany
Czas czyscowej kwarantanny;
Może da Bóg, że u bramy
Rajskiej, w sam czas się spotkamy.

Wtenczas, choć tam tłok niezmierny,
Choćby surowy odźwierny,
Święty Piotr, czy Święty Michał,
Po sto razy mię odpychał:
Pójdę naprzód z sercem śmiałym,
Tuż za moim Kardynałem.
Raj mię pewno nie ominie!

O! widziałem ja w Syxtynie, ¹⁾
Nikt tym wejścia nie zagroził,
Kto za Kardynałem wchodził.

Ztąd więc moja duma cała,
Moje szczęście, moja chwała,
Mieć patronem Kardynała!—

1830, w Rzymie.

¹⁾ Tak się zowie kaplica Papieżka w Pałacu Watykańskim, założona przez Papieża Syxtusa IV, gdzie się większa część obrzędów wielkotygodniowych odbywa.

ODJAZD Z RZYMU.

WIERSZ POŚWIĘCONY

HENRYECIE-EWIE ANKWICZÓWNI

I

MARCELINIE ŁEMPICKIĘJ.

Jedźmy! cóż nada rozstanie przewłóczyć?
Jedźmy! pierś w Rzymską uzbroiwszy stałość.
Gdzież, gdy nie w Rzymie, potrzeba się uczyć
Jak rzec się szczęścia, i pokonać żalność?

Jedźmy! — lecz jeszcze zwróćmy raz oczyma! —
Widzę cię, Rzymie! i żegnam na wieki!
Żegnam ostatnią modlitwą pielgrzyma,
Gdy z twoich świątyń wraca w kraj daleki.

Żegnam ostatniem spójrzeniem malarza,
Gdy płonąc żądzą twoich mistrzów chwały,
Z głazów i płócien twych, w duszę swą wraza
Tętnące w nich ludzi i bóstw ideały.

Żegnam ostatniém wieszczą zadumaniem,
Kiedy ku przyszłej pieśni swych ozdobie,
Troskliwą myślą zbiera przed rozstaniem
Wszystko co widział, czuł, i myślał w tobie!

Miasto! dość wspomnieć twoje święte imie,
Czyjeż wnet serce żywić nie uderzy?—
Jako świat niegdyś do ciebie, o! Rzymie!
Chwała twych wspomnień do świata należy.

Z nią naprzód serce zaręcza młodzieniec.
Kraj i swobodę gdy kochać zaczyna;
Tu myśl poety ulata po wieniec,
Po palmę Niebios duch Chrześcijanina.

Któż nie zapragnął, dawnych świadom czynów,
Nad twoją o nich podumać ruiną?
Lub cię z nadludzkich enót i dzieł twych synów
Nadziemską jakąś nie mniemał krainą?—

Nie inny urok na współczesnych ludzi
Wieszcz lub zwycięzca zwykł rzucać zdaleka.
W kim-że szlachetnej zawiści nie wzbudzi,
Kto zblizka poznał wielkiego człowieka:

I o natrętnej zapomniawszy chwale
Przyjazne serce ku niemu ośmielił,
Na łonie jego myślał poufale,
Czuł jego czuciem, i swoje z nim dzielił? —

Szczęśny! kto błędząc po twych, Rzymie, szcząt-
kach,
Z grobu olbrzyma, dawn y wzrost ocenia:

I po twych polach, i po twych pamiątkach,
Jak bluszcz, swe skromne rozciągnął wspomnienia!

Ileż miejsc, których świat imiona święci
W poważnej chwale czynów uroczystych,
Na wieki w sercu mojem i pamięci
Podzielać będzie urok pól ojczystych?

Tu syn Północy, z dziecka zachwyceniem,
Nowej natury obaczyłem dzieła:
Tu, upojona innych niebios technieniem,
Nowy świat uczuć moja pierś objęła.

Śród nowych wspomnień, śród obrazów nowych,
Nowością wrażeń dusza odmłodziła,
Jak gdyby w wieniec kwiatów południowych,
W nowe się myśli z uśmiechem ubrała!... —

Wspomnienia! po cóż stawacie przedemną?
Wdzięk wasz smutkowi rozstania urąga.—
Żegnam cię, Rzymie!—Już zasłona ciemną
Mgła błękitnawa twój obraz zaciąga.

Nie już w niej oko rozeznąć nie zdoła.
Krzyż Watykański lśni tylko na niebie,
Jak przeżegnanie ostatnie Kościoła,
Dla tych, co z żalem patrzą po za siebie.

Znikłeś!—a przestrzeń co chwila rosnąca,
Że dzieli wiecznie, wiem ja to i czuję.
Lecz nieraz jeszcze, nieraz myśl tęskniąca
Ojczyste tobą pola zabuduje!...

Wy, co mię wiodąc po Rzymu ruinach,
Ziomki urocze, jak kraju wspomnienia!
O Rzymskiej chwale, i o Rzymskich czynach,
Jak z ksiąg Sybilli, uczyły z kamienia:

Znacie te róże rozwiśle wieńcami.
Po Cezarskiego niegdyś gmachu szczątkach?
Jako te róże, chwile, com żył z wami.
Kwitnąć mi będą na Rzymu pamiątkach.

1830, w Rzymie.

ŻNIWIARZE RZYMSCY.

(OBRAZ L. ROBERTA).

Minał czas, kiedy zwycięzki Rzymianin,
Legii swoich świat czyniąc obozem,
Plon krwawych bitew i hołdownych danin
Wiózł, tłumy jeńców prowadząc za wozem.

Rzymskiego ludu potęgą dziś—praca,
Plonem i jeńcem—snop zżęty na polu.
A jednak, patrzaj! gdy od żniwa wraca,
Rzekłbyś, zwycięzca w bramy Kapitolu.

Łachman, jak togę, zarzucił na ramię,
Skoń okrył wieńcem z latorośli winnej,
I w twarzy jeszcze starożytne znamię
Mocy, godności, i dumy rodzinnj.

Kształtem do bożka podobny posągu,
Otoczon gronem wesołych żniwiarzy,
Przy głośnym brzęku łańcuchów zaprzągu,
On nie o żniwie—o tryumfie marzy.

I tych to marzeń siła tajemnicza,
Że choć z dusz Rzymskie uczucia uleciały,
Lud Rzymski dotąd, z postawy, z oblicza,
Jest jak nagrobny posąg Rzymskiej chwały.

1830, w Rzymie.

M O R Z E.

Morze! zwierciadło czarodziejstw natury!
Ty niebo ziemskie! równych pełne cudów,
I niezbadane, jak te, co u góry!
Podziwie, grozo, dobrodziejstwo ludów!

Czy w walce z burzą, kiedy się rozdąsas,
Do gwiazd się wściekasz pianą twych bałwanów,
Bijąc o brzegi, łąd na osi wstrząsas,
I potop ognia wypychasz z wulkanów:

Czy gdy zwyciężkim zmordowane gniewem,
Zwierciadłem do dna staną twe głębiny,
Lub gną się w cienie, pod lekkim powiewem,
Jak miękki atlas na piersiach dziewczyny:

Wielki, potężny, uroczy żywiole!
Bóg snąc żywego natchnął w ciebie ducha,
Wszystkie twe ruchy zdał na twoją wolę,
A ta głębokiej myśli twojej słucha.

Dziwy twych skarbów i żyjących tworów
Ty samo stwarzasz w tajemnicy na dnie;

Wzrostu ich, życia, ich celów, ich torów,
Słońce nie widzi—czyż człowiek je zgadnie?—

O! jak mi lubo! gdy nad twoją wodą,
Czy nasrożona, wesola, czy cicha,
Swieżością głębi i fali swobodą
I pierś, i dusza z rozkoszą oddycha!

Myśl uskrzydłona wesołością ryby,
Szybuję w nurtach szmaragdowej fali,
I widzi wkoło, przez kropliste szyby:
Tu góry muszli, tam lasy koralu.

W cieniu skał stoją wielorybów trzody,
Cma ryb barwistych miga w błyskawice,
Po dnie olbrzymie chodzą dziworody,
Z grot srebrnym wirem buchają krynice.

A w głębi groty, pod konchy sklepieniem,
Do pasa w wodzie, kąpie się dziewica:
Woła mię ręką, ośmiela spójrzeniem,
Słodyczą nęci, pięknnością zachwyca;

Płoni się, wzdycha, uśmiecha się, śpiewa!—
Zadrzałem, słucham, wzrok ogniem się pali:
Mdłość się rozkoszna po sercu rozlewa...
To śpiew Syreny?... to szum morskiej fali!—

1830, w Neapolu.

NA OBRAZ MORSKI

„PRZEMYCACZE.“

Na okręt zyskowny, nad morzem, w ukyciu,
Mąż, starzec, i młodzian, czekają zarazem.
O! jak ich czekanie podobne jest życiu,
Jak każdy jest wieku swojego obrazem!

Wié starzec, że próżne rachuby człowieka,
Nauczył się żyjąc, jak znosić trosk brzemię;
Więc zdał się na losy:—nie patrzy, nie czeka,
Wytrwaniu, nie szczęściu, zaufał—i drzemie.

Lecz insza, gdy siłą wre pełna pierś męża,
A losem, jak morzem, zawładnąć nie może;
Patrz! wolą swą tylko gniew pychy zwycięża,
I jako na wroga, spogląda na morze.

Szczęśliwy młodzieniec! on jeden z ufaniem
Ugląda swój nawy w błękitach przestrzeni;
Nie trwoży się zwłoką, nie nudzi czekaniem:
Bo każdy huk fali, on dział jój strzelaniem,
Bo każdy wał biały, on żaglem jój mieni.

1830.

WALKA BYKÓW

W HISZPANII.

WYJĄTEK Z PIEŚNI PIÉRWSZEJ PIELGRZYMKI

CHILDE-HAROLDA.

Otwarto szranki, miejsce czynią woźni,
Tysiąc tysięcy tłoczy się dokoła;
Nim piérwsza trąba na hasło zawoła,
Nie znajdzie wejścia, kto się chwilą spoźni.
Na gankach błyszcza Grandowie i Damy,
Wprawne jak łowić serca, leez i skore
Słodkie zranionym wnet podać balsamy.
Rzadki tu ogniem niewzajemnym gore,
Ni zimną wzgardą na śmierć był skazany,
Jak śpiewa po miesiącu pasterz rozkocbany.

Uciehła wrzawa. Na dzielnych rumakach,
Czterój rycerze śmiało w szranki wnijdą,
Z lekkim ukłonem i zniżoną dzidą.
Białe się pióra chwieją na szyszakach,
Przez lewe ramie pas przewisa drogi,
A koń się wspina od złotój ostrogi.--

Gdy się im krwawe powiodą igrzyska,
Uśmiech piękności i oklaski gminu,
Najdroższą płacę największego czynu,
Cel trudów bohatera, każdy z nich pozyska.

W szkarłatnym płaszczu, świetny blaskiem stroi,
Lekki Matador w środku pieszo stoi.
Cheiwy się spotkać z dumnej królem trzody,
Lecz wprzód nim walka odbywać się zacznie,
Ostróżnym krokiem plac obchodzi bacznie,
By w czas ukryte przewidział przeszkody.
Broń jego pocisk, a walczy z daleka.
Ani co więcej zdoła moc człowieka,
Bez konia—który często w zły godzinie,
Niestety! broniąc pana, sam cierpi i ginie.

Trzykroć brzmi trąba, i znak już wydany.
Trwożna ciekawość osiadła oblicza.—
Trzaskiem gibkiego rozdrażniony bieza
Miota się w szranki buhaj rozhukany.
Wzrok jego dziki, ziemię bije nogą,
Ni ślepo wpada na wroga: lecz wkoło
Zwolna grożące obracając czoło,
Przeziera, jaką wprzód się rzucić drogą:
I szybko ciska okiem zapaloném,
I w oba biodra gniewnym uderza ogonem.

Wstrzymał się nagle, i nasrożył oczy—
Uchodź młodzieńcze! lub się imaj broni!
Męstwo cię chyba ze zły wyrwie toni! —
W czas szybki rumak na stronę uskoceży.

Minął go buhaj; wściekle piany toczy —
Ale wnet z trafnej wypuszczone dłoni,
Dzida za dzidą, grot za grotem goni,
Aż pierś szeroką strumień krwi zabroczy.
Pomknął się, stanął, a w szaleństwie dzikiem,
Szarpie ziemię, ból strasznym wyrażając rykiem.

Znowu się zwraca:—ni pocisk, ni dzida,
Ni szybkość koni już się tu nie przyda!
Choć się dłoń silna mieczem uzbroiła,
Słaby tu oręż, słabsza jeszcze siła!—
Już dzielny rumak w krwi potokach pływa;
Ów pchnięty rogiem—ohydny widoku!
W rozdartej piersi i otwartym boku
Drgające źródła żywota odkrywa.
Mdlejąc na sile, chwiejący się w kroku,
Wzmógł się jeszcze —i pana od zguby wrywa.

Bez tchu, krwią cały i potem ociekły,
Tkwiącemi groty najeżona skóra,
Zwierz stanął w miejscu; do ostatka wściekły,
Jeszcze zwycięstwo w niepewności trzyma.—
Tu się rozwija zręczność Matadora.
Szkarłatnym płaszczem wiejąc przed oczyma,
Miecz podniesiony w prawej dłoni żżyma.—
Z ostatniej siły zwierz jak piorun skoczy—
Daremna wściekłość! zapęd nic nie nada!
Zdradziecka płachta zakryła mu oczy —
Widać tylko błysk miecza — stało się! — upada.

Właśnie gdzie szyja dosięga pacierza,
Białe żelazo tkwi do rękojeści.

Okrzyk tryumfu o niebo uderza.—
Lecz jeszcze duma nie opuszcza zwierza.
Bez znaku trwogi, bez głosu boleści,
Porwał się—wstrząsnął—i runął o ziemię.—
Pysznie ozdobny wóz ku szrankom zmierza;
Na wierzchu jego chlubne kładą brzemię.
Widok powabny gminniejszemu oku!
Znoszą go cztery konie, ledwo widne w tłoku.

1825.

PODZIAŁ ŚWIATA.

Z SZYLLERA.

„Bierzcie świat sobie!“ rzekł Stwórca do ludzi,
„Zbyt mię już jego panowanie nudzi.
„Na was więc nad nim zlewam władzę całą.
„Lecz się podzielcie, jak braciom przystało!“ —

Zaledwie skończył — kto tylko ma ręce,
Śpieszy, by lepszą zachwycił dzielnicę.
Pole rolnicy, las wzięli młodzieńce,
Ocean kupcy, prałaci winnice.

A gdy już wszystko na ziemi ucichło,
Przyszedł zdaleka Poeta; lecz rychło
Obaczył z żalem, że już na tym świecie
Nic nie zostało biednemu poecie.

Więc na ołtarza upadłszy podnoże,
Zawołał smutnie: „Sprawiedliwy Boże!
„Ci toną w zbytkach, ja syn prawy Nieba,
„Miałebym jeden pozostać bez chleba?“ —

— „Los twój, Bóg rzecz, własnej przypisz winie:
„W sennych się marzeń błakając krainie,
„Czemuś nie umiał pożytkować z chwili?
„Gdzie byłeś wtenczas, gdy ci świat dzielili?“ —

— „Byłem u Ciebie — Twoim blaskiem oko,
„Ucho czarując pieniem Twych aniołów.
„Przebac, o! Boże! jeśli zbyt wysoko
„Duch mój śmiał sięgać z tych ziemskich padołów!“ —

— „Prawdziwie, nie wiem, co zrobić dla ciebie,
Rzekł Bóg z uśmiechem — „gdy już wszystko wzięte.
„Lecz skoro zechcesz odwiedzać mię w Niebie,
„To nigdy dla cię nie będzie zamknięte.“ —

1825.

NOC MIESIĘCZNA.

KRAJOBRAZ.

Noc spokojna, noc cicha; gdzie niegdzie się jeszcze
Słowik tylko odezwie, lub zdrój zaszeleszcze.
Prócz pełgania gwiazd jasnych na niebios lazurze,
Wszelki zda się ruch ustał w uśpionój naturze.
Uroczystą w powietrzu zatrzymane ciszą,
Z traw i liści przejrzystej krople rosy wiszą.
Roztoczonego w pełni bładny blask księżycy,
We wszystkich, w każdej inną barwą się prześwieca;
Łamie się w bystrym zdroju, tak, że patrząc zdala,
Falą płynnego złota każda zda się fala,
I jak blada twarz smutku z posępnym uśmiechem,
Przez mgłę lekką w jeziorze przegląda się cichém.

Powierzchnia wody gładka, jak zwierciadeł szyba.
Gdzie niegdzie czasem ze snu obudzona ryba
Pomknie nagle, lecz tylko tak lekko ją wzruszy,
Jak pierwsza myśl miłości pokój młodej duszy.

Jakiż to cień olbrzymi, ścieląc się od brzegu,
Jak ciężar nietonący na falach zalega?
Cień to nadbrzeżnej góry: z dwóch stron mi widoma
Od jeziora, piaszczysta, przepaścista, stroma;
Snać gdy się pod nią kiedyś blizka woda wkradła,
Podmyta w swych posadach, nagle się zapadła.
Dotąd znać ślad, któreży spadały z jej szczytów
Te bryły na wpół z wody sterczących granitów,
Gdzie pod białe swe skrzydła utuliwszy głowy,
Nieruchome, jak z gipsu, drzemią rybołowy.

Z drugiej strony, zieloną pokryta darnią,
Powoli się schylając, łączy z doliną.
W dolinie, na rzut bystry młodzieńczej źrenicy,
Zdała, jakby na niebie, błyszczy krzyż kaplicy.
Bliziej nieco, nad źródłem, co dolinę dzieli,
Z pomiędzy drzew zielonych pyszny dwór się bieli,
A odbity jeziora zwierciadły blizkiemi,
Tak w nich lśni nieruchomy, jak sam jest na ziemi.
Dalej—próżno źrenica najbystrzejsza sięga.
Zatrzyma ją las ciemny, w kształcie pół-okręga.

Lecz cóż to u stóp góry, w brzóz płaczących cieniu,
Lśni się tak między liśćmi w księżycu promieniu?
Wpatruję się—to pomnik, to mogiła święta!
Czemuż ni obok innych, ani nad nią krzyża?
Widać tylko z daleka, jak w miejscu napisu,
Dwie różeczki w krzyż złożone, lauru i cyprysu,
Lutnia zda się u spodu, a gwiazda na górze,
Z metalu wykształcone, błyszczą na marmurze.

Jeleń wbiegł na dolinę, wznosił promienne czoło,
Nastawił czujne ucho, i patrzy wokoło.—

Wiatr gdzieś listkiem poruszył — zwierz odskoczył,
[słucha:

Wiatr przewionął, liśc usnął, znowu cichość głucha.

Ośmielony postąpił, i pomknąwszy skoro,

Niedaleko od góry przybiegł nad jezioro.

Przybiegł, stanął, wyciągnął, i pokręca szyję,

Zgiął ją, i z głośnym szmerem ciche wody pije.

Orzeźwiony, wznosił czoło, i patrzył jak wprzód.

Wtém kropla z ust zwilżonych wpluśnęła do wody.

Zadrżał — jak jego obraz, gdy kropla co spadła,

Wstrząsnęła nieco kryształ płynnego zwierciadła.

Ale wnet, jakby płonną zawstydzony trwogą,

Parsknął głośno, i w ziemię gniewną tupnął nogą.

Zwrócił się nagle, pomknął, wstrzymał się przez
[chwilę,

I pasząc się powoli poszedł ku mogile.—

Lecz jakaż znów go trwoga wstecz tak rychło niesie?

Jak błysk mignął po polu, i znikł w ciemnym lesie.

Postać się jakaś w bieli podnosi z mogiły,

Czy duch, którego zwłoki te głązy pokryły?

Nie! to ziemską, to jeszcze śmiertelną dziewicą:

We łzach się na jęj licach łśni promień księżycy,

Choć większa od śmiertelnych piękność ich i bla-
[dosć.

Jakaż to w niej snąć nagła, czy trwoga, czy radość?

Tak bystro patrzy wkoło, tak troskliwie słucha,

Jakby chciała obaczyć, lub dosłyszeć ducha!

Są duchy, lecz śmiertelne nie dójrzy ich oko!—
Nie ujrzała dziewica; westchnęła głęboko,
Wzniosła ręce, i łzami nowemi zalana,
Jak wprzód, znów na mogile padła na kolana.

1827.

NA OBRAZ PUSTYNI.

Górą błękit i błękit, bez cienia, bez chmury,
Spodem piasek i piasek, bez drzewa, bez góry,
Wkoło przestrzeń i przestrzeń, bez granic, bez końca,
A nad nią martwa cisza, i tylko blask słońca.

Zda się nowo-stworzony świat jakiś, co czeka
Na koniec dzieła Stwórcy: na ruch i człowieka;
Zda się przygotowana olbrzymia świątynia,
Gdzie Bóg jeszcze Sam Jeden.—To step, to pustynia.

Któż pojmie, coby począł ten, coby w tym gmachu
Stanął sam w obec Boga? Czy raczej z przestachu,
Czy z miłości by skonał, by uczuciu sprostać?
Bo jeden, twarz w twarz z Bogiem, żyw nie mógłby
[zostać.

Lecz gdyby ludzi dwoje, nawzajem kochanych,
Tak ze świata za miłość, jak owych wygnanych
Za grzech z raj, tu przyszło—a wspólnie już zna ło
W duchu i niewinności miłość doskonałą:
Czyżby się jój sromali przed obliczem Boga,
Jako Adam i Ewa, gdy w nich grzech i trwoga
Ducha poddały ciału? Lub czyżby im wzajem
Step się nie stał przez miłość odzyskanym rajem?—

Z MATHISSONA.

Mrok posepny, mrok ponury
Szczyt olbrzymiej omgił góry.
Między smutnie brzmiającą trzenią,
Szeleszczące zdroje płyną.
Pasterskiego blask ogniska,
Z po za ciemnych gajów błyska,
Błądą światłość lejąc z siebie,
Jako lampa przy pogrzebie.

Już się nocy ptak nieśmiały
Drżącym lotem wzbił nad skały,
I na szczycie drzew zielonym
Noc płaczliwym budzi tonem.—
W długie wiążąc się łańcuchy,
We mgle ciche tańczą duchy,
Przy świetlika mdłych połyskach,
Po mogiłach, po zwaliskach.

Blask wiodący łódź przez morze,
Na nadbrzeżnej zgasł już skale;
Ze dzwonicy przy klasztorze
Dzwonek smutne głosi żale.

Przez jesiennęj mgły zasłone
Błyszcą gwiazdy zasmucone;
Wkoło wietrzyk wiejąc zeicha,
W ponadwodnej trzeinie wzdycha.

Cheiw karmié swe tęsknoty,
Melancholijnemi loty
Leci smutna myśl żałoby,
Gdzie się mchem zielenią groby.
O! jak cichy sen mogiły!
Ani wiosny oddech miły,
Ni porannęj uśmiech zorzy
Oczu śpiących nie otworzy!

Matko! której lube cienie,
Blaskiem słońca uwieńczone,
Malując mi przypomnienie,
Czaruje oko złudzone:
Jeśli wierzym nie daremno
W nowe życie, w wiecznym Niebie:
Zstąp z niego czuwać nademną,
Wskazać mi drogę do siebie!

1824.

Z KLOPSTOCKA.

Orszak pogrzebny przeszedł. — „Co tak smutny
[stoisz?
„Czyżbyś się lękał śmierci?“ — „Śmierci, nie!“ —
[— „Więc czego?“ —
— „Umierania!“ — „Co do mnie, ja nawet i tego
„Nie boję się.“ — „Szczęśliwy! więc się nic nie boisz?“ —
— „Niestety! Prawda tego powiedzieć mi wzbrania,
„Gdybym nie miał przyjaciół!... Lecz mam; i daremno
„Myśl uzbrajam w odwagę. Boję się rozstania,
Nie tylko mego z nimi, ale i ich ze mną.“ —

1875.

WSPOMNIENIA.

Nic srożej nie boli,
Jak chwile szczęścia wspominać w niedoli.

Dante. (Przekład Juljana Korsaka).

Ciężkie zaprawdę, ciężkie jest wspomnienie
Szczęścia w niedoli;—lecz z czegoż cierpienie
Złoży ofiarę Bogu, co je zsyła,
Gdyby w niem dusza strat swoich zabyła?

I chociaż rzewniej płyną łzy sieroty,
Gdy przypomina matczyne pieszczoty,
W tych przypomnieniach i w tych łzach się mieści
Jedyna ulga sierocęj boleści.

Pieszczot już takich nie dozna na ziemi,
Lecz dusza tęskni i rwie się za niemi,
Dokąd? Za matką—gdzie teraz przebywa,
Tak duchem w Bogu, jak w pamięci żywa.

I gdy żal serce jak płomieniem ściska,
Wspomnienia z serca, jak iskry z ogniska

Lecą—a każde wzniesione do góry,
Prześwieca myśli, jak gwiazda kir chmury.

I z gwiazd tych blasku składa się blask tęczy,
Co drogą postać aureolą wieńczy,
I przez łązy drogę znaczy i odsłania
Tam—gdzie już nie ma ni łez, ni rozstania.

1872.

U R Y W E K.

Znuż one myślami
Nad tajemnicą stworzenia,
Wieki za wiekami,
Z rozpaczą zwątpienia,
Idą ku Wieczności.
A Wieczność każdego
Spotyka i bada:

„Cóżś dla ludzkości
„Uczyłś dobrego?” —
— „Zapytaj drugiego!”
Każdy odpowiada. —

I cóż się w przyszłości
Objawi i stanie?

O! Zbawco! o! Panie!
Myśl własna mnie trwoży,
Lecz w Tobie otucha. —
Oświeć lud Twój Boży
Światłem Twego ducha. —

Z LEONARDA DA VINCI.

Jeśli nie możesz co chcesz, cńciej co możesz,
Gdy być spokojnym i szczęśliwym życzysz.
Niemożebności chęcią nie przemożesz,
Lecz ją usuniesz, gdy chęć ograniczysz.

Szaleniec tylko lub głupiec w swój dumie
Mniema, że wszystko po swój woli nagnie.
Mędrzec, co prawdę wszech rzeczy rozumie,
Wié, co podoła—i więcéj nie pragnie.

Lecz i nie wszystko, co mieć możesz snadnie,
Plon spodziewanéj przynosi słodyczy.
Jak w głébi kwiatu jad ukryty na dnie,
Zgryzotę znajdziesz w rozkoszy zwodniczéj.

To szczęście tylko jest pewném i stałym,
Co z powinnością da się zgodzić społem.
Ja, co to piszę, nieraz już płakałem
Na to, że m osiągl, co wprzód mieć pragnałem.

Ty więcéj słów moich czytelniku miły,
Chcesz ustrzedz w sereu pokój i niewinność?
Celu twych żadań nie stawiaj nad siły,
Ani rozkoszy nie kładź nad powinność.

S Z T U K A.

Co w przeszłości z ziemi było,
Ziemia w swém łonie zamyka,
Pod skromnej darni mogiłą,
Lub dumnym głazem pomnika.

Lecz duch, co na nią tchnął z Nieba,
W sztuce ma wieczne odbicie,
By przez nią znowu, gdy trzeba,
W przyszłości wstąpić mógł życie.

I równiej godne zalety,
Gdy mistrz w nich prawdę odtwarza,
Czy pieśń natchnioną poety,
Czy tworczy pędzel malarza.

Bo równie dziełem ich obu,
Dla serc potomnych i oka,
Kształt przeszłości wstaje z grobu,
A duch jój spływa z wysoka.

O B R A Z E K.

O! gdyby ten obrazek mógł słyszeć! O! gdyby
Mógł czytać w myślach moich! Samby, bez ochyby;
Uradował się nieraz—jak ów Anioł, który
Raz w duszę po niebiesku spójrzawszy nam z góry,
Lub tajemniczém słowem, niesłyszaniem w uchu,
Raz do nas po anielsku przemówiwszy w duchu,
Widzi, jak się od tego słowa lub spójrzenia
Dusza budzi, ożywia, wznosi, rozpromienia,
I do wyższych swych celów rwie się z krain grzechu,
Popromieniu tych spójrzeń, lub po słów tych echu.—
A i cóż może bardziej radować Anioła,
Jak gdy duch, lub myśl czyją w wyższy świat po-
woła?

LUCIA.

Na lieu krasa róży dziewiczej,
W błękitach oczu gwiazdy uczucia,
W ustach anielskiej uśmiech słodczy.—
To Lucia!

Myśl—cichy, jasny wiosny poranek,
Rozkwit nadziei, tęskność przecucia.
Dusza—gołabek; serce—baranek.
To Lucia!

I kto wie nawet, Aniołki w Niebie,
Czy nie naszego tonem współczucia,
Wskazując na nią, mówią do siebie:
„To Lucia!“

UŚMIECH.

Nie bój się, dziewczę, nie bój uśmiechu!
Szyderczy tylko ma czarność grzechu.
Ale wesoły uśmiech pustoty,
To jak swawolne dziecka pieszczoty;
Ale serdeczny uśmiech wesela,
To pocałunek ust przyjaciela;
A smutnym nawet, uśmiech dobroci,
Jak słońce chmurę, smutek ozłoci;
Na łązy ich nawet rzuci blask tęczy.
Bo gdy się dobroć ku łązom uśmiecha,
Aniół w tém zda się mówi i ręczy:
Że być gdzieś musi, i przyjść pociecha.

ODPOWIEDŹ NA LIST NIEZNAJOMÉJ

O! nie płóń się dziewczę! że dusza twa młoda
Przy dźwiękach się pieśni rozmarza!
Współczucie dusz takich, toć jedna nagroda,
Toć cała pociecha pieśniarza.

On wzajem, gdy słyszy twój głos tajemniczy,
Twe ciche, serdeczne westchnienie—
On wzajem twój obraz postaci dziewczęj
W tęzowe obleka marzenie.

I oto masz dzieje, jak w pieśniach i w życiu
Dusz bratnich się wiąże społeczność;
W ich tonow oddźwięku, w ich barwy odbiciu,
Jest poezyi siła, i wieczność.

I jeśli się kiedy, ze sfer wyobraźni,
Widomie tu zejda na oczy:
Gdzie pieśnią myśl z myślą, tam węzłem przyjaźni
I serce się z sercem jednoczy.

DO JASKÓŁKI.

(Odpowiedź na wiersz pod tym tytułem i pod tymże pseudonimem autorki).

Na co tobie, Jaskółeczko,
Słowicza piosenka?
Gdy szczebioczesz, a gniazdeczko
Lepisz u okienka;
Gdy o świetle głos twój kwili
Na pogodny dzionek;
Nie zanóca sercu miléj
Słowik ni skowronek.
Z pól i gajów tylko echy
Brzmia ich śpiewy głośnie;
Tyś śpiewaczka naszej strzechy,
Ty nam głosisz wiosnę. —
Na co tobie, Jaskółeczko,
Orłów lot wysoki?
Gdy się zwijasz po nad rzeczką,
Lub śmigasz w obłoki;
Gdy szybujesz, wzdłuż czy wokół,
W powietrza przezroczu;

Ani orzeł, ani sokół
Większy dziw dla oczu.

Oba oni wiecznie sami
W sferach burz i gromu;
Tyś, ptaszyno, zawsze z nami,
W przyjacielskim domu.

Tam się na nich strzelec zbroi,
Ptaki ich lękają;
Tu się ciebie nikt nie boi,
A wszyscy kochają.—

Ty więc wzajem, Jaskółeczko!
Czuj, co my dla ciebie,
A piosneczka za piosneczką
Przyjdą same z siebie.

I sąd o nich niech nie budzi
Obaw twój skromności!
Znajdzie zawsze cześć u ludzi,
Kto wart ich miłości.

1868.

DO ALEKSANDRY KURNATOWSKIEJ.

Wohl ist mir, dass ich dich nicht verkannt
Das ich gleich dich in der ersten Stunde,
Ganz den Herzensausdruck in dem Munde
Dich ein wahres-gutes Kind genannt.

Goethe

Widziałem ciebie w taneczném kole,
Uśmiech na ustach, radość na czole;
Wzrok twój był śmiały, ale łagodny,
Ruch twój był wdzięczny, ale swobodny.
Znać, że ci wewnątrz żadna z trosk życia
Nie psuła miłej chwili użycia:
Znać, że ci nie szło, by oczy ściągać,
By swym tryumfem drugim uragać.
Bujałaś w tańcu, jak przed pogodą
Ptaszek w powietrzu, rybka pod wodą.
Ściagałem ciebie pomiędzy gronem
Okiem i sercem rozweseloném,
I pomyślałem: to jest dziecinną
Swoboda myśli, dusza niewinna.

Słyszałem ciebie w wielu rozmowach,
Zawsze myśl szczerą była w twych słowach.

Znać, że masz w sobie sąd swój, nie cudzy,
Ani powtarzasz, co rzekli drudzy.
Nie brałaś za złe, że ci ktoś przeczy;
Znać, że ci idzie o prawdę rzeczy,
A nieuporna przy swém mniemaniu,
Chętnie chcesz uleść lepszemu zdaniu.
I rzekłem sobie: w niej snąć przebywa
Szczerą chęć prawdy, dusza prawdziwa.

Byłaś w teatrze: — wzrok twój wlepiony
W scenę, nie strzelał na różne strony,
Twarz była wierném duszy zwierciadłem;
Z niej każde twoje uczucie zgadłem:
Jak cię oburza, jaki żal budzi,
Cierpienie dobrych, przemoc złych ludzi;
I jak cię tryumf cnoty pociesza,
I jak niewinna śmieszność rozśmiesza.
Oddana całkiem temu, co widzisz,
Ni kłamiesz czucia, ni się go wstydzisz;
Myśląc o sztuce, nie o parterze,
Śmiejesz się szczerze, i płaczesz szczerze.
I rzekłem sobie: w tém się odkrywa
I czyste serce, i dusza tkliwa.

Posłyszysz wprawdzie, jak świat w swój mowie
Wesołość myśli płochością zowie;
Jak szczerą mowa i własne zdanie,
Znaczą u niego złe wychowanie;
Jak każde czucie uśmiechem tłumi,
Lub je za oczy wyszydzać umie,

A mądrość swoją na tém zakłada,
Żyć, nie jak trzeba. lecz jak wypada,

Ty jednak zachwiać nie daj się trwogą,
Idź zawsze swoją, a prostą drogą;
Słuchaj nie tego, co gdzieś szyderca,
Lecz co smnienie powie do serca,
I żyj, pamiętna przykazań Nieba,
Nie jak wypada, ale jak trzeba,

Znajdą się ludzie, którzy wysłedzą
Głęb' duszy twojej; ci niech powiedzą:
„Dobra jest, szczerą, rozumna, tkliwa!“
Bądź tém, a dodasz: „jestem szczęśliwa.“

Drezno 1836.

DO TESI.

(W dzień rozpoczęcia lekcji muzyki).

Tesiuniu kochana!
Gdy do fortepiana
Siądziesz codzien z rana,
Pamiętaj, dopóty
Nie wziąć żadnej nóty,
Nie tknąć żadnej gamy,
Póki w sobie saméj,
Jak w kościelnym progu,
Nie westchniesz ku Bogu:
„Przyjm to moje granie,
„Na cześć Twoję, Panie!“

Bo wszystko na świecie,
Lube moje dziecię!
Co ma głos lub dźwięki,
Bogu cześć i dzięki,
Bogu chwałę niesie.
Jemu wiatr po lesie,
Jemu szumią drzewa,
Jemu ptaszek śpiewa;

Jemu brzęczą pszczołki,
Po nad drzew wierzchołki;
Jemu gwiazdy grają;
Jego wyznawają,
Na strónach i głosach,
Ludzie, a w Niebiosach,
Na wieki weseli,
Śpiewają Anieli.

Owóz ci Anieli,
Gdy będą widzieli,
Że i ty tak z niemi
Modlisz się na ziemi,
Wszyscy się za ciebie
Pomodlą na Niebie,
Z Świętą Cecylią.
Aniół-Stróż, z lilią,
Przy twym fortepianie
Niewidomy stanie,
I tak, w Imię Boże,
Uczyć się pomoże,
Że z strón twoich echa,
Da Bóg, będzie brzmiała:
Rodzicom pociecha,
Panu Bogu chwała.

1851.

DZIEWIC-WIECZÓR.

DO***

Kwiatku, kwiatku nadobny!
Dość w cieniu tajemniczym,
Skromny, cichy, osobny,
Kwitłeś życiem dziewiczém!
Czas przed świata obliczem,
Stać się — na coé stworzono:
Męskiej siły koroną,
Męskich trudów osłoda,
Szczerych uczuć nagrodą!

Dość już, dość, skowroneczku!
Cześć dziecinną i dzięki
Kwilić w cichém gniazdeczku!
Błysnął świt twój jutrzeński—
Na świat! w górę z piosenki!
Niech rozgłośnie, radośnie,
Brzmia ku Niebu o wiosnie,
I za sobą, wysoko
Zwą myśl ludzką i oko!

Kwiatku, ptaszku, dziewico!
Dość w dziecinném uśpieniu,
Pod rodziców źrenicą,
Myśl kołysać w marzeniu!
Jutro twemu istnieniu
Inszy cel się obwieści:
Pracy, chwały niewieściej;
Obowiązków ziemianki,
Cnót, zasług chrześcijanki!—

Ale niech cię nie trwoży
Przestrzeń nowój przyszłości!
Z wierzącymi duch Boży,
Duch światła i miłości!
On rozproszy ciemności,
On zawady przełamie!—
A jeżeli twe ramię
Ma dźwignąć krzyż:—ON zmienia
Znak mąk, w godło zbawienia!

1866.

NAGROBEK W DZIEŃ IMIENIN.

(NA ŻĄDANIE PANI SALOMEI BECU.)

Szumi topola z wiatry lekkimi;
Któż pod jój cieniem spoczywa?
Ach! najgodniejsza szczęścia na ziemi,
„A jednak nigdy szczęśliwa.“

Cóż jest to szczęście, którém tak ludzi
Serca nadzieja zwodliwa?
O! gdyby szczęście było dla ludzi,
Onaby była szczęśliwa.

Komu się stale fortuna śmieje,
Gmin go szczęśliwym nazywa.
Marne pochlebstwa! próżne nadzieje!
„Ona nie była szczęśliwa.“

W czynach litości, w cnocie bez skazy,
Prawdziwe szczęście przebywa.
Święte nauki! płonne wyrazy!
„Ona nie była szczęśliwa.“

W kim myśl skrzydlata w sfery natchnienia

Serce za sobą porywa:

Ten wie, co szczęście.—Mylne marzenia!

„Ona nie była szczęśliwa.“

Świętej miłości, szczerój przyjaźni,

Kto znał i cenił ogniwa,

Był-że szczęśliwym?—Śnie wyobraźni!

„Ona nie była szczęśliwa.“

Ach! nie ta ziemia szczęścia gospoda.

Lecz tam, gdzie wiara prawdziwa

Czyni go cierpień i cnót nagrodą,

Tam ona pewnie szczęśliwa! —

Oby, gdy setne lata nastaną,

I dni twych zwiną przedziwa,

Ryjąc ów napis, w końcu dodano:

„Sto lat przeżyła szczęśliwa!“

1825.

ROSA MISTICA.

SONET.

Cześć ci i chwała, Rózo tajemnicza!
Gościu naszego, córo wyższych światów!
Królowo uczuć i marzeń, jak kwiatów!
Wiecznie kwitnąca, promienna, dziewicza!

Ziemia łśni blaskiem twojego oblicza,
Jutrzenka płonie barwą twych szkarłatów,
Wiosna tchnie wonią twoich aromatów,
Z natchnienia twego płynie pieśń słowicza.—

Piękności! tyś jest tą Mistyczną Różą.
Bóg przez cię ludziom objawia Sam Siebie;
Czei ich dla ciebie Aniołowie wtórzą,
Tam, u stóp tronu Najświętszej na Niebie!

Piękności! tęczo po nad życia burzą!
Ty mię wiedz *tu taj*, bym *tam* ujrzał ciebie.

R Ó Ź A.

SONET

The rose is fairest, when' tis budding new,
The rose is sweetest, wash' d with morning dew

Walter-Scott.

Piękna jest wprawdzie róża, gdy z pączka rozkwita,
I sama zapłoniona rumieńcem jutrzeńki,
Poi się tchem poranku, i słucha piosenki,
Którą, jako świat młodość, skowronek ją wita.

Lecz patrz na nią, gdy kirem ciemności okryta
Schyla czoło ku ziemi, a przejrzysta rosa,
W każdej łzie odbijając gwiazdziste niebiosą,
Lśni nad nią, jak korona z gwiazd i pereł zwita.

Wtedy to, wtedy słowik, co sam szuka cienia,
Bierze ją za królowę swych marzeń i pieśni.—
Nie hołdy to skowronka, o których on nie śni,
To tylko głos współzucia, i hymn uwielbienia.

Piękna dusza na ziemi, im cierpi boleśniej,
Tém się uroczej nawet w piękność rozpromienia.

FIJOŁEK.

(Z GOETHEGO).

Skromnej barwy i woni,
Kwitł fijołek na błoni,
 Fijołek maleńki.
Pasterka biegła po łące,
Zbierając kwiaty kwitnące,
 Dalój, dalój!
Słodkie śpiewając piosenki.

„Ach! gdybym ja w tej dobie,<“
Myślał kwiatek sam w sobie,
 „Miał krasnej róży wdzięki!
„Możeby ona mię wzięła,
„Może u piersi przypięła,
 „Ach! przynajmniej
„U swojej białej sukienki!“—

Lecz pasterka przebiegła,
Fijołka nie postrzegła,
Zdeptała kwiat maleńki.
Konając jeszcze zawołał:
„Gdym się podobać nie zdołał,
„Dzięki, dzięki!
„U nóg jój konam—dość dla mnie.“

1827.

PIERWSZE ROZSTANIE.

(NA OBRAZ: „AMOR I PSYCHE.“)

Szczęśliwe lata, gdy bożek miłości
Dzieckiem był jeszcze! — Rad z pieśczot dziecinnych,
Igrając w Psychy objęciach niewinnych,
Každy wzrok, uśmiech, sam widok piękności
Trzymał w spoczynku skrzydła niestateczne;
Wszędzie go urok nowości czarował,
I każde szczęście, którego kosztował,
Jak bóstwo jego, zdało mu się wieczne!

Przeklęta pierwsza rozstania godzino!
We łzach po tobie, gdzie szukać pociechy?
Cóż są miłości rozkosz i uśmiechy?
Raz już minęły — choć wróca, znów miną!...

Amor się rozstał z Psychą. — Wy, co chcecie
Wiernymi dotąd zostać jego cześci,

Macieź dość siły dzielić z nim boleści?—
Smutny, samotny, błądzi on po świecie;
Ku ziemi schylił pochodnię weselną,
Duma, i w Niebo patrzy ze łzą cichą.—
Tam on już chyba połączy się z Psychą.
Psyche, jak Miłość, będzie nieśmiertelną.

1830.

OSTATNI TOAST.

I.

Ha! jeszcze toast! nalewajcie wkoło!
Lecz chwila krótka, trzeba pić z pośpiechem.
Wesoło tylko, proszę was, wesoło!
Lżej się jest żegnać, żegnając z uśmiechem.

Niech żal, co na mnie z łzawemi oczyma,
Towarzysz drogi, czeka za wrotami,
Z waszą pamięcią nie wspólnego nie ma;
Poznam go naprzód—rozstawszy się z wami.

Tyleśmy słodkich z sobą lat przeżyli,
Oby ich szereg wspominając długi,
Nikt z nas nie znalazł jednój takiej chwili,
Którójby przeżyć nie śmiał już raz drugi.

Nalewaj! wino niech smutek ukoi!
Nie chcę się smucić, póki bawić mogę.—
Za zdrowie wasze, przyjaciele moi!
Wy za szczęśliwą przyjaciela drogę!

II.

Któż wie, czy kiedy będziemy znów społem,
Jak dziś, żal słodzić pociechą wzajemną? —
Lecz gdziebądźkolwiek, za biesiadnym stołem,
Puhar się jeszcze zaiskrzy przedemną:

Niech będzie gorzki, jak ten, co go piję,
Jeśli jak bóstwu, dla waszej pamięci,
Wprzód niż z ust moich zabrzmi imię czyje,
Myśl moja pierwszych kropel nie poświęci.

Wy téż, gdy kiedy będziecie w swém kole
Smucić się po mnie, lub bezemnie bawić,
Pomniście zawsze, w sercu i przy stole,
Niezapelnione miejsce mi zostawić.

Bo gdy dla niego rad wszystkie porzucę,
A wy méj próśby pomnieć nie będziecie,
Nie mając miejsca, kędyż się obrócić?
A równe temu, gdzież znajdę na świecie?

III.

Cóż to za odgłos? — ha! dzwonek pocztowy!
Przez litość, bracia! niech puharów brzęki,
Niech śmiech, niech pieśni, niech głośne rozmowy
Stłumią w mém uchu te straszliwe dźwięki!

I jeszcze toast! jeden i ostatni!
Lecz niech i w saméj chwili pożegnania,
Zbierze z ust waszych pocałunek bratni
Krople radości! — Lecz czyjeż to łkania?

Daj mi twój puhar! ty! co tak pomału
Do ust go chylisz, jakbyś przełknąć nie mógł.
Daj go! zdradziła przejrzystość kryształu,
Że żal niewieści nad twém sercem przemógł.

Daj! ja wypiję — tys skończyć nie w stanie.
Łzy tve zatrwały ci nektar wesela.
Mnie, gdy co może osłodzić rozstanie,
To łzy takiego, jak ty, przyjaciela.

1826.

POŻEGNANIE.

(Z ANGIELSKIEGO).

I.

Smutny, posepny był ranek jesieni,
Gdym się z mą lubą raz ostatni żegnał.
Kłęby mgły nocnej wiły się w przestrzeni,
Gdy je przed chwilą nieco wiatr rozegnał.
Te wpół przejryste, jako welon biały,
Co krył naówczas bladą twarz dziewicy,
Wpół osłaniając, w dwakroć pomnażały
Urok, jak ona pięknej okolicy;
Te w groźną deszczem zlewając się chmurę,
Jak smutek w duszy, w powietrzu ciężyły;
Lub jak myśl nasza, mroczne i ponure,
Wznosząc się w niebo, niebo nawet ćmiły,
I nie wprzód rzednieć i jaśnieć zaczęły,
Aż się jak we łzy, w rosę rozplynęły.

II.

Byliśmy sami, w altanie bez liści,
Co wraz z miłością naszą rozwinione,

Przed skwarem słońca i okiem zawiści
Niegdyś tak pewną tworzyły zachronę;
Co tyle razy, nad naszymi głowy
Szumiąc rozkosznie, lub szeleszcząc głucho,
Tłumiły słowa tajemnej rozmowy,
By ich zdradzieckie nie przejęło ucho.
Dzisiaj, o! zmiano! zżółkłe i zwarzone,
Jedne już ziemię wpół skrzepłą zaległy,
Jak chwile szczęścia mnogie, nieliczone,
Co nam w ich cieniu tak szybko ubiegły;
Drugie, jak chwile co nam pozostały,
Gdzie niegdzie ledwie trzymając się drzewa,
Nakształt sere naszych, z trwogi zda się drżały,
Że i je wkrótce lada wiatr pozwiewa.

III.

Byliśmy sami, bez świadków—prócz w Niebie,
Ach! bez nadziei drugiej takiej chwili;
A jednak spójrzeć nie śmieli na siebie,
Jednak do siebie słowa nie mówili.
Bo choć łzy ulżyć mogłyby jedynie,
Lecz łzy wylane w rozstania godzinie,
Nim witający znów je wzrok osuszy
Blaskiem wesela: tak ciężą na duszy,
Jak rosa spadła we chwili zachodu,
Nim znowu słońce na niebie zabłyśnie,
Tchem mroźnej nocy ścięta w perlę lodu,
Zimnym ciężarem kwiat ku ziemi ciśnie.
A serca nasze tak już przepełnione
Były i żalem, i boleścią rzewną,

Iżby w nie jedno spójrzenie rzucone,
Iżby za lada westchnieniem wstrząśnione,
We łzyby gorzkie rozlały się pewno!...

IV.

Wtém głos przeciągły, żałośny, pouury,
Zabrzmiał jak z nieba.— Spójrzymy do góry—
Wprost po nad nami, niedójrzone prawie,
We mgle przelotne krążyły zórawie,
I coraz wyżej wznosząc się w niebiosy,
I coraz nócąc smutniejszymi głosy,
Zdały się niby użalać nademną,
Zdały się z sobą zwać mię do podróży.
Uczułem w sercu pociechę tajemną:
„O! luba! rzekłem, to nam dobrze wróży!
„I one lecą do dalekiej ziemi,
„One powrócą—i ja wrócę z niemi!“—

Spójrzałem na nią;—jakby wzrok mój zgadła,
Nagła spokojność lice jój osiadła;
Przez mękę zda się gorzko uśmiechnęła,
Nie patrząc na mnie, rękę mi ścisnęła,
I by łzy wstrzymać, wzrok wzniosła ku Niebu.

Nagle głos dzwonka rozległ się przed domem.
Przebóg! słyszałem dzwon mego pogrzebu!
Czułem dreszcz śmierci w sercu nieruchomém.
Straszliwa chwilo!—Wtém drżąca i zbladła,
Z głośnemi łzami na pierś mi upadła.

Nie wiem, nie pomnę, jak ją pożegnałem.
Czułem ach! tylko, gdym się już oddalił,
Żar zda się jakiś, co mi usta palił,
I łzy na twarzy—choć sam nie płakałem.

1826.

ODDALONY.

I.

„Rozwesel lice cudzoziemcze młody,
Poprzestań tęsknić za północnym krajem!
Niebo stalszemi świeci tu pogody,
Bogatszym ziemia kwitnie urodzajem.

„Pójdź raczój, w gronie nowych przyjacieli,
Skróń swą bluszczowym przyozdobić majem!
Pieśń żal ukoi, wino rozweseli
Posępną tęskność za rodzinnym krajem.

„A niebios warte dziewice téj ziemi!
Jeden wzrok, uśmiech — sam nazwiesz ją rajem.
Więc, przyjacielu! pójdź z nami i z niemi
Zapomnieć tęsknot za rodzinnym krajem!“ —

— „Dzięki za czulej przyjaźni dowody!
Obyś podobnych nie doznawał wzajem!
Nigdy, daleki od ojców zagrody,
Nie musiał tęsknić za rodzinnym krajem!

„Miłe mi niebo, miła ziemia wasza,
Miła z gościnnym uczta obyczajem;
Lecz pieśń obudza, wino nie rozprasza
Posepnych tęsknot za rodzinnym krajem.

„Znam waszych dziewic wdzięki i uśmiechy;
Lecz świat raz tylko miłość czyni rajem.—
Więc, przyjacielu! gdy chcesz méj pociechy,
Pozwól mi tęsknić za rodzinnym krajem!

1827.

Ł Z Y.

I.

Kiedy z przeznaczeń ludzi lub Nieba,
W kraj jadącemu daleki,
Wszystko co miłe, porzucić trzeba,
Porzucić może na wieki:
Pierś wre wulkanem, a łza, co płynie,
Jak potok lawy twarz pali.—
Pomnisz, w ostatniej szczęścia godzinie
Gdyśmy się z sobą żegnali?

II.

Lecz gdy już stanął na obcej ziemi,
Śród obcych zaczął żyć ludzi,
Gdy mgła posepna przyszłość zaciemi,
Obecność nuży lub nudzi,
A przeszłość w łzach się tylko maluje:
Łzy wtedy ulgą w żalobie.
Jedną, co mogę, jedną, co czuję,
Samotnie myśląc o tobie.

Aż gdy cierpliwych, wiernych statecznie,
 Bóg się nakoniec uzali,
I oddalonych połączy wiecznie,
 By wiecznie wzajem kochali:
Jak muszą słodkie być łzy, co wtedy
 Jedynym uczuć tłómaczem!—
O! moja luba! kiedyż my, kiedy
 Takiemi łzami zapłaczem?

1827.

PRZYPOMNIENIE.

(Z ŻUKOWSKIEGO).

Słodkie minionych dni omamienie!
Znówże mię urok otacza twój? —
Kto śpiące w sercu zbudził wspomnienie?
Kto skrzepłych marzeń ożywił rój? —

Wionęły w duszę dźwięki znajome,
Zabłysnął duszy znajomy wzrok:
I znów przedemną stoi widome,
Co już przeszłości zaciągał mrok.

O! święte *Niegdyś!* gościu mój miły!
Próżno chcesz znowu w piersi méj tchnąć.
Mogęż Nadzieję wskrzesić z mogiły,
Mogęż rzec temu, co było: „bądź!”?

Mogęż przyoblec w świeżość rozwicia
Zwiędły mych uczuć, marzeń mych kwiat,
Lub widną nagość szkieletu życia
Zakryć znów rąbkiem tęczyowych szat? —

O! duszo moja! przecz wzrok twój goni
Ku miejscom, świadkom szczęśliwych dni?
Już tam nie wiosna kwitnie na błoni!
Już tam nie zorze poranne lśni!

Tam noc, pustynia — martwa i głucha,
Gdzie jeden tylko przedmiot i kres:
Mogiła serca, kolebka ducha,
Ołtarz ofiary — z szczęścia i z łez!

1856.

POCIECHA WE ŁZACH.

(Z GOETHEGO).

„Czegoś ty smutny, gdy wszystko wkoło
Zakwita wiosny weselem?
Smutek, co twoje zasepia czoło,
Zmniejszy się, gdy go podzielim.“—

-- „Jeżelim smutny—cóż to do kogo?
Jeżelim płakał—mnie boli.
A i łzy czasem słodkie być mogą,
One mi ulżą niedoli.“—

— „O! nie płacz, nie płacz! pójdź między braty,
Oni twą boleść osłodzą;
Jeśliś co stracił, powiedz twe straty,
Oni je chętnie nagrodzą.“—

— „Precz z tą pociechą!—nikt z was, jak baczę,
Przyczyn mych żalu nie czuje.
Czyż tylko straty płakać?—ja płacę,
Że mi tak wiele brakuje.“—

— „O! więc się marną nie dręcz żałobą!
Mniej masz do żalu, niż mniemasz.
Tyś jeszcze młody, wszystko przed tobą,
Co nie dziś, jutro otrzymasz.“ —

— „Ty chcesz nadzieją ludzi me oko?
Daremno! wszystko daremno!
To tak daleko, to tak wysoko,
Jak gwiazda błyszczy przedemną,“ —

— „No! ależ gwiazdy nikt nie pożąda,
I tylko tęskna źrenica
Tkliwém spójrzeniem ku nim spogląda,
I ich się blaskiem zachwyca.“ —

— „Ja téż nie pragnę, ja téż nie żądam
Ni Jój, ni waszój pomocy.
Tylko z westchnieniem ku Niój spoglądam,
I płaczę we dnie i w nocy.

UŁAMEK Z ELEGII.

Richer than wealth, prouder than garment's cos
Thy love is better than high birth to me,
And havig thee, of all men's pride I boast.

Shakespear. Sone .

Często, o! luba! gdy w światowém gronie,
Niepostrzeżony albo zapomniany,
Stojąc samotnie i marząc na stronie,
Z żalem i dumą walczę na przemiany:

„Cóż, że nikt z tłumu, dla mnie, ni dla siebie,
Widząc samego, nie przystąpi do mnie?
Rozmowa moja miłą jest dla ciebie!
Gdybyś tu była, pomniałabyś o mnie!“ —

Wtém drzwi się przemkną, ty wejdiesz do sali,
W całym i strojów i wdzięków uroku;
Gdy, co mi czołem skinać żalowali,
Zewsząd z pokorą zebrzą twego wzroku,

Lub na twą drogę cisną się natrętnie;
A ty oziębła idziesz między zgrają,
A tweje oczy—niby obojętnie
Błądząc wokoło —wiém, że mnie szukają;

A z ich błękitu, jak Aniół pociechy,
Myśl twa, z méj twarzy zrozumiawszy moją,
Zlatuje ku mnie z wdzięcznemi uśmiechy:
„Cóż, żeś tu obcy?... nie jestem ja twoją?” —

O! droga myśli! jakże mi błahemi,
Ród, chwała, skarby, zdają się w téj chwili!
Cóż z nich za szczęście, gdy bogaci niemi
Jużby je próżno dla cię poświęcili?

Większe me, bez nich, i szczęście i chluba!
Jednak o pychę ztąd mię nie obwinisz;
Ach! ty mię sama, ty tylko, o! luba!
Czyniąc szczęśliwym, godnym szczęścia czynisz.

Bo wzrok twój każdy rzuca w duszę moję
Jakby nadziei promienistą tęczę
Że przyjdzie chwila, gdy za miłość twoję...
Nie, nie! ja niczém godnie nie odwdzięczę!

1828.

K O C H A N K O W I E.

ELEGIA.

O! biédni kochankowie! nigdyż nie możecie
Znaleźć jednego miejsca na tym wielkim świecie.
Gdzieby was, jak wy wszystkich, zapomnieli drudzy,
I harmonii westchnień nie mięszał śmiech cudzy;
Gdzieby was nie dosięgła złój obmowy żmija,
Lub gorszy od Argusa potwór — Familija!

Choćbyś flet syna Mai odziedziczył słodki,
Zerwiesz pierś, nimbyś uspił braci, stryje, ciotki!
Nie bez cierni:—to ciernie przy kwiecie piękności,
Ćma lecąca by zgasić pochodnię miłości!

Skoro raz twoje tkliwsze przejęli wejrzenie,
Lub z ust ulatujące dostrzegli westchnienie,
Ci już nos przez dzień cały więząc w okularach,
W twych genealogicznych nurtują konarach,
By dociec i obliczyć, co i samym dla się,
Czy pod ich cieniem uszczknąć, czy z nich zerwać da się,
Tych oczy, jak kozaki strzegące granicy,
Ze wszech stron zabiegają sercu synowicy,

Aby gdzie nie przebiło linii kordonu
Familiój godności, lub dobrego tonu.
Ci nakoniec, z troskliwej nie tracąc uwagi,
Jak co rychlój siostr zbywszy, zatrzymać posagi,
Arytmetycznie pragną rozwiązać zadanie,
Czy szwagier na miłości siostry poprzestanie,
Lub czyli jeszcze za nią, dla kochanych braci,
Protekeyą, darami, godnie się odpłaci?

Biada tobie, nieszczęsna! jeśli kochasz szczerze,
A serce twoje tylko takiego wybierze,
Że choćby był sam w sobie jako żyzna gleba
Co wróży plon stokrotny — lecz jój pomódz trzeba,
A zatém familijna gdy twoja starszyzna
Za dobrą go dla siebie partyą nie przyzna:
Przygotuj serce twoje do cierpień tysiąca!
Nie rozbroi szydery łza w twém oku drżąca,
Nie ubłagają względu twój smutek i męki,
Ni litości, gasnące i zdrowie i wdzięki.

Okrutni! Lecz was dzikie omylą rachuby!
Miłość szczerą nawzajem, nie złęknie się próby,
Miłość stateczna w wierze, opiekę wybląga
TEGO, co fałsz zwycięża, a Prawdę wspomaga.

1828.

RANEK I WIECZÓR.

(Z HISZPAŃSKIEGO)

I.

Wschódź, wschódź pogodnie, ranne słoneczko!
Zajrzyj wesoło w Jój okieneczko,
Oświeć łagodnie senne Jój czoło,
Niech się obudzi z myślą wesołą!

Ona tak lubi blask twój pogodny,
On tak z promieniem oczek Jój zgodny,
I w Niój od niego tak się rozwija,
Serce jak róża, myśl jak lilija!

Nie chmurz się na mnie, nie chmurz na niebie,
Że ja mniej przy Niój zważam na ciebie,
I że z Jój tylko oczek odbicia
Biorę od ciebie promienie życia!

Za toż ty widzisz, jak w duszy mojej
Wszystko się budzi, ożywia, roi,
Gdy jak Jój samój twoja pogoda,
Tak Jój wesołość mnie siły doda.

II.

Niebo nad nami pała gwiazdami,
W mrocznej alei błądzimy sami,
Ja się nie boję, ona nie wstydzi,
Choć wiemy dobrze, że Bóg nas widzi.

A bo i czegoż lękać się mamy?
Jestże to wstydem, że się kochamy?
Jestże to grzechem, iżbyśmy chcieli
Być tu przez miłość, jak tam Anieli,
Coraz się wzajem stawać lepszymi,
Aż się tam złączym z sobą i z nimi?

I gdy Ją widzę w bieli wśród mroku,
Zda się, że Anioł-Stróż przy mym boku,
Co wszystkie moje troski powszednie,
Myśli, uczucia, uczynki we dnie,
Przyszedł obaczyć, koić, urządzić—
Biada! że tylko nic nie chce sądzić.

I ztąd mi kłopot— że potem muszę
Sam w sobie do dna przetrząsać duszę,
Co w niej jest nie tak, lub czego nie ma,
Aby być takim, jak ona mniema.

POD KRUŻGANKIEM.

W oknach Jój światło:—ja cały w oku
Pod jój oknami stoję o zmroku.
Patrzę i czekam—ach! nadaremno!
Choć czekam tylko, aby przedemną
Choć cień jój mignął na tle firanek,
Aby choć wyszła na swój krużganek,
By ją choć ujrzeć-- dość tego dla mnie!

Mniejsza! że może nie spójrzy na mnie...
Gdzie słońcu patrzeć na kwiat? a przecię
Kwiatu bez słońca nie żyć na świecie!

Lecz czas upływa—ja próżno marzę.—
O! gdybym umiał grać na gitarze!
Gdyby tu słowik zaśpiewał słodko!
Gdyby choć przeszedł strażnik z grzechotką!
Gdyby choć jakiś hałas czy wrzawa!—
Może nań wyjśćby była ciekawa!—
Ale niestety! wszystko śpi w ciszy,
A westchnień moich ona nie słyszy.

Ale co widzę?—O! przyjacielu!
O! powierniku, pocieszycielu
Wszystkich kochanków,
Co u krużganków,
Grają lub radzi grać serenady!
Jak oni smutny, jak oni blade,
Księżycu! widzę, wschodzisz na niebie!

Ona, wiem, lubi patrzeć na ciebie.
Wschódź więc, wschódź prędej, nim sen ją
[zmorzy!

Może choć szybkę w oknie otworzy.
A jak ty z słońca bierzesz twe blaski,
Tak słońce dla mnie błysnie z twój łaski.

C Z A R Y.

ELEGIA TURECKA.

(Z BYRONA).

Dałem ci łańcuch sztuką uwiązany cudną,
Dałem ci lutnię, matkę niebieskiego głosu.
Miłość niemi darząca nie była obłudną,
Ni się doświadczonego spodziewała losu.

Darom tym czarodziejską powierzono czynność,
Strzedz wiary danych przysiąg w niebytności mojej.
Niestety! one swoje spełniły powinność,
Nie mogąc się nauczyć dopełnienia twojej!

Łańcuch był silnie w każdym związany ogniwie,
I każda stróna lutni słodkie lała dźwięki.
Łańcuch pękł, milczy lutnia—skoroś ty zdradliwie
Śmiała je pod władanie obcej poddać ręki.

Niech ten, czyich uderzeń lutnia dziś nie słucha,
Kto łańcuch świętokradzko zerwał z szyi twojej,
Powieże rozsypane ogniwa łańcucha,
I oniemiała lutnię na nowo nastroi.

Tajną zdradę wydały dary tajemnicze.
Z odmianą twój wierności, siła ich ustała.
Ha! więc bądźcie mi zdrowe—o! serce zwodnicze!
Łańcuchu rozerwany! lutni oniemiała!

1824.

Z B Y R O N A.

Zmiennaś, lecz miłość twa nie jest zwodniczą,
Choć zdradzasz serce, tkliwie wprzód szukane.
To łzy podwójną zatruwa goryczą,
Które mi twoją opłakałem zmianę;
To kruszy serce, które ty zasmucasz,
Że umiesz kochać — lecz prędko porzucasz.

Stratę obłudnej mało czuje serce,
Oziębła wzgarda ściga przeniewiercę.
Lecz ta, co żadnej myśli nie przebiera,
Ta, której miłość jak tkliwa, tak szczera,
Jeśli się nawet i taka odmienia,
Któżby nie doznał mego udręczenia? —

Marzyć o szczęściu, do cierpień się budzić,
Los jest każdego, co żyje lub kocha.
Lecz jeśli nawet, przestając nas łudzić,
Żal w sercu wznieca éma urojen płocha,
Co we śnie z nami igrając łaskawie,
Tém samotniejszych opuszcza na jawie:

Jakże więc muszą dręczyć się boleśnie,
Ci, których serca, nie marzeniom we śnie,
Lecz tkliwym, szczerym uczuciom przywykną.
A te jak senne przywidzenia znikną? —
Ach! powiedz raczej, że ta moja żalność
Grą wyobraźni, snem twoja niestałość!

1824.

SKUTEK W ODLEGŁOŚCI.

(Z GOETHEGO).

Królowa siedzi śród Pań dworskich koła,
Wszystkie wykręcają złoto.

„Pobież, mój paziu!“ — Królowa zawoła —

„Przynieś mi worek z robotą.

„Leży w méj sypialni,

„Tuż przy gotowalni.“ —

Paź na usługi gotowy,

Skoczył do gmachów królowej.

Obok Królowej właśnie sorbet piła
Frejlina młoda i ładna;

A wtém się szklanka jakoś przechyliła.

I wniwecz suknia paradna.

Ale nie dość szkody,

Wstyd oblał jagody;

Więc aby przywdziać strój nowy,

Biegła do gmachów królowej.

Zwinny paż właśnie powracał w téj porze.
W ciasném się przejściu spotkali.
Choć nikt ni widział, ni wiedział na dworze,
Zdawna się wzajem kochali.

Jakże się cieszyli
Z tak pomyslnéj chwili!

Do piersi tulił dziewicę,
Całował oczy i lice.

Trzeba się rozstać! — każde swoją drogą.
Ona, by przywdziać strój nowy,
On, że się spóźnił, tajną zdjęty trwogą,
Biegł co tchu z workiem królowej. —

Gdy wszedł do pokoju,
Wnet na jego stroju,
(Bo była bardzo przebiegła),
Krople sorbetu postrzegła.

Każe więc przyzwać Ochmistrzynię dworu.
„Wczoraś się ze mną sprzeczała,
„Że podług rzeczy zwyczajnego toru,
„Gdy się gdzie jaka rzecz stała,
„To chyba na świadku
„Znać ślady wypadku,
„Lecz nic, oprócz gwiazd, z daleka
„Nie ma wpływu na człowieka.

„Przyznaj, kto wygrał? — Wszak widziałas sama,
„Jak się tu szklanka rozbiła:
„Paż był daleko, a przecież się plama
„Na jego sukniach zrobiła. —

„Za toć, paziu mój!
„Sprawię nowy strój,
„Żeś mi dopomógł wygranój.
„Inaczéj—byłbys łajany.“

1829, w Wejmarze.

S O N E T.

Czemu pieśnią najczęstszą kochanka-poety
Jest sonet? Czy że przy nim marzyć może dłużej
O téj, dla której śpiewa:—jakby z nią w podróży
Skręcał szlak, by opóźnić przybycie do mety?

Czy chce przed nią, jak w szrankach, dowieść się
[atlety,

Jak go żaden trud dla niéj ni zraża, ni nuży?
Czy jak z trudnéj kabały sam dla siebie wróży:
„Złoży się sonet—kocha! Nie złoży—niestety!

Złoży się zawsze;—miłość się i natchnień doda.
A i myśli, w ciasnocie trudnych praw sonetu,
To muszą tryskać w górę, jak z fontanny woda,
To się szlifują jakby w brylant do sygnetu.

Ztąd i sam sonet nieraz ma moc amuletu,
Zwłaszcza gdy go za rąbek schowa rączka młoda.

WESOŁA PIOSENKA.

Caca, dziateczki, caca!
Hulajcie, skaczcie śmiało!
Precz w kąć rozwaga, praca!
Na co to się wam zdało?

Pal go djabeł każdego,
Co was ku nim nawraca!
Głupiec! Co mu do tego?
Caca, dziateczki, caca!

Wam-że nad tém myśl nużyć,
Jak się świat ten obraca?
Dość wam umieć go użyć!
Caca, dziateczki, caca!

To grunt, co życie nasze
Rozwesela, nie skraca.
Suszcież nie mózg, lecz flasze!
Caca, dziateczki, caca!

Jasne oczko a złoto,
To świat słońcem ozłaca.
Dbajcież tylko więc o to!
Caca, dziateczki, caca!

Grosz, co który dostanie,
Niech wnet rozkosz opłaca!
Kąpcie Wenus w szampanie!
Caca, dziateczki, caca!

Mniejsza, co będzie potem!
Kto tam przyszłość namaca?
Żyjcież nie myśląc o tém!
Caca, dziateczki, caca!

Wiecie, jaką cyrk wrzawą
Grzmi na widok pajaca.
Toć i wam świat da brawo.
Caca, dziateczki, caca!

PANICZ I DZIEWCZYNA.

I.

W gajku zielonym
Dziewczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I grzecznie się skłoni,
I z konia zeskoczy.
Ona się zapłoni,
Na dół spuści oczy.

„Dziewczyno kochana!
Dziś na te dąbrowy,
Z kolegami z rana
Przybyłem na łowy.

„I trafić nie mogę,
Gdzie leży miasteczko.
Wskaż proszę mi drogę,
Nadobna dziewczeczko!

„Czy prędko mię z lasu
Ta ścieżka wywiedzie?“ —

— „Jeszcze pan zawczasu
Do domu zajedzie!

„Widzisz pan to drzewo,
Koło drzewa brzożki;
Tam zaraz na lewo,
Potém koło wioski,

„Przez gęsty zarostek,
W prawo, po nad rzeczką;
Tam młynek i mostek,
I zaraz miasteczko.“ —

Paniez podziękował,
Czule rączkę ścisnął,
W oczko pocałował,
Na konika świsnął.

Siadł, ostrogą spina —
Już nie widać jego!...
Westchnęła dziewczyna —
Ja nie wiem, dla czego?

II. 1)

W gaiku zielonym
Dziewczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

1) Następujące strofy są pióra Adama Mickiewicza.

I woła zdaleka:
„Pokaż inną drogę!
Za wioską jest rzeka,
Przejechać nie mogę.

„Ni mostku żadnego,
Ni brodu wytropić.
Chcesz-li mnie młodego
Niewinnie utopić?“ —

— „To jedź pan drożyną,
Na prawo kurhanu.“ —
— „Bóg zapłać, dziewczyno!“ —
— „Dziękuję Waćpanu.“ —

W las poszła drożyna,
Nie widać młodego. —
Westchnęła dziewczyna —
Oj! wiem ja, dla czego.

III.

W gaiku zielonym
Dziewczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I zawoła znowu:
„Dziewczyno! dla Boga!
Wjechałem do rowu,
Takaż twoja droga?

„Nie jeździł w te szlaki
Nikt z dawnego czasu,
Chyba wieśniak jaki
Po drzewo do lasu.

„Poluję dzień cały,
Koniom nie popasał;
Jeździec zadyszał,
Konik się zahasał.

„Zsiądęż, i z ponika
Pragnienie ugaszę;
Odkiełznam konika,
I puszczę na paszę.“—

I grzecznie się skłoni,
I z konia zeskoczy.
Ona się zapłoni,
Na dół spuści oczy.

Ten mileczy, ta wzdycha;
Po niedługiej chwili,
Ten głośniej, ta zeicha,
Coś z sobą mówili.

Lecz że wietrzyk dmuchał
W tę stronę dąbrowy,
Przetom nie dosłuchał
Panicza rozmowy.

Lecz z oczu, lecz z miny,
Tom pewnie wyczytał,
Że więcej dziewczyny
O drogę nie pytał.—

1824.

ZŁOTA RYBKA.

DO JANA ZACHARJASIEWICZA.

(Naśladowanie piosnki jego, pod tymże tytułem).

Spodem zimnej wody,
Złota rybka mknie;
Z brzegu chłopiec młody
Polne kwiaty rwie.

„Stój, stój, woła, rybko!
„Gdzie tak śpieszysz, gdzie?
„Nie znikaj tak szybko,
„Daj napatrzeć się!“ —

A rybka wzajemnie
Rzeczę jemu też:
„Gdy tak patrzysz we mnie,
„Toć mnie całkiem bierz!“ —

Chłopiec w głowę skrobie,
Aż ze strachu zbladł.
Myśli tylko sobie:
„Tożem w kłopot wpadł!“

„Mamże w szklannym słoju
„Patrzeć tylko w nią,
„Gdy tu w żywym zdroju
Coraz nowe mkną?...—

Gdy tak myśląc zwleka,
Przeszło czasu dość.
Rybka czeka, czeka,
Aż ją wzięła złość.

Jeżąc grzbiecik ostry,
Plusła nań jak w chrzest:
„Nie wiercie mu, siostry!
„To bałamut jest!“—

1870.

MŁYNARECZKA.

(Z GOETHEGO).

„Młynareczko! gdzie to? gdzie to?
Sama jedna, tak rano?
Jak cię zową? — „Anetą.“ —
— „Dokąd idziesz?” — „Na siano.“ —
— „Jakże to nie wziąć kogo
Do pomocy sobie?” —
— „Grable ręką po mogą.
Ja sama wszystko zrobię.
Póki jeszcze rano,
Zbiję w płasty siano;
Potém zaraz muszę
Opatrzeć ogródek:
Pootrząsać grusze,
Nazbierać jagodek... —
Lecz ja tu z Panem gadam,
A już wysoko słońce:
Siano przeje na łące,
Muszę biedz — do nóg upadam!
I tak jużem się spóźniła.“ —

— „Chwileczkę, moja miła!
Czy jest w ogrodzie altana,
Gdzieby się schronić przed słońcem?” —
— „Dwie nawet, do usług Pana,
Obie na wzgórkach, nad rzeką.” —
— „Wiész co, moje kochanie!
Weź mię z sobą w tę drogę;
Ja ci w pracy pomogę,
A jak upał nastanie,
W najcienistszą altanę
Schronimy się oboje;
Czoło znojem oblane
Schylisz na piersi moje. . .
Wierz mi, nie pożałujesz!” —
— „Doprawdy?! . . .” — „Ty żartujesz.
Lecz cóż w tém złego przecie?” —
— „Czy to nie w pańskim świecie?
Bo co my tu, we młynie,
To za dobre nie liczęm,
Aby młodej dziewczynie
Zadawać się z paniczem.
A i ja tak coś wierzę! . . .
A nawet, mówiąc szczerze,
Trudno się i ośmielić
Dotknąć się do panicza,
By czasem nie pobielić
Drogich szat, lub oblicza! . . .
„A więc lepiej, mój panie!
Że panienki poszukasz.
Mnie, choć w prostej sukmanie,

Milszy młynarczyk Łukasz.

On się nie boi mąki,

Ja się nie boję jego;

On mię czeka u łąki. —

Adje! bjęnę do niego.

1823.

O N I O N A.

O N.

Słoweczko! stój! dla Boga!
Czy tak w każdej pasterce,
Jak w tobie dusza sroga,
Jak w tobie zimne serce?

Czy gdy dla niej z miłości
Biédny pasterz omdlewa,
Kaźda się bez litości,
Jak ty ze mnie, naśmiewa? ...

Gdy tak wszystkie robicie,
Przysięgam! całe życie,
Niech jak chce będzie ładną,
Ani pogadam z żadną! ...

O N A.

Cha, cha, cha! śmiech mię bierze.
Dziwni są ci pasterze!
Zmiłuj się, powiedz przecie,
Czego wy po nas chcecie?

Czyżby to było skromnie
Mówić, że się was kocha?...
Sambyś pomyślał o mnie,
Żem zwodnica, żem płocho.

O! znamy my was, znamy!
Póty zmyślać umiecie,
Póki się nie dowiecie
Że was wzajem kochamy.

Potém— E! mniejsza o to!...—

O N.

Nie wierz! fałsz ludzie plotą.
Wy, wy to chyba...

O N A.

Czy znów
Zaczynasz swoje? — Bądź zdrów!

O N.

Poczekaj!...

O N A.

Nié mam czasu!
Nie mogę, matka czeka. —

To mówi, i ucieka,
Jak sarneczka do lasu.

Zostawszy z kwaśną miną,
Pasterz wsparł się o drzewo,

Patrzył w prawo, to w lewo,
I poszedł za dziewczyną.

„Trudno się gniewać na nią, —
Rzekł — „jest w tém prawdy trocha.
Gdybym wiedział, że kocha,
Pewnobym nie szedł za nią.

1824.

ANTIDOTUM.

BARTOSZ I GRZELA.

BARTOSZ.

Cóż to znów za kaprys, Grzelo?
Wieść się po wiosce roznosi,
Żeś się ty rozkochał w Zosi,
A cóż to będzie z Anielą?...

GRZELA..

Mniejsza o nią!

BARTOSZ

Jakto mniejsza?

Tyś ją przecie kochał stale.
Zosia piękna, prawda! ale
Od Anieli nie piękniejsza.

GRZELA.

Milsza dobroć niżli wdzięki!
Prawda, żeś kochał Anielę,
Żem się dla niej tracił wiele,
Wiele znosił prac i męki.

Cóż ztąd? wszystko nadaremnie.
Przez całe półtora roka,
Jakby od jakiego smoka,
Zawsze ucieka ode mnie.

Czy tak? rzekłem sam do siebie:
Patrzcie ją! wielka figura!
Znajdę sobie drugą, która
Będzie łaskawszą od ciebie!—

Toć i Zosia, wszyscy wiecie,
Nie zwodnica, ani płocha.
Ależ człowiek czuje przecie
Że dziewczynę, nie głąz kocha.

To téż nie długo posiedzi.
Dziś niosę na zapowiedzi,
A za dwie, da Bóg, niedziele,
Proszę ciebie na wesele.

BARTOSZ.

Na wesele?... Cha cha, cha cha!
Tego tośmy nie wiedzieli! —
Nie żalże tobie Anieli,
Jak ona pójdzie za Stacha?

GRZELA.

Niech idzie! szczęśliwa droga!
Dalibóg nie będę szlochać.
Gdy która nazbyt już sroga,
Nie można długo jój kochać.

PERFEKCJA.

AN I BEN.

AN.

Eureka! znalazłem przecie
Perfekeyą na tym świecie!

BEN.

Gdzie? w kim?

AN.

W Fani.

BEN.

Któż to mówi?

AN.

Ja i ona.

BEN.

Ona sama?

AN.

Tak! i to jest co stanowi
Grunt rzeczy.

BEN.

A drudzy?

AN.

Mama

Milczy—ale się uśmiecha.
Nie dziw, matczyzna pociecha!
Siostra tylko kiwa główką —
A więc znak, że potakuje,
Gdy ja co krok i co słówko
Perfekcją admiruję.

Bo naprzód—co za moc ducha!
Niech jój kto chce, co chce mówi,
Ona w niczém nie posłucha,
Zrobi to, co postanowi.

A przytém jak pracowita!
Co za umysł czynny, rączy!
Dziesięć robót na raz chwyta—
Co już za nią siostra kończy.

A co za gust! artyzm czysty!
Mistrze pędzla genialni
Mniej warci miana artysty,
Niż ona przy gotowalni!

Cóż że Mama czasem gderze,
Siostra żarcikami strzela?...
Patrz! gdy się już raz ubierze,
W kąć aniołki Rafaela!

A taż baczoś, ta otwartoś,
Z jaką sama siebie bada,
I tak sama swoję wartoś
Czuje, widzi, opowiada!...

Co? zoilu! ty się śmiejesz?—
Pójdź więc, obacz! gdy masz śmiałoś.
Bo ostrzegam, że zgłupiejesz
Obaczywszy doskonałoś!—

WĄTPLIWOŚĆ.

Kto mi powie, kto odgadnie,
W głębi ocznych zwierciadełek
Co u dziewcząt siedzi na dnie:
Czy aniołek, czy djabełek?

Bo że siedzi, nie wiem co to,
Jakieś chłopię bez skrzydełek,
Widzi każdy—lecz rzecz o to:
Czy aniołek, czy djabełek?

Bo raz na cię tak z pod powiek
Sypnie rajskich rój światełek,
Że choć przysiądz gotów człowiek:
Że to seraf, nie djabełek.

A wtém znowu tak cię kolnie
Wzrok, jak gdyby ostrz igiełek,
Że aż krzykniesz mimowolnie:
„Ach! to szatan, nie djabełek!”

I ztąd wiecznie świat się biedzi
Jak rozwiązać ten węzełek,
Co w panińskich oczkach siedzi:
Czy aniołek, czy djabełek?

W O A L K A.

„Nienawidzę twój woalki!..
Mówił Janek do Johalki;
„Nie dość, że czerni jak sadza,
„Że zawadza—jeszcze zdradza!

„Coś ty winna, że jój zwoje
„Przylegają na twarz twoję?
„Com ja winien, że na wietrze
„O twarz moję się obetrze?

„A niechże obaczą starzy
„Ślad jój na obojga twarzy—
„Kto wie, coby się im śniło!..
„Ach! i żebyż prawdą było!...

„Lecz w tój przeklętój woalce
„Płaczą się usta i palce,
„A potém tylko wzajemnie
„Raki piec musim—daremnie!“

M O T Y L.

DO Z. P.

(Przy posłaniu igielniczka w kształcie motyla).

Jestem sobie motyl — ale żadna pszczołka
Nie kocha tak kwiatków, od róż do fijołka.
Tylko że z nich zaraz pszczołka egoistka
Chce słodycz i korzyść ssać z każdego listka;
A ja sobie motyl, nie wzajem nie żądam,
Dość mi téj pociechy, że na nie spoglądam,
I niczego więcej nie chcę na ostatku,
Jak usiąść i spocząć przy najmiłszym kwiatku.

Jestem jak amorek; — u obu skrzydełek.
Jak strzały w kołczanie, mam paczki igiełek.
Nie by, jak on, niemi ranić serca czyje —
Szukam tylko, kto ich najlepiej użyje.

Znam ja wprawdzie rączki, jak to mówią, złote,
Co wciąż jakąś świętą piastują robotę.
Cóż więc za dziw, że się chciałbym do nich dostać?
Wszak być ze świętymi, jest to świętym zostać.

Biada tylko, biada! Że się boję, czy mię
Ten najmiłszy kwiatek z łaskawością przyjmie?
Czy mój dar ta rączka pracą swą uświęci?
Czy się nie wykolę przez to z Jój pamięci?...

Strach mi! Ale darmo! — Spróbuję! — Więc lecę. —
A jeśli mię w swojej zatrzyma opiece,
Ja, chociaż sam motyl, Jój myślom codziennym
O Jój przyjacielu przypomnę niezmiennym.

DZIEWCZĘ I GOŁĄB.

Ach! ty mój miły,
Ach! ty mój mały,
Ach! ty niewdzięczny
Gołąbku biały!

Gdybym tak chciała
Całować kogo,
Czyżby z rąk moich
Rwał się tak z trwogą?

I mnież to przyszło
Żądać daremnie,
By mnie ktoś raczył
Kochać wzajemnie?

A przecież czuję,
Choć mną tak gardzi,
Że go z dnia na dzień
Kocham tém bardziej.—

Czyż i od ludzi,
Jak od gołębia,
Tak obojętność
Serc nie oziębia?—

O! o! po nici
Dochodzę kłębka.
Toć i ja będę
Brać wzór z gołąbka.

Im który tkliwiój,
Tém ja z nim hardziój;
Aż będzie musiał
Kochać tém bardziój!

Lecz niechże zgadnie,
Komu dokuczę,
Że się srogości
Z gołąbka uczę.

ZAJĄC.

(MARZENIE PANIENKI).

Widziałam dziś zająca,
Wpoprzek przebiegł mi drogę.
Zły prognostyk! — do końca
W myślach trafić nie mogę.

Cheć i czuję, że muszę
Modlić się — a gdy klękam,
Tak coś rozrywa duszę,
Tak się wszystkiego lękam! —

Ach! słuszną, słuszną twoga!
Gdy myśl moja niechęca,
Zamiast wzniesić się do Boga.
Goni tylko zająca. —

Biednyż bo on, ach! biedny!
Psów, strzelców, ani zliczy! —
Lecz co to ten za jedny,
Co wiódł charty na smyczy?

Jaka dobroć w uśmiechu!
Jaka słodycz w spójrzeniu! —
Czyż on może bez grzechu
Tak chcieć szkodzić stworzeniu?

Co im zrobić mógł złego
Ten niewinny zajaczek?
Czy że w polach którego
Grochu może zjadł strączek?..

Ach! daj Boże, daj Boże!
By im uszedł ten zajac! —
Lecz czyż jeździec nie może
Upaść z konia ścigając?...

Rola taka chropawa,
Daléj bagno i rowy!.. —
Co za głupia zabawa
U tych mężczyzn te łowy!

Powiem to mu dziś sama,
Jak przyjedzie z sąsiadem.
Wszak obiecał — i mama
Czeka obu z obiadem.

Ale nuż im wstyd będzie
Wracać z niczém na smyczy?
Nuż nie zechcą w zapędzie
Nowej szukać zdobyczy?...

Niechby już może lepij! . . .
Ach! nie! Boże jedyny!
Co za myśl się mnie czepi?
Strzeż mię, Panie, od winy!

Ratuj tego zająca,
I mnie wspieraj niebogę!
Bo już sama do końca
W myślach trafić nie mogę! --

1859.

PRZESZKODY.

(Z KOERNERA).

Sami wiecie, jestem młody,
Krew gorąca bieży we mnie;
Kocham Józję, cud urody,
Ona mnie kocha wzajemnie.
Wiém to z twarzy, z ócz wyrazu.
Ale nié ma co winszować!
Dotąd jeszcze ani razu
Nie mogłem jój pocałować.

I.

Raz jeszcze przed słońca wschodem,
Ujrzałem ją za ogrodem,
Jak śpiewając, z sierpem w ręku,
Szła do żniwa pomaleńku.
Przyskoczyłem śmiało, żwawo,
W pół objąłem ręką prawą;
Tak mi było
Słodko, miło,

Taką radość w sercu czułem!...
Chciałem pogłodzić gorsecik...
Wtém się tak szpilką ukłółem,
Co był przypięty bukiecik!...
Krew trysnęła, ja uciekłem,
I całusa się wyrzekłem.

II.

Raz w południe, koło wody,
Strzegąc wspólnie wspólnej trzody,
Rzekłem: „Słońce zbyt dogrzewa,
Pójdźmy spocząć w cieniu drzewa!“ —
I poszliśmy pod cień drzewa,
Gdzie chłodniejszy wiatr przewiewa;
I usiadłszy tam koło niej,
Okło w okło, dłoń we dłoń,
Pocałunek już był blisko!...

Aż wtém jakieś straszne psisko,
Jak wypadnie na mnie z lasu,
Jak nie narobi hałasu!...
Zląkłem się, co tchu uciekłem,
I całusa się wyrzekłem.

III.

Raz o zachodowej dobie,
W progu chatki siadłem sobie.
Ona z tyłu za mną stała,
Rączkę białą mi podała:

Ja za rączkę białą wziąłem,
I do piersi przyciągnąłem.
Już się była
Nachyliła,
Jużbym pewnie pocałował!...
Gdy wtém z krzykiem nagle z chaty
Jak wyskoczy dziad brodaty,
Co nas dawno już szpiegował;
Ją do chaty zapakował,
A mnie myślał kijem obić.—
Nie było już tu co robić.
Co tchu do domu uciekłem,
I całusa się wyrzekłem.

IV.

Wczoraj wszedłszy pokryjomu
Zostałem ją samą w domu;
Nudzila się po mnie biedna.
„Dzisiaj będę sama jedna,
„Okna moje na podwórze,
„Czekam ciebie o wieczorze.“—

I przyszedłem o wieczorze,
Pod okienko na podwórze,
I drabinkę przystawiłem,
I już blisko okna byłem...
A wtém średnie szczeble pękły,
I jam zleciał.—Zbity, zlekły,
Jęcząc do domu uciekłem.
I całusa się wyrzekłem.

Smutneż teraz serce moje!
Za pokutę, zda się, stoję
Na gorącym kamieniu.
Gdy mię słyzy a żałuje,
Niech choć która pocałuje,
Na osłodę w cierpieniu!

1822.

ANTI-PRZESZKODY.

Sami wiecie me przygody,
Czyż niesłuszny był mój smutek?
Lecz po dżdżach idą pogody,
Po przeszkodach nadszedł skutek.
Chcecie wiedzieć jak? co?—zgoda!
Wszak w tém złego nikt nie szuka:
A gdy serce, gdy myśl młoda,
Takie dzieje—to nauka!

I.

Raz o samym słońca wschodzie,
W kroplejących drzewek chłodzie,
O dłoń twarzą zadumaną,
Łokciem wsparty o kolano,
Siedziałem i rozmyślałem,
Co mam cierpieć, co cierpiałem.
O przygodach moich smutnych,
O pasterkach zbyt okrutnych:
Jak niejedna młoda, ładna,
Z dziejów mojego cierpienia

Rada śmiać się, ale żadna
Ani blisko do ulżenia.
„O! rozpaczy! o! boleści!“
I westchnąłem z głębi łona.

Wtém coś lekko zaszeleści,
Spójrzę, — przebóg! ach! to ona!
Pastereczka moja młoda.
Co za wdzięk! co za uroda!
W bielszój od śniegu sukience,
Sierp na ramieniu, kosz w ręce,
Szła — pewno znowu do żniwa.
Lecz idzie zwolna, nie śpiewa;
Melancholijny obłoczek
Przygasza blaski jój oczek;
Twarz ku ziemi schyla skromnie,
Znać że smutna — pewno po mnie!

Nie już śmiało, nie już żwawo.
Nie wesoło, jak uprzednio,
Lecz ze drżeniem, lecz z obawą,
Lecz smutny stanąłem przed nią.
Postrzegłszy, wstrzymała kroku.
Śmiech na ustach, łza na oku,
Twarz jój cała
Ogniem pała,
Chce coś mówić, lecz nie śmiała.
I jam się strasznie zapłonał...

Wtém na szczęście wiatr powionął,
I zwieszoną od niechcienia
Zwiał chusteczkę z jój ramienia,

A gdy śpiesznie znów je chroni,
Koszyk jakoś wypadł z dłoni.

Poskoczywszy zatém do niéj,
Śmiało, żwawo, kosz podjąłem,
Rączkę białą zlekka wzięłem,
I poprawiłem troszeczkę
Zwianą w nieładzie chusteczkę,
A gdy wietrzyk znów swawoli,
Przycisnąłem ją powoli.

Tak mi było

Słodko, miło,

Tak się w głowie zakręciło,

Że sam siebie zapomniałem.

I pół w szale, pół w zapale,

Nie pamiętam już jak — ale,

Dość, że ją pocałowałem.

II.

Raz w południe, koło wody,
Strzegąc wspólnie wspólnéj trzody,
Patrzym—chmura, wiatr, ulewa!

Ani chatki, ani drzewa!—

Wtém ona z uśmiechem do mnie:

„Chodź tu, miły, stań koło mnie!

Ja rozwinę chustkę moję,

Okryjemy się oboje.“—

I rozwiła chustkę swoję,

Okryliśmy się oboje.

Niech deszcz leje,

Niech wiatr wieje!

Co mi słota?, co mi burza?
Gromy zniósłbym sercem śmiałym.
Bo gdy oczki na deszcz zmruża,
Ja ją znów pocałowałem.

III.

Raz już o zachodnim chłodku,
Zastałem ją w jój ogródku,
Jak w młodych rówiennie kole,
Gdzie cień łączą dwie topole,
Z kwiatów sobie strój układa,
Na dożynki do sąsiada.

O! jak piękna! Ja, co prawie
Codzień we śnie i na jawie
Tęskny wzrok jój wdziękiem pieścę:
Klnę się i duszą i ciałem,
Ani jój tak ładną jeszcze,
Ni jój równój nie widziałem! .

Wtém ona z minką przyjemną:
„Nie prawdaż? wszak pójdiesz ze mną
Na dożynki do sąsiada?“ —
— „Bardzo chętnie.“ — „Jakżem rada!
Jakżem wdzięczna! Ale przecie
Musisz téż być przy bukicie.
Wybierz więc dla siebie kwiatek.
Co chcesz? różę, narcyz, bratek?“ —
— „Co bądź.“ — „Cóż tak obojętnie?
Co chcesz?“ — „Różę.“ — „Bardzo chętnie!

Chodźże ze mną! sama tobie
Z najpiękniejszych bukiet zrobię.
Wieniec mój siostrzyczki skończą.“—
To rzekłszy, pobiegła rączo,
Gdzie w pełnej rozwity krasie,
Krzew róż oczy wabił na się.

Szedłem za nią:— a już ona,
Z uśmiechem zarumieniona,
Obwinąwszy dłoń sukienką,
Cierniste gałązki zgina,
I zerwany własną ręką
Kwiat do mych piersi przypina.

Spójrzę— sama istny pączek!...
Więc wzruszony, zachwycony,
Skorzystałem z zajęć rączek....
Ustka były bez obrony.

IV.

Wczoraj wszedłszy pokryjomu,
Zastałem ją samą w domu.
Zmierzech już zapadał, a ona,
O stół wsparta, zamysłona,
Kręcąc gałązkę rezedy,
Patrzy, jak kiedy niekiedy,
Miła sercu, miła oku,
Księżycowa światłość blada,
Wypłynąwszy z za obłoku,
Pełnym blaskiem w okna wpada.

Usiadłem przy niej, a razem,
Lubiej przeszłości obrazem
Pojąc i serca i myśli,
Nie pomnę, jakieśmy przyszli
Na rozmowę o tej chwili,
Gdy nas przyjaciele mili
Sierotami zostawili!—

A gdy w tkliwém rozrzewnieniu,
Wspartej na mojem ramieniu
Zwolna zbytnią załość koję,
I troskliwe, z drzeniem w ręku,
Rzewnych łez ocieram zdroje,
W których, przydając jej wdzięku,
Lśnił się blady blask księżycy:
Zbliżyłem lice do lica,
I z łez jej, z czcią i zapałem,
Niebieską słodycz wyssałem. —

Odtąd, jak druga natura
Wstąpiła we mnie, i czuję,
Że choćby mnie chciała która,
Ja żadnej nie pocałuję.

CHOCHLIK. *)

Jestem sobie chochlik — kogo mogę, zwodzę,
Kogo mogę, drażnię; nikomu nie szkodzę.
Nikogo nie kocham, ni téż nienawidzę,
Choć mnie nikt nie widzi, ja co zechcę widzę,
Gdzie chcę, tu i tam,
Jak chcę, wejdę sam.
Tram, ta ram, tam, tam!

Lubię bardzo biegać w lecie nad jeziorem,
Szukam gdzie dziewczęta kąpią się wieczorem.
Lubię, jak się śmiejąc jedna drugiej wstydzi,
Jak się oglądają, czy kto z kądem nie widzi.
A ja sobie sam
Pływam wśród tych dam.
Tram, ta ram, tam, tam!

*) Djablik figlarny, pod tém nazwiskiem znany w baśniach gminnych.

Zamienię się w rybkę, koło nówek płasam;
Śmiech mi, jak się boją, myśląc że je kąsam.
Zamienię się w muszkę, koło ust wzlatuję;
Śmieją się, bo myślą, że je ktoś całuje.

Lecz ja tylko sam

Taką wolność mam.

Tram, ta ram, tam, tam!

Lubię także w nocy, przy świetle księżycy,
Siedzieć przy nich śpiących, patrzeć na ich lica.
Czy która choć przez sen, ciekawość mię bierze,
Uśmiechnie się, westchnie, lub powie coś szczerze?

Bo na jawie, znam,

Że to wszystko kłam.

Tram, ta ram, tam, tam!

Gdy ujrzę kochanka, że się we snach marzy,
Przyprawię mu brodę, odmienię coś w twarzy;
Śmiech mi, gdy się dziwią; żal, gdy którą strwożę,
Że aż płakać zacznie, gdy poznać nie może.

Natychmiast go sam

Znów jój poznać dam.

Tram, ta ram, tam, tam!

Lubię ja też, lubię, gotówbym co rano
Widzieć młodą, ładną, jeszcze nie ubraną;
Drażnić się z nią wtenczas, to mi to pociecha,
Gdy się przed zwierciadłem stroi i uśmiecha,

A ja sobie sam

W gotowalnię gram.

Tram, ta ram, tam, tam!

Bylem chciał, strój każdy—choć jej wszystko pięknie,
Tak wnet nie do twarzy, aż się sama złąknie.
Zapłacę się w warkocz, a gdy niecierpliwa,
Póty nie rozplątam, aż się nie przegniéwa,
I grzebieniem sam
Zrobię za to szram.
Tram, ta ram, tam, tam!

O! i w ich serduszku jestem ja jak w domu,
Lecz co się w niém dzieje, nie powiem nikomu.
Nie chcę, by im zaraz pochlebcy gadali:
A! to chochlik kłamie! a! to się sam chwali!“
Dość, że się ja sam
Za lepszego mam.
Tram, ta ram, tam, tam!

ANAKREONTYK.

Skarzył się Kupid Wenerze:
„Jak mi nudno, moja mammo!
Czy w Olimpie, czy w Cyterze,
Jak to samo, tak to samo.

„Noc po dniu idzie zwyczajnie. —
Jak ten dziadunio ¹⁾ niegrzeczny!
Wszystko robi jednostajnie,
Przez jakiś porządek wieczny.

„Mamo! wszak gwiazdek tysiące
Kraży pod twoim rozkazem;
Wskaż mi jaką, gdzieby słońce
I noc była zawsze razem.“ —

Gdy tak z przymileniem prosi,
Tkliwa się matka wzruszyła,

¹⁾ Jowisz.

I w niebieskich oczkach Zosi
Mieszkanie mu naznaczyła.

Na tle nocnego błękitu,
Blask w nich słoneczny jaśnieje.
Tam Miłość, rada z pobytu,
Zawsze się bawi i śmieje.

1823.

WIERSZ NA PAROSTATKU.

(W imienniku CELINY S...)

Wre, szumi, huczy—para wybucha,
Dzwonek zadzwonił—parochód płynie.
Chciwie na morskie patrząc głębinie,
Myślę o pięknej Pannie Celinie—
To jest, o wierszach do jój sztambucha.

O! wszystkie Muzy! o! Appollinie!
Dziś, dziś wieszczego dajcie mi ducha!
Niech jak z wód perła, z serca wypłynie
Rym, coby pięknej Pannie Celinie
Lśnił, jako perła, z kart jój sztambucha!

Lecz się kapryszą piękne Boginie,
I dumny Febus prośb mych nie słuca. —
A tyż tu po co?—Znam cię po minie!
Tak patrzysz z oczu Pannie Celinie,
Tak mierzysz z piérwszój kartki sztambucha! ¹⁾.

¹⁾ Rysunek Orłowskiego.

Stój, stój! nie strzelaj! — Grot twój nie minie,
A wiész, że ranny gołąb nie grucha.
Precz! Ja dziś muszę myśleć jedynie—
O! nie o pięknej Pannie Celinie,
Ale o wierszach do jój sztambucha!

Bo jutro w drogę! — w świat, nie w pustynie—
Zkąd więc ta w sercu tęsknota głucha?—
Tam się duch wzniesie, tam myśl rozwinie!...
Tak!... a myśl o mnie w Pannie Celinie
Zniknie, jak wiersz mój na dnie sztambucha!

Lecz ja!... czy pójdę, gdzie Dunaj płynie,
Gdzie Mont-Blanc krzepnie, lub Wezuw bucha:
Ilekróć serce na Północ skinie,
Pamięć o pięknej Pannie Celinie
Północną Zorzą załśni dla ducha.

1829, w Petersburgu.

ECHO W ALPACH.

(W imienniku HENRYETY A., z powodu tłómaczenia przez nią
po włosku jednych wierszy Autora).

Alpejski pasterz gdy pieśń nieuczoną
Na prostym flecie zanóci:
Wiatry jój dźwiękiem po dolinach wioną,
Aż z gór dalekich, cichszą, złagodzoną,
Echo ku niemu powróci.

Brzmiący z powietrza ton, chociaż znajomy,
Tyle nowego ma wdzięku,
Iż mu się zdaje: Anioł niewidomy,
Nad skał dzikiemi przelatując złomy,
Głos swój przyłączył do dźwięku.

„Mojaż to piosnka? czy echo mię ludzi?“
Zawoła pasterz z pociechą.
„O! niech mych pieśni nie słyszy nikt z ludzi!
„Niech tylko każda—niech jedna obudzi
„Raz jeszcze lube tak echo!“—

1830, w Genewie.

W IMIENNIKACH.

I.

Gdybym ja miał, gdybym ja miał, piękne twe oczy!
Z których, jak przez gwiazdeczkę,
Gdy mrugając jaśnieje,
Jak aniołek duszeczka,
Patrzy się i śmieje.
Ach! twoje piękne oczy!

Gdybym ja miał, gdybym ja miał, uśmiech uroczy!
Co wszystkim słowom twoim,
Naksztalt raję strażnika,
Razem, jak usta twoje,
Wszystkich serca odmyka:
Ach! twój uśmiech uroczy!

Nie trwoniłbym chwil drogich daleko od ciebie,
By tém pismem twą pamięć zapewnić dla siebie,
Tylko patrząc na ciebie, wciążbym się uśmiechał.
A wtenczas wiem, że choćbym za kraj świat pojechał,
Poszłyby za mną wszędzie twe tęskne wspomnienia,
Żal takiego uśmiechu, takiego spójżenia! —

II.

Wdzięk lica, uśmiech uroczy,
Blask niewinności dziecięcej,
Z duszy świecący przez oczy,
Bóg ci dał. — Czegóż chceć więcej?

Za wzór cię stawią rodzice,
Po cichu wielbią młodzieńcy,
Jak siostrę lubią dziewice. —
Czegóż od świata chceć więcej?

Tylko za tyle łask Nieba
Dziękuj mu coraz goręcej,
A ono wie już coć trzeba,
I samo kiedyś da więcej.

1858.

III.

Zwiesz mię Pani wesołym, i grozisz niewiarą,
Jeślibym się poważyl nie zgodzić w tém z Panią.
Oby grożąca była sprawiedliwą karą,
Lub szczerosć nie kazała narażać się na nią!

Lecz wesołość, jak szczęście, nie jest w naszej
mocy.

Pani mię tylko swoim oglądasz spójrzeniem.
A cóż za dziw, że słońce nie widziało nocy,
Gdy ją samo za pierwszym rozprasza promieniem?

1829.

DO P. G...

OD PRACOWNIKÓW W DRUKARNI.

W dniu 26 Stycznia 1873 roku.

Kaszty, prassy, i zecerzy,
Wszystko dzisiaj w ruchu,
By wyrazić, co najszczerzej
Každy czuje w duchu.

Cześć, i wdzięczność, i życzliwość
Dla Orędownika,
Co miłość i sprawiedliwość
Ma dla robotnika.

Co wkrąg pracę młodszych braci
Budząc i jednocząc,
Nie sam siebie z niej bogaci,
By mógł bez niej spocząć.

Lecz jak słońce, gdy na niebie
Życie wkrąg rozlewa,
Nic nie szuka ztąd dla siebie,
Co pod niém dojrzewa;

Lecz jak wódz, co sam na przedzie,
Na śmierć i na blizny
Idąc pierwszy, huf swój wiedzie
Na służbę ojczyzny;

Tak na każdym polu pracy
On sam w nią się wciela,
By zeń mogli brać rodacy
Wzór obywatela.

B A J K I.

I

Szlafroczek i suknia balowa.

Na bal wyjeżdżała panienska.
Jak z mgły rannój lekka sukienka,
Strój cały, jak słońcem promienny.
W kął rzuciła szlafroczek codzienny.

Nie tego się biedak spodziewał!
On ją tak odziewał, ogrzewał,
Tak lgnął do niój, tak miękko ją tulił! —
Strasznie się nieborak rozczulił,
Łzy nań w plamach wybiły od żalu.

A panienska tymczasem na balu,
Cała w gazach, jak ptaszek w obłokach,
Jak on zda się ulatać w podskokach.
Młodzież się dobija jój ręki;
Widzi, czuje, jak wielbią jój wdzięki,
Słyszy nawet pochwały sukienki!...

Ona sama nie spuszcza z niój oka.
Taka długa, i taka szeroka!
A co spójrzy w zwierciadło, to czuje,
Że jak siebie, tak ją admiruje.

A szlafroczek tymczasem jak cudzy
Leży w kącie. — Bez państwa, i słudzy
Wyszli z domu; — a w pośród téj ciszy,
Hajże pace. i szczury, i myszy,
Hulać po nim! — Nie uszedł ich oczek
Rzucony na ziemię szlafroczek,
Ciepły, gładki, mięciuchny — więc łatwy
Do zgryzienia na gniazdo dla dziatwy.
Nuż więc gryźć, wszystkie razem wespoły,
Ten rękawy, ten stanik, ten poły.
Nikt nie broni — zimowa noc wielka.
Ze szlafroczka została frendzelka.

A panience na balu tak błogo!
Mazurkuje. — Wtém tancerz jęj nogą
Jak przytupnie kraj sukni — niestety!
Oddał pas. wszecz przez całe dwa brety.

Ot ei suknia z ogonem! ot skutki! —
„O! bodajto szlafroczek mój krótki!“
Pomyślała: — lecz z małą fatygą,
Złe się dało naprawić fastrygą.

Wnoszą lody; — chce wziąć, lecz się strzeże.
Zgadli myśl dwaj uprzejmi tancerze,
I na wyścig do jednéj posługi
Nuż wskok razem! Wtém jeden o drugi
Spodek jakoś w ich ręku jak stuknie,
Lody z obu wypadły na suknię. —
„Ach!“ — z przestraczem krzyknęły wkrąg damy.
Ale mniejsza o przestracz — lecz plamy!

Cheiano zamyć — lecz zachód daremny! —
„O! bodajto szlafroczek mój ciemny!“
Myśli znów, połykając łzy żalu.
Boć już z plamą nie tańczyć na balu!
A bal grzmi — chwila jeszcze nie późna —
Ach! a trzeba wracać! —

Noc mroźna.

Łzy na twarzy i ręce zakrzepły.
„O! kochany szlafroczku mój ciepły!
„Jak cię włożę!“... — i nagle pociecha
Już się w myśli przez łzy jój uśmiecha.
Nie przeczuwa, jak straszny cios nowy! —

Strój co prędkiej zrzuciła balowy,
O szlafroczek swój pyta, posyła —
Zapomniała, że w kąć go rzuciła.
Szuka sama. — „Szlafroczku mój! gdzie ty?“ —

Wtém postrzegła, porwała — niestety!
Cóż zeń? same dziury a szmatki! —
Tu już w płacz... i ze skrucą do matki. —

Matka mądra — nie łaje, nie fuka.
Rzekła tylko: „Niechże nauka,
„Dziecię moje! przyjdzie ci ztąd,
„Byś nigdy w kąć
„Nie rzucała płocho, dla nowych
„Ponęt lub uroków światowych,
„Cnót rodzinnych, przyjaciół domowych“.

Brys i Dziewczę.

Dziewczę karmiło brysia, chleb maczając w mleku.
„Ostróżnie!“ — ojciec z boku krzyknął na Elizę.
A brys warknąwszy na to: „Nie bój się, człowieku!
Ręki, co mi chleb daje, ja pies nie ugryzę.

Suknie ogonne.

Klnie mąż suknie ogonne, że kosztują drogo;
Klną przechodnie, w ich fałdy płatając się nogą.
Klną je, z kurzu i błota oczyszczając sługi;
A mimo tych klątw, ogon jak długi, tak długi.
„W tém już — rzekł ktoś — jak w pawiu natura
[snać działa.
„Paw ma ogon tak duży — bo główka tak mała.“ —

S ł o n e c z n i k .

Słonecznik, że go ludzie tak od słońca zową,
Mniemał się być co najmniej gwiazdą ogrodową,
I sam swoje zalety wymieniając w kolej,
Liczył: wzrost, kształt, blask kwiatu, mnogość ziarn,
[i olej.
„Z tém się nie chwał — rzekł człowiek — aż obaczym
[w prasie,
„Czyś dojrzał — i czy olej z ziarn wycisnąć da się.

Pająk i Jedwabnik.

„Kto mędrszy?“ zagadł pająk jedwabnika, który
Snuł swą nić obok niego. — „O to się nie spieram,
Rzekł jedwabnik. — „Wiém tylko, żem innéj natury.
„Ty w swą przędzę łup chwytasz, ja w méj sam umie-
ram.

„Ale tkan z mojej przędzy jest ozdobą świata,
„Twoję, każdy precz z domu jako brud wymiata.“ —
Z skutków niech sądzi rozum, serce i sumienie,
Co jest mędrsze: Egoizm, czyli Poświęcenie?“

Ślimak i Glista.

„Ach! jak ciężko, jak ciężko!“ rzekł ślimak, na
grzbiecie
Dźwigając swą skorupę i pełznąć tuż z glistą.
A ona: „Twój to własny ciężar tak cię gniecie.“
A ja dodam: że twój to obraz, egoisto!
Dusza twoja — to ślimak; wieczna myśl o sobie,
To skorupa, co dźwigasz; co tak cięży tobie.“

Ogień, Woda i Para.

Woda z ogniem wiadomo w jakiej żyją zgodzie.
Raz, gdy się ognia zgasić nie udało wodzie,
Wybuchł w pożar; i wzajem poprzysiągł za karę
Zniszczyć wodę. — Nie zniszczył, lecz zamienił w parę.
Woda zaś w nowym kształcie poczuwszy swe siły,
Poruszyła machiny, co pożar zgasiły. —

Skrzypce i Muzyk.

Muzyk nastrajał skrzypce. „Co nas tak musztrujesz?“
Ofuknęły: „Pozrywasz i kółki i stróny.“ —

A mistrz: „Milcz, głupie drewno! jeżeli nie czujesz,
„Że tylko wyższy nastrój daje czystsze tony.”—
Bajeczkę tę przypomnieć czasem nie zawadzi,
Gdy się kogo poeta o swe wiersze radzi.

Kuglarz i Cieleę.

„Ósmy cud świata!“ wołał kuglarz na jarmarku:
„Żywe cieleę, ze trzema głowami na karku!
„Daj piątkę, a obaczysz!“—Lud zewsząd się kwapił,
A Organista patrząc na tłum, co się gapił,
Rzeczce; „Jać bez szeląga pokażę wam więcéj:
„Patrzcie na siebie samych!—toć stugłów cieleęcy!“—

Pani Błazen.

Pan poważny miał błazna, którym tak się chlubił,
Widząc, jak gości jego rozśmieszał lub drażnił,
Że powtarzając ciągle żarty, co w nim lubił,
Ani spostrzegł, jak w oczach drugich sam się zbłaźnił.
Tego pana, filozof mógłby nazwać typem
Rozumu, co się nazbyt chełpi swym dowcipem.

Dziad i Wnuk.

Rozmowa szła o duchach. Filozof niemiecki,
Dwudziestoletni mędrzec uniwersytecki,
Wbrew dziadka, co w nie wierzył, rzekł z dumą:
„Półgłówki
„Wierzą dziś chyba w djabły, steły i ołówki.“ —

Dziadek spójrzał na wnuka i rzecze: „Mój drogi!
„Jać nie wierzę ni w biret, ni w stołowe nogi,
„Lecz się nie wstydzę wierzyć, w co wierzyli Święci,
„Że czart, jeśli nie w stołach, to w łbach mędrków kręci.

B a r a n y.

Baran gorzej niż kozieł uparł się, gdy Janek
Ciągnął go w chlew za rogi. Tójże chwili w bramę
Wjeżdżał kwestarz — za którym, jak jeden baranek
Stado owiec, gdzie skinął, ruszało się same.
Pan się dziwił, a kwestarz: „Nie dziw się, sąsiedzie!
„Tam pastuch ciągnie gwałtem, tu baran rej wiedzie.“

C i e l ą t k a.

Cielątka na pastwisko wypuszczone wiosną,
Nuż hulać, wybrykiwać, i skakać po dworze.
Tak im lekko, tak rzeźwo, swobodnie, radośno! —
A wtém widzą — tu doją krowę, tam wół orze.
„Ach, ach! czyż to i z nami tak kiedyś być może?“ —
— „Nie będzie! niechno tylko rogi nam porosną!“ —
Rzekł byczek czerwoniawy i z główką pstrokatą.
„Pokażem gospodarzom!...“ — A gospodarz na to:
„Cicho! żal mi cię, byczku! — Wprawdzie mam nadzieję
„Że nim rogi wyrosną, mózg ci wprzód dojrzeje.
„Bo inaczej, musiałbyś doznać na ostatek,
„Że nie chcąc iść do pługą, trzeba iść do jatek.“

Słowik i Skowronek.

Skowronek, śpiewak ranku, z śpiewakiem wieczoru,
Ze słowikiem, wespółzaszli: ktoz nich więcej czuje?—

„Wstydzicie się“ — rzekł przechodzień— „człowieczego
[sporu!

„Mistrz-śpiewak, brata w pieśni, jako brat miłuje.

„A wyście obaj mistrze wiosennego chóru:

„Skowronek z dnia się cieszy, słowik dnia żałuje.—

„Niech się kłóci szpak z szpakiem — jak dziennik
[z dziennikiem,

„Nie poeta-skowronek, z poetą-słowikiem.“

Fajerwerk i Lampa.

Na rynku fajerwerk grzmi, błyszczy i gore,

W kościele lśni lampka maleńka.

I któżby tę lampkę mógł równać w tę porę

Do racy, co w gwiazdy rozpęka?

Lecz fajerwerk spłonął — i cóż zeń zostało?

Woń siarki, i dymy duszące.

A z lampki w kościele, dzień po dniu, roztała

Kadzideł i gromnic tysiące.—

Jak fajerwerk w świecie namiętność i pycha

Grzmi, iskrzy — i w dym się rozwiewa.

A Prawda w Zakonie tli skromna i cicha,

Lecz światło i życie rozlewa.

PIOSNKI LITEWSKIE.

(Z LITEWSKIEGO).

I.

„Czegoś taki smutny,
Koniu mój kochany?
Czemu nie jész owsa,
Owies podsiewany?

„Czemu nie cheesz wody,
Koniu mój kochany?
Czy że woda mętna,
Czyś ty zmordowany?

„Dwieście mil nie żarty,
Dzień, noc, bez popasu!
Za toż spocząć w domu
Będzie dosyć czasu.

„Dobrze, nie jédz, nie pij!
Moja żona młoda
Sama ci dziś owsa,
Sama wody poda.

„Nim słońeczko zgaśnie,
Musim stanąć w domu.
Dalej wpław przez rzekę!
Długo czekać promu.

„Dziesięć szerszych, głębszych,
Mogliśmy przepłynąć;
Ta wążka i cicha,
Nie już nam tu zginąć?“—

Wyskoczył koniczek
Z mętnej, cichej wody...
Stoi, rzy żałośnie —
Utonął pan młody.

II.

„Dziś Litewski miód pijemy,
Jutro na wojnę pójdziemy,
W Węgierskie kraje.
Tam wina, jak u nas wody,
Złote jabłka i jagody,
Sady, jak raje.“—

— „No i cóż tam zrobimy
W tej Węgierskiej ziemi?“—
— „Ze złota miasto wystawim,
Za okienka gwiazdy wprawim,
Tém się zabawim.“—

— „No, a kiedyż wrócimy
Z téj Węgierskiej ziemi?“—
— „Jak na skałach zrodzi zboże,
Jak na śniegu wzejdą róże,
Jak wyschnie morze.“—

III.

„Czegoś smutny, ojeze stary?“
— „Wyprawiłem syna mego,
Wyprawiłem na Tatary
Syna mego jedynego.
Wąs mu jeszcze nie wypłynął,
W piérwszej teraz będzie bitwie.
Drży mi serce, by nie zginął,
Lub nie zrobił wstydu Litwie.—
Smiało, synu mój,
Przy chorągwi stój!
Myśl o kraju, nie sobie.
A jeśli cię zły los spotka,
Za ojczyznę śmierć jest słodka,
Będiesz wspominan w grobie.“—

Powrócili towarzysze,
Powrócili przyjaciele.
„Gdzie jest syn mój? niech usłyszę!“—
— „Syn twój wszędzie jest na czele.
Gdzie porozec swój rozwinie,
Gdzie się mieczem swym zamierzy,
Krew Tatarska rzeką płynie,
Broń Tatarska mostem leży.“—

— „Dobrze, synu mój!
Walczysz za kraj swój,
Chwała i mnie i tobie!
Choćbyś zginął—dosyć żyłeś,
Jeśli żyjąc zasłużyłeś
Być wspomnianym w grobie.“—

— „Ciesz się, starcze! w synach Litwy
Pamięć twego nie zaginie.
Kurhan jego w polu bitwy
Jako góra na równinie.
Nie z darniny, lecz z turbanów,
Nie z kamieni, lecz z głów Hanów.
Nie z piasku, ale z popiołu
Jeńców spalonych pospołu.“—

— „Dzielnie, synu mój!
Ległeś za kraj swój.
Kraj płacze na twym grobie!—
Jak się twą chwałą nacieszę,
Ja też za tobą pośpieszę,
Powiedzieć o niej tobie.

1829.

K O N I E C .



PG
7158
038A17
1874

Odyniec, Antoni Edward
Poezye

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY
